



1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 5+ | SELECT | MENU | DAB / FM

Susan May Warren

CHŁOPAK
Z SĄSIEDZTWA

SMAKI ŻYCIA

Susan May Warren

CHŁOPAK
Z SĄSIEDZTWA

Przełożyła Alicja Wojciechowska



Święty Wojciech
wydawnictwo

Dla drużyny futbolu amerykańskiego Cook County Vikings – trenerów, kadry i graczy. Jesteśmy z was dumni. Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia. List do Filipian 4,13

jeden

Przez dwie godziny każdej nocy, od poniedziałku do soboty, Isadora Presley stawiała się taką dziewczyną, jaką była kiedyś.

– Witajcie w „Moim Niemądrym Sercu”, gdzie wierzymy, że wasza prawdziwa miłość może mieszkać z wami po sąsiedzku. Chciałabym przesłać specjalne pozdrowienia dla nowej rozgłośni w Seattle, która właśnie zasilila szeregi Nocnej Sieci Spragnionych Miłości. ZłamaneSerceWBuffalo, jesteś na linii. Witamy w programie.

Biały błysk światła rozdarł noc za oknem położonego na piętrze domowego studia Isadory i ogarnął wątłe gałązki śliwy japońskiej, uginające się pod naporem letniej wichury. Issy spojrzała na zegarek. Jeśli dobrze pójdzie, ma jeszcze trzydzieści minut, czyli zdąży z programem, zanim zacznie się burza.

Inna sprawa, że pogoda koniecznie musi się poprawić na jutrzejszy doroczny Piknik Rybacki w Deep Haven. Issy nie mogła się już doczekać chwili, kiedy siądzie na ganku i będzie mogła podziwiać fajerwerki odpalane na kempingu przez drużynę Elks, jednocześnie udając, że życie wcale o niej nie zapomniało.

Jutro przystanie na rogu ulicy i obejrzy paradę, pomacha kolegom z klasy przejeżdżającym Main Street na platformie ich rocznika, a potem znów posiedzi na ganku, słuchając muzyki dobiegającej z parku. Może nawet uda jej się usłyszeć radosne okrzyki towarzyszące corocznym zawodom w log-rollingu^[1]. Mogła niemal poczuć na języku słodko-kwaśny smak fishburgera – ze świeżym sandaczem amerykańskim i sosem tatarskim domowej roboty. Kathy będzie nalewać kawę w oddziale Java Cup. A dochodzący z następnej ulicy rześki zapach smażonego oleju towarzyszący pączkom będzie starał się ze wszystkich sił wywabić ją z domu do sklepu Lucy, do „Najlepszych Pączków na Świecie”. Issy stanęłaby w kolejce, która na pewno wychodziła na ulicę i ciągnęła się za róg i dalej, aż do biura nieruchomości, bo w takim ogonku zawsze trzeba było czekać na donuta^[2] z lukrem.

Przez dwadzieścia pięć lat swojego życia ani razu nie opuściła tego pikniku. Dwa lata temu to się jednak zmieniło.

Od tamtego czasu nie uczestniczyła w większości wydarzeń. Teraz przełknęła kulę, która zbierała jej się w gardle.

– Dziękuję, że odebrałaś mój telefon, Panienko Niemądre Serce. Chciałam powiedzieć, że słucham twojego programu każdej nocy. Pomaga mi czekać na mój ideał.

ZłamaneSerceWBuffalo miała wysoki, słodki głos, który mógł należeć do uczennicy z college'u o prostych blond włosach i niebieskich oczach. Ale radio potrafiło zamaskować wiek, rasę, a nawet płeć. Prawda była taka, że gdy Issy słuchała własnych podcastów, sama czasami nie mogła rozpoznać swojego głosu, kiedy łągodniał ze współczucia lub obniżał się i stawał nieco chropowaty, gdy udzielała porad.

Mogłaby oszukać samą siebie, że wie, co robi. Oszukać samą siebie, że prowadzi inne życie, takie, które sięga daleko poza cztery ściany i przydomowy ogród.

– Bardzo mnie to cieszy, ZłamaneSerce. On gdzieś tam na pewno jest. Co mogę dzisiaj dla ciebie zrobić?

– Cóż, myślę, że go znalazłam. Spotkaliśmy się kilka tygodni temu na zajęciach karate i byliśmy już na trzech randkach...

– Trzech? ZłamaneSerce, wiem, że jesteś pewnie zakochana po uszy, ale trzy randki to za mało, aby mieć pewność, że mężczyzna jest dla ciebie idealny. Udany związek wymaga...

– Czasu, prób i zaufania. Wiem.

A więc ZłamaneSerce słuchała programu regularnie. Świetnie, a zatem może uda się pohamować jej entuzjazm, rozgonić nieco tę odurzającą „miłosną mgłę” – kolejne określenie, które Issy sama ukuła.

– A zatem wiesz również, że nie da się tego zrobić w ciągu trzech randek, chociaż Panienska Niemądre Serce zaleca, aby dać sobie spokój po trzech randkach, jeśli mężczyźnie brakuje potencjału, by być dziesiątką.

– Ale wydaje się, że może nią być. Ma wszystko, czego chcę.

– Skąd to wiesz?

– Stworzyłam swoją dziesięciopunktową listę wymogów, tak jak pani radziła. No i oczywiście wielką trójkę.

– Wielka, kluczowa trójca. Wygląda na to, że wiesz, czego szukasz.

– O to właśnie chodzi. On posiada większość cech z mojej listy i zastanawiam się, czy koniecznie musi mieć je wszystkie. Czy... powiedzmy... siedem na dziesięć by nie wystarczyło?

– Sama mi to powiedz, ZłamaneSerce. Czy pasuje ci romans na siódemkę? Czy może pragniesz dziesiątki?

– A co, jeśli nie wiem, jakie to uczucie mieć dziesiątkę?

Jakie to uczucie mieć dziesiątkę. Tak, Issy sama chciałaby to wiedzieć.

– Dobre pytanie, ZłamaneSerce. Myślę, że dla każdego wygląda to inaczej. Zostań na linii. Odbierzmy telefony od innych dzwoniących i zobaczmy, czy ktoś ma dobrą odpowiedź. Albo wejdź na forum na stronie „Mojego Niemądrego Serca”. Widzę, że Kupidyn27 napisał tam post: „Miłość to poczucie, jakby nic nie mogło ci się stać”. Bardzo ładnie, Kupidynie27. Mamy jeszcze innych dzwoniących?

Issy wyciszyła ZłamaneSerce i kliknęła na kolejną osobę na liście połączeń.

– PrawdziwaMiłość, jesteś na antenie. Jak to jest z tą dziesiątką?

– Być z dziesiątką to wiedzieć, że masz w kimś oparcie. – Powiedział chropowaty, niski głos z rodzaju tych, które stają się takie po wypaleniu dwóch paczek papierosów dziennie.

– Świetna odpowiedź, PrawdziwaMiłość. Mamy nadzieję, że znajdziesz w kimś oparcie. – Issy wyciszyła słuchacza. – Mów śmiało, WietrzneMiasto.

– To wiedzieć, że jesteś kochany... mimo wszystko.

Kochany, mimo wszystko. Och, Issy chciała wierzyć, że to możliwe.

– Bardzo mi się to podoba, WietrzneMiasto. Ktoś jeszcze?

Forum ożyło, odpowiedzi spływały jedna po drugiej. Na linii telefonicznej pojawił się użytkownik o nicku DumaIPasja723. Duma dzwoniła przynajmniej raz w miesiącu, zwykle z jakimś nowym dylematem, i rozgrzewała forum do czerwoności. Issy powinna zaoferować tej dziewczynie darmowy abonament.

Przełączyła się z powrotem do ZłamanegoSerca.

– Czy któraś z tych odpowiedzi pasuje do tego, co czujesz?

– Może. Nie wiem.

– Panienska Niemądre Serce radzi, abyś poczekała na dziesiątkę, Złamane Serce. Ideał na pewno gdzieś tam jest, może nawet w twoim sąsiedztwie.

Zrobiła przerwę na reklamę. Spot o czekoladowej poczcie kwiatowej. Zdjęła słuchawki i pomasaowała sobie uszy.

Na zewnątrz padał deszcz. Równomierne bębnienie o dach przerywane czasem pojedynczymi stuknięciami o parapet. Od czasu do czasu rozlegał się gniewny ryk, wiatr przybierał na sile. Issy miała nadzieję, że nie zapomniła zamknąć okien od frontu, nim rozpoczęła program na antenie. Kolejna błyskawica rozjaśniła niebo. Tym razem o szybę pacnęło kilka srebrnych liści zerwanych z drzewa. Och, jej serduszki okazałe leżały pewnie całkiem przygięte do ziemi, i to po tak długim czasie, jaki poświęciła na ich pielęgnację.

Koniec reklam.

– Widzę, że mamy na linii Dumę i Pasję. Mam nadzieję, że opowie nam coś o swoim najnowszym romansie. Cieszę się, że wróciłaś do nas, Dumo. Jak się dzisiaj miewasz?

Spodziewała się łez – albo przynajmniej żalostnego lamentu o tym, jak to Duma śledziła swojego chłopaka do restauracji i znalazła go w romantycznej scenerii z jakąś lalunią. Ekscesy Dumy stały się podstawą tego programu. Za każdym razem, gdy dzwoniła, słuchalność programu Issy rosła pod sufit.

– Jestem zaręczona!

Issy prawie jej nie poznała: to przez tę radość w głosie i pisk na końcu.

– Kyle poprosił mnie o rękę! Udało mi się, Panienko Niemądre Serce! Czekałam na prawdziwą miłość i ostatniej nocy ona pojawiła się na moim progu z pierścionkiem!

– Och, to... wspaniale, Dumo. – Issy starała się nie dopuścić, by słuchacze wyczuli szok w jej głosie. Nie, nie tylko szok. Nawet... no dobrze, zazdrość.

Dawno, dawno temu Issy marzyła o znalezieniu mężczyzny doskonałego. Marzyła, że będzie stała na chodniku koło Lucy podczas Pikniku Rybackiego, z nadzieją, że ktoś poprosi je do tańca przy mlecznym świetle gwiazd rozsianych na sierpniowym niebie. Ale kto odważyłby się zatańczyć z córką trenera futbolu? A jeśli chodzi o Lucy, to po prostu nie mogła zebrać się w sobie i odpowiedzieć *tak*. Słodka, nieśmiała Lucy, zużyła całą swoją odwagę na jednego chłopaka.

Wystarczyło jedno złamane serce Lucy w ostatniej klasie liceum, by scementować prawdę: dziewczyna musiała mieć standardy. Musiała czekać na doskonałą miłość.

Issy ułożyła wtedy listę i dopracowała ją jeszcze w college'u. Dobra, solidna dziesięciopunktowa lista cech mężczyzny idealnego. A najważniejsze spośród nich były trzy pierwsze, wielka trójca: to właśnie je – oprócz bycia chrześcijaninem – powinien posiadać facet idealny: współczucie, odpowiedzialność, skłonność do poświęceń. To były wskaźniki tego, czy dziewczyna powinna w ogóle zgodzić się na pierwszą randkę.

Jeśli oczywiście pojawiłby się na horyzoncie jakiś mężczyzna. No bo przecież Issy nie mogła sama szukać sobie partnera, prawda?

– Och, Dumo, jesteś pewna? – Odpowiedziała jej cisza. Issy wcale nie chciała zabrzmieć tak ostro, niemal potępiająco. – Chodzi mi o to, czy... czy to dziesiątka?

– Jestem już zmęczona czekaniem na dziesiątkę, Panienko Niemądre Serce. Mam dwadzieścia sześć lat i chcę wyjść za mąż. Nie zamierzam zostać starą panną.

Dwadzieścia sześć. Issy pamiętała swoje dwudzieste szóste urodziny, rok temu. Świętowała je z

Lucy, która przyniosła pączki z dżemem. Śpiewały potem na cały głos hity ABBY.

A na koniec Issy odważyła się nawet wyjść na ganek. Pomachała do Cindy Myers, sąsiadki, która akurat wyjmowała pocztę ze skrzynki na listy.

Tak, pamiętny dzień, bez wątpienia.

– Jesteś wciąż młoda, Dumo. Dwadzieścia sześć lat to nie jest starość.

– Ale tak to właśnie wygląda, kiedy wszyscy wokół ciebie wychodzą za mąż. Jestem gotowa, on zapytał, więc się zgodziłam.

Issy wzięła głęboki wdech.

– To cudownie. Wszyscy bardzo się cieszymy, prawda, forumowicze?

Na forum jednak rozgorzały dyskusje o zadowalaniu się czymś niższym niż dziesiątka. Nie było wśród nich ani jednego niemądrego serca.

– Dziękuję, bo... Chciałabym, abyś pojawiła się na moim ślubie, Panienko Niemądre Serce. To dzięki tobie spotkałam Kyle'a. Chciałabym, żebyś świętowała z nami.

Issy zaśmiała się cicho. Był to wysoki i krótki dźwięk, który wskazywał na strach. Cudownie.

– Dziękuję... dziękuję uprzejmie za twoje zaproszenie, Dumo, ale...

– Nie rozumiesz. To będzie ogromny ślub. Wiem, że nie powinniśmy ujawniać naszych prawdziwych danych na antenie, ale jestem ci tak wdzięczna za pomoc, że po prostu musisz wiedzieć. Mój ojciec to Gerard O'Grady.

– Gubernator stanu Kalifornia? – Ten był aktor, który został miliarderem, a później zaangażował się w politykę?

– Tak. – Zachichotała Duma. – Planujemy już ślub. Odbędzie się w naszej posiadłości w Napa Valley. Chcę, żebyś tam była, w pierwszym rzędzie, razem z moimi rodzicami. Tak bardzo mi pomogłaś.

– Och, hmm, Dumo...

– Lauren. Jestem Lauren O'Grady.

– Dobrze, Lauren. Jest mi bardzo przykro, ale nie będę mogła się zjawić.

– Dlaczego nie?

Dlaczego nie? Ponieważ za każdym razem, gdy oddaliła się dalej niż przecnicę od swojego domu, świat zaczynał ją przygniatać i wysysać z jej płuc powietrze? Ponieważ nie mogła pozbyć się z pamięci swądu skóry jej matki, gdy ta płonęła żywcem, jej krzyków, czucia jej gorącej krwi na rękach? Ponieważ za każdym razem, gdy Issy choćby pomyślała o wejściu do samochodu, to przed oczami miała mroczki i oblewał ją zimny pot?

No i przede wszystkim dlatego, że będą musiały minąć lata, nim zdoła wyrwać się ze szponów pani-ki, która ją więziła, atakując raz po raz.

– Zasadą naszej stacji jest...

– Jestem pewna, że mój ojciec będzie potrafił przekonać stację do wyrażenia zgody. Proszę, nie odmawiaj mi. Zastanów się jeszcze. Przyślę ci zaproszenie.

Po tych słowach rozłączyła się.

Na antenie przez kilka sekund panowała głucha cisza, nim Issy była w stanie powiedzieć cokolwiek.

– Nie zapomnijcie odwiedzić forum na stronie „Mojego Niemądrego Serca”. Żegna się z wami Pani-ka Niemądre Serce, która mówi, że wasza doskonała miłość może mieszkać tuż po sąsiedzku. – Wyciszyła mikrofon. Piosenka Karen Carpenter *Close to You* zasygnalizowała koniec programu.

Owszem. Dawno, dawno temu naprawdę wierzyła w swój slogan.

Dawno, dawno temu wierzyła w ...i żyli długo i szczęśliwie.

Na antenie rozpoczął się kolejny program. „The Bean” – późnonocny przegląd sportowy z Chicago, podczas którego można było poznać wyniki meczów futbolu rozgrywanych w całym kraju. Issy nie miała wpływu na to, jakie audycje sąsiadowały z jej własną. Cieszyła się, że do pewnego stopnia ma wpływ na to, jakie reklamy pojawiały się podczas „Mojego Niemądrego Serca”.

W drodze do łazienki zamknęła okno i wyjęła z komody ręcznik, po czym rzuciła go na wykafelkowaną podłogę i weszła na niego bosymi stopami. Zatrzymała się przed sypialnią rodziców. W ciągu dwóch lat pokój nie został ani razu wywietrzony, ale Issy wciąż otwierała do niego drzwi. Jej oczy omiały wtedy małżeńskie łóżko z baldachimem, sekretarzyk w stylu królowej Anny, toaletkę oraz okno, które wychodziło na ogród.

Tym razem zostawiła drzwi lekko uchylone, po czym zeszła po schodach. Drzwi wejściowe zamknięte – tak; okna w salonie również.

Błyskawica znów zajaśniała na nocnym niebie, przecinając ciemność na pół. Migotała wystarczająco długo, by oblać światłem nieduży budynek biblioteki po drugiej stronie ulicy oraz kosz na śmieci, który toczył się po chodniku w dół ulicy, pchany wiatrem. Kawałek dalej, w dół wzgórza, w stronę miasta, bujało się zawieszona nad ulicą światło sygnalizacyjne. Burza zmieniła skrzyżowanie w *all way stop*^[3], mrugająca czerwień oblewała krwistym światłem szklisty chodnik.

Issy ściągnęła z kanapy dziergany pled i owinęła się nim; kiedy szła do kuchni, frędzle kapy ciągnęły się za nią po drewnianej podłodze. Nacisnęła przycisk i światło lamp oblało pomieszczenie – stroik z białych hortensji w wazonie koloru mleka na okrągłym czarno-białym stole, blaty kuchenne z czarnego marmuru, podłogę wyłożoną czarno-białymi kafelkami. Trochę retro, trochę współcześnie – taki właśnie był gust jej matki: eklektyczny.

Grzmot po raz kolejny zatrzęsł domem, unosząc włoski na karku Issy. Tak bardzo nienawidziła burz.

Wysunęła rękę spod pledu i włączyła palnik pod czajnikiem. Ostatniego pączka z codziennej dostawy od Lucy zostawiła na górze, w swoim gabinecie. Spojrzała na karteczkę przyklejoną do szafki: *Jeżeli Bóg z nami, któż przeciwko nam?*. Prawda. Ale co, jeśli Bóg wcale nie był z tobą? Nieważne, Issy nie zamierzała ignorować żadnej szansy pomocy.

Kolejny podmuch wiatru i coś nagle przetoczyło się przez taras znajdujący się na tyłach domu. O nie, tylko nie jej bodziszki! Nagle coś uderzyło w tylne drzwi. Szkło zadrżało.

Dlaczego jej matka zdecydowała się zmienić bardzo solidne dębowe drzwi na szklaną szybę? Issy nigdy tego nie pojęła.

Czajnik zagwizdał. Issy wyłączyła palnik, sięgnęła po kubek...

Wycie... i nie, to wcale nie był wiatr. To brzmiało tak... jakby coś było ranne. Może przestraszone.

Serce podeszło jej do gardła. Przełknęła ślinę, by wróciło na swoje miejsce. Znała ten rodzaj wycia. Zwłaszcza w taką noc jak ta.

Chowając dłoń pod pledem, Issy podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz. Zgasiła światło w kuchni, po czym wyjrzała w ciemność.

Żadne jarzące się oczy nie odwzajemniły jej spojrzenia, żaden potwór z wielkimi zębiskami nie przyciskał paszczy do jej okna. Włączyła zewnętrzne światło, by skąpało w blasku taras wyłożony cedrowymi deskami. Poduszki na wyblakłych meblach z drzewa tekowego wirowały w powietrzu, nie odfruwając w dal tylko dzięki cienkim troczkom. Doniczki z bodziszkami leżały przewrócone. Czarna, zmieniona w błoto ziemia, była rozbryzgana po całym tarasie. Burza przygniotła też krzak serduszki okazałej, rosnącej na dole przy schodach.

Issy powinna była przynajmniej przykryć cenne żółte róże Pilgrim jej matki.

Rzuciła pled na krzesło, podwinęła nogawki, z szafy przy drzwiach wyjęła kurtkę przeciwdeszczową i narzuciła kaptur na głowę.

Otworzyła drzwi i wyszła na deszcz. Powietrze było chłodne i wywołało u niej gęsią skórkę. Potop zbudził do życia sosnę zwyczajną – posiwiąłego wartownika rosnącego na krańcu posesji. Jej porośnięte ramiona gestami wyrażały niebezpieczeństwo.

Ale któż miałby ją skrzywdzić tutaj, w jej własnym ogródku? Zwłaszcza że ojciec wznosił wokół posesji potężny płot z porządnych sosnowych desek. Otaczały ją, odgradzały od świata, nie licząc Lucy, która wykorzystywała go jako skrót w drodze do miasta.

To nie tak, że Lucy zamykała bramę na klucz. No dobrze, czasami. No dobrze, zawsze. Ale Lucy miała klucz do furki i do domu, więc to nie miało znaczenia.

Rozchlapawszy wodę na schodach, Issy popędziła mokrą ścieżką z kamieni, mijając po drodze przemoczoną, różnobarwną funknię, werbenę i krzak hortensji, z którego wiatr zerwał mnóstwo pąków. Róża pomarszczona także była w kiepskim stanie.

Nie będzie teraz na to wszystko patrzeć. Jutro oceni straty. Czasami tak jest lepiej – skupić się na tym, co jeszcze można ocalić. Na tym, co jeszcze się ma.

Dotarła do szopy, wystukała kombinację na panelu alarmowym i otworzyła drzwi. Wzięła plastikowe płachty, złożone schludnie na stojaku przy drzwiach, oraz dwie cegły, po czym pognała z powrotem na ganek. Deszcz nie zdążył jeszcze całkiem zniszczyć tu róż, gdyż osłaniała je krawędź dachu. Ale na wszelki wypadek... Issy przygniotła cegłami jeden kraniec płachty na ganku, po czym rozwinęła ją nad kwiatami. Kamienie ze skalniaka posłużyły jej za obciążniki; pognała do szopy po kolejną parę ciężarków.

Wycie znów przebiło się przez szum deszczu i rozbrzmiało we wszystkich komórkach jej ciała.

Zastygła bez ruchu, z duszą na ramieniu.

Przy krawędzi tarasu. Coś się poruszyło.

Niebo wybrało ten moment, aby rozerwać się na pół i przelać całą swoją furię na grzmot, który sprawił, że Issy podskoczyła.

Nie tylko ona.

Cokolwiek to było – widziała to tylko przez małą chwilę – rzuciło się prosto na nią, jakby była zwierzyną łowną. Issy krzyknęła, upuściła cegły i rzuciła się sprintem w kierunku tarasu. Ale drewno było mokre; dziewczyna poślizgnęła się i z impetem upadła. Grzmotnęła brodą o deski tarasu; wtedy to coś na nią skoczyło.

– Nie! Odejdź!

Ale stworzenie nie zamierzało rozszarpać jej na strzępy, nawet się nie zatrzymało. Po prostu pognało do drzwi.

Szyba rozpadła się kaskadą odłamków, gdy bestia wtoczyła się do kuchni. Issy gapiła się jak zaczarowana, gdy zwierzę – ogromne i włochate – ślizgało się po linoleum.

Po czym zatrzymało się nagle i padło plackiem, piszcząc.

Pies. Ogromny pies, z takim pyskiem, że mogła kochać go tylko matka, o oczach wypełnionych przerażeniem. Od łba po ogon mokry i zabłocony.

– Dobry piesek... dobry...

Błyskawica musiała oświetlić jej sylwetkę i zwierzę po prostu spanikowało, obróciło się bowiem i wystrzeliło jak z procy w głąb domu. Pazury drapały o wypastowane drewniane podłogi.

– Wracaj tu!

Z salonu dobiegł huk – tylko nie zielistka!

Pies wrócił do holu i pognał na górę po schodach.

– Nie! Chodź tu, piesku! – Issy przystanęła na progu; wciąż była na bosaka. Odłamki szkła na podłodze błyszcząły jak lód. Świetnie. – Nie zniszcz niczego!

Zbiegła z tarasu, przebiegła po ścieżce w ogrodzie, otworzyła furtkę i pognała przez śliską trawę na przód domu.

Pod królikiem Tuptusiem wciąż znajdował się klucz, więc wyjęła go stamtąd i otworzyła frontowe drzwi.

Pisk opon na mokrej jezdni pochodził z jej pamięci – przynajmniej taką miała nadzieję. Potem nastąpiło uderzenie, trzask miażdżonego metalu, odgłos pękających szyb.

Obróciła się. *Nie.*

Pod krwawą łuną mrugającego światła stopu sedan wjechał w bok minivana. Benzyna zaczęła już płonąć.

Issy uniosła dłoń do twarzy, do wspomnienia, które wysunęło się na sam początek szeregu pozostałych. Potrząsnęła głową, jakby chciała przegonić te obrazy.

Powinna zadzwonić po pogotowie. Ale mogła jedynie cofnąć się do domu.

Zamknęła drzwi i oparła się o nie dłońmi. Zimne drewno działało kojąco. *Po prostu... oddychaj. Po prostu...*

Oddech jej się załamał i Issy poczuła w sobie narastający jęk, nim jeszcze wyrwał się z jej gardła.

Boże, proszę... Jak brzmiał ten werset? Jeżeli Bóg z nami... Nie... nie, ten, który dała jej Rachel. Albowiem nie dał nam Bóg ducha bojaźni, ale mocy...

Usłyszała krzyki i zamknęła oczy. Przycisnęła dłoń do piersi, czując uderzenia gorąca.

Po prostu oddychaj.

Issy osunęła się na podłogę.

Jesteś bezpieczna. Nie panikuj. Po prostu oddychaj.

Caleb Knight przebywał w Deep Haven mniej niż trzy godziny, a Bóg już dał mu okazję, aby mógł zostać bohaterem.

– Ile osób jest w środku? – Smród benzyny wypełnił mu nozdrza, gdy Caleb przyłożył policzek do asfaltu, zaglądając do środka przewróconego minivana. Kierowca wisiał do góry nogami, przypięty pasem. Pomiędzy brwiami miał ranę; krew kapłała mu na włosy, a skórę miał bladą i ziemistą. Otworzył usta, ale nie wydobył z nich żadnego dźwięku.

Mokry od deszczu podkoszulek kleił się Calebowi do ciała, a dzinsy zmieniły się niemal w gips, ograniczając ruchy. Dobrze, że dopiero co skończył wnosić ostatnie pudła i zasnął na kanapie w ubrani, bo inaczej nigdy nie dotarłby na miejsce wypadku tak szybko.

Chociaż ten huk, właściwie tuż przed jego domem, mógłby obudzić umarłego.

– Proszę pana, proszę na mnie spojrzeć. Kto jeszcze był z panem w samochodzie? – Zmuszenie ofiary do mówienia i koncentracji obniżało ryzyko wystąpienia u niej szoku pourazowego.

– Moja żona... moja...

Dobrze, a więc mógł mówić. Przy pomocy latarki Caleb zlokalizował nieprzytomną kobietę – miał

nadzieję, że tylko nieprzytomną – jak mąż wiszącą na pasie i krwawiącą z rany na głowie. Na siedzeniu za nią wisiało małe dziecko, w specjalnym foteliku. Caleb obstawiał, że miało około trzech lat, a kiedy poświecił na nie, dziewczynka szarpnęła się i zaczęła krzyczeć.

Kierowca, prawdopodobnie ojciec, ocknął się. Zaczął targać za swój pas.

– Jamie!

Caleb złapał go za nadgarstek.

– Wyciągnę ją! Ale najpierw uwolnijmy pana.

Fragmenty szyby wystawały z drzwi jak kły, Caleb zdjął więc koszulę, owinął nią rękę i usunął odłamki, zanim sięgnął za mężczyzną i poszukał zapięcia pasów.

– Proszę złapać mnie za szyję. Spróbuję pana chwycić, ale proszę się przygotować. – Nacisnął przycisk. Mężczyzna osunął się na niego. Caleb otoczył go ramieniem i powoli się wycofał, ciągnąc mężczyznę za sobą.

Dziękuję Ci, Boże – nie upadł.

Krzyki dziecka rozdzierały Caleba od środka, gdy kuśtykał w pewnym oddaleniu od samochodu. Oplótł sobie rękę mężczyzny wokół ramienia.

– Moja córka! Moja żona!

– Wyciągnę je. Proszę tu zostać.

Posadził mężczyznę na krawężniku, po czym zerknął na ciemną drogę, martwą i niezwykłą o tej porze. Gdzie jest policja? Naprzeciwko drugi samochód z wypadku już zaczynał płonąć. Caleb pobiegł pędem do niego i znalazł kierowcę – młodego mężczyznę o sylwetce eksobrońcy z drużyny futbolowej, który śmierdział tak, jakby zabrał ze sobą do domu cały pub. Facet leżał z głową opartą na kierownicy. Caleb przycisnął dwa palce do jego tętnicy szyjnej, ale nie wyczuł pulsu.

Płomienie zajaśniały pod maską, wyślizgując się krawędziami, cienkie jak ostrza. Caleb spróbował otworzyć drzwi. Ani drgnęły, więc zostawił je w spokoju.

Gdzie się podziewa straż pożarna?

Deszcz sprawił, że ulica stała się śliska, ale Calebowi udało się wejść do minivana od strony pasażera. Zdarzyło mu się parę razy w Iraku wyciągać ludzi z pojazdów, ale wtedy miał do dyspozycji odpowiedni sprzęt. Próbował teraz sięgnąć zapięcia pasów, lecz nie pozwolił mu na to wydatny brzuch kobiety. Caleb przejechał po nim dłonią, szukając zapięcia...

Ciąża. Kobieta była w ciąży. *O Boże, proszę...*

Przerażone wrzaski dziecka zdawały się rozszarpać go na strzępy.

– No dalej! – wymamrotał, próbując jeszcze raz sięgnąć do zapięcia. Kiedy cofnął ramię, zobaczył, że jego dłoń jest mokra i lepka.

Krew.

Caleb przycisnął palce do szyi kobiety. Tak, jest puls. Na razie.

– Proszę pani, proszę się obudzić.

– Pali się, samochód się pali! – Głos spanikowanego ojca kazał mu wycofać się od okna. Benzyna, która wylała się z drugiego samochodu, utworzyła śmiertelny strumyk spływający prosto do minivana. Przez okno od strony kierowcy wtargnął do środka gryzący dym, wyciskający łzy z oczu.

Caleb spróbował z tylnymi drzwiami. Mocował się z nimi, ale na próżno. Naparł całym ciałem. Potrzebowałby nożyc do rozcinania karoserii...

Rozpaczliwe wrzaski dziecka zdopingowały go do działania. Obrócił się tyłem do auta, a potem z całej siły rąbnął łokciem w szybę.

Ból przeszył jego rękę, ale Caleb nie zważając na to, wślizgnął się do środka przez rozbite okno. Płomienie zaczęły już pożerać siedzenia, podsufitkę. W środku kłębił się drażniący dym. Dziecko szarpało się na boki. Caleb odpiął pierwszą rzecz, jaka rzuciła mu się w oczy – zapięcie przytrzymujące fotelik. Potem złapał go i wraz z ciasno przypiętym dzieckiem wyciągnął na zewnątrz.

Ojciec z trudem wstał, a Caleb niemal wepchnął dziecko w foteliku w jego ramiona.

– Proszę się cofnąć!

– Moja żona... jest w ciąży...

Z oddali dobiegł dźwięk syren. *Nareszcie*. Tyle że żona mężczyzny nie miała tyle czasu; płomienie zbyt szybko przesuwały się po podsufitce.

Boże, błagam, nie pozwól jej spłonąć! Caleb znów zanurkował do wnętrza samochodu, ale tym razem popychając kobietę; walczył, by złapać zapięcie pasa. Dotknął go. Metal zasyczał w kontakcie ze skórą, ale mimo to Calebowi udało się wcisnąć guzik.

Kobieta opadła na niego ciężko. Caleb wycofał się z okna i złapał ją za ramiona. Potrzebował dźwigni. Oparłby się nogami o samochód, ale oczywiście było to niemożliwe. Nie mógł tego zrobić, nie tracąc równowagi.

Musisz się przyzwyczaić, że nie możesz już robić tych samych rzeczy, które robiłeś wcześniej.

Głos Collina w jego głowie sprawił, że Caleb tylko wzmocnił chwyt. Wyciągał już kobietę przez okno, kiedy jej brzuch utknął we framudze. Była w potrzasku.

Ocknęła się nagle, gwałtownie, i wbiła w niego spojrzenie.

– Płonę! Płonę!

Płonę.

Nie, nie czas na wspominki.

Zwrócił się do niej tonem sanitariusza, tym samym, który udoskonalił podczas akcji w Iraku.

– Wyciągnę panią. – *Chroń życie w żyjącym*. Tak, *tego* głosu posłucha.

Nadjechał wóz strażacki; strażacy wypadli z niego i sprintem ruszyli na miejsce wypadku.

Kobieta złapała Caleba za przedramiona. Jej źrenice były rozszerzone strachem.

– Nie zostawiaj mnie! Wyciągnij mnie! Wyciągnij!

Zrobił to siłą, nie przestając nawet, gdy krzyczała.

Później nadeszła woda. Szybciej usłyszał, niż poczuł strumień, który miał ugasić ogień. Woda wlała się do minivanu i zmoczyła Caleba, gdy ten poślizgnął się i upadł na ziemię.

Niemal wrzasnął, kiedy jego kolano wykręciło się pod nienaturalnym kątem. Z trudem starał się odepchnąć kobietę z dala od auta, wykrzywiając przez to nogę jeszcze bardziej.

– Mamy tu ocalałych!

Jakoś się podniósł, opierając się na nieuszkodzonym kolanie. Obrócił się do kobiety.

Obok niej już klękała sanitariuszka o blond włosach zebranych w kucyk.

– Potrzebujemy tu noszy! – Spojrzała na Caleba, aby ocenić jego stan; zobaczyła poszarpaną skórę na żebrach, rękach i ramieniu. – Gdzie pana boli?

Nie wiedziałaby nawet, od czego zacząć odpowiedź, ale nie o to pytała.

– Nie byłem uczestnikiem wypadku. Nic mi nie jest.

Przez chwilę wyglądała na skonsternowaną. Obróciła się do dwóch strażaków niosących nosze i kazała im przenieść kobietę na chodnik.

Caleb stanął na nogi i pokuśtykał za nimi.

Sanitariuszka posłała mu kolejne pełne niezrozumienia spojrzenie.

– Jest pan pewien, że nic panu nie jest?

– Co tak długo?

Pożar został już ugaszony, a generator napędzający nożyce do cięcia metalu szumiał cicho. Strażacy otworzyli drzwi, by dostać się do martwego kierowcy.

Sanitariuszka zmarszczyła brwi.

– Jesteśmy ochotnikami. Siedem minut to niezły czas reakcji, zważywszy na to, że większość z nas była już w piżamach. Jeśli chce pan złożyć skargę, proszę porozmawiać z dowódcą.

Wskazała ręką na jednego ze strażaków, w białym hełmie. Caleb wziął głęboki oddech i pokuśtykał w jego stronę. Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że słowo *ochotnik* jest tutaj kluczowe. Mężczyzna, brzuchaty, z jednodniowym zarostem i o zmęczonych oczach, wyglądał tak, jakby ktoś właśnie wyciągnął go spod pierzyny, gdzie znajdował się w stanie hibernacji.

Spojrzał na Caleba.

– Wszystko w porządku, proszę pana?

– Nie, nic nie jest w porządku. Chcę wiedzieć, dlaczego dotarcie tutaj zajęło wam aż siedem minut.

Mężczyzna zacisnął usta i odwrócił się, by nadzorować wyciąganie ofiary z wozu.

– Joe, kogo tu mamy?

Strażak obejrzał się, wstrząśnięty.

– To Zach Miller. – Potrząsnął głową.

Coś jakby prawdziwy ból przemknęło przez twarz dowódcy. Mężczyzna obrócił się do Caleba.

– Jest pan nowy w mieście?

Gniew Caleba się ulotnił.

– A... tak. Jestem nowym trenerem futbolu. Dopiero co przyjechałem.

Dowódca przyglądał mu się przez chwilę, mrużąc oczy.

– A więc powinien pan wiedzieć, że ten dzieciak w samochodzie był kilka lat temu jednym z najlepszych defensywnych futbolistów w całym stanie. A teraz jego rodzice i mieszkańcy miasteczka będą go pamiętać tylko dlatego, że zginął, zabijając przy tym niemal trzy osoby.

Caleb nie wiedział, co odpowiedzieć.

Podszedł do nich policjant w płaszczu przeciwdeszczowym.

– Pastorze, chcesz, abym to ja porozmawiał z jego rodzicami?

Dowódca pokręcił głową.

– Znam Marci i Grega. Ja im powiem.

Pastor? Caleb przyjrzał się uważnie mężczyźnie w białym kasku. Potrafił docenić kaznodzieję, który rzeczywiście działał w parafii, i to nie tylko głosząc kazania.

Obejrzał się i zobaczył, jak sanitariusze umieszczają odurzoną lekami kobietę w karetce.

– Przykro mi z powodu tego chłopaka. – Nie spojrzał na pastora.

– Nie znoszę tego skrzyżowania. Zimą, albo kiedy pada, to wzgórze zmienia się w taflę lodu. Zabiło więcej ludzi, niż chciałbym pamiętać. – Westchnął pastor. – Proszę posłuchać, prawdopodobnie ocalił pan dzisiaj życie całej rodziny. Ale jeśli ma pan jakieś zastrzeżenia co do naszej pracy, proszę się nie krępować i też włączyć się w naszą działalność. Proszę pojechać z nami do remizy, dołączyć do ekipy. – Ściągnął rękawiczkę i wyciągnął dłoń. – Dan Matthews.

Caleb uścisnął ją, kompletnie zaskoczony ofertą dowódcy. Może ciemności kryły go lepiej, niż sądził.

– Caleb Knight.

– Miło mi cię poznać, trenerze.

Trener. To brzmiało dobrze, bardzo tego potrzebował.

– Byłbym zaszczycony, ale... – Ta część jego życia została zamknięta, pomimo pragnienia Caleba, aby ocalać ludzi, aby się im poświęcać. – Jednak nie.

– Szkoda. Przydałby się nam ktoś z twoim instynktem.

Caleb cofnął się do krawężnika.

Blond sanitariuszka zamknęła drzwi karetki.

– Ktoś powinien obejrzeć twoją nogę.

Tak, ktoś powinien to zrobić.

Ale szczerze mówiąc, Caleb i tak spędził za dużo czasu na jej oglądaniu. Albo raczej na próbach, by tego nie robić. To dopiero walka, nieprawdaż?

Deszcz nie zaczął już tak bardzo, gdy Caleb kuśtykał w stronę domu. Nie miał pojęcia, że zamieszkał praktycznie w centrum miasteczka – w domu na rogu, mniej więcej w połowie dzielnicy w górę wzgórza od skrzyżowania z autostradą, z widokiem na jezioro i o rzut beretem od biblioteki, sklepu spożywczego, stacji benzynowej i kawiarni. A po drugiej stronie ulicy rozciągało się urocze śródmieście, którego okna wychodziły na Jezioro Górne.

Może tutaj rozpocznie nowe życie. Zacznie od nowa. W miejscu, gdzie ludzie będą widzieć Caleba Knighta, a nie jego blizny.

Lampka na tarasie rozświetlała ogród na tyłach sąsiedniego domu, chociaż światła na piętrze już zgaszono, gdy Caleb wnosił ostatnie pudło.

Może jego sąsiad także słyszał w swojej głowie głosy, które sprawiały, że przewracał się z boku na bok w godzinach porannych.

Twoje życie jest teraz inne, ale przyzwyczaisz się.

Nie ma się czego wstydzić.

Dla twojego kraju jesteś bohaterem.

Twoja niepełnosprawność może być czymś dobrym, jeśli tylko na to pozwolisz.

Tak, pewnie, że może. Musiał przyznać, że dzięki temu otworzyły mu się oczy na Bożą łaskę, na drugą szansę. Dzięki temu zdecydował, że stanie się człowiekiem, którym powinien być. Którym będzie.

Ale jednocześnie wcale nie było mu przez to łatwiej spać. Nie, kiedy odgłosy i zapachy pustyni, smak strachu i jego własnej krwi wracały, aby go torturować. Stąd wzięło się jego uzależnienie od nocnych talk-shows. Programy wypełniały głowę Caleba głosami, które nie mogły go skrzywdzić.

Oby udało mu się połączyć z Internetem i złapać „The Bean”.

Wspinając się po schodach na ganek, Caleb wspierał się na poręczy. Zatrzymał się, aby odpocząć i złapać oddech. Musiał wejść do środka, zanim ktoś go zobaczy.

Z drugiej strony, musiało być już koło północy. Kto mógłby teraz zobaczyć nowego trenera drużyny futbolowej kuśtykającego do swojego domu?

Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Zamykając je, oparł się na stoliku przy wejściu. Jeszcze dziesięć kroków. Mógł przejść jeszcze dziesięć kroków.

Nie... nie mógł. Ciepło rozchodzące się w jego nodze sprawiało, że miał ochotę wyć. Obrócił się, oparł plecami o drzwi i osunął na podłogę. Szamocząc się z mankietem, chciał podwinąć nogawkę. Cholera, coś mu nie wychodziło...

Rozpiął pasek i zdjął dżinsy. Potem drżącymi rękami sięgnął w dół i zsunął silikonową pończochę, która łączyła krótki kikut podudzia z protezą.

[1] Sport, w którym zawodnicy stają na dwóch końcach kłody zanurzonej w wodzie i próbują zrzucić z niej oponenta bez dotykania go.

[2] Rodzaj okrągłego pączka z dziurką w środku, często z kolorową polewą i posypką.

[3] Rodzaj skrzyżowania, przed którym należy, zgodnie z przepisami, zatrzymać samochód.

dwa

Lucy Maguire nienawidziła godziny trzeciej nad ranem. Świat o tej porze emanował ciszą, która gdyby mogła, zmieniałaby kości Lucy w galaretę. Oczywiście nie z powodu strachu – kto mógł się naprawdę bać w Deep Haven? Mała osada uwięziona w czasie, bez Starbucksa i centrum handlowego, nawet kina tu nie było. Nie, ta słabość i niemoc w owej godzinie pochodziły z samotności, z faktu, że tylko jej własny głos mógł dotrzymać Lucy towarzystwa, gdy wyrabiała ciasto, wykrawała pączki i wrzucała je na wrzący olej.

Samotne nucenie piosenek przypominało jej przede wszystkim o tym, że to na jej drobnych ramionach spoczywało dziedzictwo trzech pokoleń cukierników.

I że Lucy ich wszystkich zawiedzie.

Wyłączyła budzik pacnięciem dłoni i wtuliła twarz w poduszkę. Nawet gdyby miała na to ochotę, po tych wszystkich latach jej ciało po prostu odmawiało spania dłużej niż do trzeciej piętnaście.

Dzięki temu mogła prowadzić naprawdę fantastyczne życie towarzyskie.

Przewróciła się na plecy i zapatrzyła w sufit. Wyciągnęła zatyczki z uszu i odłożyła je na nocny stolik z białej wikliny. Jej matka kupiła go na garażowej wyprzedaży w mieście, gdy Lucy miała dwanaście lat. Tak się złożyło, że cały pokój tonął w białej wiklinie z różowymi dodatkami – różowa pościel, różowy dywan, różowe poduszki z pluszu.

Poszła do łazienki. Zagłębiła palce stóp w niebieskim dywaniku łazienkowym i wyjęła z kubka szczoteczkę do zębów. Poprzedniej nocy musiało padać, bo dywanik chlupał pod naciskiem jej nóg. No tak, ofiara otwartego okna. Przypadkowe spadające krople z gałęzi topoli pochylających się nad bungalowem ostrzegły Lucy, by przed wyjściem do sklepu z pączkami założyła płaszcz przeciwdeszczowy.

Potrzebowała codziennej dawki ruchu. Zwłaszcza że całe dni spędzała przy pączkach. Inna sprawa, że spoglądając w lustro, widziała twarz nastolatki na tydzień przed studniówką. Drobne guzki trądziku pokrywały jej czoło, na linii, gdzie czapka z daszkiem stykała się ze skórą. Prawdę mówiąc, Lucy nigdy nie wyglądała na swój wiek; dawano jej co najwyżej naście lat albo mniej. To było niesprawiedliwe, że Issy dostała od Matki Natury wszystkie krągłości, a Lucy wciąż mogła kupować ubrania w dziale młodzieżowym.

Ale przynajmniej *mogła* robić zakupy w Dillard'sie, centrum handlowym oddalonym o jakieś dwieście mil od Deep Haven. Przynajmniej nie była więźniem we własnym domu. Przynajmniej jej matka wciąż żyła (w domku na plaży na Florydzie, odsłużywszy swoje w sklepie z pączkami).

Issy miała powód do ataków paniki; Lucy, jej najlepsza przyjaciółka od pierwszej klasy, nie była skłonna jej osądzać.

Umyła dokładnie twarz, przejechała palcami krótkie włosy obcięte na Audrey Hepburn, założyła

czerwoną czapkę z daszkiem i wróciła do pokoju, nie zamierzając trwonić czasu na makijaż. Wczorajsze dzinsy wciąż nadawały się do włożenia, zwłaszcza w połączeniu z czystym podkoszulkiem i bluzą drużyny Deep Haven Huskies.

Chwila – dzisiaj odbędzie się parada z okazji Pikniku Rybackiego. Ludzie będą oczekiwać obecności Lucy na platformie klasy z liceum. Cóż, zatem będzie musiała wrócić do domu i się przebrać.

Albo i nie. Przecież i tak nie miała nikogo, komu mogłaby zaimponować. Odkąd trzy lata temu skończyła szkołę, nie było w miasteczku osoby, która nie znałaby Lucy – pączkowej dziewczyny. Ubierającej się na różowo. Słodkiej Lucy.

Nie była słodka od... Nie. Dlaczego każdy Piknik Rybacki musiał przywoływać wszystkie mroczne wspomnienia?

Wszystkie jej porażki?

Zarzuciła na siebie płaszcz przeciwdeszczowy i wsunęła stopy w gumki. Nie przejmując się tym, aby zamknąć tylne drzwi na klucz, przemierzyła ogród, by po chwili znaleźć się w ogrodowym rajcu Issy. Och, żeby tak mieć chociaż odrobinę jej talentu. Wszystko, za co zabierała się Issy, wychodziło wspaniale, począwszy od ogrodnictwa aż po to zwariowane radiowe show. Uwięziona we własnym domu, wciąż była kimś. Panienką Niemądre Serce.

A Lucy – no tak, Lucy potrafiła robić pączki.

Zamknęła furtkę do ogrodu Issy i stanęła na wyłożonej kamieniami ścieżce. Zamarła.

Ktoś włamał się do domu jej przyjaciółki.

Podbiegła do schodów na tyłach i przystanęła na chwilę przy rozbitych drzwiach.

– Issy?! – Nie przejmowała się tym, że może obudzić całą okolicę. – Issy?

W kuchni było ciemno, w salonie też, i na górze w gabinecie. Ale Issy musiała gdzieś tu być. Co, jeśli jest ranna?

Odłamki szkła wbijały się w podeszwy gumiaków, cięły boki i chrzęściły pod jej ciężarem, gdy Lucy biegła korytarzem.

– Issy!

– Tutaj. Tu jestem. – Głos był cichutki; Lucy próbowała odkryć, skąd dobiega, ale nie mogła znaleźć przyjaciółki.

– Gdzie jesteś?

– Pod fortepianem.

Och, Issy. Siedziała wciśnięta pod instrumentem w salonie, owinięta kurtką trenerską jej ojca, która wciąż pachniała plamami z trawy. Z podwiniętych nogawek dzinsów Issy wystawały bosa stopy.

Lucy zapaliła lampkę nad fortepianem.

– Co się stało? Wszystko w porządku? Twoje tylne drzwi... wszędzie jest szkło. – Kucnęła obok Issy. Długie potargane włosy wisały w strąkach wokół spuchniętej twarzy, jakby przyjaciółka płakała.

– Myślę, że zdarzył się wypadek.

– Wiem, widziałam drzwi. Dobrze się czujesz?

– Nie, chodzi o... no wiesz. Na światłach.

– Na świa... Zdarzył się wypadek samochodowy?

– Parę godzin temu. Miałaś pewnie zatyczki w uszach, prawda?

Lucy przytaknęła, ale co to miało wspólnego z demolką w domu Issy?

– Nie rozumiem.

– Słyszałam syreny. I chyba coś się paliło.

– Ktoś ucierpiał?

– Nie wiem. Ja tylko... – Wzięła głęboki oddech. Lucy musiała docenić przyjaciółkę za to, że ta nie zakopała się znów w kurtkę ojca.

– Cii, jesteś bezpieczna. Ale co z twoimi drzwiami?

– Och. To wina psa. Myślę, że wystraszył się burzy. Włamał się do mnie.

Lucy ujęła jej dłonie. Były ciepłe, pewnie Issy chowała je wcześniej w rękawach kurtki.

– Coś ci się stało? – spytała Lucy.

Issy przełknęła głośno ślinę, na twarzy miała wypisany smutek.

– Nie.

– Dobrze. Nic ci nie jest. Widzisz, wszystko dobrze, tak?

Issy skinęła głową na potwierdzenie.

– Nic mi nie jest.

– Gdzie jest ten pies?

Issy spojrzała nad jej ramieniem.

– Wydaje mi się, że na górze.

– Chodź. Złapiemy go. – Trzymając Issy za rękę, Lucy poprowadziła ją na górę po schodach.

Nie było wątpliwości, że pies przypuścił szturm na pierwsze piętro. Poczęstował się zawartością tłustej torby na pączki, która cała oblepiona śliną leżała teraz porzucona na drodze do...

– Och nie. – Issy popchnęła drzwi sypialni rodziców.

Lucy weszła tam za nią. Pies – oblepiony brudem i z łapami pokrytymi grudkami ziemi – spał na samym środku ręcznie pikowanej narzuty na łóżku rodziców Issy. Błoto wypełniało wszystkie jej rowki. Zwierzę położyło nawet głowę na poduszce od kompletu, a jego ślina wsiąkała w bawełnę. Samą narzutę owinał wokół siebie tak, jakby próbował skonstruować sobie legowisko.

– O rany. To...

Issy wydała z siebie dziwny dźwięk. Najpierw bulgot, a potem czkawkę, jakby coś z jej wnętrza właśnie wyrwało się na wolność.

Lucy obróciła się do niej. *Proszę, niech tylko się nie załamie, nie kolejny raz.*

Issy ukryła twarz w dłoniach, spojrzała na Lucy i zaczęła się śmiać.

Głośno. I jeszcze głośniej, to znów płacząc, to się śmiejąc.

– Chyba mnie lubi. – Jej słowa ginęły wśród piskliwego chichotu.

– Dobrze się czujesz? Może chcesz usiąść, wsadzić głowę między kolana? Czy to początek ataku paniki? Nie wiem, co robić.

Issy przetarła palcami oczy.

– Ten biedny zwierzak wygląda prawie jak ja, oszalały ze strachu, próbujący znaleźć jakieś bezpieczne miejsce. Gdybym była nim, zrobiłabym to samo: rzuciła się na pączki, a potem zwinęła się w kłębek na łóżku rodziców. – Usiadła na brzegu łóżka i pogłaskała psa po łbie. Zwierzak otworzył jedno oko, ale się nie poruszył.

– Issy?

Uśmiech Issy zbladł.

– Jestem już taka zmęczona, Lucy. Zmęczona tym uczuciem, że jestem rozbita. Tym, że strach ciągle ma nade mną przewagę. Zmęczona chowaniem się w ciemnościach. Chcę być wolna.

Lucy usiadła obok przyjaciółki.

– Będziesz. Jesteś coraz bliżej tego dnia.

– Mam nadzieję. Jedna z moich słuchaczek zaprosiła mnie na swój ślub. W Napa.

– Napa? W Kalifornii? To cudownie.

Issy spojrzała na nią znacząco.

– Wcale nie.

– Powinnaś iść.

– A jak właściwie miałabym to zrobić? Nie mogę nawet zebrać się na odwagę, by przejść przez ulicę i dołączyć do innych podczas święta w miasteczku. Bree dzwoniła trzy razy, by namówić mnie na przejażdżkę na platformie. Już to widzę.

– Nie musisz jechać na platformie. Pójdę z tobą, staniemy sobie na rogu. Będziemy machać razem.

Issy podniosła oklapnięte ucho psa i nachyliła się ku niemu.

– Ktokolwiek jest twoim właścicielem, zginie powolną, bolesną śmiercią.

Pies ziewnął, stęknął, po czym znów zapadł w sen.

Issy spojrzała na przyjaciółkę.

– Tobie nic by się nie stało, gdybyś jechała na platformie, wiesz? Trochę darmowej reklamy dla Najlepszych Pączków na Świecie?

– A tobie nic by się nie stało, gdybyś pojechała do Napa. Darmowa reklama dla „Mojego Niemądrego Serca”.

– Trafiony zatopiony.

Lucy uśmiechnęła się szeroko.

– Muszę iść do pracy.

– Idź. Czuję się dobrze. I chyba dołączę do Duncana.

– Duncana?

– Czy on nie wygląda jak Duncan?

Lucy cmoknęła przyjaciółkę w czoło i wyszła. Rzeczywiście – na skrzyżowaniu pomoc drogowa odholowywała właśnie dwa zniszczone pojazdy. Lucy zamrugała szybko, wypędzając z pamięci nazbyt realistyczne fotografie zamieszczone w gazecie „Deep Haven Herald”, na których strażacy wyciągali ciało pięknej matki Issy z wraku ich samochodu.

Jeśli chodzi o jej ojca... cóż, miasteczko wciąż musiało znaleźć kogoś na zastępstwo za trenera, który mógł się poszczycić najwyższą liczbą wygranych meczów. Rany spowodowane jego stratą wciąż były świeże. Na szczęście trener Presley nie zginął – chociaż czasem zdawało się, że tak właśnie było, gdyż po tamtym wypadku leżał przykuty do łóżka w centrum opieki. Ale tamta noc brutalnie przekreśliła i wyrzuciła do śmieci cały program treningowy. Asystentowi trenera ledwo udało się dociągnąć do końca sezonu, po czym wyprowadził się z miasteczka. A ochotnicy, którzy od tego czasu zajmowali się drużyną, nie wiedzieli nic o prowadzeniu treningów i nie mieli szans, by wypełnić pustkę po człowieku, który pomógł z chłopców stworzyć mężczyzn odznaczających się honorem.

A przynajmniej próbował.

Lucy obrała inną drogę niż zwykle; skręciła w drugą z kolei przecnicę, chcąc przejść się brzegiem jeziora. Po pięćdziesięciu latach wynajmowania rodzinie Lucy udało się kupić na własność mały budynek na rogu Main Street i First Street. Przydałby mu się remont, bo ziemia, na której go postawiono, miała większą wartość niż on sam. Niestety, Lucy obciążał już zbyt wysoki rachunek w banku, by w ogóle myśleć o zmianach.

Sprzedzała wczoraj o sześćset pączków mniej niż rok temu. Znaczyło to, że znowu pojawią się problemy ze spłatą odsetek. Biorąc pod uwagę rachunki za ogrzewanie i mniejszą liczbę tegorocznych

turystów, jej decyzja, aby nie zamykać sklepu zeszłej zimy, wcale nie była dobra.

Może Lucy po prostu nie nadawała się do prowadzenia biznesu.

Co, jeśli poddałaby się i zamknęła sklep?

Tylko co potem?

Spojrzała przelotem na swoje odbicie w witrynie Java Cup. W tym kapturze na głowie wyglądała jak porzucone dziecko albo bezdomny.

Nagle potknęła się o coś leżącego na chodniku. Kawałek kartonu... nie, reklama, prawdopodobnie zdarta z drzwi kawiarni przez burzę. Lucy przeczytała jej treść w nikłym świetle witryny.

Świeże pączki po sześćdziesiąt centów za sztukę. Bierz, póki są.

Świeże. Pączki. Po sześćdziesiąt centów? Przez ostatnie dwa lata sprzedawała pączki po osiemdziesiąt centów za sztukę. Za mniej nawet nie było co marzyć, żeby związać koniec z końcem.

Bierz, póki są? Ile pączków usmażyli w tej kawiarni? Sześćset? Prawie pięćset dolarów z jej obrotu...

Podniosła wywieszkę drżącą dłonią. Miała zamiar powiesić ją z powrotem na drzwiach, ale nagle nie mogła się na to zdobyć.

To ona była pączkową dziewczyną. To ona była właścicielką Najlepszych Pączków na Świecie.

Marszowym krokiem podeszła do śmietnika, by wyrzucić karton. I wtedy – tak! – rozdarła go na pół. I jeszcze raz. I jeszcze.

Wrzuciła kawałki do śmietnika. Podniosła z ziemi kamień i cisnęła go do środka.

Och, miała ochotę wrzeszczeć, obudzić całe miasto albo... cokolwiek.

Nie tylko Issy miała dość bycia uwięzioną, przytłoczoną. Zmęczoną przeszłością, która ją prześladowała i dyktowała jej, jak żyć.

Ale Lucy była pączkową dziewczyną. To było wszystko, co miała. I nie zamierzała poddać się bez walki.

– Wątpię, czy mówiła poważnie, Elliot. – Issy przytrzymała ramieniem słuchawkę przy uchu, mnąc narzutę oraz pościel w kulkę i niosąc je na dół do pralni w piwnicy. Na szczycie schodów pociągnęła za sznurek i światło lampy zalało sieć pajęczyn oraz popękana cementową podłogę w starożytne ozdoby, która nie raz, nie dwa pełniła funkcję boiska do hokeja.

– Gwarantuję ci, że Lauren O’Grady mówiła bardzo poważnie. Tak poważnie, że dzisiaj rano sam gubernator zadzwonił do mnie i prosił o twój numer.

– A więc dlatego wyciągnąłeś mnie z łóżka o szóstej rano? – Chociaż Issy nigdy nie odwiedziła Elliota w Nowym Jorku, wyobrażała go sobie jako starszego stylowego mężczyznę, z włosami zaczesanymi do tyłu i o bystrych ciemnych oczach. Skontaktował się z nią w imieniu Nocnej Sieci Spragnionych Miłości po wysłuchaniu online jej podcastu.

Podcastu, który Oscar, producent z lokalnej rozgłośni radiowej w Deep Haven, umieścił w sieci po tym, jak Issy przeprowadziła z domowego zacisza kilka spotkań klubu książki. Elliot przesłuchał je i namówił Issy, by zaczęła prowadzić własny talk-show. „Moje Niemądre Serce” było jego tworem. Na początku ten program miał być jej kołem ratunkowym przed wpadnięciem do czarnej dziury rozpacz, która chciała ją pochłonąć, na zawsze odciągnąć od życia.

– Kogo ty chcesz oszukać, Issy? Ty nigdy nie śpisz. Zawsze jesteś online.

Czego on oczekiwał? „Moje Niemądre Serce” stało się jej całym życiem. Rozrosło się do rozmiarów programu, którego słucha się w całym kraju, z własnym forum i czatem. Tętniło życiem, a Issy czuła się jak gospodarz programu telewizyjnego, którym niegdyś chciała zostać.

Pewnego dnia może nawet ujawni swoją tożsamość światu. Pokaże się Deep Haven. Ale jeszcze nie teraz. Nie mogłaby znieść komentarzy, które natychmiast by się pojawiły.

To okropne, co przydarzyło się jej rodzicom.

Trzy dni w szpitalu po pogrzebie.

Nie wyszła z domu prawie od roku.

A przez ten cały czas udawała terapeutkę od romansów!

Takie słowa sprawiłyby na pewno, że zamknęłaby się jeszcze bardziej, żeby nikt jej nie zobaczył.

– Nie dałeś jej mojego numeru, prawda? – Rzuciła pranie na suszarkę i otworzyła pokrywę pralki.

– Nie można mnie kupić, przynajmniej na razie, ale czy pomyślałaś o wynikach słuchalności? Coś takiego mogłoby im dać prawdziwego kopa. Pomyśl, nadawanie na żywo z wesela Lauren O’Grady.

Issy wrzuciła brudne ubrania do pralki i wysypała proszek. Zamknęła klapę i pranie poszło w ruch.

– Nie wiem, czy by jej się to spodobało.

– Oczywiście, poczekalibyśmy, aż ceremonia się skończy, ale nagralibyśmy wywiady z gośćmi, porozmawiali o tym, jak „Moje Niemądre Serce” pomogło pannie młodej w decyzji o małżeństwie.

– Ja tylko udzieliłam jej kilku zdroworozsądkowych, romantycznych porad, które dała mi moja matka. „Nie wydzwaniam do chłopaków, poczekaj, aż sami cię zaproszą. Oczekuj od swojego partnera wszystkiego, co najlepsze. Nie rozdawaj swoich rzeczy”. Myślisz, że spodziewałam się takiej popularności? Myślałam, że prowadzę program dla miłośników klasycznych romansów. – Wspięła się po schodach i zgasiła światło. Czas zająć się tylnymi drzwiami. Zamiotła już szkło, ale musiała jeszcze zabezpieczyć framugę płytą ze sklejki albo kartonem, żeby nie wpuszczać do środka komarów – oraz innych stworzeń, jak pokazuje historia.

Nakarmiła już Duncana ostatnim z pączków od Lucy. Po noclegu ze śniadaniem pies pognał w siną dal, merdając ogonem.

Miała nawet nadzieję, że wróci. Po kąpieli, oczywiście. Dobry był z niego kompan. Małomówny. O łagodnych oczach. Bojący się burzy. Mogła utożsamiać się z kimś takim.

– Właśnie dzięki temu stałaś się taka popularna. Zdrowy rozsądek. Zasady. No i jeszcze to, że jesteś czytana. Tylko w twoim programie można usłyszeć fragmenty *Jane Eyre*, *Romea i Julii* oraz *Rozważnej i romantycznej*.

– Nie zawadzi się czegoś nauczyć od klasyków.

– Ale patrzenie w przyszłość też by nie zaszkodziło. Nocna Sieć Spragnionych Miłości jest gotowa zapłacić za twoją podróż, umieścić cię w hotelu, zapewnić ci transport i pomocników, byleby tylko projekt doszedł do skutku.

Issy wyszła na zewnątrz, by ocenić zniszczenia. Westchnęła.

– Nie.

– Nie rozumiem tej twojej fobii. O co chodzi, boisz się, że coś ci się stanie? Poleciałbym z tobą, byłbym cały czas przy tobie.

Większość ludzi nie rozumiała, na czym polegają ataki paniki, nie tak naprawdę. To nie był strach przed wyjściem z domu. To był strach przed utratą kontroli, przed czymś, co zdarzyłoby się nagle, a niespodziewająca się tego Issy zareagowałaby nieadekwatnie. Nieadekwatnie, czyli po prostu uciekłaby, ukryła się, zwinęła w pozycji płodowej, zaczęła płakać. Zrobiłaby scenę na oczach całego świata.

To był strach przed przebywaniem w miejscu, które przypominałoby o momencie, gdy całe życie wymknęło jej się spod kontroli. A ona się rozsypała. Nie mogła po raz kolejny sobie na to pozwolić. Nigdy więcej.

– Dopóki nie przeżyjesz tego uczucia, gdy strach rządzi twoim życiem, nie będziesz potrafił tego zrozumieć. Ale staram się, Elliot. Naprawdę. Znałeś prawdę, gdy podpisywałeś ze mną kontrakt.

Elliot westchnął.

– Jestem po twojej stronie, Issy. Serio. Ale zarząd chce, żebyś to zrobiła. Twoje wyniki nie są ostatnio najlepsze, tracimy reklamodawców. Zarząd uważa, że jeśli poprowadzisz audycję z Napa, to przyciągniesz nowe osoby, tchniesz nowe życie w program. Musisz coś zrobić, by mieć lepszą słuchalność. Twój kontrakt należy odnowić we wrześniu i boję się, że jeśli nie zgodzisz się na ten projekt, Nocna Sieć Spragnionych Miłości może ci podziękować za współpracę.

Podziękować za współpracę? Żeby znów osunęła się w ciemność? Ten program pomagał jej nawiązać bezpieczny kontakt z innymi ludźmi. Nie mogła go stracić. Ale...

– Issy?

Usiadła na stołku przy wyspie kuchennej.

– Nie mogę pojechać do Napa, Elliot. Przykro mi. Prawda jest taka, że chciałabym to zrobić. Nie chcę stracić swojego programu. Jeśli istniałby jakiś sposób, by podbić słuchalność, uwierz mi, zrobiłabym to.

Naprawdę nie miał pojęcia, jak bardzo chciała odwiedzić Napa. Albo... jakiegokolwiek inne miejsce. Satysfakcjonowałby ją nawet spacer do centrum Deep Haven, chociażby po to, by wejść do Najlepszych Pączków na Świecie i zamówić sobie gorącego *skizzle*, zamiast czekać na resztki. Już dawno zbrzydł jej widok sosnowych desek płotu na tyłach posesji oraz sąsiedniego pustego domu do wynajęcia w kształcie litery A, z którego odłaziła farba.

– Wciąż spotykasz się ze swoją terapeutką?

– Oczywiście.

– A więc robisz postępy.

– Jeśli nazwiesz postępem to, że wreszcie mogę przebiec się dookoła dzielnicy i pójść do biblioteki naprzeciwko, kiedy nie ma dużo ludzi, to tak.

– Tak właśnie to nazywam. Nie ma szans, byś przekonała siebie, żeby wsiąść do samolotu?

Zastanowiła się nad tym.

– Wymagałoby to cudu naprawdę dużego kalibru.

Elliot milczał przez chwilę, słowa wisały w powietrzu pomiędzy nimi.

– Trzymaj się tam jakoś.

– Gdzie indziej mogłabym się trzymać? – Chciała, by zabrzmiało to jak żart, ale wyszło raczej żałośnie.

Elliot i tak zaśmiał się przez grzeczność.

– Wyświadcz mi przysługę i zrób te nagrania. – Rozłączył się bez długiego pożegnania, które było charakterystyczne dla mieszkańców stanu Minnesota.

Cud dużego kalibru. Spojrzała w niebo, błękitne i bezchmurne po wczorajszej burzy.

– Proszę, Panie, ześlij mi cud. Jeśli to możliwe, uwolnij mnie.

Po tych słowach umilkła, na wypadek, gdyby Bóg wciąż się nią przejmował. Już dawno doszła do wniosku, że po tym wszystkim, co zrobiła i czym Go zawstydziła, pewnie umył już od niej ręce. No bo dlaczego miałby tego nie zrobić? Chrześcijanie powinni pokonywać strach. A ona przyniosła wstyd

wszystkim, zwłaszcza Bogu.

Schowała telefon do kieszeni, wsunęła na nogi japonki i poszła do garażu.

Burza porozrzucała patyki na podwórzu i zrównała z ziemią nie tylko krzak serduszki okazałej. Issy czekały dzisiaj godziny pracy w ogródku.

Przez brudne szyby garażu wpadały promienie słońca, wydobywając z półmroku łódź ojca Issy oraz lśniącego chevroleta, które kupiło jej towarzystwo ubezpieczeniowe w miejsce starego samochodu. Ściślej mówiąc, to Lucy kupiła jej ten samochód, nim czek utracił ważność, i przyjechała nim z Duluth. Chevrolet wciąż roztaczał wokół siebie aurę nowości.

Issy musnęła palcami maskę, po czym włączyła górne światło. W kącie zobaczyła pudło po lodówce. Jej matka kazała podłączyć nową maszynę dwa tygodnie przed śmiercią.

Karton był idealny, by zakryć nim tylne drzwi.

Nacisnęła guzik otwierający drzwi garażowe i zabrała się za pudło, wypychając je na podjazd.

Wtedy zobaczyła lśniącą, białą ciężarówkę. Prawdziwe monstrum zajmowało cały podjazd sąsiada. Ogromne koła zmiażdżyły bratki, które Issy wyhodowała i pielęgnowała od nasionka na granicy między posesjami.

Podeszła bliżej, spoglądając na dom do wynajęcia, który aż do wczoraj przez prawie dwa lata stał pusty.

Miała nowego sąsiada. A na jego ganku leżał kudłaty sprawca wczorajszego napadu.

Seb Brewster chciał po prostu pojawić się z powrotem w mieście, po cichu, nim ktokolwiek zdążyłby go zauważyć.

Potrzebował czasu, by przywołać na twarz swój uśmiech zwycięzcy.

Słońce dopiero zaczynało wychylać się zza jeziora, barwiąc niebo na złoto, gdy Seb zmusił swojego dodge'a neona do pokonania ostatniego wzgórza. Znalazł się w miasteczku Deep Haven. Opuścił szybę i przyhamował, zwalniając do trzydziestu mil. Sosnowym zapachem powietrza po burzy można się było upajać. Do uszu Seba dotarł krzyk mew, płaczących nad zmarnowanymi rybnymi okazjami.

Samochody stały po obu stronach ulicy. Seb wybrał skrót, aby znaleźć się z dala od głównej drogi; w parku przy porcie zauważył muszlę koncertową. Na liście dzisiejszych wykonawców na bank znalazł się Jay i jego banda bluesowych muzyków, grających pewnie wciąż te same kawałki, co dziesięć lat temu, kiedy to komponowali je w garażu. Seb wytrzymał na perkusji jakieś dwie próby, nim jego życiem całkiem zawładnął futbol.

Kilka matek maszerowało energicznie chodnikiem, pchając przed sobą wózki; niektórzy mieszkańcy wybrali się na poranny spacer, z pupilami na smyczy. Grupa nastolatków w szortach i bluzach puszczała kaczki na wodzie. Jeden, dwa, trzy, cztery... Sebowi raz udało się dobić do piętnastu.

Dawniej, w czasach jego chwały.

Słodki zapach powrotu do domu poruszył w nim jakąś czułą strunę. Przez to Seb o mało nie zjechał autem na pusty parking przed księgarnią U Progu Nieba, który kusił go, by porzucić auto, pobiec w dół ulicy do Najlepszych Pączków na Świecie i zjeść świeżego pączka.

A jeśli Lucy wciąż tam pracowała?

Może wreszcie mu przebaczyła.

Westchnął i minął światła obok sklepu spożywczego, szrotu – znanego też po prostu jako złomowi-

sko – budynku służb leśnych, aż wreszcie przy granicy miasteczka skręcił w lewo, na osiedle baraków Dugana.

Jego pogodny nastrój ulotnił się, gdy Seb minął rzędy barakowozów ustawionych jeden za drugim niczym wagony kolejowe.

Kilka z nich nosiło jakieś oznaki prób upiększenia – kępki bodziszków w doniczkach, grządka z li-liami. Huśtawka oraz piaskownica w kształcie żółwia, z kolekcją plastikowych ciężarówek o błyszczącej w słońcu żółtej karoserii wskazywały na to, że w okolicy wciąż mieszkają małe dzieci.

Gdy wjechał dalej, na wzgórze, jego nostalgia umarła przy kępach chwastów i uschniętej białej sośnie wiszącej nad zielonym barakiem z powyginaną moskitierą w oknach. Poczerniały wieniec bożonarodzeniowy wciąż wisiał na drzwiach. Smutna pamiątka po ostatnich świętach, zanim jego matka odeszła.

Seb zaparkował obok wgniezionej impali. Kałuża oleju rozlała się czernią na żwir pod samochodem. Seb musiał wyciągać nogi, by w nią nie wdepnąć. Pod koniec tygodnia będzie prawdopodobnie leżał w tej kałuży i wymieniał miskę olejową.

Ptaki ćwierkały, jakby go pamiętały, a stary ganek zatrzeszczał jak trzeba, lecz ze środka domu przez drzwi z siatki nie dobiegały żadne dźwięki – żadnego syczenia bekonu na patelni ani śmiechu z telewizora. Seb zajrzał do środka, wstrzymując na moment oddech, w obronie przed zapachem papierosów, którym wkrótce całkiem przesiąknie jego ubranie. Dawno, dawno temu ten zapach by sprawił, że Seb otworzyłby z impetem drzwi i obszedł dom w poszukiwaniu ojca, który wrócił z trasy.

Później zapach mówił mu raczej tylko tyle, czy może tu zostać, czy też powinien udać się do domu trenera Presleya. Przez większość sobotnich poranków Seb budził się na kanapie w salonie trenera, a jego żołądek skręcał się od zapachu naleśników.

Popchnął lekko drzwi. Zacięły się i musiał prawie je wyważyć; zupełnie jakby sam zmuszał się do powrotu do swego dawnego życia.

Być może to właśnie robił.

Talerze marynowały się w zlewie; na powitanie podniósł się z nich rój much. Spaghetti skleiło się w bryłę w misce na stole. Seb nigdzie nie widział telewizora. Może sprzęt się zepsuł; z drugiej strony nie było go na ganku. Stolik pod telewizor pokrywała warstwa kurzu, a na stoliczku obok stała lampka z namalowanym na abażurze jeleniem. Brązowy dywan nie miał kontaktu z odkurzaczem chyba od ostatnich wyborów prezydenckich.

Seb ruszył wąskim korytarzem, minął łazienkę, a potem swoją starą sypialnię, którą ojciec przerobił na schowek na sprzęt do polowań. Marlin 336 leżał na łóżku – *wspaniały schowek, tato* – a o ścianę opierała się strzelba Ruger z prawdopodobnie nowym celownikiem.

Seb wziął głęboki oddech i popchnął drzwi do głównej sypialni, niemal żywiąc nadzieję, że go tutaj nie znajdzie. Skóra pozbawiona koloru, żółte zęby, długie, skołtunione włosy wokół twarzy, życie uciekające z niego z każdym łykiem alkoholu.

Ale leżał właśnie tam, w zatłuszczonych dżinsach i T-shircie. Miał otwarte usta, jakby był zaskoczony tym, że jakimś cudem znalazł się we własnym łóżku.

Seb podszedł do niego i szturchnął jego kolano.

– Tato. Hej.

Nic.

– No dalej, tato. Obudź się. – Potrząsnął nim mocniej, już z lekkim niepokojem.

Mężczyzna zbudził się. Jęknął.

– Tato, to ja, Seb. Wróciłem do domu.

Mężczyzna otworzył jedno oko. Potem drugie. Przez długi, okropny moment ojciec patrzył na Seba tak, jakby w ogóle go nie widział. Albo po prostu musiał wydostać się z miejsca, o którym Seb nie chciał nic wiedzieć. Seb miał ochotę paść na ziemię, przycisnąć twarz do kościstych kolan ojca i rozpłakać się. *To ja, tato. Seb. I...*

Przepraszam. Tak bardzo przepraszam. Miałem być kimś lepszym.

Zamiast tego wsunął ręce do kieszeni spodni i zacisnął pięści.

W końcu jego ojciec wrócił do rzeczywistości. Na widok Seba zamrugał. Otarł dłonią usta, po czym wyciągnął rękę w jego kierunku i chwycił go za nadgarstek.

– Najwyższy czas, żebyś tu wrócił, dzieciaku.

Najwyższy czas. Być może.

– Potrzebujesz czegoś?

Ojciec wykrzywił twarz w cynicznym uśmiechu. Odchrząknął.

– Może jakieś śniadanie?

Rozluźnił uchwyt i znów pogрузzył się we śnie. Przynajmniej wrócił do domu. Oby nie krzywdząc nikogo po drodze.

Seb skinął głową, wchodząc znów w dawną rolę. Znów miał siedemnaście lat i wrócił z treningu, po czym zastał ojca martwego dla świata – na kanapie, na podłodze w łazience, na łóżku. W takich chwilach robił sobie kanapkę i do północy oglądał kanał NFL, planując swoją przyszłość. Pragnął wtedy grać dla Uniwersytetu Minnesota. Jeśli by mu się poszczęściło, jeśli sprawdziliby się podczas Combine, gdzie ocenialiby go trenerzy i menadżerowie National Football League, może dostałby się do drużyny Packers albo nawet do Bears. Nie chciał oddalać się zbyt daleko od domu, na wypadek, gdyby matka wróciła, gdyby przeczytała o nim w gazetach.

Może chciałyby nawet dostać bilety na cały sezon. Oczywiście załatwiłby jej miejscówkę w loży.

Sebowi brakowało – może najbardziej – tego prostowania się po naradzie w kręgu^[4], gdy miał piętnaście lat i grał już w reprezentacji szkoły jako rozgrywający, a także widoku matki na trybunach. Czasem była tam tylko ona.

Ale nawet jego przyłożenie nie zatrzymało jej w domu.

Gdy doszedł do drzwi, usłyszał, że jego ojciec znów się budzi. Zatrzymał się i przełknął głośno ślinę, po czym obrócił się, by stanąć twarzą w twarz z tym, co zostało z jego rodziny.

– Witaj w domu, synu.

– Dzięki, tato. Usmażę ci te jajka.

[4] Ang. *huddle*; charakterystyczna dla futbolu amerykańskiego narada, podczas której zawodnicy stoją w ciasnym kółku, omawiając strategię gry.

trzy

Caleb mógłby dozgonną miłością darzyć miasteczko, które serwowało fishburgery. Zwłaszcza takie nad jeziorem w kolorze indygo, którego niesforne fale droczyły się z roześmianymi dziećmi biegającymi po kamienistej plaży.

Upajające zapachy hot dogów z grilla, świeżo prażonej słodkiej kukurydzy i chrupiących frytek zmówiły się, aby przyciągnąć Caleba na doroczny Piknik Rybacki. Z tej okazji włożył koszulę z długimi rękawami. Ruszył wzdłuż ulicy, przeszedł na światłach na drugą stronę – gdzie szkło i inne odłamki wciąż znaczyły miejsce wczorajszej tragedii – i wolnym krokiem ruszył w stronę atrakcji do portu.

Tam udał się prosto do stoiska z rybami Elks Club, gdzie napis: „Czy jadłeś już dzisiaj sandacza?” przekonał go do pozbycia się trzech dolarów.

Sandacz, smażony na głębokim oleju, przed podaniem podlany sosem tatarskim i położony na długiej bułce typu hot dog. Tylko w północnej Minnesocie. Albo tylko w Deep Haven.

Tak, Caleb chciał wpasować się w to miasteczko. Chciał wyglądać jak tubylcy, chodzący w bojówkach, kurtkach z gore-texu i butach trekkingowych. Chciał znać te dzieciaki, które jeździły na deskach środkiem odgradzonej Main Street – przez całe trzy dzielnice – i wiedzieć, którego z nich wziąć do drużyny na linię ataku. Chciał, aby blondynka obsługująca stoisko z kawą wiedziała, jaki napój Caleb zwykle bierze, bo znała upodobania wszystkich innych w kolejce. Wyobrażał sobie własny kubek na półce w sklepie z pączkami, gdzie tego ranka kupił sobie jednego pączka z nadzieniem malinowym od drobnej brunetki o sarnich oczach. Zatrzymał się na dłuższą chwilę przed stojakiem, na którym stało jakieś pięćdziesiąt kubków z namalowanym inicjałem imienia, nazwiskiem oraz rolą, jaką właściciel kubka odgrywał w społeczności.

Trener K. Tak właśnie brzmiałaby jego etykieta. Wstawałby wcześniej rano każdego dnia, zasiadałby w pomarańczowym boksie, ze świeżym pączkiem i kubkiem gorącej czarnej kawy w dłoniach, po czym witałby burmistrza albo właściciela hotelu z naprzeciwka, albo ekipę budowlańców. „Czołem, trenerze” – witaliby go, bez śladu litości.

Caleb zabrał ze stoiska papierową serwetkę i zaczął przeciskać się przez tłum ze swoim fishburgerem, aż znalazł trochę wolnego miejsca pośrodku Moose Park, tuż pod sceną. Długowłose gitarzysta brzdąkał jakąś bluesową melodię, podczas gdy ludzie wyglądający na tutejszych (świadczyły o tym ich koszulki, džinsy i sandały Birkenstock) bujali się do rytmu. Kilku odważnych tańczyło. Caleb usunął im się z drogi.

Deszcz najwyraźniej oczyścił niebo z chmur – ostał się tylko czysty błękit. Miasteczko wyrastało na wzgórzu za portem. Bezpretensjonalne domki wśród bujnych skupisk sosny amerykańskiej oraz cedrów. Caleb uniósł twarz, by ogrzać się w blasku słońca.

– Hej... Czy to nie czasem nasz nowy trener?

Odwrócił się w stronę znajomego głosu.

– Dowódca... um...

– Dan Matthews. Smakuje ci fishburger?

– Nigdy wcześniej żadnego nie jadłem. Są...

– Fantastyczne. Jemy je tylko dwa razy w roku: na Pikniku Rybackim i w Święto Pracy^[5]. – Dan poklepał się po brzuchu. – Zjadłem już trzy. Ale nie mów mojej żonie. Pośle mnie na miesiąc na dietę niskowęglowodanową.

Caleb wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Możesz liczyć na moją dyskrecję. Jak się miewa rodzina z wypadku?

– Dziś rano wpadłem do nich. Żona urodziła zdrową dziewczynkę przez cesarskie cięcie, ale sama musiała zostać przetransportowana helikopterem na oddział oparzeniowy do szpitala w Minneapolis. Ojciec i druga córka już wyszli ze szpitala. Będę miał na nich oko, ale myślę, że dzięki tobie wszyscy przeżyją.

– Byłem w odpowiednim miejscu o odpowiednim czasie.

– I szybko myślałeś. Naprawdę nie dasz się przekonać, żeby jednak dołączyć do naszej ochotniczej straży pożarnej? Będziesz miał zapewnione miejsce w naszym dorocznym konkursie podtapiania. – Dan wskazał palcem za niego. Caleb obejrzał się w porę, aby zobaczyć, jak ofiara wpada do zbiornika^[6] po rzucie jakiejś małej dziewczynki. Jej zebrane w kucyk blond włosy wystawały z tyłu przez otwór biało-niebieskiej czapki z daszkiem.

– Tak trzymać, Wendy! – krzyknął Dan, na co dziewczynka obejrzała się i pomachała mu. – To moja najstarsza córka – wyjaśnił Calebowi. – Potrafi rzucać piłkę jak miotacz New York Yankees^[7].

Kobieta o brązowych włosach i z identycznym kucykiem przybiła dziewczynce piątkę.

– A to moja żona, Ellie. Jest kierowniczką naszego pogotowia ratunkowego. I uwierz, nie chciałbym, abym cię nią poszczuł. Sprawny mężczyzna w naszej społeczności? Lepiej poddaj się z własnej woli, dobrze ci radzę.

Sprawny. Póki co, nawet w świetle dnia pastora nie zdziwiła ogolona głowa Caleba pod czapką z daszkiem albo pomarszczona skóra na dłoni, tej, w której trzymał fishburgera.

– Myślę, że będę bardzo zajęty treningami, ale jeszcze zobaczymy.

Ellie przywołała męża ruchem ręki. Dan nie wyglądał na zachwyconego.

– Teraz już się nie wyrwę. Nadeszła chyba moja kolej na zbiornik. – Ścisnął Caleba za ramię. Na szczęście Caleb nie krzywił się już z bólu. – Wpadnij kiedyś do nas albo przyjdź nawet do kościoła. Będzie nam miło cię zobaczyć.

Caleb potrząsnął wyciągniętą ku niemu dłoń i odwzajemnił się uśmiechem mówiącym: „Tak zrobię”.

Jego pierwszy przyjaciel w Deep Haven jest pastorem. Cóż, to zdecydowanie dobre miejsce.

Kończąc jeść fishburgera, Caleb okrążył skupisko artystów, którzy rozłożyli swoje kramy przed pizzerią. Malarze, tkacze, rzeźbiarze w drewnie. Zatrzymał się dopiero przed stoiskiem z wyrobami garncarskimi.

Koło garncarskie zajmowało cały środek budki. Worki z gliną stały na półce z tyłu, tuż obok jeszcze niewypalonych naczyń. Niektóre z nich były pomalowane, niektóre pozostały jasnoszare. Garncarka pochylała się nad stołem roboczym. Miała na sobie fartuch zabezpieczający hippisowską spódnicę oraz białą koszulkę. Długie czarne włosy zebrała w luźny warkocz.

Caleb podniósł miskę pomalowaną w kolorach zieleni, bursztynu i cedru, czyli w barwie północnych

lasów. Na dnie miski widniała biała mewa przelatująca nad brzegiem jeziora.

– Nie krępuj się, jeśli masz jakieś pytania – powiedziała kobieta. Wzięła torbę wypełnioną czymś, co wyglądało na mieszaninę gliny i wody, po czym zaczęła ugniatać ją od zewnątrz.

Okej, w porządku.

– Co tam masz?

– Rozbity dzbanek. Spadł z półki, nim zdążyłam go wypalić. Na szczęście nie stwardniał jeszcze całkiem, bo wtedy musiałabym zetrzeć go na proszek i zacząć od nowa. Przy nim pozbierałam po prostu kawałki i moczyłam je w wodzie przez parę dni, by odzyskały swoją wilgoć. Myślę, że jest już gotowy, by uformować go na nowo.

Otworzyła torbę, pougniatała glinę ręką, po czym wreszcie ją wyciągnęła. Rzuciła paćkę na drewnianą tabliczkę i zaczęła formować z niej kulkę.

– Masz sklep w mieście? – zapytał Caleb.

– Tam dalej. Dzielę przestrzeń z księgarnią.

– Jak długo już tu mieszkasz?

– Jakies dziesięć lat. Mam nadzieję, że kiedyś zostanę uznana za tubylca. – Spojrzała na niego, odsuwając nadgarstkiem kosmyk włosów opadający jej na twarz. – Wpadłeś tu z wizytą?

– Nie, ja...

– To nasz nowy nauczyciel wiedzy o społeczeństwie, Lizo. – Caleb znał ten głos. Obrócił się i uściśnął dłoń Mitcha O'Connera, przewodniczącego komisji szkolnej^[8]. Kapelusz rybacki ozdobiony przynętami ochraniał krótkie blond włosy Mitcha, ale jego umięśnione ramiona poczerwieniały już od słońca. Przewodniczący przełożył kubek z kawą do prawej dłoni. – Aklimatyzujesz się?

Caleb skinął głową.

– Przyjechałem wczoraj. Spotkałem lokalną brygadę strażacką.

– A więc to ty byłeś na miejscu wypadku. Spotkałem dziś rano jednego ze strażaków i wspomniał o Dobrym Samarytaninie. Powinieneś zgłosić się na ochotnika. Przydałoby się więcej ludzi. A niektórzy ochotnicy są też członkami komisji szkolnej. Może ich kojarzysz ze swojej rozmowy o pracę.

Tak, Caleb pamiętał tę rozmowę sprzed sześciu tygodni. Zwłaszcza pytanie: *Czy istnieje coś, co mogłoby uniemożliwić panu wykonywanie obowiązków?*. Na pewno patrzyli wtedy na jego blizny, na te, które mogli zobaczyć. Odpowiedział zgodnie z prawdą, najlepiej jak umiał.

Nie sądzę, by tak było.

Teraz musiał udowodnić, że mówił prawdę.

– Tak przy okazji, powinieneś wiedzieć jeszcze jedną rzecz. Parę osób z komisji wspomniało mi, że mamy drugiego kandydata na stanowisko trenera.

– Myślałem, że to ja będę trenerem. – Wiedział, że został formalnie zatrudniony jako nauczyciel psychologii i wiedzy o społeczeństwie, ale nigdy nie ukrywał przed pracodawcą swoich oczekiwań.

– Ten kandydat to Seb Brewster, absolwent szkoły średniej w Deep Haven. Ma pracować jako asystent nauczyciela matematyki. – Mitch upił łyk kawy. – Grał na pozycji rozgrywającego, poprowadził naszą drużynę do zwycięstwa w mistrzostwach stanowych. No i... chce trenerską robotę. – Wskazał kubkiem na jakiegoś gościa. – Stoi tam, ten w zielonym podkoszulku. Rozmawia z Jay'em i chłopakami.

Zielony podkoszulek... och, to ten wysoki facet, szczupły i szybki, jakby wciąż spędzał czas na boisku, rzucając piłkę i uciekając przed obroną? Skończył akurat swojego fishburgera i wstał, by uściśnąć dłonie i poklepać po plecach kilku miejscowych, którzy wyglądali jak eks-wspomagający.

– Ma już fan club w miasteczku więc.. cóż... Musiałem zawrzeć umowę z komisją.

Coś w wyrazie bladej twarzy Mitcha sprawiło, że Caleb poczuł ucisk w piersi.

– Zorganizujemy zawody. – Mówiąc to, Mitch zrobił przeproszącą minę, co jednak w żaden sposób nie sprawiło, że Caleb poczuł się lepiej. Zawody z mistrzem stanu? O pracę?

Super.

Trzy lata temu Caleb mógłby go pokonać z zawiązanymi oczami. Miał w końcu własne imponujące osiągnięcia z liceum jako biegacz zawodów na wysokich szczeblach. Teraz jednak noga bolała go już po godzinie szwendania się po mieście, a chociaż zdobył dyplomy z nauczania i coachingu, to nie trenował nikogo na poważnie od czasu, gdy skończył college i pracował na letnim obozie futbolowym.

Później, oczywiście, spędził dwa lata w Iraku z Gwardią Narodową.

Fishburger zaczął ciążyć mu na żołądku jak kamień.

Mitch nie przestawał mówić.

– Podzielimy drużynę na pół, ale każdy z was będzie miał obstawione wszystkie pozycje. Dostaniecie parę tygodni, by popracować nad formą graczy i nauczyć ich paru zagrywek. Potem zagramy mecz towarzyski. I tak odbywa się każdego roku. Wiesz, żeby nieco ożywić publiczność przed sezonem. Tyle że tym razem będziemy oceniać nie tylko graczy, lecz także trenerów. Nie gwarantujemy, że zwycięzca dostanie tę robotę, ale wygrana na pewno nie zaszkodzi. – Znów upił łyk. – Chcemy przede wszystkim zobaczyć, jak pracujecie ze swoimi podopiecznymi. To długoterminowe przedsięwzięcie i musimy dokonać dobrej inwestycji. Może i jesteśmy tylko małym miasteczkiem, ale to miasteczko uwielbia swoje drużyny sportowe. Zwłaszcza futbolową.

Mitch zapatrzył się w swoją kawę, jakby na dnie kubka mógł znaleźć odpowiedź albo właściwe słowa.

– Szczerze mówiąc, wciąż nie pozbieraliśmy się po wypadku trenera Presleya. Nie możemy odzyskać równowagi. Nasz program futbolowy był czymś więcej niż tylko sportem. Był sposobem na to, aby wypracować w młodych mężczyznach charakter.

Niezła presja.

– Wiem tylko tyle, że dawny trener miał jakiś wypadek, ale co dokładnie się stało? – zapytał Caleb.

Mitch spojrzał na dzieci biegające po plaży.

– Dwa lata temu w samochód trenera wjechała ciężarówka. W wypadku zginęła jego żona, a on sam skończył w całodobowym centrum opieki z porażeniem czterokończynowym. Nie może samodzielnie oddychać. Wspaniały facet. Kiedyś mnie trenował. – Mitch westchnął, przenosząc wzrok z Caleba na Seba Brewstera i zespół muzyczny. – Widzieć go w takim stanie to straszna rzecz. Nie mówiąc już o tym, co stało się z ich córką.

– Ich córką?

– Też była w samochodzie. Jej matka umarła w jej ramionach. Straszna tragedia. Dziewczyna dostała jakiegoś zespołu stresu pourazowego, całkiem się załamała.

Zespół stresu pourazowego. Tak, to potrafił zrozumieć. Wiedział też, że aby poradzić sobie z towarzyszącymi mu atakami paniki, człowiek musiał mocno trzymać się miłości Bożej.

Mitch spojrzał na Caleba przenikliwie.

– Pewnie to niewiele, ale będę ci kibicować, Caleb. Mam nadzieję, że szczęście będzie ci sprzyjać.

No cóż, Caleb nie wierzył w szczęście. W Opatrzność Bożą – owszem. W ciężką pracę – jak najbardziej. Uśmiechnął się i znów potrząsnął dłonią Mitcha.

Mitch odszedł, ale Caleb stał tam jeszcze długo, słuchając pokrzykiwań mew i solówki na harmonij-

ce, oraz patrząc, jak dzieciaki robiły różne triki na deskorolkach.

Obrócił się do garncarki. Wciąż pracowała nad gliną; rozgniała ją z całej siły o deskę.

Kobieta spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Jest prawie gotowa. Przede wszystkim należy upewnić się, że nie zostały w niej żadne pęcherzyki powietrza ani twardsze grudy, bo wtedy nie da się z nią pracować na kole. – Ugniotła ciemną glinę w kulkę i wrzuciła ją z powrotem do torby, po czym zamknęła szczelnie. Wzięła szmatkę, by wytrzeć sobie ręce. – Wpadnij później. Wrzucę ją na koło.

– Co z niej zrobisz?

– Jeszcze nie wiem. Myślę, że to zależy od samej gliny. Od tego, jak będzie ze mną współpracować.

– Odłożyła torbę, wyciągnęła dolara ze słoika na napiwki i wyszła z budki, wygładzając banknot między palcami. – Gdy naczynie będzie gotowe, w życiu nie poznasz, że kiedyś było rozbite.

Zanim przeszła przez ulicę do stoiska z lodami, puściła do Caleba oko.

Po drugiej stronie parku Dan wpadł do wody przy wtórze wrzasków podekscytowanych widzów.

A wokół Seba zebrał się mały tłumek. Lokalny bohater boiska, który wrócił po chwałę.

Wrócił, by zająć miejsce człowieka, którego miasteczko wciąż kochało.

Wrócił, by ukraść Calebowi pracę.

– A niech mnie, przecież to Seb-a-na-TOR!

Seb usłyszał znajomy głos. Wzdrygnął się, jednocześnie robiąc wszystko, byleby zmasać ze swojej twarzy wyraz niechęci. Nie znosił tego przydomka. Brzmiało tak prostacko. Ale Wielki Mike nigdy nie wstydził się swojego wieśniactwa, które w sezonie nieco poskramał futbol.

Tak czy siak, dawni koledzy z drużyny, którzy ucieszyli się na jego widok, mogli mu tylko pomóc.

– Siema, Mikey – powiedział Seb. Starał się brzmieć entuzjastycznie, by przypomnieć ich dawną zażyłość, lecz nie na tyle, by niechcący zaprosić Mike'a do siebie o północy z sześciorakiem piwa.

Mógł rozpamiętywać dawną chwałę, lecz tym razem pragnął innego życia.

Mike walnął go w plecy.

– W samą porę! Przegonisz tego drugiego kolesia z miasta na cztery wiatry!

– Jakiego drugiego kolesia?

– Jest tu inny facet, który chce twojej roboty. Ma dyplom z trenowania, kto by pomyślał. – Mike złapał Seba za ramię i pokazał na coś dłonią, w której trzymał piwo.

Jeśli futbol nauczył Seba czegokolwiek, to na pewno tego, by zawsze wystrzegać się niespodziewanego ataku, zwłaszcza gdy wiesz, że atakujący jest szybszy, silniejszy, bardziej wytrzymały od ciebie i gotowy, aby wykluczyć cię z gry. Seb zapomniał o tym jeden raz i przez to całe jego życie się rozsypało. Teraz obrócił się, by przyrzec się dokładnie...

Tak, rywalowi.

Facet nie był chyba wyższy od niego, ale miał szerokie bary. Pewnie posiadał drążek do podciągania się w łazience i ciężarki w kuchni. Seb znał ten typ człowieka, który żył, oddychał futbolem, i w każdej sekundzie w swojej głowie rozgrywał mecze. Szczupły, z ogoloną głową, ukrytą pod czerwoną czapką z daszkiem, i kapką sosu na brodzie. Miał kamienny wyraz twarzy, jakby w myślach poddawał próbę każdego dzieciaka w mieście, przepuszczając go przez trening kondycyjny.

– Dyplom z trenowania, tak? – Seb ledwo co zdał swój ostatni kurs online. Dostał pracę jako asy-

stent matematyka tylko dlatego, że udało mu się wykorzystać parę znajomości. Miał nadzieję, że komisja nie będzie przywiązywać zbyt dużej wagi do jego ocen oraz do faktu, że rozciągnął swoją edukację w college'u do ośmiu wymęczonych lat w niepełnym wymiarze godzin i że nie tak do końca udało mu się obronić dyplom nauczyciela. Na razie. Na szczęście szkoła nie wymagała dyplomu od asystentów.

Sprzyjały mu cięcia budżetowe w szkole. Może w wyniku desperacji członkowie komisji nie zadawali zbyt wielu pytań. Zatrudniali ludzi nienależących do związków zawodowych.

Oczywiście Seb, tak jakoś, zasugerował, że jego dyplom wciąż idzie pocztą. Miał mocne postanowienie, by tym razem zdać egzaminy podczas kolejnej sesji.

– Ano – powiedział Mike. – Niby ma być wielką gwiazdą, jako biegacz prowadził drużynę do rozgrywek stanowych przez trzy lata. Ustanowił jakieś tam różne rekordy. Grał też w college'u. – Odwrócił się do Seba. – Ale ty grałeś w college'u dla Cyclones, więc on nawet nie ma co do ciebie startować. No i masz podręcznik naszego trenera.

Tak, Seb grał w college'u. Przez jakieś 7,2 sekundy. Ale... podręcznik trenera?

– Nie, nie mam go.

– Nie masz? Nie byłeś czasem ulubieńcem Presleya?

– Nie. Po prostu czasem musiałem gdzieś przemocować, więc Presley brał mnie do siebie. Ale nie dał mi swojej książki.

– Może sam pamiętasz różne zagrywki.

Na to właśnie liczył.

– Mam nadzieję. A ty?

Mike uniósł kufel.

– Ledwo pamiętałem je następnego dnia. Ale idź do Issy i zapytaj o książkę. Pewnie ma ją gdzieś w domu.

– Issy wciąż mieszka w Deep Haven? Kiedy słyszałem o niej ostatni raz, wyprowadzała się do wielkiego miasta, by pracować w telewizji.

– Nie po wypadku. Nie może wyjść z domu.

Seb gapił się na niego, nie bardzo rozumiejąc.

– Co?

– No, ma... um, jak się to nazywa? Agorafobie?

– Agorafobie?

– Właśnie. Chociaż widziałem ją w ogródku parę dni temu, więc może to nie to. – Pociągnął łyk z kufła. Beknął. – Nie byliście czasem przyjaciółmi?

Seb wzruszył ramionami. Przyjaciele. Tak. A potem, po Lucy, już nie. Ale agorafobia? Och, Issy, co się z tobą stało?

– Była córką trenera, więc oczywiście, że spędzaliśmy ze sobą czas.

– Chyba przyjaźniła się z Lucy, nie?

Wzmianka o Lucy przywołała w jego głowie niechciane obrazy. Seb zacisnął szczęki. Głos, który wyrwał mu się z gardła bez pozwolenia, nawet w jego uszach brzmiał żałośnie.

– Tak myślę. Wciąż pracuje w sklepie z pączkami?

– Jest jego właścicielką, tak mi się zdaje. Hej, zaraz zacznie się parada. Nie będziesz na platformie?

Seb potrząsnął głową. Mike odszedł szybkim krokiem, zapewne z zamiarem poinformowania wszystkich z ich dawnej klasy, że Sebanator wrócił do miasteczka.

Seb nie chciał sobie nawet wyobrażać miny Lucy na tę wieść. *Czym ja byłam dla ciebie, Seb? Przelotnym romansem? Błędem?* Jej słowa wciąż ścisnęły go za gardło. Oczywiście, że nie. Nigdy.

Ale w rezultacie, tak.

I co stało się z Issy? Powinien do niej wpaść i się z nią zobaczyć.

Tłum zaczął przesuwać się na chodnik wzdłuż Main Street. Seb znalazł sobie miejsce obok stoiska z prażoną kukurydzą i patrzył na First Street, nie chcąc niczego przegapić.

Parada w Deep Haven trwała może dwadzieścia minut. Ale na chodnikach i tak stały tłumy ludzi niecierpliwie wyglądających wszystkiego: od zabytkowych samochodów wiozących największego fana drużyny Huskies tego roku poprzez pracowników schroniska i ich dzieci, które trzymały na rękach bezdomne szczeniaki i małe kotki, burmistrza unoszącego kciuki ze swojego kabrioletu aż do Królowej Północnego Wybrzeża z jej poddanymi, którzy machali ludzom z platformy udekorowanej na zielono. Seb przeczytał imię wypisane na boku platformy. Sarah Mulligan. Szczęściara z niej. Tego lata jej twarz zostanie uwieczniona w kostce masła w pawilonie mleczarskim, na letnim pikniku stanowym.

Issy była Maślaną Dziewczyną Północnego Wybrzeży tamtego lata, kiedy skończyli szkołę. Seb specjalnie omijał wtedy pawilon mleczarski.

Zawsze wierzył, że Maślaną Dziewczyną powinna zostać Lucy. Ale ona nigdy nie lubiła wyróżniać się z tłumu, nie chciała prezentować swoich wdzięków na scenie tylko po to, by sięgnąć po koronę.

A kiedy nadszedł czas na konkurs piękności, Lucy zniknęła w swoim sklepie z pączkami.

Ulicą ciągnęły platformy, na których stali absolwenci poszczególnych roczników, zaczynając od kilku osób, które skończyły szkołę w latach sześćdziesiątych. Wreszcie nadjechała platforma z rocznikiem Seba.

Musiał przyznać, że był ciekaw.

Ciekaw tego, co stało się z P-Trainem, drużynowym biegaczem, z Bame'em i z DJ Teague'iem, jego skrzydłowym, który zawsze łapał jego podania, nieważne jak daleko czy jak wysoko Seb rzucił piłkę.

Ale najbardziej... tak, najbardziej chciał zobaczyć Lucy. Zobaczyć, czy jej się udało, czy jej rany się zagoiły. Może już o nim zapomniała.

Nie śmiał nawet mieć nadziei, że mu przebaczyła.

Tuż przed nim pojawiła się platforma – przyczepa ciągnięta przez ciężarówkę forda. Oczywiście, stał na niej Wielki Mike, który machał do swoich fanów. Seb pomachał do Bama, ledwo rozpoznając go z brodą i dodatkowymi pięćdziesięcioma funtami wagi. A za nim... czy to P-Train? Gdzie się podziały jego włosy?

Seb przyjrzał się pozostałym osobom, siedzącym na krawędzi platformy. Monica Rice, Abby Feldstone, Bree Sanders.

Wśród nich nie było Lucy.

Chociaż... tam, za platformą, mała dziewczynka – um, kobieta – w rurkach i czarnym podkoszulku z białym napisem *Masz pączki?*

Rozdawała ulotki. Uśmiechała się i chociaż obcięła swoje piękne, jedwabiste włosy, wyglądała...

Zniewalająco.

I szła w jego stronę.

Przez moment spanikował. Powinien wmieszać się w tłum, nim zdołałaby go zobaczyć. Ale może... może uśmiechnęłaby się do niego. Przypomniałaby mu o ich szczęśliwych chwilach spędzonych razem.

Powiedziałyby, że przebaczyła mu zdradę.

Odetchnął głęboko, próbując pohamować ogarniający go paraliż, powstrzymać żołądek, żeby ten nie podszedł mu do gardła.

Lucy właśnie wręczyła ulotkę mężczyźnie stojącemu tuż obok niego.

Seb wyciągnął dłoń po jedną. Spojrzał dziewczynie w oczy.

– Cześć, Lucy.

Czas się zatrzymał, a może to było tylko jego serce. Lucy podniosła wzrok.

Jej piękny uśmiech zbladł.

– Co ty tutaj robisz?

To by było na tyle, jeśli chodzi o miłe powitanie w domu.

– Mam nowego sąsiada. I jestem głodna.

– Właśnie widziałam Seba Brewstera.

Issy zamilkła na chwilę.

– Wygrałaś. Opowiadaj.

– Nie mam teraz czasu. Muszę uporać się z pączkową gorączką po rozdawaniu ulotek na paradzie. Ale... cóż, wygląda dobrze. Za dobrze.

Issy przyłożyła słuchawkę do drugiego ucha.

– Seb był na paradzie?

– Ano. Słuchaj, jeśli potrzebujesz jedzenia, wpadnę do ciebie po pracy z tym, co zostanie.

– A więc nie będziemy rozmawiać o powrocie Seba? Okej, potrzebuję czegoś więcej niż tylko pączków. Warzyw, owoców. Dietetycznej coli. – Otworzyła szafkę. – Jaki lunch mogę sobie przyrządzić ze starej, opróżnionej do połowy paczki makaronu, dwóch butelek ketchupu, próbki jakichś zdrowych płatków do mleka, które dostałam pocztą, oraz pudełka twardych jak kamień rodzynek?

Lucy roześmiała się, witając się z burmistrzem.

– Wiesz, powinnaś iść do sklepu. – Do uszu Issy dobiegł dźwięk otwieranej kasy fiskalnej. – Jesteś gotowa. To będzie kolejny krok. Możesz to zrobić, Issy. Wierzę w ciebie.

Dziwne. Dawno, dawno temu to Issy pocieszała Lucy. W innym życiu.

Issy popatrzyła na swoje odbicie w drzwiach mikrofalówki.

– Tak. Tak, mogę to zrobić – powiedziała. Tak. Nie pozwoli, by strach więził ją w domu. Najpierw to, a potem... może powie swojemu nowemu sąsiadowi, by trzymał się z dala od jej trawnika.

A potem, pewnego dnia, Napa.

– Idź do sklepu. Widzimy się wieczorem. – Lucy rozłączyła się.

Jak bardzo była głodna tak naprawdę?

Złapała próbkę płatków, rozerwała opakowanie i zajrzała do środka. Jakies muesli.

Otworzyła tylne drzwi, osłonięte teraz kartonem po lodówce, i usiadła na schodach tarasu, by poobserwować swój mały kawałek nieba.

Tak, może siedzenie we własnym ogródku wystarczy, aby dostarczyć organizmowi składników odżywczych, podczas gdy sierpniowy wiatr przynosił zapach róż Pilgrim rosnących obok ganku oraz delikatnych róż herbacianych kwitnących wzdłuż ścieżki.

Issy mogła zostać tutaj, w ogródku matki, na zawsze.

I pomyśleć, że był taki czas, gdy nie mogła się doczekać, aż z niego ucieknie.

Dziękuję, Boże, za to, że zostawiłeś mi ogródek mamy. Ale ta myśl owinęła się wokół niej jak pokrzywy.

Issy wyjadła resztkę płatków z saszetki i zamrugła, przeganiając wilgoć, która zebrała się w kącikach jej oczu.

Wciąż burczało jej w brzuchu.

Czy tak trudno było przejść dwie przecznice do spożywczaka, wypełnić płócienną torbę niezbędnymi składnikami i wrócić do domu? Nie musiała przecież z nikim rozmawiać. Mogła wymusić uśmiech, na nikogo nie patrzeć. Wyobraziła sobie siebie, jak przechodzi przez automatyczne drzwi niewielkiego sklepu samoobsługowego. Widziała, jak podnosi czerwony plastikowy koszyk. Planowała swoją trasę wśród półek. Zaczęłyby w dziale z wypiekami, by zabrać chleb, później przeszłaby do mrozonek i wreszcie do nabiału, wzięłaby jajka, jogurt, mleko. Skończyłaby przy warzywach, by wybrać sałatę. Może zdecydowałaby się na jakiś sos. Wszystko to zmieściłoby się do jej torby na zakupy, odpowiednio dużej, by Issy nie mogła kupić więcej, niż zdołałaby unieść.

Zapłaciłaby kartą i wróciła do domu. Cały czas się uśmiechając.

Mogła to zrobić.

Nie spiesz się. Nie ma pośpiechu. Panujesz nad wszystkim.

Głos Rachele pulsował jej w głowie i sprawił, że Issy wstała i cofnęła się do frontowych drzwi. Założyła japonki, wzięła płócienną torbę, torebkę, okulary przeciwsłoneczne. Spojrzała w lustro przy drzwiach. Kiedy ostatni raz się umalowała?

Pewnie w dzień pogrzebu matki.

Ta myśl ją oplątała, ścisnęła jej gardło.

Użyj swojej tarczy.

Albowiem nie dał nam Bóg ducha bojaźni.

Jeżeli Bóg z nami, któż przeciwko nam?

Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia.

Bez problemu dotarła do pierwszej przecznicy, a potem do następnej. Robiła postępy. Prawdę mówiąc, niedawno poszerzyła granice swojego świata dzięki temu, że codziennie biegała. Delikatna mgielka potu pokrywała jej skórę, gdy Issy przecięła na ukos First Avenue i przeszła przez parking sklepu wielobranżowego Red Rooster.

Na którym, jak zauważyła, stało mnóstwo samochodów. Co jest nie tak z tymi ludźmi? Czy nie wiedzieli, że w centrum trwają uroczystości? *Proszę, żebyś tylko nie spotkała tu nikogo znajomego.*

Włączając w to ją samą. Znając jej szczęście, ktoś ją zauważy. *Witaj, Issy. Jak tam twój tata?*

Na szczęście ludzie przestali składać jej kondolencje z powodu matki ponad rok temu.

Issy wzięła solidny i głęboki oddech, nim zrobiła krok i drzwi automatyczne stanęły przed nią otworem.

Chłodne powietrze, pikanie skanerów, głosy rozmów oraz zapach produktów wciągnęły ją do sklepu. Nie zdejmując okularów przeciwsłonecznych, poszła wziąć koszyk.

Stojak był pusty.

Żaden problem. Żaden problem. Odetchnęła głęboko i odczepiła jeden wózek od pozostałych. Do niego wrzuciła torbę na zakupy.

Pchając wózek, trzymała kurczowo rączkę.

Dział z pieczywem. Wpatrywała się uporczywie w swój cel, nawet gdy spostrzegła znajomą twarz w

alejce z płatkami. Mark jakiś tam z Elks Club. A tam, przy specjałach, Diann, która pracowała kiedyś w szkolnej bibliotece.

Issy złapała bochenek pszennego chleba, wrzuciła go do kosza i skierowała się w stronę mrozonek. Jedną ręką wciąż trzymała wózek, drugą otwierała lodówkę. Zimne powietrze przyprawiło ją o gęsią skórę, gdy wyjmowała mrożone danie. Nieważne jakie.

Nancy z kawiarni spojrzała na nią, gdy Issy sięgała po karton lodów. Mała córeczka Nancy uderzała stópkami w pręty wózka. Miała roczek czy dwa lata?

Issy nie zatrzymała się, by spytać. Przyklejony uśmiech nie schodził z jej warg, gdy skinęła do Nancy, czując ucisk w gardle. *Po prostu idź dalej.*

Mężczyzna w niebieskiej koszuli i czerwonej czapce z daszkiem studiował półkę ze śmietaną. Nie wydawał się znajomy, ale Issy wcale nie oczekiwała, że będzie znać wszystkich mieszkańców Deep Haven. Zwłaszcza po tak długim czasie ukrywania się. Odwróciła się, by wyjąć z lodówki karton mleka.

Ciepłe powietrze pozostawiło mglisty ślad na szybie. Issy usłyszała, jak mężczyzna zatrząskuje drzwiczki lodówki i odjeżdża wózkiem.

Złapała mleko, zamknęła drzwiczki, obróciła się.

Jej wózek nie było.

Uniosła głowę i zobaczyła, jak nieznajomy odchodzi z jej jedzeniem, niedbale ciągnąc za sobą wózek.

Czekaj.

– Hej!

Słowo zabrzmiało ostrzej, niż chciała. W jej głosie czaiła się panika.

Facet szedł dalej.

Przycisnęła kartonik do piersi.

– Hej! Ty! – Podbiegła do niego i chwyciła rączkę wózka, zatrzymując go gwałtownie. – To mój wózek. – Czy właśnie to wykrzyczała? Jakaś kobieta stojąca w dziale z chemią obrzuciła ją dziwnym spojrzeniem.

Złodziej wózka obrócił się do niej i wtedy to zobaczyła. Na jego ciele, poczynając od szyi, skrytej po części pod kołnierzykiem koszuli, aż do miejsca pod czapką, biegł pas zaczerwienionej, nierównej i lśniącej skóry, a raczej czegoś, co z niej zostało. Plama rozlała się też na szczękę, ucho mężczyzny było zniekształcone. Issy nie miała wątpliwości, że pod czapką nieznajomego kryje się coś paskudnego.

– To pani wózek?

Mówił do niej, ale ledwo udało jej się oderwać wzrok od jego blizn i przenieść spojrzenie na twarz i oczy. Niebieskie, tak mocno niebieskie, że intensywność tego koloru aż pozbawiła ją tchu.

– Um.

– Och, rzeczywiście. Przepraszam. Myślałem, że jest mój. – Nachylił się, by wyjąć z niego śmietanę.

Podążyła wzrokiem za ruchem jego ręki i jak zahipnotyzowana gapiła się na kolejne blizny. Skóra na wierzchniej części dłoni mężczyzny była poszarpana, a tam gdzie, powinien znajdować się mały palec, został tylko kikut.

On był poparzony.

Zamarła, jej umysł nagle wypełniła tylko ta jedna myśl.

Poparzony.

Zaczęła szybciej oddychać. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale wydobyła z siebie jedynie zniekształcony jęk.

– Wszystko w porządku?

Proszę, nie rób scen. Jak tak dalej pójdzie, to stanie się ofiarą hiperwentylacji.

– Mogę w czymś pomóc?

Diann uniosła wzrok znad lodówki z mięsem.

Nie. Nie patrz. Proszę, nie...

Okrutna ręka przeszłości sięgnęła po nią. Issy poczuła dym, usłyszała krzyki swojej matki. Jej własne krzyki.

– Proszę pani?

Zawodzenie wypełniało jej głowę. Issy miała jedynie nadzieję, że nie wyrwało się z jej ust, gdy uciekała, zostawiając za sobą wózek, zakupy, torbę. Szybkim krokiem przeszła obok alejki z płatkami, a potem przez dział z pieczywem, słysząc jedynie własne szybkie oddechy. Niemal zderzyła się z drzwiami.

Słyszała uderzenia swoich stóp o chodnik, z echem jak w tunelu, gdy uciekała przez parking.

Po drodze zgubiła japonkę. Postawiła ciężko bosą stopę na chodniku, ocierając sobie skórę. Ale nie przejmowała się tym, po prostu biegła, z oczami utkwionymi w domu.

Wspięła się po schodach, otworzyła z impetem drzwi i zatrzasnęła je z całych sił, po czym odechnęła głośno. Opadła na kolana i oparła się dłońmi o chłodne drewno.

A potem, gubiąc po drodze drugą japonkę, przeczłoła się do fortepianu w salonie i wpełzła pod niego, po czym podwinęła nogi i przycisnęła kolana do klatki piersiowej.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o cuda.

[5] Ang. *Labor Day* – amerykańskie święto pracy, przypada w pierwszy poniedziałek września.

[6] Ang. *dunk tank* – jest to urządzenie, gdzie ofiara siada na krzeselku zawieszonym nad zbiornikiem wodnym połączonym z tarczą strzelecką. Gdy zawodnikowi uda się trafić piłką w tarczę, ofiara wpada do wody.

[7] Najbardziej utytułowana amerykańska drużyna bejsbolowa.

[8] Komisja szkolna ma wpływ na program nauczania w danym regionie oraz jest odpowiedzialna za finansowe utrzymanie szkoły.

cztery

Caleb sądził, że po trzech latach zdołał już przywyknąć do tego, jak inni reagują na widok jego blizn. Do reakcji podobnych zachowaniu tej pięknej dziewczyny. Wydawało mu się, że gdyby ktoś po prostu zamarł, po chwili wyrzucając z siebie jakieś przeprosiny, a on sam skwitowałby to mruknięciem, to nie czułby się urażony. Choć kultura, w której żyli, nakazywała ludziom, by przybierali wyluzowaną pozę, udając, że nic nie dostrzegają, Caleb wciąż mógł wyczytać w ich oczach prawdę.

Był zdeformowany. Oszpecony. Przeróżający.

Gdy czasami oglądał swoje ciało w lustrze, był gotów zgodzić się z tymi opiniami. Patrząc na skórę zmarszczoną wzdłuż ręki, pleców oraz nogi, przypominał sobie, jak kiedyś wyglądał. Ta świadomość niemal go paraliżowała i powodowała, że dostrzegał tylko to, kim nie był. Choć już dawno temu podjął decyzję, by nie przywiązywać wagi do swoich ran.

Dzisiaj, na festynie, naprawdę o nich zapomniał.

Ale nigdy wcześniej nie zdarzyło się, by jakaś kobieta uciekła od niego i to z takim przerażeniem. Caleb patrzył, jak dziewczyna odchodzi szybkim krokiem. Z jednej strony miał ochotę pójść za nią i przeprosić – ale tak właściwie za co? Z drugiej strony wolał po prostu stąd odejść i udawać, że ta sytuacja wcale się nie wydarzyła.

Ale miał udawać, że nigdy nie służył swojemu krajowi? Przeczyć temu, że przeżył, chociaż inni nie mieli tyle szczęścia? Nie, to nie było właściwe. Pozostawała mu więc tylko frustracja.

I oczywiście świeża „rana” – a wydawało mu się, że już sobie z tym wszystkim radzi.

Gdy płacił, kasjerka uśmiechnęła się do niego życzliwie, co trochę poprawiło mu humor. Załadował dwie torby z zakupami do bagażnika samochodu i pojechał do domu położonego dwie przecznice dalej. Mógł się po prostu przejść, ale wcześniejsze chodzenie po mieście go zmęczyło, a musiał oszczędzać siły na trening. Ostatnią rzeczą, której potrzebował, była kontuzja i to jeszcze zanim w ogóle zdążył się spotkać ze swoją drużyną. Trener musi być bardziej rozważny i mieć więcej siły od swoich podopiecznych.

A już szczególnie wtedy, gdy chce odebrać tę robotę Sebowi – mistrzowi. Caleb wciąż nie mógł uwierzyć, że Mitch zrobił go w te zawody.

Mimo to udowodni wszystkim, że będzie najlepszym trenerem, jakiego Deep Haven widziało od czasu... Cóż, od czasu trenera Presleya. Caleb dobrze wiedział, jakie to uczucie leżeć poza liniami bocznymi, czując się złamanym i pokonanym. Zrobi wszystko, co w jego mocy, by drużyna Huskies zaczęła na nowo odnosić zwycięstwa, a futbolowy program szkoleniowy w Deep Haven wrócił do dawnej świetności.

Widmo osiągnięć trenera Presleya nadal unosiło się nad miasteczkiem, ale Caleb nie zamierzał się tym przejmować. Bóg nie dał mu drugiej szansy po to, aby się poddał.

Działki w małych miasteczkach były stanowczo za małe – auto nie mieściło się na wąskim brukowanym podjeździe. Mężczyzna wysiadł z samochodu wprost na wypielęgnowany trawnik sąsiadki – opony znajdowały się na granicy posesji. Spojrzał na ładny piętrowy dom w wiktoriańskim stylu – mansardowe okna w dachu, jasnoniebieska elewacja, biała balustrada, na stopniach kilka doniczek z bodziszkiem, a po obu stronach schodów krzaki róż. To i tak było nic w porównaniu z tym, co kryło się za płotem z tyłu domu.

Caleb stwierdził, że ogród wyglądał jak wyjęty z magazynów o stylizacji ogrodów, zupełnie nie pasował do tych mroźnych pustkowi położonych tak niedaleko od kanadyjskiej tundry. Co najmniej dziesięć gatunków bzów i róż, do tego doniczki na tarasie, z których wylewały się różowe, czerwone i białe bodziszki. Wśród roślin wiła się kamienna ścieżka, w środku ogrodu stało niebieskie poidło dla ptaków oraz drewniana ławeczka, która niemal zachęcała, by na niej usiąść i odpocząć, dopóki myśli w głowie mężczyzny się nie uspokoją.

Tak, podobał mu się ten ogród. Kiedy wrócił po paradzie do domu, zobaczył sąsiadkę pracującą przy roślinach. Miała długie, kręcone, brązowe włosy, które spływały jej po plecach niczym wodospad. Promienie słońca padały na jej skórę.

Chciałby się zapoznać z tą kobietą.

Ale nie teraz. Najpierw powinien wyleczyć swoje ego. Tak na wszelki wypadek, gdyby jego sąsiadka miała zareagować w ten sam sposób, jak dziewczyna w sklepie. Niemniej, jeśli będzie miał okazję poznać w tym mieście jakąś miłą kobietę, to nie ma wcale zamiaru się przed tym bronić.

Caleb stał z zakupami w obu rękach i patrzył na dom. Przypominał sobie sposób, w jaki odchyliła się, siedząc w kucki, by chłonąć słońce, to, jak uniosła twarz w stronę nieba, a potem otarła czoło przedramieniem i...

Kobieta ze sklepu. Nosila okulary przeciwsłoneczne, ale coś w niej przypominało... Te długie, brązowe włosy, te opalone ramiona. Ładna dziewczyna.

O nie.

A przecież przybył do tego miasteczka, by rozpocząć nowe życie. Może miał zbyt śmiałe marzenia, jak na kolesia z bliznami? Może powinien w końcu zaakceptować fakt, że w kobietach budzi jedynie przerażenie? Jaka kobieta zdecydowałaby się spędzić z nim wystarczająco dużo czasu, by naprawdę go poznać, by zobaczyć w nim coś więcej niż rany?

Obszedł pikap dookoła i wszedł na swój trawnik, który zaczynał przypominać dżunglę. Powinien skosić trawę, ale nie znalazł w szopie kosiarki. Przeszedł ścieżką do frontowych schodów; słyszał, jak jego noga szura na cemencie.

Powinien odłożyć jedną torbę, by przytrzymać się poręczy. Ale chyba nie wywróci się na czterech stopniach, prawda?

Caleb pokonał jeden stopień i był już na drugim, gdy usłyszał szczekanie. Głęboki, gardłowy odgłos sugerował, że zwierzę jest bardzo duże. Pies wbiegł na schody, trącając go przy tym w protezę.

Puścił torby z zakupami i rzucił się w stronę barierki, by się przytrzymać, lecz i tak nie udało mu się uniknąć zachwiania, utraty równowagi, a w konsekwencji upadku na schody. Ból przeszył jego nogę, promieniując na całe ciało. Caleb zacisnął zęby i wyciągnął rękę, by odgonić intruza.

– Hej, ty! Sio!

Zwierzak zbiegł po schodach, po czym obrócił się. Machając ogonem, szczeknął, jakby chciał powiedzieć: *Nie siedź tak! Baw się ze mną!*

– To ty zniszczyłeś mój ogród, prawda? A teraz o mało mnie nie zabiłeś, zwierzaku. Idź i przekop

podwórko kogoś innego.

Pies wyglądał na mieszańca mastifa i bernardyna – czarnobrazowy, z zapadniętymi ślepiami i ogonem, którym mógł pewnie bardzo mocno uderzyć i z którego zwisały mu kłębki splątanej sierści. Do tego był cały pokryty błotem.

– Proszę, nie mów mi nawet, że jesteś bezdomny. – Wyciągnął do psa dłoń. Zwierzę podeszło do niego i polizało go po twarzy, gdy Caleb pogłaskał je po szyi. Rozpadająca się i oblepiona błotem obroza nie pomogła mu w identyfikacji czworonoga.

– Świetnie. Jesteś głodny? I co to miało być, zasadzka?

Mógł się tego domyślić – pies porwał z siatki bekon i Caleb tyle go widział.

– Obyś dostał włośnicy! – krzyknął za nim.

Zakupy były rozrzucone po całym trawniku. Caleb uniósł wzrok, by sprawdzić, czy sąsiadka nie obserwuje go czasem przez okno albo czy ludzie z naprzeciwka, z domu obok biblioteki, nie stoją na ganku i nie gapią się na niego.

Na szczęście nikt nie widział, w jaki sposób wszystkie składniki do kolacji wylądowały na ziemi. Nie będzie żadnych pytań, które wymagałyby odpowiedzi, ani żadnej oferty pomocy, którą by odrzucił.

Caleb ruszył się, próbując wstać, i wtedy właśnie przeszył go ból. Wczoraj musiał skrócić kolano mocniej, niż mu się wydawało. Niemniej, z trudem jakoś przeszedł na trawnik i zmusił się do pozbierania zgniecionego kubka śmietany, kartonu mleka, przemoczonego opakowania jajek, spłaszczonego chleba i puszki fasoli.

Wspinając się znów po schodach do domu, zaczął sapać z wysiłku. Następnie wrócił po drugą torbę pełną obitych jabłek i z opakowaniem pokruszonych herbatników.

Ułożył to wszystko na stosie przy wejściu i zamknął za sobą drzwi. Choć cichy głos w głowie mówił mu, by się od razu poddał i jak najszybciej wyjechał z Deep Haven, to odrzucił szybko tę myśl.

– Nie mogę uwierzyć, że Seb Brewster wrócił.

Lucy siedziała na huśtawce na tarasie domu Issy, trzymając w dłoniach filiżankę z herbatą. Żarówka, która zamigotała nad głową Issy, przyciągnęła do siebie igrające ze śmiercią ćmy. Cykady szemrały, zagłuszała je jednak lokalna kapela. Twist and Shout grała na świeżym powietrzu taneczne klasyki. Dzisiejszego wieczoru, po programie Issy, Lucy usiądzie razem z przyjaciółką na schodach przed domem, by oglądać fajerwerki. Dla czegoś takiego mogła odłożyć sen na później.

Lucy zdecydowała się nie wyobrazać sobie Seba na potańcówce.

– Wygląda naprawdę nieźle. Powinnam go za to nienawidzić. – Patrzyła, jak promienie księżycy igrają na świeżo zasadzonej funkcji, grządce paproci, dzwonkach okrągłolistnych i... – Jak się nazywają te duże czerwone kwiaty?

– Te przy płocie? Hibiskus. To bylina. – Issy usiadła na schodach, opierając się plecami o poręcz. Jedną nogę trzymała na stopniu niżej, a drugą podciągnęła pod siebie. Trąciła palcem pojemnik z jedzeniem na wynos przyniesionym przez przyjaciółkę. W pudełku znajdowała się grillowana kukurydza oraz zimny już fishburger. – Dzięki za kolację.

– Naprawdę wybiegłaś ze sklepu?

– Czuję się okropnie. Naprawdę paskudnie. Nie mogę uwierzyć, że tak się zachowałam.

– Przecież byłaś w szoku.

– Byłam niegrzeczna. I okrutna. – Issy przeczesła dłonią swoje długie włosy. Lucy nie miała pojęcia, jak ją pocieszyć. – Modlę się, bym miała szansę go przeprosić, ale jak to niby miałyby się stać? Przysięgam, że już nigdy nie wyjdę z tego domu.

– Przestań. Jestem pewna, że zrozumiał.

– Och, nie masz pojęcia, jak niezręcznie to wyszło. Tylko moja reakcja nie miała nic wspólnego z jego bliźniami, które, szczerze mówiąc, nie są aż takie złe. Ma ładną twarz... a przynajmniej wspaniałe niebieskie oczy. Tyle jeszcze pamiętam. Ale, och, Lucy! – Potrząsnęła głową, jakby chciała rozproszyc wspomnienia. – Porozmawiajmy o Sebie. Powiedział coś? I co masz na myśli, mówiąc, że wygląda dobrze?

– Te czarne, kręcone włosy, te tajemnicze zielone oczy. Zmężniał. Szerokie ramiona, grube ręce. Wygląda, jakby grał w futbol w jakiejś drużynie uniwersyteckiej.

Lucy bawiła się torebką od herbaty, przypominając sobie, jak Seb stał na chodniku, zaraz obok budki z prażoną kukurydzą, gdy ona rozdawała własnoręcznie zrobione ulotki z napisem „Kup jeden, drugi otrzymasz gratis”. Na jego widok w jednej chwili zapało jej dech w piersiach. To było to samo uczucie, które owładnęło nią, gdy Seb pierwszy raz na nią spojrzał, a raczej, ściślej mówiąc, gdy czekał na nią po szkole, siedząc na swoim motorze.

A skoro już mowa o byciu niegrzecznym – „Co ty tutaj robisz?”. Choć to właściwie było dobre pytanie.

– Seb nie grał czasem dla Iowa State? – zapytała Issy, sięgając po deser, zimnego pączka amerykańskiego z lukrem.

– Przez dwa lata, tak mi się wydaje. – A dokładnie przez siedem meczy i trzy kwarty, dopóki wskutek zderzenia z innym graczem nie przetrącił kolana. Gdyby jednak powiedziała to wszystko Issy, sprowokowałaby jeszcze więcej pytań. – To zabawne. Stał tam po prostu z rękami w kieszeniach, wyglądał na zawstydzonego.

– Powinien się wstydzić.

– Już nie. Daj spokój, to było przecież osiem lat temu. Mogę mu już przebaczyć, że złamał mi serce.

Issy uniosła wzrok i przez sekundę patrzyła Lucy w oczy, po czym potrząsnęła głową.

– Płakałaś przez pół roku.

– Byłam nastolatką z burzą hormonów.

– Chodziliście ze sobą przez rok. A on cię zdradził.

Tak, tyle wiedziała Issy. Lucy nie mogła się zmusić, by powiedzieć przyjaciółce całą prawdę. Lepiej, żeby myślała, że Seb po prostu złamał jej serce. Nie powinna się dowiedzieć, że skradł jej cnotę, a ją samą zmienił w kobietę, która zdradziła własne zasady.

Postępowanie Seba pozostawiło w niej rany tak głębokie, że wciąż czasem krwawiły. Jak dzisiaj.

– Seb Brewster trzymał się z daleka ode mnie i od mojego życia przez prawie dekadę. Wierz mi, to wystarczająco długo, by już się nim nie przejmować.

Issy się uśmiechnęła.

– Skoro tak twierdzisz... A przy okazji, naprawdę rozdawałaś ulotki na paradzie?

– Tak. Bree kazała cię pozdrowić i powiedziała, że jeśli potrzebujesz obcięcia włosów, to może do ciebie wpaść.

– Zawsze byłaś dla wszystkich taka miła, Lucy. Nawet dla Bree.

Lucy próbowała odepchnąć wspomnienie Bree w ramionach Seba. A niech to, myślała, że już usunę-

ła to z pamięci. Wyciągnęła z filzanki torebkę herbaty i położyła ją na talerzyku.

– Dokładnie tak. To właśnie ja. Miła dziewczyna. – Upiła łyk, na szczęście udało jej się nie zakrtusić. – Oficjalnie odraczam bycie miłym. Wiesz, że w kawiarni zaczęli serwować pączki?

Issy tak ta wiadomość zszokowała, że Lucy była gotowa ją za to uściskać.

– Właśnie tak. Umieścili taką informację na drzwiach. Sprzedają je po sześćdziesiąt centów. Sześćdziesiąt!

– To nie w porządku.

– I właśnie dlatego rozdawałam ulotki. Wiesz, że zrobiłam wczoraj dwa tysiące czterysta osiemdziesiąt sześć pączków?

– To bardzo dużo.

– Właśnie nie. To o sześćset mniej niż o tej samej porze w zeszłym roku.

– Sześćset pączków?

– Czyli jakieś pięćset dolarów. – Upiła kolejny łyk herbaty. – Przypomnij mi, proszę, że kocham moją pracę.

– Kochasz swoją pracę.

– I że przejęcie interesu moich rodziców nie było wcale wielkim błędem.

– To była wspaniała inwestycja. W promieniu kilkuset mil nie ma innego sklepu z pączkami.

– Powiedz mi, że kocham pączki.

– Kochasz pączki.

Lucy spojrzała na nią.

– Nienawidzę pączków.

Issy ugryzła kolejny kęs.

– Wcale nie.

– A właśnie, że tak. Robię pączki każdego dnia, odkąd skończyłam dwanaście lat. Nienawidzę pączków z całej siły. Nie znoszę ich. Życzę im samych najgorszych rzeczy. Pogardzam ciastem i lukrem, czekoladą...

– Proszę, nie mów tak. Sprawiasz mi ból. – Issy znów wgrzyzła się w ciasto. – Pączkowi też. On aż zwija się z bólu. Cii... Poczekaj, aż go zjem.

Lucy ugryzła się w policzek, by się nie uśmiechnąć.

– No dobra, nie nienawidzę pączków. Miałam na myśli tylko to, że gdy pani Childers zadała na koniec roku w ostatniej klasie liceum wypracowanie „Gdzie widzisz siebie za dziesięć lat?”, nie sądziłam, że moja odpowiedź będzie brzmiała: „W porcie, gdzie będę serwować kawę i pączki”.

– Dziewczyna od pączków to szlachetna profesja.

– Teraz to już kłamiesz, żebym poczuła się lepiej.

– Czy nie od tego są przyjaciele? – Issy dokończyła przekąskę. – Choć tym razem wcale nie kłamię. Pomyśl sobie, jak bardzo samotna i bezpączkowa bym była, gdyby nie ty.

– To moja misja w życiu: zapełnić świat pączkami.

– Pączki to czysta radość w małym, lukrowanym opakowaniu.

– Nie, amerykańskie pączki mają w środku dziurę. A to znaczy, że czegoś im brakuje. Świetna metafora mojego życia.

Ups, nie chciała być aż tak szczerą. *Proszę, Issy, nie dopytuj.*

– Och, Lucy. Jesteś najbardziej kochaną osobą w miasteczku. Znasz wszystkich i wszyscy znają ciebie. Czego może ci brakować?

A jednak. Udało jej się wszystkich nabrać. Wzruszyła ramionami.

– Jeśli nie zapłacę rachunków, to za rok może mi brakować mojego sklepu z pączkami. A to oznacza, że muszę zawalczyć o kontrolę nad pączkami w Deep Haven.

– Może uda nam się zmobilizować mieszkańców.

– Tak jak wtedy, gdy chcieliśmy zmusić pizzერიę Pierre’a, aby zaczęli dowozić jedzenie na telefon?

Rzeczywiście podziałało.

Issy skrzywiła się.

– Brakuje mi ich pysznego spaghetti z pepperoni i oliwkami... Pycha. – Zlizwała lukier z palców. –

Porozmawiaj z burmistrzem. Jerry uwielbia przecież twój sklep. Czy w tym miasteczku nie ma czasem jakiejś zasady o braku konkurencji? A może porozmawiasz z Kathy? Dowiesz się, dlaczego zaczęła serwować pączki.

– Kathy chciała sprzedawać pączki, odkąd moja mama wprowadziła do menu latte i cappuccino.

– Wygląda na to, że to twoja mama wszystko zaczęła.

– I zostawiła mi, bym to skończyła. Muszę być bardziej kreatywna. Wymyślić sposób, by z nimi wygrać w ich własnej grze.

– A co z dostawą do domu? Byłabym pierwszą osobą ze stałym zleceniem.

– Nie mam pieniędzy ani ludzi, by rozwozić pączki ludziom do domów.

– A co, jeśli dodasz do sklepu usługę *drive-through*^[9]?

– *Drive-through*? – Lucy skrzywiła się. – To takie... wielkomiejskie.

– Słuchaj, turyści zazwyczaj jeżdżą samochodami. Java Cup ma *drive-through*. Dairy Queen ma *drive-through*. Dlaczego ty też nie miałabyś mieć? Mogłoby to skrócić te długie kolejki.

– Co mam ci powiedzieć? Turyści rzeczywiście kupują pączki. A skoro już rozmawiamy, spotkałaś swojego nowego sąsiada?

– Nie. Ale jeśli to zrobię, każę temu neandertalczykowi odkupić mi bratki.

– Neandertalczyk? Czy drugi punkt na liście doskonałego mężczyzny Issy to nie przypadkiem: „Żadnych neandertalczyków”? I co to właściwie znaczy?

– To punkt czwarty. A co to konkretnie znaczy? Żadnych flanelowych koszul, musi czytać lepiej niż dziecko z podstawówki i co najważniejsze *nie może parkować na moich bratkach!*

– Ty i ta twoja lista.

– Jest praktyczna i sprawia, że jestem bezpieczna.

– Twoja lista sprawia, że jesteś bezpieczna, bo nikt nie jest w stanie jej sprostać.

Z ulicy dobiegła salwa śmiechu. Prawdopodobnie grupka miejscowych wracała do domu.

– A więc naprawdę nawet z nim nie porozmawiasz? – spytała Issy.

– Z kim?

Issy uniosła brew.

– Z Sebem, oczywiście.

– Nie. Po co? To wszystko to już przeszłość. Od dawna nie jestem nim zainteresowana. Absolutnie.

– Mhm.... – Issy wstała i zaniósła talerz do kuchni, zostawiając Lucy na tarasie, zapatrzoną w ćmy krążące wokół gorącej żarówki.

Z Lucy było coś nie tak. Coś w jej głosie, w sposobie, w jaki mówiła o Sebie.

Ale czy Issy nie była jedyną osobą w jej pokoju, gdy Lucy odmówiła chodzenia do szkoły przez trzy dni, po tym, jak z nim zerwała? I została w łóżku, wypłakując sobie oczy? A potem przez kolejne dwa miesiące chodziła jak otumaniona, jakby jakaś jej część umarła, przez to, że Seb złamał jej serce.

Lucy przez osiem lat dochodziła do siebie. Krok po kroku, a zwłaszcza po wypadku Presleyów, znów stała się tą dziewczyną, którą Issy znała. Może faktycznie Seb zupełnie już jej nie obchodził, ale spodziewała się, że jego ponowne pojawienie się wywoła inną reakcję, a nie tylko „Nieźle wygląda”. Pewnie gdyby Lucy dodała „ten palant”, Issy nie miałyby wrażeń, że jej przyjaciółka coś ukrywa.

Dziewczyna schowała resztki fishburgera do lodówki. Może jutro znów spróbuje pójść do sklepu. A może nie. Och, już nigdy nie pozbędzie się ze swojej głowy wspomnienia tego biednego mężczyzny. Jak mogła być taka okrutna? *Przepraszam, Boże. Pomóż mi zapomnieć o mnie, zapomnieć o tym, co się stało.*

Oby był turystą, który tańczył teraz do...

– Issy! – Panika w głosie Lucy sprawiła, że Issy pobiegła z powrotem na taras. Lucy stała tam, chyba czując się zagrożona, a może po prostu przerażona widokiem psa, który rozkopywał różnobarwną funkię Issy.

Może i byli tego ranka w całkiem dobrej komitywie, ale wdzieranie się i niszczenie jej ogrodu to już przesada.

– Duncan! Przestań!

Spojrzał na nią. Pysk miał cały ubrudzony błotem.

– Może sobie pójdzie – powiedziała Lucy.

– Aleś ty pomocna. Jak on tu w ogóle wlaźł?

Pies znów zorał pyskiem w ziemię. Wyrwał funkię z korzeniami. Issy krzyknęła z prawdziwym bólem, widząc, jak roślina wylatuje w powietrze niczym pocisk.

– O nie! – Obróciła się i porwała w dłonie miotłę, która została na ganku po porannym sprzątaniu. Wepchnęła ją w ręce Lucy i powiedziała: – Ubezpieczaj mnie.

– Co? Chwila, nie możesz do niego podejść! Co, jeśli zaatakuje?

Issy nie spojrzała na nią.

– Wtedy masz go uderzyć. Tak mocno, jak tylko możesz.

– Czy to nie będzie znęcanie się nad zwierzętami?

– Bardziej obchodzi mnie to, że on znęca się nad moimi roślinami. – Issy wzięła głęboki oddech i złapała zabrudzoną obrozę psa. Zapierając się nogami, walczyła, by odciągnąć pysk stworzenia od ziemi. – Och, zabiję go.

– Kogo zabijesz? Psa?

Jej cenna ziemia (z nawozem z mączki bazaltowej i importowanym wermikulitem!) została zniszczona przez zwierzę. Używając całej swojej siły, udało jej się odciągnąć psa od wykopanej dziury. Zwróciła się do Lucy.

– Nie, mojego nowego sąsiada. Buraka, który nie potrafi trzymać tego muła we własnym ogródku. – Obrzuciła spojrzeniem resztki funkii. – I przy okazji powiem mu też, żeby zabierał swoje opony z moich bratków.

Lucy zeszła ostrożnie z tarasu.

– Dlaczego ma się skończyć tylko na słowach? Przyniosę stryczek.

– Przestań się szczerzyć, Lucy, tylko trzymaj tę miotłę.

Gdy Issy dotarła do furtki i ją otworzyła, Duncan szarpnął się, chcąc wyrwać się na wolność.

– Au! Zaraz wyrwiesz mi rękę.

Zapierała się nogami, gdy zwierzak niemal ciągnął ją ku frontowi domu.

– Dlaczego właściwie nie wyszedłeś tą samą drogą, którą wlałeś. – Ulicą przejechał samochód i Issy znów niemal straciła rękę, gdy Duncan rzucił się w jego kierunku. – Nie! Zły pies!

– Dowal temu facetowi, Issy! – Lucy szła kilka kroków za nimi.

Pies obejrzał się na Lucy. Zrobił minę, zupełnie jakby szczyrzył zęby w głupawym uśmiechu.

Issy popychała go biodrem w stronę tego, co można było nazwać jedynie parodią trawnika. Powinna założyć gumki do ud, wyciągnąć maczetę i wyciąć sobie drogę w tej dżungli. Duncan załapał, o co jej chodzi, i zaczął ciągnąć ją w stronę schodów.

Bosą stopą nadepnęła na coś miękkiego, kleistego. Fuj, co to było? Jajko?

Obrzydliwość.

Muzyka – z tego, co słyszała, to utwór country w wykonaniu jakiegoś piosenkarza o nosowym głosie – dochodziła przez otwarte okno. Zadzwoiła do drzwi, a potem zapukała. Zadzwoiła jeszcze raz.

– Idę, chwileczkę!

Nikt jednak nie wyłączył muzyki. Pies nadepnął jej na nogę.

– Chodź no tutaj i zabieraj swojego psa!

– Um... mojego psa?

– Tak, twojego psa. – Duncan polizał ją po twarzy. Och, na miłość boską. – I najlepiej będzie, jak gdzieś go przywiążesz czy coś.

– Nie mogę go przywiązać.

Oczywiście, że nie. To pewnie wbrew jego burackim zasadom postępowania. Muzyka przycichła i Issy usłyszała jakiś łomot. Dlaczego tyle to trwa? Jak długo można otwierać drzwi?

– Wyhodowanie funkii zajęło mi całe lata, a ten twój bawół wyrwał ją zębami jednym szarpnięciem. Masz jakiegokolwiek pojęcie, jak trudno jest tutaj cokolwiek uprawiać? To prawie strefa polarna, nic tutaj nie rośnie, a już na pewno nie moja różnobarwna funkia. Dobrze chociaż, że nie dobrał się do róż angielskich! A gdyby chociaż powąchał moje róże herbaciane, to już kopałabym mu grób.

– Posłuchaj...

Usłyszała w jego głosie ostrzeżenie i wtedy coś się w niej obudziło, nie potrafiła jednak określić co.

– Nie, to ty posłuchaj. Mieszkam w domu obok i mam już dość widoku tej katastrofy ekologicznej, którą pewnie nazywasz ogródkiem. Okaż jakiś szacunek swojej okolicy. I swojemu nowemu miastu też, skoro już o tym mowa. Jeśli chcesz mieć jakichś przyjaciół, pomaluj ten dom. Wygląda jak brudny but, który ktoś zostawił na deszczu.

– Dopiero się wprowadziłem! – Jego głos dochodził z oddali, z głębi domu.

Zacząła więc mówić głośniej, na wypadek, gdyby jej nie słyszał.

– I czy mógłbyś łaskawie nie jeździć po moim trawniku, gdy parkujesz samochód? Mała podpowiedź: gdybyś skosił trawę, znalazłbyś swój podjazd i mógłbyś na nim parkować. Zniszczyłeś bratki, przy których pracowałam pół roku.

Drzwi się otworzyły. Issy odniosła wrażenie, że w tym momencie świat się zatrzymał.

Mężczyzna założył czerwoną bandanę zamiast czerwonej bejsbolówki, miał też czarny T-shirt Gwardii Narodowej z obciętymi rękawkami i spłowiałe dżinsy. Był nieogolony.

Nie zauważyła tego wcześniej.

Nie zauważyła również obwodu jego ramion, niczym u gracza futbolu, ani sposobu, w jaki mięśnie napinały materiał koszulki, ani szerokich barów i wąskich bioder. Oparł się o framugę, otwierając

drzwi z siatki.

Teraz już się pilnowała i nie spoglądała na bliźnę ciągnącą się wzdłuż jego ręki.

– O co chodzi? – zapytał.

Poczuła, że jej żołądek się ściska. *Boże, to niesprawiedliwe.* Chciała drugiej szansy, ale...

– Przepraszam. – Słowa były ciche, bez wcześniejszego impetu. Puściła psa. – Ja... Twój pies był w moim ogrodzie.

Spojrzał na zwierzę, ale tak, jakby w ogóle się nim nie przejmował.

– To nie jest...

Wir emocji kotłujących się w Issy przybrał na sile. *Zejdź z ganku, wróć do domu...*

– Po prostu go weź. – Pies na nią skoczył, lecz chwyciła jego łapy. – Nie, proszę, daj spokój Dun... psie.

Spodziewała się, że zaraz zacznie płytko oddychać, spodziewała się spoconych dłoni. Zamiast tego chciało jej się po prostu płakać.

– Trzymaj go z dala od mojego ogrodu i moich funkii. I jeśli mógłbyś pilnować go, by nie wyrządzał innych szkód...

Przestań gadać. Słyszała ten głos, jakby to ktoś inny do niej mówił.

– Um... Witaj w Deep Haven.

Praktycznie wepchnęła psa do domu, tuż obok sąsiada. Mężczyzna podskoczył, trzymając się drzwi, gdy bestia na niego skoczyła, ale Issy nie została, by się temu przyglądać. Zeskoczyła z ganku i niemal sprintem pobiegła na swoją posesję. Minęła Lucy, która stała na straży z miotłą – tak bardzo jej pomogła! – i wbiegła po schodach do domu.

Issy opadła na schody prowadzące na piętro. Potrzasnęła głową.

Lucy weszła do środka, odstawiła miotłę i zamknęła drzwi.

– O co chodzi?

– To on.

– On? Doskonała dziesiątka?

– Co? – Issy spojrzała na przyjaciółkę. – Nie. Ten facet ze sklepu.

– Facet z bliźnami?

Ach, tak, jego bliźny. Teraz jednak pamiętała głównie jego niebieskie oczy. I to, jaki był zmieszany.

– Tak. Ale.. Cóż, właściwie wydaje się uroczy. – Naprawdę to powiedziała? Skrzywiła się, po czym ukryła twarz w dłoniach. – I znów zrobiłam z siebie idiotkę. Co ten facet ma w sobie, że wyciąga ze mnie to, co najgorsze?

Lucy usiadła na schodach i objęła ją ramieniem.

– I pamiętaj, Spragniona Miłości, twoją doskonałą miłość możesz znaleźć po sąsiedzku.

To nie mój pies – Caleb usiłował wypowiedzieć te słowa, ale gdy tylko próbował, ona mu przerywała. Równie dobrze mógł być niemową.

Zamknął drzwi, gdy dziewczyna dotarła na swój ganek, a następnie obrócił się do sprawcy całego zamieszania.

– Świetne ci poszło, kolego. Właśnie w taki sposób chciałem poznać moją ładną sąsiadkę.

Właściwie to jej współczuł. Ten wyraz twarzy, gdy otworzył drzwi, zawstydzienie w jej głosie.

Chciał pójść za nią, ale pewnie powinien poczekać, aż oboje dojdą do siebie.

Poza tym jego noga nie była odpowiednio zabezpieczona. Mocował się, by ją założyć, gdy dziewczyna stała na zewnątrz i krzyczała na niego. Już prawie się poddał i chwycił po prostu za kule. Nie chciał jednak powtórki ze sklepu.

Pies patrzył na niego, trzymając w zębach poduszkę z sofy. Usiadł, jakby chciał się bawić. Tak, dziewczyna miała rację, nazywając go bawołem.

– Czym ty właściwie jesteś? Koniem? Po części bizonem... Hej! – Gdy tylko Caleb podszedł bliżej, pies odbiegł, strącając przy tym szklankę wody, którą mężczyzna postawił na poplamionym stole. Dopóki zwierzak nie przewróci jego plazmy...

Caleb rzucił się w stronę telewizora i przytrzymał go, akurat wtedy, gdy pies zatrzymał się na owalnym dywaniku. Zwierzak upuścił poduszkę na podłogę i merdał ogonem, jakby oczekując, że Caleb połknie przynętę i zacznie się z nim bawić.

– Nie wiem, czyj jesteś, psie, ale szczerze mówiąc, trzymam jej stronę. Ty i ja nie zostaniemy kumplami, jeśli będziesz wyzerał moje zakupy i niszczył czyjeś trawniki. Chcę, żeby mieszkańcy tego miasteczka mnie polubili. – Zbliżył się do zwierzęcia, ale ono znowu uciekło. – Może zanurkujemy w lodówce i znajdziemy dla ciebie coś do jedzenia?

Caleb pokuśtykał do kuchni, otworzył lodówkę, znalazł opakowanie parówek do hot dogów, które zamierzał przygotować w tym tygodniu na grillu, i wyjął jedną. Pies ją połknął i oblizał się.

Mężczyźnie przeszło przez myśl, by wyrzucić opakowanie jak najdalej tylko zdoła, by pies pognał za jedzeniem i stąd zniknął.

– Ale to byłoby nieodpowiedzialne, prawda? Ona miała rację. Jesteś trochę niegrzeczny w obejściu. Nie masz domu?

Pies siedział na środku podłogi. Błoto, którym był oblepiony, zaczęło opadać na linoleum. Co więcej zwierzak zaczął machać ogonem i przez to jeszcze bardziej rozsmarował brud.

Super.

– Dobra, jeśli zamierzasz tutaj spać, musisz być przynajmniej czysty. Chodź... Roger. Wyglądasz na Rogera. Chodź. – Caleb założył flanelową koszulę, która była przewieszona przez krzesło w kuchni, i wsadził do kieszeni spodni opakowanie kiełbasek. Zabrał butelkę mydła w płynie leżącą obok zlewozmywaka.

Roger podążał za nim wolno, wyszli przez tylne drzwi do ogródka.

Caleb włączył światło na tarasie i rozwinął wypłowiały wąż z za domu. Potem, rzucając psu kolejną parówkę, złapał go za obrożę.

– Wybacz, kolego.

Włączył wodę i zaczął polewać zwierzę. Błoto spływało z niego, tworząc pod nim brudne kałuże. Sierść Rogera przybrała lśniący, czarny odcień. Caleb wycisnął mydło na ręce, a gdy Roger skończył pożerać ostatnią parówkę, przejechał dłońmi przez jego futro, namydlając korpus, nogi, podgardle. Następnie znów polał psa wodą.

Roger otrzepał się z reszty mydlin.

– Dobra robota, Rog. Przystojniak z ciebie bez tego całego błota.

Postanowił, że podskoczy jutro do biblioteki i przyczepi na tablicy ogłoszeń wiadomość o znalezionym psie. Tymczasem może uda mu się nauczyć Rogera trochę manier.

A przynajmniej będzie starał się utrzymać kundla z dala od funkcji sąsiadki.

Caleb patrzył, jak pies żwawo przemierza dżunglę na tyle posesji. Gdy obrócił się w stronę domu i

zrobił krok, jego proteza wpadła w jedną z dziur wykopanych przez Rogera.

Stracił równowagę i upadł na ziemię. Próbował przewrócić się na plecy. Stłumił okrzyk, gdy okazało się, że jego noga utknęła w dziurze.

Spojrzał w stronę wiktoriańskiego okna wychodzącego na jego ogród. Na szczęście nikt w nim nie stał, nie wyglądał zza zasłony. Caleb zebrał się jakoś i skacząc na jednej nodze zaczął kierować się w stronę domu. Jego druga noga wisiała bezużytecznie.

– Roger! – Pies wbiegł po schodach, zatańczył na ganku, zahaczając przy tym ogonem o stojącą przy drzwiach uschniętą zielistkę w plastikowej doniczce.

Caleb złapał się poręczy, obrócił się i tyłem wdrapał po schodach. Gdy znalazł się na górze, cofnął się i wyciągnął rękę w kierunku wyłącznika światła. Pogrzyżył się w ciemnościach.

Oddychając ciężko, chwycił protezę. Mógł uszkodzić zawias w kostce.

Musiał jednak sobie jakoś z tym wszystkim poradzić. Przynajmniej do czasu zawodów. Nie chciał dostać tej roboty przez litość.

Tysiące gwiazd migotało nad jego głową. Słuchał szumu wiatru poruszającego drzewami, czuł zapach sosny, słyszał delikatny pogłos zespołu grającego w centrum miasta.

Panie, to może okazać się trudniejsze, niż myślałem. Czy na pewno dobrze Cię zrozumiałem? Naprawdę nadaję się do tej pracy?

Roger usiadł obok niego. Położył mokry łeb na jego udzie, wzdychając.

Caleb pogłaskał go po pysku.

– Ja też, kolego. Ja też.

[\[9\]](#) Usługa, w której przez okienko z boku sklepu czy restauracji można zakupić towary bez opuszczania samochodu (przyp. tłum.).

pięć

– Caleb, mam nadzieję, że lubisz dynię piżmową. – Ellie, piękna żona Dana, położyła na stole talerz z zapiekanką. – Pleni się w moim ogródku jak chwasty.

– Uwielbiam. Moja mama smarowała ją grubo masłem i piekła w piekarniku.

– Twoja mama i ja dobrze byśmy się dogadywały.

Wendy, córka Ellie i Dana, przyniosła talerz z pieczenią rzymską.

– Ulubione danie taty – powiedziała, spoglądając na ojca. Nalała mrożonej herbaty do szklanek.

Dan mrugnął do niej.

– Zawołaj, proszę, swoich braci na obiad.

Caleb obserwował, jak Ellie otwiera przesuwane drzwi, wychodzi na zewnątrz i woła z tarasu braci bliźniaków Ethana i Josepha, którzy bawili się na zjeżdżalni i drabinkach. Caleb poznał ich imiona dzisiaj rano, gdy niemal powalili go na ziemię, wybiegając nawą główną z kościoła po nabożeństwie. Na szczęście Ellie zablokowała ich. Miała refleks godny gracza na linii ataku.

– Wspaniałe kazanie, pastorze. Bardzo lubię List do Filipian, a już zwłaszcza rozdział czwarty wer-
set dziewiętnasty.

– „A Bóg mój według swego bogactwa zaspokoi wspaniałe w Chrystusie Jezusie każdą waszą potrzebę”. – Ellie postawiła na stole owocową sałatkę z galaretką. – Włączając w to obiad. Cieszymy się, że mogłeś do nas dołączyć. Przepraszam za bałagan. Wczoraj w nocy musiałam wziąć dodatkową zmianę w remizie z powodu pikniku.

Bałagan? Dom – zbudowany z bali – w pewnym sensie przypominał remizę. Wszystkie rzeczy здаwały się być na swoim miejscu: lśniące sztućce ze stali nierdzewnej, stół piknikowy w kuchni, kilka wygodnych sof w przestronnym salonie. Przez wielkie panoramiczne okna poddasza nad kuchnią rozciągał się widok na miasteczko. Caleb spędził stanowczo zbyt dużo czasu na upajaniu się panoramą małej miejscowości przycupniętej przy krzywiźnie portu.

– To piękne miejsce.

– Dzięki. Ellie i ja zbudowaliśmy je razem. – Dan odsunął żonie krzesło.

Caleb usiadł obok Wendy.

– Zbudowaliście je? W sensie młotkiem i gwoździami?

– Zgadza się – powiedziała Ellie. Wyciągnęła dłoń do Dana, a ten ją ujął.

Wendy dała Calebowi kuksańca. Jej dłoń leżała na stole. Och. Wziął ją i ujął dłoń Dana po drugiej stronie. Pochylił głowę, gdy Dan się modlił.

W tej samej chwili znów znalazł się w domu rodzinnym, przy stole. Jego ojciec na honorowym miejscu wypowiadał słowa tradycyjnego błogosławieństwa. Zapach pieczeni, marchewki, cebuli, ziemniaków, rozmarynu sprawiał, że Calebowi było trudno utrzymać zamknięte oczy. Collin siedział

naprzeciwko, kopiąc go pod stołem...

Chwila. Uchylił jedno oko. No tak. Ethan stłumił uśmiech.

– Amen – powiedział Dan. Sięgnął po pieczeń. – Muszę przyznać, że zdziwiłem się, gdy zobaczyłem cię dzisiaj w kościele. – Podał paterę Calebowi.

– Dlaczego? Sam mnie zaprosiłeś.

Dan nałożył sobie trochę zapiekanki.

– To prawda. Po prostu... cóż, dobrze jest znowu zobaczyć trenera w ławce. To nie jest prosta robota, pomaganie tym chłopcom wejść w dorosłość. Cieszy mnie, że nie boisz się przyjąć pomocy.

Caleb nie nazwałby tego w ten sposób. Po prostu nie chciał łamać obietnicy złożonej Najwyższemu. W końcu na większą pomoc człowiek nie mógł już liczyć.

– Wychowałem się w kościele.

– A gdzie dokładnie, Calebie? – Ellie nałożyła Josephowi zapiekankę na talerz, nie zważając na jego grymasy.

– Małe miasteczko Preston na granicy Minnesoty i Wisconsin. To rolnicze tereny. Mój ojciec prowadził sklep z narzędziami.

– Byłeś fanem Packersów czy Vikingów? – zapytał Dan.

– Nieważne, czy padniesz na ziemię. Ważne, czy się podniesiesz – odparł Caleb, cytując słowa Vince'a Lombardiego, legendarnego trenera drużyny Green Bay Packers.

Dan potrząsnął głową.

– Cóż, będziemy musieli jakoś utrzymać przyjacielskie stosunki, gdy Packersi będą grać z Vikingami.

– Nie za bardzo przyjacielskie – wtrąciła Ellie, podając Calebowi sałatkę. – Dlaczego wybrałeś Deep Haven?

– Lubię małe miasteczka. Proste życie, wolniejsze tempo.

– Myślę, że zmienisz zdanie, gdy zacznie się rok szkolny. – Ellie ułożyła Josephowi serwetkę na kolanach. Dała znać Danowi, by pomógł w tym Ethanowi. – Ledwo możemy nadążyć ze sportem, podwożeniem dzieci, parafią i dyżurami w remizie.

– Tak naprawdę Ellie jest jedynym strażakiem na pełen etat.

– Parę lat temu byłam dowódcą. Teraz tylko czuwam nad oddziałem sanitariuszy i przeprowadzam śledztwa w przypadku podpaień.

Nic dziwnego, że Dan posłuchał żony i kazał synowi siedzieć prosto oraz pamiętać o manierach.

– Czy to twoja pierwsza praca związana z trenowaniem? – zapytał Dan.

– Pracowałem jako trener w college'u na obozie letnim, ale zostałem powołany do Gwardii Narodowej i wysłany do Iraku, zaraz jak skończyłem szkołę. To moja pierwsza prawdziwa praca po... – Spojrzał na dzieci. – Po moim wypadku.

Minęła chwila ciszy. Caleb wziął głęboki oddech.

Ellie uśmiechnęła się do niego.

– Na pewno wykonasz kawał solidnej roboty.

– Jak zostałeś ranny? – zapytał Ethan.

– Ethan! – skarcił go Dan.

– Nie, w porządku. – Caleb uśmiechnął się do chłopca. – Transportowałem rannych do bazy, kiedy wybuchła bomba ukryta na poboczu. Rozerwała ciężarówkę i... zraniła mnie.

Postanowił nie wspominać o brakującej kończynie. Nie musieli wiedzieć, jak straszne były te godzi-

ny, gdy leżał w rowie. Strach, że zostanie pojmany, był tak silny, że odbierał mu oddech, a ból tak mocny, że miał ochotę w nim utonąć i umrzeć.

Dopóki nie zawołał do Boga i nie odkrył, że Jego łaska była mocniejsza niż jego najgorsze przeżycia.

– Cieszymy się, że udało ci się przeżyć, Calebie. Tak mi przykro. – Ellie dotknęła jego dłoni. Zranionej dłoni.

Nie odsunął jej, ale też nie uścisnął.

– Dzięki. – Wziął głęboki oddech, po czym spojrzał na Dana. – Co możesz mi powiedzieć o Sebie Brewsterze?

– Został rozgrywającym Huskies w pierwszej klasie liceum. Pamiętam, że był młody i arogancki. Ale w sumie to dobry chłopak. Jego matka chodziła czasem do kościoła. Ojciec był kierowcą ciężarówek, często znikał na całe tygodnie. Zaczęli żyć w separacji, gdy Seb był w liceum. Dzieciak mocno to przeżył. Jego ojciec właściwie też. Zaczął pić. Pamiętam, że trener Presley modlił się za nich podczas spotkań biblijnych dla mężczyzn z parafii. Wydaje mi się, że Seb spędził dużo czasu na kanapie trenera. – Dan upił łyk herbaty i odstawił filiżankę. – Trener zawsze modlił się za innych. Może i został посаdzony na ławce rezerwowych, ale wciąż pozostaje częścią drużyny. Powinieneś wpaść do centrum opieki i go poznać. Trener Presley modlił się o to, by pojawił się ktoś, kto mógłby go zastąpić. Póki co, nie znalazł nikogo godnego poparcia.

– Zrobię to. Ale jakoś nie wyobrażam sobie, by poparł mnie zamiast Seba.

Dan nie odpowiedział.

– Chcesz trochę szarlotki, Calebie? – spytała Ellie. – Wendy ją upiekła. – Spojrzała na córkę z uśmiechem.

– Nie będę mógł jutro biegać – odparł Caleb; w swojej sytuacji mógł rzucać takimi żarcikami bez mrugnięcia okiem. – Ale nie byłbym mieszkańcem Minnesoty, gdybym odmówił kawałka szarlotki.

Wendy wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Jaki masz plan treningu? – spytał Dan, oddając Ellie pusty talerz.

– Mój plan to skupić się na podstawach. Nauczyć zawodników, jak się blokuje, jak wystartować z linii, jak poradzić sobie z obrońcami i nie żałować siły przy obronie. – Caleb uśmiechnął się, gdy Wendy przyniosła mu kawałek ciasta. – Pycha – ocenił po spróbowaniu.

– Będziesz musiał przebiec jutro kilka dodatkowych okrążeń z chłopakami. Dziękuję, kochanie. – Dan odchylił się, gdy Wendy nakładała mu ciasto na talerz. Caleb zauważył, że kawałek Dana był znacznie mniejszy niż jego.

– Zwołałem trening wcześniej, na szóstą rano. Popracuję nad ich kondycją. Przynajmniej przez kilka pierwszych dni. Później porozdzielam ich na pozycje. Nauczą się zatrzymywać piłkę, obchodzić się z nią, dowiedzą się, jak powinni ustawiać się gracze pierwszej linii. Dopiero gdy opanują podstawy, zaczniemy ćwiczyć zagrywki.

– Masz przed sobą mnóstwo pracy. – Dan popijał kawę. – Wiadomości już się rozeszły. Myślę, że możesz liczyć na sporą publiczność.

Caleb musiał głęboko odetchnąć. Czasem czuł się tym trochę przytłoczony.

Prawie jakby uczył się chodzić od nowa.

– Na pewno będą mieli zakwasy. Ale chcę, żeby nauczyli się przewycięzać ból, kontrolować swoje ciała i nie pozwalać, by to ciała kontrolowały ich. Chcę ich nauczyć, co to znaczy podnosić się i może nawet odkryć jakąś część siebie, o której istnieniu nie wiedzieli. Jak być mężczyzną, a nie chłopcem, a

przynajmniej starać się zdążyć w tym kierunku.

Ellie miała dziwny wyraz twarzy. Uśmiechnęła się i zerknęła na Dana.

– Tak – powiedział Dan. – Koniecznie musisz spotkać się z trenerem Presleyem. Możesz być właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Caleb wciąż słyszał te słowa w głowie, gdy jechał do domu, gdy przywitał się z Rogerem, który widocznie uznał, że jego miejsce jest na ganku Caleba, i gdy wpuścił psa do środka. Spotkać się z trenerem Presleyem. Tak, powinien to zrobić. Może jutro po treningu.

Nie mógł zaprzeczyć, że na myśl o treningu przewracało mu się w żołądku.

Caleb patrzył na swoje odbicie w łazienkowym lustrze, wypróbując ewentualne trenerskie miny.

– Wygrywa ten, kto włoży w grę najwięcej serca! – huknął, a jego donośny, głęboki głos przetoczył się przez dom.

Roger uniósł łeb z kanapy.

No dobrze, Caleb wcale nie chciał, aby jego sąsiedzi przybiegli sprawdzić, co też wyrabia ten nowy świr w okolicy, który wrzeszczy na siebie w lustrze.

Jego zawodnicy musieli nauczyć się wkładać w grę serce, całą energię, jaką dawało ich ciało. Oczywiście brzmiało to strasznie trywialnie, ale pierwszy powiedział to Vince Lombardi, a czy ten koleś kiedykolwiek się mylił? Dopóki człowiek nie wierzył w siebie i nie poświęcał się swojej karierze, nie oddawał jej wszystkiego – swojego umysłu, swojego ciała, swojego serca – co było warte dla niego życie?

Caleb ochlapał twarz wodą i zgasił światło.

Może powinien skupić się na słowie Bożym. *A Bóg mój według swego bogactwa zaspokoi wspaniale w Chrystusie Jezusie każdą waszą potrzebę.* Zrobił to. Oj tak, zrobił. Caleb wzbraniał się, by prosić o więcej.

Czuł, że tamtej strasznej nocy Bóg ocalił go, uleczył i że nie bez powodu wysłał do Deep Haven.

Caleb nie miał zamiaru zawieść Boga.

Usiadł na kanapie i ustawił sobie nogi tak, by leżały wzdłuż siedzenia. Roger uniósł się, przysunął do Caleba i położył swój pysk na jego kolanach. Caleb podrapał psa za uchem.

– A więc teraz jesteśmy przyjaciółmi?

Podniósł laptopa z podłogi, połączył się z Internetem i znalazł stację, na której nadawano „The Bean”.

– Witajcie w „Moim Niemądrym Sercu”, gdzie wierzymy, że wasza doskonała miłość może znajdować się po sąsiedzku.

Trafił na streszczenie programu z ubiegłego tygodnia. Kliknął w link. „Moje Niemądre Serce”, talk-show dla beznadziejnych romantyków. Słuchał atrakcyjnego głosu prowadzącej, która przedstawiła się jako, bardzo adekwatnie zresztą, Panienka Niemądre Serce. O rany. Ale „The Bean” może się zacząć w każdej chwili.

Przewrócił oczami, słuchając odpowiedzi na pytanie, jakie to uczucie zakochać się.

– To wiedzieć, że masz w kimś oparcie.

– Świetna odpowiedź, PrafdziwaMiłość. Mam nadzieję, że znajdziesz w kimś oparcie. Mów śmiało, WietrzneMiasto.

– To wiedzieć, że jesteś kochany... mimo wszystko.

Kochany, mimo wszystko. Gdyby tylko to było możliwe. Ashley nie kochała go, nie tak naprawdę. A sytuacja w końcu się wyklarowała, bo on także jej nie kochał. Trzymali się po prostu razem w colle-

ge'u, oboje lubili być w blasku sławy. Pewnie, powiedziała, że zostanie z nim po jego wypadku, ale widział w jej oczach litość.

Nie chciał być kochany z litości.

Nie, nie miał pojęcia, jakie to uczucie zakochać się. Ale wiedział, czego chce.

Pragnął kogoś, kto nie postawiłby na nim krzyżyka. Kogoś, kto nie kochałby go pomimo jego ran, lecz kto wcale by ich nie zauważał. Kogoś, kto by w niego wierzył.

Zostawił włączone radio, poszedł do kuchni i nalał sobie szklanekę mleka. Prowadząca przyjęła kolejną dzwoniącą osobę, która zakomunikowała, że właśnie się zaręczyła.

Stał w drzwiach, słuchając, jak prowadząca odpowiada wysokim, drżącym śmiechem po tym, jak słuchaczka zaprosiła ją na ślub. Nuta strachu w jej głosie coś w nim poruszyła.

Usiadł i podkreślił głośność.

Nastąpiła przerwa na reklamy, po czym program wrócił z kolejnym fragmentem. Panienska Niemądre Serce rozwiązała problem biurowego romansu, związku na odległość i zdusiła w zarodku potencjalną zdradę.

Pod koniec Caleb czuł się niezręcznie związany z tym cichym, współczującym głosem. Jakby Panienska Niemądre Serce naprawdę troszczyła się o tych dzwoniących frajerów. Na szczęście, właśnie rozpoczął się „The Bean”, który pozwolił Calebowi odzyskać rozsądek.

Czym w ogóle było niemądre serce?

Roger jęczał przez sen, a łapy mu drgały. Tak, Calebowi też się to czasami zdarzało. Śniło mu się, że biega, albo co gorsza, że swędzi go noga.

Caleb wyłączył radio.

– Rog, postaraj się zostać na noc w domu, okej?

Gdy mijał drzwi sypialni, zobaczył, że w domu jego sąsiadki gaśnie światło. Chłodny letni wietrzyk wdzierający się przez drzwi z siatki wywabiał go na ganek. Caleb usiadł na schodach z przodu domu i zapatrzył się na gwiazdy. Niebo wydawało się tak blisko, że chciał go dosięgnąć.

Możesz być właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Tak, chciałby pewnego dnia zdobyć taką reputację, jaką cieszył się trener Presley. Ale zająć jego miejsce? Nie. Caleb pragnął być niezastąpiony.

Gdyby Issy mogła, pominęłaby w kalendarzu niedziele i z sobót przechodziłaby od razu do poniedziałków. Nie to, że dni w domu jakoś bardzo różniły się od siebie, ale to właśnie w niedziele najmocniej dawały o sobie znać wszystkie jej ograniczenia.

Wysłuchiwała kazania pastora Dana Matthews w radiu, nie mogąc pozbyć się z myśli wyobrażenia, że patrzy się na niego z ławki w trzecim rzędzie po prawej, a światło pada do środka kościoła przez wysokie okna. Czasem mogła wyobrazić sobie nawet, jak jej ojciec siedzi po jej prawej stronie, opierając dłoń na ławce. Jak śpiewa tenorem *Amazing Grace* lub odpowiada *Amen* pod nosem.

Tak, w niedziele najbardziej go jej brakowało.

Próbowała ukoić ból, siadając w jego fotelu ogrzanym płamą światła i trzymając na kolanach jego Biblię. Czasami czytała też podręcznik z wprowadzeniem do niej – także własność ojca, z nagryzmonymi na marginesach notatkami.

Dzisiaj chciała po prostu zastanowić się, co Dan mógł mieć na myśli, wybierając werset: *A Bóg mój*

według swego bogactwa zaspokoi wspaniale w Chrystusie Jezusie każdą waszą potrzebę.

I jak to się miało do niej?

Czajnik zagwizdał. Issy wstała i poszła do kuchni; wyciągnęła torebkę z herbatą rumiankową i wrzuciła ją do ulubionego kubka matki, który ta kupiła w Niemczech podczas ich podróży z okazji dwudziestej rocznicy ślubu. Issy nalała do niego wrzątku i zanurzyła torebkę. Jasny brąz zaczął przesączać się przez bibułkę do wody. Kiedy rumianek się zaparzył, Issy wrzuciła torebkę do zlewu.

Niech Bóg błogosławi Lucy za torbę z zakupami, zapewne stworzoną z jej własnych zapasów; Lucy zostawiła ją dziś dla Issy. Inaczej jej przyjaciółka byłaby skazana na niedojedzonego fishburgera i zimną kukurydzę.

A Bóg mój... zaspokoi... każdą waszą potrzebę.

No dobrze, dał jej pożywienie; ale nie to było jej prawdziwą potrzebą, prawda? Patrząc na dobroć Lucy, Issy musiała się powstrzymać, żeby się nie rozpląkać. Co mogła zrobić z takimi wersetami: *Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia* albo *O nic się już zbytnio nie troskajcie, ale w każdej sprawie wasze prośby przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganiu z dziękczynieniem!* *A pokój Boży, który przewyższa wszelki umysł, będzie strzegł waszych serc i myśli w Chrystusie Jezusie.*

Nie wiedziała, kogo powinna obwiniać za tę porażkę, ponieważ spędziła długie godziny, błagając Boga o spokój ducha. O siłę.

A więc co miała zrobić teraz?

Uniosła kubek i podmuchała na powierzchnię napoju. Słyszała dochodzące z salonu odgłosy powtórki jej programu. Elliot zawsze wybierał najlepsze rozmowy i puszczał je ponownie w niedzielne wieczory. Issy robiła notatki, czasem zaglądała też na forum, ale w niedziele dyskusja nie była zbyt ożywiona.

Słyszała teraz własny głos, gdy Duma zapraszała ją na swój ślub.

– Dobrze, Lauren. Jest mi bardzo przykro, ale nie mogę przyjść.

– Dlaczego nie?

To *dlatego nie* rozbrzmiewało w jej głowie nawet, gdy rozmowa toczyła się dalej. Issy skrzywiła się, słysząc drżenie własnego głosu.

Była tak zmęczona tymi wszystkimi *dlatego nie*. Zmęczona siedzeniem tutaj w każdą niedzielę, słuchając z daleka, jak modlą się jej parafianie, i ze świadomością, że jej ojciec pewnie też słucha.

Dotknęła zdjęcia na lodówce, przedstawiającego ojca z drużyną mistrzów w ostatnim roku jej szkoły. Zawodnicy znosili go z boiska na ramionach, ociekającego wodą, którą zgodnie z tradycją wylali na niego z wiadra. A obok niego, także niesiony na rękach, Seb Brewster. Mężczyźni patrzyli na siebie, trzymali się za ręce nad głowami pozostałych. W pewnym sensie Seb był synem, którego trener Presley nigdy nie miał.

– Tęsknię za tobą, tato – wyszeptała Issy.

A najgorsze było to, że tata znajdował się tylko milę dalej.

Za autostradą, za wzgórzem, w pokoju z oknem wychodzącym na jezioro. Ale centrum opieki, gdzie mieszkał, przykuty do maszyny oddychającej za niego, mogło równie dobrze znajdować się po drugiej stronie Pacyfiku gdzieś w Bangkoku.

Albo w Napa Valley.

Przynajmniej mieli telefony. Ich codzienne rozmowy sprawiały, że nie podusili się jeszcze w swoich więzieniach.

Otworzyła kartonowe drzwi i wyszła na taras. W ogródku panowała ciemność, a powietrze było

chłodne, nasycone zapachem sosen oraz hortensji, liliowców, róż angielskich i herbacianych.

– Przyjdź... odwiedź mnie, Isadoro... Tęsknię... za tobą.

Jego głos w jej głowie, wspomnienie ich rozmowy tamtego popołudnia – wszystko to sprawiało, że Issy robiło się słabo. Jakby nie było mała, że mógł mówić wyłącznie wtedy, gdy respirator wypychał powietrze z jego płuc, to jeszcze... te krótkie wybuchy mowy, zanikające na ostatnich sylabach, zawsze brzmiały tak, jakby właśnie kończyło się jego życie. Każde zdanie, każda rozmowa telefoniczna, każdy dzień mogły być jego ostatnimi.

– Chciałabym, tato. Poprawia mi się. Biegam teraz dookoła dzielnicy i nawet do kawiarni. – No dobrze, pobiegła tam tylko raz i nie weszła do środka, ale formalnie rzecz biorąc, postawiła stopę na tamtejszym parkingu.

– Nie pozwól... aby tobą... rządził...

Wystarczyło trzydzieści siedem sekund, by włączył się trener Presley, z tym jego tonem *daj im popalić*, który barwił jego słowa. Mogła go sobie niemal wyobrazić, jak chodzi wzdłuż boiska i wykrzykuje słowa zachęty. Nawet gdy był po pięćdziesiątce, jego ciało wciąż miało więcej mięśni niż tłuszczu, a srebrna siwizna barwiła mu ciemne włosy tylko na skroniach.

– Spróbuj to zrozumieć, tato. Za każdym razem, gdy myślę o wyjściu z domu, pójściu do miasta, mam wizje, co może się stać. Widzę każdą możliwość. I wtedy czuję, że zaczynam się łamać. Nie chodzi już o to, co może się wydarzyć, ale raczej o to, że zrobię z siebie idiotkę. Pocąc się, płacząc, tracąc głowę przed całym miastem. Zrobiłam tak raz...

– Pogrzeb. Wszyscy zrozumieli.

– Zamknęłam się w łazience w domu pogrzebowym i musieli wzywać policję, by mnie wyciągnąć. – Mówiła cicho, mimo że siedziała na kanapie w zaciszu własnego salonu. – Musieli mnie uspić. I trzymać w szpitalu przez trzy dni.

Słyszał o tym, oczywiście, ale w tym czasie walczył o życie na oddziale intensywnej terapii w Duluth. Poza tym, skąd mógłby wiedzieć, jakie to uczucie: trzymać rękę matki, tracącej coraz więcej krwi, być uwięzioną w płonącym samochodzie? Jakie to uczucie widzieć, jak sanitariusze zabierają ojca, szarego, nieruchomego? Gdy w jednej chwili cały jej świat zawalił się na jej oczach?

Przejechała dłonią po bliźnie na czole. Była wyczuwalna, na co dzień zasłaniały ją włosy. Zwykle rozcięcie. Szybko ją wypuścili. O szóstej rano następnego dnia wchodziła już do pustego domu.

– Modlę się za ciebie...

Wzdrygnęła się.

– Proszę, nie mów mi o Bogu. Wiem. Wiem... zdaj się na Boga, powierz Mu swoje troski. Uwierz, tak robiłam...

– Kochanie...

– Chodzi o to, że nie potrafię dojść do tego, czy to ja opuściłam Boga, czy... cóż, czy to On opuścił mnie. Jestem rozbita, zawstydzona, i wydaje mi się, że Bóg nie robi nic, by mnie naprawić. A więc proszę, możemy nie mówić o Bogu?

Nawet teraz jakaś jej część miała ochotę cofnąć ten wybuch. Ale Issy czasem musiała po prostu powiedzieć to na głos, stawić czoła prawdzie. Nie liczyła się dla Boga. Przyniosła Mu już dość wstydu.

– Boli mnie serce... gdy wyobrażam sobie... to, co cię więzi – powiedział cicho ojciec. Wyobraziła go sobie: jak siedzi na krawędzi jej łóżka i odgarnia włosy z jej czoła szeroką dłonią, jak wtedy, gdy miała siedem lat.

Otarła policzki, wstrzymała oddech.

– Chcę widzieć cię... wolną, zamężną...

– Wiem, tato. Ale to się nigdy nie zdarzy. – W końcu kto by ją chciał, dziewczynę, która ledwo co może wyjść z ogródka? Kula u nogi, nic więcej.

– To ty decydujesz, w swojej głowie, czy wygrasz, czy przegrasz.

– Och, trenerze, miłość nie jest jak mecz futbolu, wiesz? – Mimo to uśmiechnęła się, oczami wyobraźni widząc, jak on uśmiecha się po drugiej stronie. Albo jak chce się uśmiechnąć. Zagryzła zęby i postanowiła już nie płakać.

– Tak... trenujesz każdej nocy...

– Daję ludziom rady, tato.

– W głębi serca jesteś trenerem.

Tak jak jej staruszek.

Piła herbatę, a jego słowa sączyły się do jej serca. Och, tak bardzo chciała być taka jak on. Ruszać do walki na boisko, znając odpowiednie zagrywki, nie pozwalając przegranej – albo strachowi przed nią – by trzymała ją z dala od gry. Wierzyć w swoich zawodników, widzieć ich potencjał, rozwijać ich siłę.

Mogłaby zacząć od siebie. Przecież jeśli sama nie potrafiła zmotywować się do wyjścia z tego ciemnego miejsca, to niby jak miała pomagać innym pokonać ich strach, otworzyć serca na miłość?

Wstała, wyłączyła światło na ganku i wróciła do salonu. Jej program dobiegał właśnie końca i chociaż słyszała nadzieję w swoim głosie, jej umysł był pełen złowieszczych słów Elliota. Musisz zrobić coś, co poprawi słuchalność.

Proszę, Boże. Nie pozwól, bym straciła też ten program. Stała tam, patrząc na granatową noc, na drobinki gwiazd nad baldachimem przybrzeżnych drzew. *Pomóż mi znaleźć sposób, by uratować mój program.*

Zamknęła oczy, marząc o tym, by coś usłyszeć, coś poczuć. Zaznać spokoju, który obiecał Jezus.

Zamiast tego usłyszała czołówkę „The Bean”.

Przez okno zobaczyła, że u jej sąsiada zapala się światło. Mężczyzna wyszedł na ganek i usiadł na schodach. Duncan – powinna się dowiedzieć, jak ma naprawdę na imię – spoczął obok niego. Coś poruszyło się w jej wnętrzu, gdy zobaczyła, jak sąsiad głaszcze psa po głowie. Rany mogły uczynić go cynicznym, może nawet wściekłym, a tymczasem wydawał się pełen dobroci. Jakby żył w zgodzie z samym sobą, tak to wyglądało.

Gdyby tylko tak spektakularnie nie zaprzepaściła swojej szansy. Gdyby nie była tak przerażona swoimi czynami, gdyby nie postanowiła, że już nigdy więcej z nim nie porozmawia, mogłaby pomodlić się o jeszcze jedną szansę, by go poznać. W nim mogłaby odnaleźć kogoś, kto rozumiałby dokładnie, co to znaczy być uwięzionym w czymś silniejszym od siebie.

Może nawet pomógłby jej odkryć, jak się z tego uwolnić.

sześć

NIKT NIE BĘDZIE CIĘ SZANOWAŁ, jeśli nie będziesz szanował sam siebie!

Głos trenera Presleya ścigał Seba przez trzy stany aż do Deep Haven i teraz prześladował go nawet we śnie. *Nie możesz winić innych za własne błędy!*

Seb leżał w świetle wczesnego poranka, mrugając oczami. Pościel na jego wąskim łóżku była prześlana potem. Wszystko go bolało. Ramię. Głowa – pewnie od zbyt dużej ilości słońca w niedzielę, bo w końcu odrzucił zaproszenie Wielkiego Mike’a, by skoczyć razem na piwo. Bolała go też na pewno klatka piersiowa, gdzie morderczy wzrok Lucy zostawił siniaki. *Co ty tutaj robisz?*

Dlaczego niby myślał, że powrót do Deep Haven pomoże mu odnaleźć człowieka, którym zawsze chciał być? Ponieważ Seb nie szanował siebie, a poza tym wszystko zaczęło się właśnie tutaj.

Podniósł się z łóżka i poszedł do łazienki. Chrapanie jego ojca niosło się przez wąski korytarz. Seb zdrapał wcześniej warstwę grzyba pokrywającego mały prysznic i teraz mógł niemal dostrzec swoje zniekształcone odbicie w lustrze nad umywalką. Udało mu się też doprowadzić do porządku kuchnię, wyniósł broń ze swojego pokoju i otworzył okno, by wpuścić do środka trochę świeżego powietrza.

Ochlapał twarz wodą, włożył koszulkę, jakieś szorty i sięgnął po buty do biegania, po czym wyszedł z nimi na taras, gdzie słońce natychmiast rzuciło ciepłe promienie na jego ramiona.

Z dawnego przyzwyczajenia obrał trasę przez miasto, podczas której mijał sklep wielobranżowy, stację benzynową i dalej biegł wzdłuż jeziora. Bryza, która wiała dzisiaj znad wody, starła pot z jego skóry, gdy już wyrównał tempo.

To było jak podróż w przeszłość. Wspomnienie Lucy wyłoniło się z ciszy poranka i zawładnęło jego myślami.

Chcesz się ze mną pouczyć?

Siedział wtedy na motocyklu przed szkołą, a w jego głosie czaiło się zbyt dużo nadziei.

Stała tam, opierając dłonie na wąskich biodrach, z torbą listonoszką na ramieniu, ubrana w dżinsy i różową bluzkę. Wyglądała tak niewinnie i inteligentnie. Uśmiechnęła się, a jemu zabrakło słów.

Wspomnienie tamtej wiosny, letnich miesięcy z Lucy, wciąż pomagało mu złapać oddech, napełniało zdradliwą radością. W takich momentach jak ten Seb chciał napisać zakończenie tamtej historii na nowo.

Może właśnie nadzieja na nowe zakończenie pchała go z powrotem do Deep Haven.

Przebiegł obok sklepu rybnego, spod którego Arnie i Bubs odpływali łodzią w poranny rejs. Po drugiej stronie ulicy księgarnia pozostawała pogrążona w ciemnościach. Seb pobiegł w górę wzgórze, wyciskając z siebie siódme poty.

Miał prawdziwego farta, że ze wszystkich dziewczyn w klasie skończył w parze akurat z Lucy, gdy pracowali na koniec wiosennego semestru nad projektem o Jane Eyre i Rochesterze, człowieku zdła-

wionym i zeszpeconym przez błędy młodości. Seb spędzał dwie godziny, gapiąc się na Lucy, która nawija sobie karmelowy kosmyk włosów na drobny palec, śmieje się z jego głupich żartów, sprawia, że czuł się mądry i bohaterski. Czasami wyobrażał sobie siebie jako Rochester, nawołującego ją przez wrzosowiska.

Wciąż czasem słyszał ten głos, rozbrzmiewający w myślach.

Seb przebiegł obok domu opieki i przyspieszył w kierunku szkoły.

Właśnie tak: stał się Rochesterem, człowiekiem niezdolnym zapomnieć tej jedynej kobiety, którą kochał, pomimo swoich błędów.

Wiesz, Seb, czekam na to, aż znajdę mężczyznę, z którym będę mogła spędzić wieczność.

Świt oświetlił korty tenisowe przed szkołą, a Seb skierował się w stronę boiska do futbolu. Zawsze kończył przebieżkę kilkoma sprintami na czterdzieści jardów, a potem biegł wolniejszym tempem ostatnie pół mili do domu.

Jestem tutaj, Lucy. Dokładnie tu.

Gdy okrążył szkołę, usłyszał głosy.

A raczej głos.

– Nie przestawajcie mimo bólu! Nie pozwalajcie, by wasze ciało was kontrolowało! To wy kontrolujecie je!

Słowa miały niezwykłą moc: Seb natychmiast przypomniał sobie ów piekielny tydzień, który urządził im trener Presley. Stracił wtedy 10 funtów w dwa dni. Byli tu teraz, osiemnastu potencjalnych zawodników w pełnym rynsztunku, biegających w górę i w dół po trybunach.

Drugi trener stał na bieżni i przyglądał im się. Robił notatki.

– Przekraczajcie granice, a odkryjecie w sobie nowe.

Seb rozpoznał te słowa, słyszał je tysiące razy podczas własnych treningów. Jednakże słysząc je z ust swojego konkurenta, poczuł ciarki na plecach.

Powrócił do Deep Haven, wierząc, że wreszcie będzie mógł stać się człowiekiem, którym chciał być. Człowiekiem honoru, tego oczekiwał od niego trener Presley. Co przekładało się na przejęcie po Presleyu trenerskiej pałeczki. Nie, Seb może i nie mógł pochwalić się dyplomem ani nawet latami wolontariatu, ale miał w głowie stare zagrywki trenera Presleya i chęć, aby sięgnąć do przeszłości i odnaleźć dawną chwałę.

Zatrzymał się przy płocie, by się porozciągać; obserwował trening, wzdragając się przed wejściem na bieżnię. Stał tam po prostu i patrzył, wyrzucając sobie, że nie zebrał drużyny o szóstej rano w chłodzie poranka. Właściwie miał tylko blade pojęcie na temat tego, co w ogóle może z nimi zrobić tego popołudnia podczas pierwszego treningu. Chciał zdać się na instynkt. Dawniej, w czasach jego chwały, ten nigdy go nie zawiódł.

Gdy parę tygodni temu stracił pracę, to właśnie instynkt – i także desperacja – przygnały go z powrotem do domu. To właśnie dzięki desperacji Seb znalazł się na progu Mitcha i błagał go o pozycję trenera, o szansę, by poprowadzić swoją starą drużynę do zwycięstwa.

Patrzył, jak zawodnicy schodzą z trybun i trener zbiera ich razem, zarządzając przerwę na łyk wody. Chłopaki gną się w pół, łapiąc ciężko oddech. Niektórzy trzymają się za bok, inni padają na murawę, dysząc jak parowozy. Trener Knight podszedł do kilku z nich – miał dziwny chód, jakby sam leczył się z jakiejś kontuzji – pochylił się, rozmawiał z nimi. Cofnął się szybko i niezręcznie, gdy jeden z chłopaków opróżnił swój żołądek ze śniadania na trawę.

Knight nawet wyglądał jak trener. Miał wyrzeźbione ramiona, szerokie bary, czerwoną czapkę bejs-

bolówkę. Pewnie widniało na niej logo Uniwersytetu Stanowego Ohio.

Seb powinien zamówić sobie czapkę Cyclones. Albo może znajdzie w szafie starą czapkę Huskies. To powinno zainspirować drużynę.

Gdy Knight usadził zawodników na trawie i zaczął z nimi rozmawiać, Seb odwrócił się i pobiegł do domu.

Gdyby miał choć trochę oleju w głowie, powinien biec tak dalej, aż za granice miasteczka.

Najwcześniejszym wspomnieniem Lucy było chyba to, gdy siedziała na ganku Najlepszych Pączków na Świecie, w obciętych džinsach i japonkach, albo bujała się na balustradzie wąskich niebieskich schodów, po czym wtykała głowę w sam środek znaku w kształcie amerykańskiego pączka, szczerząc zęby w kierunku klientów stojących w kolejce.

Czasem robili jej zdjęcie. Zawsze pozowała.

Jej matka, bez wątpienia doceniając jej mocne strony, postawiła ją za ladą, gdy Lucy miała osiem lat. Od tego czasu już zawsze sprzedawała pączki.

Zwykle знаła swoich klientów po imieniu. Nawet tych, którzy przyjeżdżali z Missouri, Iowa, Nebraska czy Kalifornii.

– Dwa pączki z czekoladą i *skizzle*. – Podała białą papierową torebkę Geertsensom z Wisconsin. – Miło was znowu widzieć. I Annie jest już taka duża! – Wychyliła się przez ladę i posłała całusa ośmiolatce. Annie uśmiechnęła się. Pomiedzy jej jedynkami widniała szpara wielkości ciężarówki.

– Cześć, Margie! – Lucy wyciągnęła spod lady kolejną torebkę, śmiejąc się do rudej kobiety w średnim wieku, ubranej w džinsową koszulę i sandały, która ślicznie zaciągała z teksańskim akcentem. – Co podać tym razem? Pączka z czekoladą czy sześciopak donutów?

Margie pochyliła się nad blatem, zniżając głos do szeptu.

– Mam dzisiaj ze sobą wnuki. Spróbujmy więc tuzina pączków z cukrem pudrem.

– Nie pożałujesz. – Lucy wzięła pudełko i wyciągnęła tacę.

Z tyłu sklepu dwie dziewczyny, które zatrudniła do pomocy na lato, ładowały świeże pączki na tace. Przychodziły koło szóstej rano, by uzupełniać braki na bieżąco, lecz o tej porze Lucy zdążyła już przygotować ciasto na cały dzień. Sekretem Najlepszych Pączków był przepis na ciasto.

– Jak tam twoi rodzice, kochanie? – spytała Margie, wręczając jej gotówkę.

Lucy ściągnęła rękawiczki, by obsłużyć kasę fiskalną. Przy dobrym dniu potrafiła zużyć całe 500-sztukowe opakowanie rękawiczek.

– Są zachwyceni domem na Florydzie. – Wydała klientce resztę. – No i oczywiście, jeśli kiedyś zawitasz do Fort Myers, będzie im bardzo miło cię zobaczyć.

– Otworzyli sklep na Florydzie?

– Och nie. To jedyne Najlepsze Pączki na Świecie. – Lucy mrugnęła do niej i założyła nową rękawiczkę.

– Ale widziałam w mieście inny sklep z pączkami. – Margie otworzyła swoje pudełko i uśmiechnęła się do Lucy na widok gratisowych pączków.

Lucy ścisnęło w żołądku.

– To wcale nie sklep. Pączki u nich to tylko... jeden z elementów w menu. Następny proszę!

Niemniej słowa Margie przeszły ją i wyssały energię z uśmiechu. Kolejny sklep z pączkami w

mieście. A więc wieści dotarły też do turystów.

Smażenie nowych pączków kończyła koło południa i ciastek zwykle nie było już koło drugiej. Dzisiaj Lucy zostawiła sklep otwarty do trzeciej piętnaście. Wreszcie spakowała to, co zostało – dwa długie pączki z kremem, trzy pączki z cynamonem, rozmokły *skizzle* i jeden pączek z lukrem – i zaniósła je do biura lokalnej gazety.

– Jest Jerry?

Lois, pierwsza kobieta, która zaczęła pracować w „Deep Haven Herald”, teraz już całkiem siwowłosa, uniosła wzrok znad biurka.

– Siedzi w Blue Moose.

Oczywiście. Przerwa na kawę o trzeciej, by porozmawiać z tubylcami.

Na tyłach kawiarni, w boksie z oknem wychodzącym na ulicę, siedziało kilku stałych gości; był to doskonały punkt obserwacyjny, skąd mogli bez przeszkód przyglądać się intruzom. Lucy знаła ich wszystkich – Dan, pastor, Joe, autor bestsellerów, którego miasteczko ukrywało przed światem. No i oczywiście Jerry. Redaktor naczelny gazety i jednocześnie niedawno wybrany burmistrz.

– Czołem, chłopaki – przywitała się. – Co mi dzisiaj ciekawego powiecie?

– Dan szuka nowych ochotników do straży pożarnej – odparł Jerry, uśmiechając się do niej. *Jerry Mulligan, skizzle smażony w głębokim oleju.*

Lucy udała, że napina biceps.

– Jak u Minnie Mouse...

– Mighty Mouse^[10], pastarze. Masz braki w edukacji. – Uśmiechnęła się jednak do niego. *Pastor Dan, długi pączek wypełniony kremem.*

– Nie słuchaj ich, Lucy. Byłoby nam miło mieć cię na pokładzie. – *Joe Michaels, pączek z cukrem pudrem.*

– Chciałabym pomóc, ale tak się składa, że muszę zamienić parę słów z burmistrzem. Sprawa wagi pączkowej.

Jerry zrobił ruch, jakby chciał wstać z boksu, może żeby wyjść z nią na zewnątrz, ale Dan złapał go za ramię.

– Zostań. I tak muszę lecieć. Ale jeszcze rzucę okiem na boisko, jak Seb radzi sobie z treningiem. Chcę wiedzieć, jak rozwija się trenerska rywalizacja. Jutro rano sprawdzę tego nowego trenera.

– Piszę się na to. – Joe wyciągnął z kieszeni kilka dolarów i zostawił je na stole. – Do zobaczenia jutro, Lucy.

Wślizgnęła się na miejsce naprzeciwko Jerry’ego, akurat gdy Nancy podeszła do nich i postawiła na stole pusty kubek. *Nancy Ryan, sześciopak donutów.*

– Dzięki.

Nancy puściła do niej oko.

Lucy nalala sobie kubek tylko po to, by trzymać coś w rękach. Zapatrzyła się w niego.

– Java Cup serwuje pączki. – Gdy uniosła wzrok, zobaczyła, że Jerry ściąga usta i kiwa głową, jakby już o tym wiedział. – Jerry, to nie w porządku. Gdy kolejna sieć pizzerii chciała otworzyć tutaj knajpę, rada nie pozwoliła im na to...

– Jeśli dobrze pamiętam, nie mieli odpowiednich papierów. Kawiarnia ma już licencję, by serwować jedzenie.

– Ale tutaj jest dom Najlepszych Pączków na Świecie. To...

– To konkurencja. Dzięki temu nasze społeczeństwo jest silne.

Albo popada w ruinę. Lucy westchnęła.

– Słuchaj... – Dotknął jej dłoni, a ona mu na to pozwoliła. – Doskonale wiem, jak wiele znaczy dla ciebie ten sklep, dla twoich rodziców i właściwie dla całego miasteczka. Ale prawda jest taka, że to twoja popularność działa na twoją niekorzyść. Kolejka wychodzi za drzwi i ciągnie się do połowy ulicy. Ludziom nie chce się czekać tak długo. Jeśli chcesz trzymać klientów z dala od Java Cup, znajdź jakiś sposób, by obsługiwać ich szybciej.

– Niby jak?

– Nie wiem. Zrób okienko w boku sklepu?

– *Drive-through*? W tym miasteczku? To takie bezduszne. Ludzie przychodzą do Najlepszych Pączków po pączki i... cóż...

– Żeby cię zobaczyć. Możesz powiedzieć to głośno. Ten sklep jest w twojej rodzinie od trzech pokoleń. Ale jeśli chcesz utrzymać swój biznes, musisz zrezygnować z tej małomiasteczkowej nostalgii. – Wstał i wziął rachunek. – Jestem po twojej stronie, Lucy. Ale nawet gazeta musiała się zmienić. Straciliśmy nasze kanały sprzedażowe i musieliśmy przenieść się do sieci, stworzyć nowy model biznesowy. Taki jest biznes.

Nie biznes pączkowy.

– Nie mogę sobie pozwolić na zrobienie okienka w sklepie. Musiałabym zatrudnić ekipę, by zajęła się elektryką, remontem... nie mam na to pieniędzy. – Nie wspominając już o pieniądzach, by zapłacić hipotekę za ten miesiąc. Znowu.

– Porozmawiaj z Markiem Bammem w towarzystwie kredytowym. Robi teraz w pożyczkach dla biznesu, coś ci ustawi.

Bamm. Oczywiście. Chciałby, żeby przyszła do jego gabinetu się płaszczyć. Odsunęła od siebie kubek z kawą.

– Dzięki, Jerry.

Uśmiechnął się do niej, po czym wstał i odszedł.

– Życzysz sobie czegoś, Lucy? – Nancy stanęła nad nią z długopisem i notatnikiem.

Tak, ale jakoś nie widziała wolności, odwagi i nawet drzewka z pieniędzmi w menu.

– Nie, dziękuję, Nancy.

Doskonały romans Issy może nie znajdował się dosłownie po sąsiedzku, ale może mogła znaleźć go po drugiej stronie ulicy.

Na regałach biblioteki, oczywiście.

Właściwie nigdzie, wyłączając jej ogród, Issy nie czuła się bezpieczniej, niż tam, gdy siedziała w bibliotece, na podłodze pokrytej szarym dywanem, gdzie otaczali ją autorzy tacy jak Jane Austen czy Charlotte Bronte, nie wspominając już o tych współczesnych. Rozłożyła przed sobą trzy nowe romanse i czytała pierwszy rozdział każdego.

Czasami rozpoczynała swój program od przytoczenia słuchaczom jakiejś ulubionej sceny. To było właśnie to, za co najbardziej kochała „Moje Niemądre Serce” – wolność w prowadzeniu show, tak, by pasował do sytuacji. Czasami zaczynała od monologu dotyczącego romansu gwiazd. Czasami czytała list.

Dzisiaj będzie to fragment klasyki, zainspirowany... cóż, niemądrym sercem Dumy. Issy nie była

zachwycona, że to właśnie ona będzie musiała to zasugerować, ale może przypomnienie o nieszczęśliwej miłości pomoże Lauren O'Grady otrząsnąć się z jej głupiego postanowienia, by poślubić mniej niż dziesiątkę.

*Jeszcze słów parę, a potem dobranoc,
Drogi Romeo! jeśli twoja skłonność
Jest prawdą, twoim zamiarem małżeństwo:
To mię uwiadom jutro przez osobę,
Którą do ciebie przyślę, gdzie i kiedy
Zechcesz dopełnić obrzędu; a wtedy
Całą mą przyszłość u nóg twoich złożę
I w świat za tobą pójdę w imię Boże^[11].*

Ostatni wers zawsze wywoływał u Issy dezaprobatę. A co, jeśli ukochany doprowadziłby ją do bólu, złamanego serca... śmierci?

Julii przydałaby się lista, nieważne, co sądziła o niej Lucy.

Kątem oka Issy dostrzegła parę stóp kogoś, kto właśnie przechodził obok. Czarno-białe adidas pod spłowiałymi dzinsami. Ktokolwiek to był, utykał. Wychyliła się spomiędzy regałów.

Co on tutaj robił? Teraz, gdy była już przygotowana psychicznie na widok blizn, w świetle dnia nie wydawały się aż tak szokujące. Tak naprawdę musiała specjalnie ich poszukać, bo facet, o rany, wyglądał naprawdę dobrze. Wyglądanie tak dobrze powinno zostać zakazane, zwłaszcza w przypadku sąsiadów. Jak mogłaby nie śledzić go wzrokiem, gdy kosił trawnik?

O ile w ogóle skosiłby kiedyś ten trawnik. Mogła pomarzyć, prawda?

Wszedł w alejkę oznaczoną jako „źródła lokalne”.

Facet, który spędzał popołudnia w bibliotece, nie mógł być neandertalczykiem, prawda?

Och, miała ochotę schować się do wnętrza książki.

Przeszedł znów obok, trzymając pod pachą pudełko z taśmami magnetofonowymi, a w drugiej ręce książkę. I tak, utykał. Ciekawe.

Poczekala, aż podejdzie do biurka bibliotekarki, po czym pobiegła do alejki naprzeciwko.

Poprosił o wydanie mu karty bibliotecznej. A jeśli faktycznie był czytelnikiem? I jeśli zranił się w nogę, może ją złamał, i podczas powrotu do zdrowia zainteresował się czytaniem? Może klasyką – Hemingway, *Nędznicy*, F. Scott Fitzgerald? Mogłaby zdzierżyć nawet fana Jacka Londona.

Dziewczyna za biurkiem – Mindy Scott – zachichotała. Musiała już być w drugiej klasie liceum. Issy pracowała kiedyś jako jej niańka.

Uniósł stosik wszystkich swoich rzeczy – chwileczkę, czy mrugnął do niej? – i pomachał Mindy na pożegnanie, gdy zamykał za sobą szklane drzwi.

– Kto to był? – Issy rzuciła się do Mindy, zauważając rumieniec na jej twarzy. – Jak się nazywa?

Oczy Mindy rozszerzyły się ze zdumienia. No dobrze, może Issy była nieco zbyt bezpośrednia. No i może nie powinna była podnosić świeżo wypełnionego wniosku o kartę, który leżał na biurku.

– Caleb Knight – przeczytała.

– Jest nowy w mieście. – Mindy wyrwała jej kartkę z dłoni. – A to są poufne informacje.

– Jeśli faktycznie jest nowy, to i tak wszyscy będą o nim wiedzieć, nim minie południe.

– A nawet wcześniej. Przeprowadził dzisiaj swój pierwszy trening. Kazał swojej drużynie biegać wte i wewte po trybunach o szóstej rano.

Jego drużynę? Trybuny? Och. Nie.

– I miał na sobie przeuroczą koszulkę. Z napisem „Przyłóż mu” na przodzie.

– Przyłóż mu.

– No wiesz, przyłożenie? Jak to w futbolu.

– Tak, wiem, co to znaczy. – Popchnęła książki w kierunku Mindy, uśmiechając się sztucznie. Na wierzch stosika rzuciła swoją kartę biblioteczną.

– Nigdy nie sądziłam, że trener futbolu może być taki słodki. – Mindy przejechała skanerem po karcie Issy. – Zwykle trenerami zostają starsi faceci. – Uniosła nagle wzrok, a jej twarz zbladła. – Och, przepraszam. Nie chciałam, by tak to zabrzmiało.

– W porządku, Mindy. Mój tata powiedziałaby to samo. Ale posłuchaj rady od kogoś, kto wie, o czym mówi. Gracz futbolu jest ostatnią osobą, której chciałabyś oddać swoje niemądre serce.

Wychodząc przez szklane drzwi, Issy nie obejrzała się za siebie.

– Ćwiczysz tak, jak ci kazano? Dbasz o higienę nogi? Zmieniasz skarpetki?

Jego brat zachowywał się tak, jakby Caleb znów miał sześć lat i chorował na ospę wietrzną.

– Collin, radzę sobie. Naprawdę.

Caleb opierał się o kulach, piorąc w rękach skarpetki z dzisiejszego dnia i nylonową pończochę, którą nasuwał na kikut. Musiał także wyczyścić protezę spirytusem.

– Ale na pewno ćwiczysz? To małe rzeczy robią różnicę.

– Udawajmy, że nie jesteś moim starszym bratem, fizykoterapeutą nadzwyczajnym, i że udało mi się przeżyć bez twojej pomocy przez co najmniej trzy lata.

– Chcę po prostu, żeby ci się ułożyło.

– Ja też. I ułoży. Obiecuję.

– Ale wiesz, jakbyś kiedyś potrzebował pomocy, sofa jest wolna.

– I miałbym słuchać, jak kłócisz się z Maricel, kto ma wyprowadzić psa? Dzięki, ale wszystko jest tutaj super. Nie potrzebuję na razie wolnej kanapy.

– Zadzwoń, jakbyś czegoś potrzebował.

– Zadzwonię. Przestań się o mnie zamartwiać, brachu.

Caleb rozłączył się. Jakby naprawdę mógł zapomnieć o czystych skarpetkach, czystej protezie albo o ćwiczeniach, dzięki którym w ogóle mógł się poruszać.

To tak jakby miał zapomnieć o oddychaniu.

Wykręcił skarpetki i powiesił je na wieszaku w łazience. Nie mógł w końcu obskoczyć całego miasta o kulach w poszukiwaniu pralni samoobsługowej.

Którą i tak będzie musiał znaleźć. I to szybko.

Przeszedł do salonu i wziął karimatę. Rozwinął ją i opierając się na dłoniach, opadł na nią tyłem, po czym położył się na plecach.

Gdy nacisk na nogę zelżał, Caleb skoncentrował się na oddychaniu. Pieczenie, które odczuwał w miejscu amputacji, po tym, jak przez cały dzień utrzymywał pozycję pionową, sprawiało, że mógłby zetrzeć sobie zęby na proch. Gapiąc się w sufit, rozpoczął ćwiczenia.

Przyciskając kolano do maty, napiął mięśnie w udzie. Przytrzymał je tak przez pięć sekund i potem rozluźnił.

Jeszcze raz. I jeszcze raz. W głowie odtwarzał sceny z dzisiejszego treningu.

Kazał drużynie wbiegać na trybuny i zbiegać z nich, pokonać parę okrążeń wokół boiska; potem przyszedł czas na pompki, podciąganie się na drążku i dipsy. Później zorganizował wyścigi. Na koniec ćwiczyli najpotrzebniejsze umiejętności na ich pozycjach.

McCormick, drugoklasista, był urodzonym biegaczem ze świetnym refleksem. Mógłby stać się niepokonany, jeśli tylko nabrałby więcej ciała.

Trzecioklasistę Merritta Caleb ustawiłby na linii w centrum. Chłopak miał głowę na karku. Caleb nauczyłby go, kiedy zastosować zagrywkę blitz, a dzieciak na pewno szybko by ją sobie przyswoił.

Przycisnął kolano do klatki piersiowej tak mocno, jak tylko mógł, napinając mięśnie; przytrzymał, po czym wyprostował nogę. Powtórzył ćwiczenie.

Z drugoklasisty Bryanta o lepkich palcach byłby świetny skrzydłowy. Chłopak mógłby pewnego dnia współpracować znakomicie z Ryanem, rozgrywającym z czwartej klasy. A Ryan miał zadatki na gwiazdę. Potrafił nie tylko wspaniale wymykać się obronie, ale też daleko rzucać piłkę.

Gdyby tylko Ryan porzucił ten arogancki styl gry solo. Caleb obejrzał jeden z zeszłorocznych meczy, nagrany na taśmie przytarganej dzisiaj z biblioteki – za każdym razem, gdy pojawiała się okazja do podania, Ryan nie wypuszczał piłki z ręki, nikomu jej nie podawał i zawsze zostawał obalony na ziemię przez przeciwnika.

Ten dzieciak miałby stypendium college’u w kieszeni, gdyby tylko nauczył się grać w zespole.

Caleb zgiął zdrową nogę, położył stopę płasko na podłodze i uniósł kikut w górę. Opuścił. Jeszcze raz.

Niedługo po rozpoczęciu treningu zauważył drugiego trenera. Seb podszedł do samego płotu, rozciągając się po biegu, a przynajmniej udając, że to robi. Caleb widział później, jak odbiega, gdy już zebrał swoją drużynę, by powiedzieć im parę słów zagrzewających do walki.

– Jeśli chcecie być dobrzy, musicie dać z siebie wszystko, nieważne, jak mocno to boli. – Patrzył na czerwone twarze, w większości złane potem i o zmęczonych oczach. – Chcę, żebyście wrócili teraz do domów, obłożyli nogi lodem, poszli wcześniej spać. I nie jedzcie rano obfitego śniadania, bo je zwrócicie.

Chciał im przekazać, żeby nie zbaczali z obranej drogi, że nie istnieje lepsze uczucie niż docieranie do granic własnych możliwości i przekraczanie ich. Że mogą we własnych oczach stać się bohaterami.

A to było warte każdego bólu, jaki on może im zaszerwować.

A co ważniejsze, na koniec sezonu będą mogli patrzeć w przeszłość bez żalu, ze świadomością, że na boisku dali z siebie wszystko.

Caleb wsadził zrolowany ręcznik pod kolano amputowanej nogi i ćwiczył opuszczanie i prostowanie go.

Jutro znowu ich przegoni, a potem poćwiczą na swoich pozycjach. Ostro. Później chciałby z nimi przećwiczyć uderzenia i skręty, ale do tego przydałby mu się drugi trener, bo on sam musiał poświęcić czas skrzydłowemu, pokazać, jak najskuteczniej biegać.

I cóż, tego też za bardzo nie mógł zrobić.

Caleb odetchnął głośno.

Liczył na pomocnika, nie na żadną wariacką rywalizację. Nie na to, że będzie musiał stanąć naprzeciw legendy Huskies.

Gość miał nawet na sobie bluzę z własnym imieniem, gdy pojawił się na pierwszym treningu swojej drużyny. Wszyscy zawodnicy chcieli przybić mu piątkę.

Tak, Caleb przyglądał się temu z samochodu. Gdy nie mógł już dłużej patrzeć, odjechał i skierował

się do biblioteki. Tam sprawdził każdą taśmę, jaką udało mu się znaleźć o drużynie Huskies.

Poszczeniło mu się i odszukał nawet nagranie z mistrzostw stanowych sprzed ośmiu lat. Zgrał je sobie na iPod'a.

Przewrócił się na brzuch, położył płasko i nacisnął „Play”. Słuchał relacji z meczu Huskies przeciwko Lakeville Ravens. Ostatnia kwarta, Huskies przegrywają pięcioma punktami, ich najlepszy skrzydłowy jest poza boiskiem z powodu złamanego kciuka. A rozgrywający Seb Brewster podchodzi z piłką na środek boiska. Do końca została mniej niż minuta.

Prawie jak mistrzostwa, gdy Caleb był w ostatniej klasie liceum.

– Pierwsza próba na dwudziestym piątym jardzie. Huskies stają na linii. Brewster dostaje piłkę i podaje ją do Teague’a, który zyskuje z nią dwa jardy. Huskies rezygnują z narady i Brewster zostaje w tyle, rozgląda się, rozgląda się i... nadchodzi blitz z lewej strony! Brewster wyrywa się obronie, wciąż trzyma piłkę i pędzi za linię wznowienia gry. Huskies zyskują punkt.

Caleb złapał się na tym, że wstrzymywał oddech, słuchając, jak Seb wykonuje jeszcze jedną perfekcyjną zagrywkę podczas pierwszej próby.

– Na linii bocznej stoi trener Presley, który zachowuje stoicki spokój, gdy wysyła na boisko nowych skrzydłowych. Brewster przejmuje piłkę, zostaje w tyle... i kończy pierwszą próbę na czternastym jardzie po kolizji z Kline’em! Huskies znajdują się w zasięgu, by wykonać kop na bramkę, ale zostało tylko trzydzieści siedem sekund. Kończy im się czas, a kop na bramkę nie wygra dla nich meczu.

Caleb usiadł, złapał ręcznik i zaczął masować nogę, marząc, by przestała boleć.

Na zewnątrz rozległ się grzmot. Caleb słuchał, jak Brewster stracił piłkę po powaleniu przez obronę; rozległy się krzyki kibiców, gdy udało mu się przeprowadzić kolejną akcję.

Wreszcie, gdy na zegarze zostało dwanaście sekund, Presley poprosił o przerwę.

Caleb wstał i otworzył drzwi, wyglądając w noc.

– Roger? – Deszcz zaczął uderzać o maskę wozu; niekoszony trawnik przypominał amazońską dżunglę. Skosi go. Jutro. Albo wkrótce. Wrócił na matę.

– Nie zapomnijcie, że meczu możecie wysłuchać dzięki sklepowi z narzędziami Duke’a, gdzie kupicie wszystkie produkty niezbędne w każdym domu.

Caleb uśmiechnął się. Uwielbiał to miasteczko, które przerywało rozemocjonowany komentarz meczu, by nadać reklamę lokalnego sklepu ze śrubokrętami.

– Deep Haven Huskies wracają do linii. Brewster w formacji shotgun. Dostaje piłkę... chwila, na boisku panuje jakieś zamieszanie. Brewster podchodzi do linii bocznej, krzyczy coś do trenera. Obrońcy nie mają pojęcia, co się dzieje, czy to czas... nie, następuje podanie do biegacza! Brewster biegnie wzdłuż linii boiska. Skrzydłowi wyrwali do przodu, a biegacz zostaje w tyle, by podać piłkę. Bierze zamach, szukając skrzydłowego, i znajduje... a niech mnie, Brewster jest w polu punktowym! I nie ma żadnego obrońcy stąd do Kanady! Przyłożenie dla Huskies!

Caleb słuchał wybuchu radości. Wyobrażał sobie, jak mieszkańcy miasteczka wbiegają na boisko, unoszą Brewstera i znoszą go do szatni na rękach.

Caleb kochał to uczucie, gdy znosili go z boiska.

Ale, ale... co to w ogóle za zagrywka? Jakaś oszukańcza – słyszał kiedyś o czymś podobnym, nazywano to „niewłaściwą piłką” – atakujący udawali, że na boisku znajduje się niewłaściwa piłka. Ale tutaj Brewster bez wątpienia krzyczał coś, co kompletnie zdezorientowało obronę. Niewłaściwa zagrywka, niewłaściwa piłka... to nie miało znaczenia. Presley wystrychnął ich wszystkich na dudka.

Caleb wyłączył iPod'a.

Jeśli Seb Brewster pamiętał chociaż połowę zagrywek, jakich nauczył go Presley, i jeśli okazałby się chociaż w połowie takim trenerem jak Presley, Caleb nie miał szans dostać posady.

Wstał na jednej nodze, złapał kule i pochylił się, by zwinąć matę.

W domku obok, na piętrze, paliło się światło.

Interesujące. Widział ją dzisiaj w bibliotece, w dziale z beletrystyką. Długie brązowe włosy opadały jej na twarz, a opalony nos chowała w książce.

Uniosła wzrok, gdy przechodził obok. Przez moment próbował ukryć to, że utyka. Nie był jeszcze gotów, żeby ona – ani nikt inny – dowiedziała się o jego wszystkich sekretach. Chociaż samotność ukrywania tego wszystkiego zaczynała mu ciążyć. Czy nie byłoby miło porozmawiać z kimś, powiedzieć mu prawdę?

Pokuśtykał do kanapy i opadł na nią, układając nogę w górze. Na stoliku obok leżał stosik kaset i płyt DVD, nagrania i historia Huskies zgromadzona przez lata. Wypożyczył także kopię kroniki szkolnej liceum w Deep Haven z rocznika Brewstera. Może dzięki temu lepiej zrozumie konkurencję.

Otworzył na spisie treści i znalazł strony poświęcone futbolowi. Na pierwszej fotografii wypatrzył Seba w gronie trzydziestu zawodników w niebieskich strojach. A za nimi stał trener Presley i jego pomocnicy. Tak, Presley wyglądał jak człowiek, który potrafił z chłopców zrobić mężczyzn. Caleb przewertował kronikę, aż dotarł do rozdziału ze zdjęciami absolwentów. Znalazł tam Brewstera, osiłka o jasnej twarzy. Obejrzał fotografie pozostałych. Chciałby się dowiedzieć, jak te osoby wyglądają teraz, czy odnalazły swoje cele, o których myślały, stając wtedy przed aparatem.

Zatrzymał się przy twarzy, która wyglądała znajomo. Wiatr rozwiewał jej brązowe włosy, gdy siedziała na kamieniu, uśmiechając się do słońca.

Znał ją.

Podpis pod zdjęciem brzmiał: Isadora Presley.

Presley. Jak trener Presley?

Nie, to niemożliwe.

Córka trenera Presleya to jego sąsiadka?

Trenera Presleya, którego wypadek pozostawił w społeczności miasteczka głębokie rany? Trenera, który dzięki zwycięstwom drużyny wciąż trzymał w garści serca mieszkańców?

Córka trenera Presleya, która uciekła od Caleba nie raz, ale już dwa razy?

Córka trenera Presleya z zespołem stresu pourazowego?

Spojrzał w kierunku jej domu. Nic dziwnego, że na jego widok straciła nad sobą panowanie. Co mówił Dan – że jej matka zginęła w jej ramionach?

A więc, tak, przebaczy jej. Znowu.

Wiedział, jak to jest nosić rany, których nikt nie widzi. Których nikt, oprócz Boga, nie mógł uleczyć.

A jeśli Bóg wysłał go tutaj nie tylko po to, by Caleb zajął się Huskies... ale też Isadorą Presley? Co, jeśli potrzebowała przyjaciela?

Zamknął książkę. Miał tyle marzeń, tyle ambicji.

Wyciągając się na sofie, sięgnął po laptopa. Włączył stację radiową, na której nadawano „The Bean”.

Na stronie wyświetliła się nazwa wcześniejszego programu. Wciąż trwał.

„Moje Niemądre Serce”.

Caleb nie potrzebował wcale pomocy przy romansowaniu, nie, dzięki, ale chciałby się dowiedzieć

na przykład tego, jak powinien rozmawiać ze swoją sąsiadką.

Może odrobina treningu u specjalistki by nie zaszkodziła.

I może Isadora miałaby jakiś pomysł na to, jak pokonać Seba w jego własnej grze.

Mężczyźni rzadko zbierali się na odwagę, by do niej zadzwonić, więc Issy od razu obniżyła głos, starając się, by brzmiał ciepło i cierpliwie. Miała nadzieję, że nie wystraszy gościa.

– Nie krępuj się, ChłopakuZSąsiedztwa. – Uroczy pseudonim. Pomysłowy. Musnęła bosą stopą futro Duncana, który rozłożył się jej pod nogami, a raczej rozwalił pod stołem. Wielgachny zwierzak, którym od czasu do czasu targały wstrząsy o sile trzęsienia ziemi. Ale jego ciało promieniowało ciepłem. Wydawał się drugim dorosłym, który po prostu nie potrafił mówić.

Gdy tego popołudnia zwierzę pojawiło się u niej na progu, wyglądało na zapomniane. Na podjeździe u sąsiada nie było samochodu, a niebo zasnuło się chmurami, więc Issy poczęstowała psa szynką, która została jej po podwieczorku, i zaprosiła go do środka na drzemkę. Lepsze to, niż pozwolić, by znowu zdemolował sypialnię jej rodziców. Zamknęła drzwi do ich pokoju, chociaż pies popatrzył na nią z wyrzutem.

– Ja... um... Nie wiem, co powiedzieć.

ChłopakuZSąsiedztwa miał niski, rezonujący głos, nieco chropowaty, jakby go przemęczył. Albo nie używał zbyt często. Oczami wyobraźni zobaczyła mężczyznę koło trzydziestu pięciu lat, z lekką nadwagą i przerzedzonymi włosami, który siedział samotnie w dwupokojowym mieszkaniu w Chicago, z oknami wychodzącymi na parking.

– Czy mogłabym ci w czymś pomóc tej nocy?

– Mam nadzieję. Ktoś się na mnie zezłościł.

– Co takiego zrobiłeś?

– Nie jestem pewien. Myślę, że ona po prostu mnie nie lubi.

– Nie jesteś pewien? Nie podała ci żadnego powodu swojej złości? – Nauczyła się już, żeby nie zadowalać się tym męskim *Nie wiem, co zrobiłem źle*. Większość mężczyzn wiedziała doskonale, kiedy ich słowa mogą sprawić ból, nie rozumieli tylko dlaczego.

– Podała. Nawet całą listę. Ale nawet, jeśli uda mi się to wszystko naprawić, nie mam pewności, czy to coś zmieni, czy ona mnie polubi. Nasza znajomość rozpoczęła się nieprzyjemnie.

– Nie znasz tej dziewczyny?

– Nie, ale myślę, że chciałbym ją poznać. Jest... intrygująca. I myślę, że przydałby się jej przyjaciel.

– A więc litujesz się nad nią?

– Nie! Po prostu... po prostu myślę, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi, gdybym dostał drugą szansę.

Och. A więc zrobił coś, co pogrzebało jego szanse, a teraz chciał spróbować jeszcze raz. Mężczyźni nie znosili przegrywać.

– Poza tym, pracuję nad pewnym... przedsięwzięciem i mam nadzieję, że ona mogłaby mi...

– Chcesz jej pomocy.

– Cóż, nie pomocy...

Oczywiście, że nie pomocy. Mężczyźni nie potrzebowali pomocy.

– Rady?

– Aprobaty.

Hm.

– Chcesz, aby cię lubiła.

– Tak. – Jego głos stał się głośniejszy i Issy wyobraziła sobie, jak wstaje z krzesła, może przeczesuje włosy dłonią, i podchodzi do okna, by wyjrzeć w ciemność na zwilżoną deszczem ulicę.

Albo i nie. Ale deszcz obijający się o szybę działał jej na wyobraźnię.

– A więc zacznij od najprostszych rzeczy.

– Mam jej wysłać kwiaty? Przynieść czekoladki?

Issy uśmiechnęła się. Czeka ją dużo pracy.

– Miałeś kiedyś dziewczynę, ChłopakuZSąsiedztwa?

– Tak. W college’u. Spotykaliśmy się. Ale to ona za mną goniła, nie... Cóż, powiedzmy, że nie musiałem się bardzo starać.

Hm. Ktoś na forum utworzył wątek o nazwie *Co z tym ChłopakiemZSąsiedztwa?*. Spragnieni miłości wyrobili już sobie o nim opinie.

DorothyP: Musi po prostu ją przeprosić.

MaszMojeSerce07: Za co? Mam dość mężczyzn, którzy przepraszają, kiedy nie mają pojęcia, co zrobili źle.

KsięgaPrzysłów31: To nie ma znaczenia. Przeprosiny przełamują lody. Pamiętajcie, miłe słowo pokonuje złość.

Kupidyn87: Brzmi jak tępą osiłek. Nie musiał za bardzo się starać? Straszny z niego arogant.

Issy uśmiechnęła się, gdy Chłopak poczuł się w obowiązku dodać:

– Źle to zabrzmiało. Po prostu byliśmy oboje w college’u i nie traktowaliśmy się poważnie. Szczerze mówiąc, nie angażowałem się specjalnie w ten związek. No i potem życie tak jakby rzuciło mi kłody pod nogi, a ona nie zdecydowała się ze mną zostać.

Issy miała ochotę zapytać, co takiego mu się przydarzyło, ale jego głos stał się chłodniejszy. *Zakaz wstępu.*

Widząc ożywienie forum, zapragnęła bardzo samolubnie, aby zadzwonił ponownie. A jeśliby mu pomogła z tym – jak to powiedział? – *przedsięwzięciem?* Może to podniosłoby jej słuchalność na tyle, by ocalić „Moje Niemądre Serce”.

Uświadomiła to sobie nagle i słowa wypłynęły z niej niemal instynktownie.

– Wiesz, co, ChłopakuZSąsiedztwa? Pomogę ci oczarować tę dziewczynę. Rób wszystko, co ci powiem, a za miesiąc będzie w tobie zakochana po uszy – powiedziała to bez dumy. W jej głosie było więcej słodyczy i zachęty niż pewności siebie. Ale cóż, wiedziała, czego kobiety szukają w mężczyźnie.

A przynajmniej wiedziała, czego ona szuka.

W końcu miała swoją listę.

Usłyszała po drugiej stronie słuchawki jakiś dźwięk, coś jakby stłumiony okrzyk zaskoczenia. Albo strachu. Ups, nie chciała go wystraszyć.

– Och, ChłopakuZSąsiedztwa, nie chcesz się zakochać?

Cisza. A potem:

– Nie wiem.

Unika jednoznacznej odpowiedzi. Tak, ChłopakZSąsiedztwa wydawał się być bardzo interesującym, bardzo lukratywnym dzwoniącym.

– Zacznij od tego, aby jej wysłuchać. Jakiegokolwiek miała skargi, popracuj nad nimi. Pokaż jej, że jej zmartwienia są dla ciebie ważne. A później zadzwoń do mnie jeszcze raz. – *Proszę, zadzwoń do mnie*

jeszcze raz.

– Mam coś teraz powiedzieć? Coś w stylu „dziękuję, Panienko Niemądre Serce”?

Słyszała kpinę w jego głosie, ale jakoś jej to nie przeszkadzało. Jakby kpił też sam z siebie.

– Może być. Powodzenia, ChłopakuZSąsiedztwa. – Wyciszyła go i puściła reklamę, zerkając na forum.

Kupidyn87: Myślicie, że to zrobi?

PanienskaNiemądreSerce: Jeśli chce zdobyć jej serce, to zrobi. Kobieta lubi mieć poczucie, że jej zdanie jest ważne. Popatrzcie na pana Darcy’ego. Wysłuchał obaw Elizabeth i nic jej nawet nie mówiąc, znalazł jej siostrę oraz sprawił, że poślubiła Wickhama. Dzięki niemu Elisabeth znów poczuła się bezpieczna.

Wszystko zawsze do tego się sprowadzało, prawda? Do poczucia bezpieczeństwa.

Duncan uniósł łeb. Pacnął ogonem o podłogę.

Nie chcesz się zakochać?

Pytanie, które mu zadała, nie dawało jej spokoju przez resztę programu. W jego zawahaniu było coś... rozumiała tę pauzę.

Nie.

Cóż, może.

Tylko, jeśli to nie będzie bolało.

Zakończyła program tradycyjnym sloganem i już miała się wylogować, gdy zobaczyła prośbę o prywatny chat. Od Elliota.

Elliot: Widziałaś, jak wzrosła aktywność po telefonie ChłopakuZSąsiedztwa? Myślę, że trafiło ci się coś interesującego.

PanienskaNiemądreSerce: Wiem. Jak myślisz, dlaczego kazałam mu zadzwonić jeszcze raz?

Elliot: Jesteś genialna, PNS.

PanienskaNiemądreSerce: A teraz wykombinuj, jak przekuć to w zainteresowanie reklamodawców.

Wylogowała się. Bez wątpienia Elliot spędzi całą noc, pracując nad propozycjami dla nowych sponsorów.

Może uda jej się nie tylko poprawić statystyki, lecz także ułatwić życie jednej kobiecie.

Zgasła światło w gabinecie; zauważyła, że u sąsiada wciąż się pali. Niebieskawa biel rozlewała się na dżunglę przed jego domem.

A co z jego listą rzeczy do zrobienia? Może i wyszła na idiotkę, lecz nie zmieniało to faktu, że żył w Amazonii i że zniszczył jej bratki. Czy skoszenie trawy to naprawdę taki wielki wysiłek? Może mógłby parkować samochód przy ulicy?

Duncan wstał i zbiegł za nią z łoskotem po schodach. Poszła do kuchni i nastawiła wodę na herbatę. Gdzieś obok zgasło światło, pogrążając dom sąsiada w ciemności.

[10] Mysz z amerykańskiej kreskówki przypominająca Supermana.

[11] Fragment *Romea i Julii* Williama Szekspira w tłumaczeniu Józefa Paszkowskiego.

siedem

– I jak im idzie, trenerze?

Siedzący na ławce Caleb uniósł głowę znad sporządzanych właśnie notatek.

– Cześć, Dan. – Świetnie. Teraz pastor będzie mógł złożyć raport bywalcom kawiarni o tym, jak to trener trenował zawodników z ławki. Dan widział ich również wczoraj rano, jak siedzieli na trybunach.

Prawda była taka, że podopieczni Caleba po prostu nie biegali tak szybko i nie starali się tak mocno, jeśli nikt nad nimi nie stał. Ale Caleb po prostu musiał usiąść. Już po godzinie stania, biegania, ukrywania tego, że kuśtyka, niemal omdlewał; a jego stan tylko się pogarszał wraz ze wzrostem temperatury poranka.

Długiego poranka.

Poranka spędzonego w męczarniach.

Dodać do tego jeszcze drużynę, która od dwóch lat przegrywała, i nieprzyjemną atmosferę przed początkiem sezonu, a Caleb miał ochotę wrócić do domu, wymoczyć nogę i poważnie zastanowić się nad sobą. Dlaczego w ogóle łudził się, że podoła tej pracy?

Po trzech dniach treningów musiał przyznać, że potrzebna mu była pomoc. Na przykład asystent, który pomógłby mu z zagrywkami, zamienił słowa w czyny. Caleb nigdy nie nastawiał się na to, że będzie musiał robić wszystko sam – komisja szkolna wspominała przecież o ochotnikach.

Dni takie jak dzisiaj wzbudzały w nim dawne pragnienie, by poprosić Boga o pomoc. Ale Bóg zrobił już wystarczająco dużo, czyż nie? Caleb musiał sam stanąć na nogach. To znaczy, w przenośni. Tak czy siak, wdzięczność na pewno nie polegała na marudzeniu.

Bóg zesłał mu tę pracę i Caleb miał zamiar wykonać ją dobrze.

– Dobrze im idzie – odparł, z pewnym napięciem. – Myślę, że mają w sobie potencjał, by stworzyć mocną drużynę. Oczywiście, jest tu ich tylko połowa. Druga połowa przejmie boisko po południu, trenując z Brewsterem.

– Wrócisz, żeby popatrzeć?

Właściwie miał w planach skoszenie trawnika. Ale to nie zabrzmiało zbyt dobrze, prawda? Domowe porządki zamiast przyglądania się konkurencji? Ale... jeśli to Isadora Presley była tak naprawdę jego konkurencją? Wpadł na to dopiero wczorajszej nocy... bo co, jeśli naprawdę go nie lubiła? Powiedziałyby o tym ojcu? I komisji szkolnej?

Nie. To obawa przed porażką produkowała takie kłamstwa; wszystko po to, aby miał wieczny powód do zmartwień.

– Poczekam, aż będą na pozycjach, a potem kilka razy objadę boisko – powiedział, spoglądając na Dana. – Jak leci? Co tam u Ellie?

– Chciałaby, żebyś zgłosił się do ochotniczej straży pożarnej. – Dan usiadł obok niego na ławce. – Przysłała mnie, abym przyparł cię do muru.

Uśmiechnął się, ale Caleb już tego nie widział, bo patrzył, jak Ryan ćwiczy akcję biegową, omijając graczy na środku boiska.

– Okej, Ryan, chcę, żebyś poćwiczył po prostu odbieranie piłki od Merritta. McCormick, Walker i Benson, stańcie w linii i przekazujcie sobie piłkę z rąk do rąk, po prawej i po lewej stronie.

Powinien wstać i pokazać, o co mu chodzi, ale po trzech godzinach stania mógłby zwyczajnie paść prosto na twarz.

McCormick wciąż kiepsko biegał, upuszczał piłkę zbyt często, aby można było na niego liczyć. I nie wkładał wiele wysiłku w zwody. Obrona przejrzy jego zamiar w mgnieniu oka i powali na ziemię, nim chłopak zrobi pierwszy krok.

– O, teraz było dobrze. Wiesz, pamiętam twoją koncentrację podczas tamtej akcji. Nie straciłeś zimnej krwi. Jakbyś odbył kiedyś jakieś szkolenie.

Caleb wciąż gapił się na boisko.

– Bo odbyłem. Byłem sanitariuszem w Gwardii Narodowej.

– Naprawdę? – Dan był zaintrygowany. – Przydałby się nam sanitariusz...

– Chciałbym pomóc, pastorze, ale jestem tutaj po to, żeby trenować zawodników.

– Mamy w naszej ekipie trzech byłych graczy oraz dwóch członków komisji szkolnej.

Dan wiedział, jak to rozegrać.

Niestety jednocześnie to mogła być idealna okazja do tego, by pokazać światu słabość Caleba.

– Pomyślmy za te dwa tygodnie, okej? – Do tego czasu być może będzie miał już tę pracę.

Wtedy będzie im mógł powiedzieć prawdę.

– Brzmi rozsądnie. – Dan położył mu dłoń na ramieniu i ścisnął lekko. – W sobotni rano odbywa się u nas w parafii krąg biblijny dla mężczyzn. Bardzo chciałbym cię tam zobaczyć. – Wstał.

– Dan, mogę cię o coś zapytać?

– Pewnie.

– Co dokładnie przydarzyło się córce trenera Presleya? Mitch powiedział, że cierpi na zespół stresu pourazowego.

– To smutna historia. Tamtego dnia, akurat mniej więcej o tej porze roku, padał deszcz. Trener i jego żona siedzieli na przednich siedzeniach, gdy w bok ich auta uderzyła ciężarówka. To się zdarzyło na światłach na rogu...

– Tam, gdzie ten wypadek w zeszłym tygodniu.

– Tak. Samochód aż się obrócił. Matka Issy prowadziła, została uwięziona w środku. Trener wyleciał przed przednią szybę. A Issy siedziała z tyłu, wyszła z tego praktycznie bez szwanku. Przez długi czas nie mogłem zapomnieć tamtego obrazu. Gdy przybyliśmy na miejsce wypadku... samochód stał już w płomieniach, a Issy nie chciała zostawić matki. Wydaje mi się, że siedziała tam, dopóki cały samochód nie spłonął. Wreszcie ugasiiliśmy pożar, uwolniliśmy je, ale Gabriella zmarła na ulicy. Okropny wypadek dla wszystkich, lecz szczególnie bolesny dla Issy.

Przerwał, a Caleb zerknął na niego.

Dan miał na twarzy bolesny grymas.

– W dzień pogrzebu dostała okropnego ataku paniki. Zamknęła się w łazience, a policja musiała wyjąć drzwi z zawiasów, by się do niej dostać. Gdy ją znaleźliśmy, mówiła całkiem od rzeczy, przeżyła załamanie nerwowe. Właściwie... od tamtego czasu nie opuściła domu.

To było coś więcej niż zespół wstrząsu pourazowego. Caleb znał ten rodzaj strachu, który wwierał się w ciebie, rozrywał na strzępy kawałek po kawałku, sprawiał, że miałaś cały czas wrażenie, że już nigdy nie staniesz się na powrót całością.

– Mieszka tuż obok mnie.

– Widziałaś ją?

– W bibliotece, tak się składa.

– To dobrze. Słyszałem, że robi postępy. Może uda ci się do niej dotrzeć. Wiem, że trener się o nią martwi. – Obrócił się w stronę boiska. – A tak przy okazji, twój biegacz musi się bardziej postarać przy zwodach. Zbyt łatwo go przejrzeć.

Caleb gapił się na niego, gdy Dan odchodził. Coś w nim zawrzało i kazało mu zawołać:

– Hej, Dan, jeszcze jedno!

Dan obrócił się.

– Chcesz... pomóc mi w treningach? Przydałby mi się asystent.

Twarz pastora powoli rozjaśnił uśmiech.

– Będę tu o szóstej rano.

Słońce stało wysoko na niebie, gdy Caleb przyjechał do domu. Roger przywitał go na ganku. Caleb podrapał psa między uszami, potem obszedł samochód, otworzył klapę i wysunął rampę. W Schuman Sports znalazł tylko jedną samobieżną kosiarkę, której kupno kosztowało go jedną czwartą jego renty inwalidzkiej.

Wziął kanister z benzyną i odkręcił wlew paliwa. Zacznie dzisiaj od trawnika z przodu domu, a jutro przeniesie się na tyły.

A później może zasadzi na nowo bratki.

Kilka mocnych pociągnięć i kosiarka ruszyła z warkotem. Dzięki niej utrzymywał równowagę, prawie jak przy balkoniku do chodzenia, gdy kierował się powoli wzdłuż trawnika, tam i z powrotem. Wilgoć osadzała się na jego spodniach i butach.

Zawrócił, by skosić kolejne pasmo. Rzeczywiście wyrosła tu niezła dżungla. Może nie kosił idealnie, ale w promieniach słońca trawnik i tak zaczął lśnić jak szmaragd. Zapach uderzył Caleba w nozdrza i przeniósł do lat dzieciństwa, gdy jako mały chłopiec kładł się na świeżo skoszonej trawie, przesuwając palcami stóp po kłujących źdźbłach. We wspomnieniach złapał piłkę, zablokował ręką swojego brata, upadł na ziemię i szamotał się z nim na trawniku przed domem.

Pewnego dnia chciałby tak szarpać się o piłkę ze swoimi synami, chciałby patrzeć, jak próbują się nawzajem przegonić. Jego marzenia nie były wielkie – nie po Iraku. Chciał po prostu ułożyć sobie normalne, małomiasteczkowe życie. Takie, jakie wiedli jego rodzice.

Roger zerwał się z podjazdu w stronę chodnika i zaczął szczekać. Caleb obrócił się w tamtą stronę.

Wow.

Isadora Presley miała wspaniałe nogi. To nie powinna być jego pierwsza myśl, ale tak się złożyło, że dziewczyna idąca chodnikiem miała na sobie szorty, na głowie niebieską czapkę z daszkiem, a ciemne brązowe włosy zebrała w kucyk i przeciągnęła przez otwór z tyłu czapki. Kitka podskakiwała raz po raz, gdy Isadora szła szybko na tych swoich opalonych nogach, których nie powstydziliby się żaden długodystansowiec.

Zatrzymała się... a raczej zwolniła. Spojrzała na trawnik.

A potem na niego.

Uniósł dłoń.

– Cześć, sąsiadko!

Stała tam jeszcze chwilę, aż w końcu też się uśmiechnęła – szybko i z obowiązku, po czym ruszyła pośpiesznie dalej.

Minęła jego dom jeszcze pięć razy, nim skończył. Nie zatrzymała się więcej, ani nie zwolniła. Schował kosiarkę na tyłach ogrodu i wszedł do domu przez tylne wyjście. Położył się na podłodze, starając się nie rozplakać z bólu.

Skosić trawnik – odhaczone.

– To Seb-a-na-TOR!

Chociaż raz Seb chciałby wejść do pomieszczenia bez Wielkiego Mike’a, byłego zawodnika środkowego w reprezentacji stanu, który zawsze ogłaszał jego przybycie.

Z drugiej strony przez moment nawet poczuł coś ciepłego i miłego. Całe lata był nikim. To miłe, znów być kimś.

Bohaterem, na przykład.

Nikt nie musiał znać prawdy, no nie?

Uniósł rękę na przywitanie Bamowi, który siedział na stołku przy barze. Bam miał szerokie ramiona, potężny kark i głowę ogoloną na łyso. Dawny zawodnik linii obrony wciąż mógł wzbudzić strach w każdym, kto śmiał mu się sprzeciwić, włączając w to tych biedaków, którzy przyszli do towarzystwa kredytowego po pożyczkę.

– Szósta bila, lewa kieszeń. Hej, Seb. – Pete Watson, którego nazywali P-Train, wpakował bilę do kieszeni w rogu. Poszło gładko, zupełnie jak jego sprint na boisku.

Neonowy napis w oknie nad P-Trainem reklamował specjalne piwo beczkowe; nad nim wisiały zdjęcia stałych klientów, weteranów wojennych. Knajpa serwowała też najlepsze hamburgery w mieście, właściciel dawał pograć za darmo w bilard i pozwalał Jay’owi i jego kapeli przeprowadzać próby w każdą środową noc.

Jay podszedł do mikrofonu.

– Pijesz dzisiaj za darmo, Sebanator.

Seb podziękował mu skinieniem głowy, ale nie zamierzał skorzystać z oferty. Nie pił, już nie. Właściwie po tamtej nocy, gdy Lucy przyłapała go z Bree in flagranti, powinien był zrezygnować z alkoholu. Niestety, miał przed sobą jeszcze kilka mrocznych lat po niepowodzeniu w Iowa State. Musiał robić coś, co pozwalało mu zapomnieć o popełnionych błędach.

Ale jakieś dwa lata temu wziął się w garść, poszedł do kościoła i padł na kolana przed krzyżem. Choć było mu niewypowiedzianie źle, wypłakiwał oczy z powodu swoich grzechów i obiecał zacząć od nowa.

Może nawet któregoś dnia tam, w Deep Haven. Nie zamierzał się poddawać, choć początki okazały się trudne. Nie miał już problemów z alkoholem – wystarczyło mu, że spojrzął na ojca, a wiedział, jak może skończyć.

Podszedł do baru i zamówił colę. Bam spojrzął na niego dziwnie, ale Seb to zignorował. Usiadł na stołku obok Wielkiego Mike’a, który głośno zastanawiał się, na kogo postawić pieniądze w turnieju bilardowym.

– P-Train wie, jak dobrze wbijać, ale czasem robi to na chybił trafił. Ale Dee, ten to ma talent.

Szybko nadrobi cichcem różnicę i w ostatniej chwili odbierze ci wygraną.

Dj Teague uniósł głowę i uśmiechnął się. Zawsze się uśmiechał. Bycie jedynym Amerykaninem afrykańskiego pochodzenia w chyba ostatnim miasteczku na północy nie mogło być łatwe. Ale z racji tego, że świetnie łapał piłkę, to jedynym kolorem, jaki dostrzegali u niego ludzie, był niebieski – barwa drużyny Huskies.

Zabawne, że Seb wciąż widział tych chłopaków w ich strojach, z numerami na plecach. Pewnie każdy z nich potrafił w myślach prześledzić wszystkie zagrywki z każdego meczu, a już zwłaszcza „Chaos Rozgrywającego”. Czasami Seb sam widział się oczami wyobraźni, idącego w kierunku linii bocznej. *Trenerze, Deej nie zna tej zagrywki! On nie zna zagrywki!* Dostrzegał kątem oka, jak obrońcy tracą koncentrację, prostują się.

To wystarczyło, by atakujący ich zmiażdżyli, a on sam poleciał jak na skrzydłach ku polu punktowemu. Jeden ze słynnych magicznych trików Presleya.

– Jak idzie trening? – Mike uniósł szklanę Seba, powąchał napój i skrzywił się. Seb wyjął mu ją z ręki.

– Dobrze. Wreszcie porozstawiałem ich na pozycje. Przez pierwsze dwa dni przegoniłem ich tak, że nie widzieli na oczy.

P-Train wpakował kolejną bilę do luzu i oparł się na kiju.

– Przechodziłem koło boiska, gdy wracałem ze swojej zmiany w tartaku. Widziałem, jak biegali po trybunach. Nienawidziłem tego. Masz jakichś rzygaczy?

– Nie. Sam nie lubiłem czuć się całkiem wypompowany. Ale i tak dałem im wycisk. Później kazałem im jeszcze zrobić parę ćwiczeń. A na koniec zagraliśmy krótki mecz, żeby mieli trochę frajdy.

Bam zszedł ze stołka.

– Frajdy? Futbol sprawia jakąś frajdę?

– Tylko, jak wygrywasz! – zawołał Deej i wbił ósmą bilę.

P-Train nakredował koniec kija.

– A więc mamy drużynę na mistrzostwa stanowe, Seb?

– Nie wiem. To zależy od tej drugiej grupy, drużyny trenera Knighta. Ma u siebie rozgrywającego z czwartej klasy, Jareda Ryana. Ja dalej nie jestem pewien, kto ma u mnie rzucać piłkę.

Gdy Seb obudził się tego ranka, miał przemożną chęć, żeby pojechać do Najlepszych Pączków na Świecie. Zamiast tego udał się na trening Knighta i patrzył, jak Caleb każe swoim podopiecznym wykonywać różne ćwiczenia. Zanotował sobie w głowie, że może zrobić to samo. Potem pojechał na plażę i przez dobrą godzinę puszczał kaczkę, czując strach rozlewający się po kościach. Postanowił, że porozstawia graczy na pozycjach i zobaczy, co potrafią.

Narzekać, to na pewno. Nie pamiętał, by którykolwiek z nich narzekał, gdy trener Presley kazał im biegać.

Seb nie miał pojęcia, jak zmienić tych chłopaków w zdyscyplinowaną drużynę gotową zdobyć mistrzostwo. Pewnie, Knight siedział czasami na ławce, ale przez większość czasu Seb widział go stojącego na boisku z notatnikiem w ręku. Przywołał swojego biegacza, porozmawiał z nim chwilę i wysłał z powrotem do gry. I następnym razem dzieciak zrobił bardziej wiarygodny zwód.

Seb widział postępy drużyny Knighta, a to był dopiero trzeci dzień.

Seb potrzebował pomocy. Dlatego przyszedł do VFW, by ją uzyskać.

– A co, jeśli drużyna Knighta nas rozniesie? To nie może się wydarzyć, chłopaki. Chcę zostać trenerem. Chcę być najlepszy, chcę zobaczyć, jak zdobywamy kolejne trofeum do kolekcji w szafce przy

sali gimnastycznej. Więc... potrzebuję waszej pomocy.

P-Train uśmiechnął się.

– Jestem za. O której?

– Jeśli przełożę trening na po obiedzie, myślicie, że będziecie mogli przyjść? Mike i P-Train mogą pokazać zawodnikom parę zagrywek. Bam, ty możesz nauczyć ich szarżować, a Deej popracuje ze skrzydłowymi. Ja skupię się na rozgrywającym.

– Jaki mamy plan? – zapytał Mike.

– Knight uczy swoją drużynę podstaw. Musimy dysponować lepszymi zagrywkami, niż oni. Mam tajną broń: wszystkie oszukańcze zagrywki trenera Presleya, o tutaj. – Popukał się w głowę. – I nauczymy je naszych chłopaków.

Bam uniósł kufel.

Mike przybił mu żółwika.

– Widzicie, potrzebowaliśmy tylko Husky’ego z krwi i kości, który stanąłby u steru. A kto nadaje się do tego lepiej niż nasz rozgrywający, reprezentant stanu? – Uniósł kij. – Dlaczego zajęło ci to tak długo, stary?

Seb uśmiechał się sztucznie.

– Miałem parę zajęć po college’u. – Parę zajęć? Czasami cierpła mu skóra od własnych słów, ale skoro już zaczął, musiał skończyć. – Rozkręciłem kilka biznesów. – Jeśli jako własny biznes można określić sprzedawanie kuponów od drzwi do drzwi. To były mroczne czasy. Albo przynajmniej po części składające się na mrok.

– O, naprawdę? Miałeś swoją firmę? – Bam zajął miejsce Mike’a, gdy P-Train zaczął rozstawiać bile do nowej gry. – Układałeś kiedyś biznesplan?

– Pewnie, setki. Studiowałem finanse. – No dobrze, przez chwilę, jako jeden z kierunków studiów. Dużo razy je zmieniał, porzucał... oblewał. Upił łyk coli i poczuł smak kłamstw. – Właściwie...

– Ktoś przyszedł dzisiaj do nas po pieniądze. Ale nie miała pojęcia, co robić, a potrzebny jej biznesplan, bym mógł zatwierdzić pożyczkę. – Bam rzucił dziesięć dolarów na stół. – Stawiam na P-Traina.

Mike posłał mu mordercze spojrzenie.

– W porządku. Mam trochę czasu, nim rozpocznie się szkoła – powiedział Seb. Nic złego się nie stanie, prawda? Wyciągnął pięć dolarów i dodał do kupki. – Na Traina.

– Super. Powiem jej, żeby wpadła. Będziecie mieli trochę do nadrobienia, ale powinno być fajnie. – Bam spojrzał na Seba i mrugnął do niego.

Złe przecucia ścisnęły Seba za gardło.

– Jak się nazywa?

Mike rozbił bile i wpakował dwie do luz. Posłał Sebowi uśmiech szeroki jak u rekina.

Bam dopił swoje piwo.

– Sorry, stary, myślałem, że o tym wspomniałem. To Lucy. Lucy Maguire.

Seb zamknął oczy. Oczywiście, że ona.

Nie miało znaczenia, że ChłopakZSąsiedztwa nie zadzwonił, prawda?

Naprawdę, nie miało znaczenia.

Issy siedziała w salonie, opierając stopy o drewniany stolik i malując paznokcie na głęboki róż. W

powietrzu unosiły się dźwięki piosenki *The Winner Takes It All* ABBY z iPod'a włożonego do stacji dokującej. Przez otwarte okna wpadały do środka zapachy jeziora, sosen i róż otaczających schody od frontu, tworząc mocny aromat lata, zmieszany jeszcze z nutą świeżo skoszonej trawy.

Jej sąsiad skosił trawnik. I to nie tylko z przodu domu – jak mogła oczekiwać. Dzisiaj obudził ją jałgot kosiarki, która równała z ziemią sawannę na tyłach jego posesji. Issy stanęła w oknie gabinetu, by obserwować go dyskretnie.

I pewnie robiła to zbyt długo, ale trener Knight miał naprawdę wspaniałe ramiona, silne i opalone, zeszpecone tylko kawałkami spalonej skóry, które pokrywały jego prawą rękę i większą część szyi. Issy zawstydziała się nieco, krzywiąc się na widok tych blizn. Ale nim skończył kosić, przestała zwracać na nie uwagę. Dostrzegła natomiast, że jej sąsiad ma ładny kształt głowy, gdy zdjął czapkę, by otrzeć pot z czoła. Może i był inny, ale wzbudzał zaufanie.

Tak czy siak, pot lał się z niego strumieniami na postrzępioną brodę, która dziwnie nie pasowała do ogolonej czaszki.

Issy lubiła porządnie ogolonych mężczyzn.

Dlatego wreszcie zmusiła się, by odejść od okna.

Zajrzała na forum, gdy on kończył koszenie. Odkryła, że nie tylko jej brakowało wiadomości od ChłopakaZSąsiedztwa. No forum aż kipiało; bywalcy starali się dociec przyczyn jego nieobecności.

Kupidyn87: Mogę się założyć, że nie zrobił nic z tego, co radziła mu Panienska Niemądre Serce. Pewnie rozłączył się, walnął na kanapę i zasnął z pilotem w ręku. Za bardzo się wstydził, by pokazać swoją twarz.

KsięgaPrzysłów31: Nie ma mowy. Nie zadzwoniłby, gdyby naprawdę nie chciał zwrócić uwagi tej dziewczyny. Pewnie pracował ciężko nad listą jej skarg i padł teraz bez siły.

DorothyP: Chciałabym, żeby mój chłopak zrobił choć jedną rzecz z mojej listy.

Issy zalogowała się i zwróciła im uwagę, że być może ta dziewczyna zauważyła, co on dla niej zrobił, i teraz spędzają razem wieczór na romantycznej kolacji.

– Issy? – Zza uchylonych drzwi z siatki dobiegł ją głos Lucy. Przyjaciółka weszła do środka, nie czekając na odpowiedź.

– Tutaj. – Issy nałożyła ostatnią warstwę Jagodowej Eksplozji na swoje paznokcie i odchyliła się do tyłu. Oj, niedobrze. Sądząc po sposobie, w jaki Lucy powłóczyła nogami, niemal rzuciła torebką z pączkiem na stół i opadła na ulubiony fotel trenera Presleya... Cóż, ktoś tu potrzebował pączka bardziej niż Issy.

– Wszystko w porządku? – Issy podniosła torebkę i otworzyła ją. Pączek z lukrem.

– Mark Bammer odmówił mi udzielenia pożyczki. – Lucy odchyliła się na krześle. – Nie mogę w to uwierzyć. Powiedział, że jeśli chcę dostać pożyczkę na zbudowanie *drive-through* albo nawet na okienko wychodzące na zewnątrz, potrzebuję biznesplanu.

– No to napisz biznesplan.

– Jestem beznadziejna z matematyki, beznadziejna w liczbach... i ogólnie przy prowadzeniu biznesu. Robię pączki. Sprzedaję je ludziom. Uśmiecham się i pytam o ich wnuki albo psy. Nie piszę biznesplanów. Nigdy nie musiałam tego robić. – Lucy podkuliła nogi i podwinęła nogawki spodni.

– Możesz się tego nauczyć. Jest tyle informacji w internecie...

– To twój świat, nie mój. Nie wiedziałabym nawet, gdzie zacząć.

– A co, jeśli zatrudniłabyś księgowego?

– Pieniądze. Wiem, że ty nie musisz się o to martwić, ale ja nie mogę zapłacić księgowemu pączkami. – Przeciągnęła się i złapała lakier do paznokci.

– Ha. – Tak naprawdę Issy starała się mocno nie myśleć o pieniądzach. Ugoda z firmą produkującą

ciężarówka wydawała jej się opłacona krwawymi srebrnikami. Nienawidziła tych pieniędzy, które pokrywały rachunki ojca, mimo że ich potrzebował. Wolałaby sama na niego łożyć. – No nie wiem. Robisz naprawdę fantastyczne pączki.

Oczy Lucy się zwęziły, gdy spojrzała na nią. Oparła nogę na stoliku i zaczęła malować paznokcie.

– Jak umrę, wyryją mi na nagrobku: *robiła fantastyczne pączki*.

Issy wyciągnęła pączka z torby i ugryzła go.

– Co w tym złego? Na moim wyrują: *Pomagała innym się zakochać, chociaż sama nigdy nie była na randce*.

Przez chwilę patrzyły na siebie. Później Lucy uśmiechnęła się.

– Dobra wiadomość jest taka, że Bam zostawił mi wiadomość na sekretarce po południu. Powiedział, że znalazł kogoś, kto może mi pomóc. I to bez pączkowej zapłaty. Mam się z nim spotkać wieczorem w Blue Moose.

– I stąd ta chęć malowania paznokci.

– To pewnie jakiś emeryt z wielkiego miasta, który chce jakoś zabić czas. Ale przyjmę każdą pomoc. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak się czułam, siedząc naprzeciwko Bama i słysząc jego: „Nie, nie pożyczę ci pieniędzy”.

– Zawsze miał do ciebie słabość. Nie mogę uwierzyć, że odrzuciłaś go w pierwszej klasie, a rok później zaczęłaś spotykać się z Sebem.

– Ma problem ze zrozumieniem, co to znaczy nie. – Nie patrzyła na Issy, gdy kończyła malować paznokcie. W końcu zakręciła lakier. – W każdym razie, przyszedłam, żeby zabrać cię do spożywczaka.

– Czuję się jak staruszka.

Lucy uniosła brew. Issy rzuciła w nią poduszką.

– Hej, ktoś tu grilluje? – zapytała nagle Lucy, dmuchając na paznokcie.

Rzeczywiście, zapach piekących się na grillu hamburgerów ściągnął Issy z kanapy. Obróciła się, by wyjrzieć za okno.

– Teraz grilluje. Zniósł grill z tarasu i postawił na środku trawnika. Siedzi na krześle i rzuca piłkę Duncanowi.

Musiała przyznać, że dobrze radził sobie z piłką. Rzucał ją wysoko w górę, gdy pies czekał. Duncan rzucał się wtedy za nią, biegnąc zygzakiem po trawniku jak szalony. Chwytał ją w masywne szczęki i odnosił.

– Był w bibliotece w tym tygodniu. Dowiedziałam się, jak ma na imię.

– Ciekawe jak? Ukradłaś jego kartę biblioteczną?

Issy nadąsała się.

– Bardzo śmieszne. Caleb Rycerz^[12]. Możesz w to uwierzyć? Caleb Knight. I to nie wszystko... jest też nowym trenerem.

– Żartujesz sobie ze mnie. To nowy trener? Widzisz, doskonały romans może znajdować się po sąsiedzku. – Lucy puściła oko do przyjaciółki.

– Dajesz występy codziennie? Bo naprawdę jesteś przezabawna. – Issy obróciła się znów do okna.

Caleb zatrzymał piłkę w dłoniach, choć udał, że ją rzuca. Pies podskakiwał z niecierpliwości.

Lucy stanęła obok niej. Patrzyły przez dłuższą chwilę na tę scenę.

– Szkoda, że obowiązuje ta trzecia zasada, co?

Issy spojrzała na nią.

– Może nie wszyscy futboliści są tacy sami.

Lucy przysiadła na brzegu sofy.

– Sama to wymyśliłaś? Powaliło mnie głębią.

Issy westchnęła.

– Mówię tylko, że może mogłabym zmodyfikować punkt numer trzy. Może nie będę spotykać się z niektórymi graczami. Takimi, co gwiazdorzą. Tylko z tymi, którzy nie wygrali mistrzostw stanowych.

– Gracze, którzy przegrywają. – Lucy uniosła brew. – Już widzę, dokąd to zmierza. Może będziesz spotykać się tylko z takimi, którzy grzeją ławę przez pół sezonu.

– Przez większość sezonu. Przez cztery mecze minimum. – Uśmiechnęła się. – No dobrze. To głupia zasada. Wykreślimy ją. Ale serio, jak na trenera ten facet wygląda jak siedem nieszczęść. Przydałoby mu się golenie i może mógłby założyć koszulkę, która nie jest podarta? I powinien dać sobie spokój z czapką. Wyobrażasz sobie, jak musi śmierdzieć?

Lucy skrzywiła się.

Issy spojrzała na Caleba. Wstał z krzesła i podniósł pokrywę grilla, by obrócić hamburgery.

– Pewnie to jedyna rzecz, jaką potrafi przyrządzić. Mięso gotowane nad ogniem.

W innym świecie, w innym życiu, mogłaby pójść do domu obok i zaprosić sąsiada na obiad. Ile to razy jej ojciec spraszał do domu całą drużynę na hamburgery w czwartek wieczorem przed piątkowym meczem?

Issy wróciła na sofę i złapała poduszkę.

– Jak fajnie byłoby, gdyby dało się po prostu... zamówić sobie idealnego faceta? Podać Bogu swoje wymagania i czekać, aż ładnie go zapakuje i postawi na twoim progu.

– Albo na progu domu obok? – Uśmiech igrał na ustach Lucy.

Bardzo śmieszne.

– Nie masz czasem spotkania z jakimś staruszkim?

– Zasada numer dziewięć. – Lucy wstała i wsunęła japonki. – Musi umieć gotować.

– Coś więcej niż hamburgery!

– Jesteś beznadziejna.

– Nie beznadziejna... po prostu... cóż, lepiej być ostrożnym, niż dać sobie złamać serce, prawda?

Uśmiech Lucy nieco przygasł.

– Racja. Tak. No chodź. Czas stawić czoła własnemu strachowi.

[12] Knight w języku angielskim oznacza rycerza (przyp. red.).

osiem

To nie była Lucy, którą pamiętał.

Ta, która kazała mu stanąć na stole piknikowym i recytować pełen pasji monolog Rochester, gdy prosił Jane, by za niego wyszła. Ani ta, która nawet nie patrzyła w jego stronę na korytarzu w szkole i nie pozwalała, aby do niej podszedł i ją przeprosił.

A tak właściwie zrobił to? Przeprosił ją?

Nie, to nie była ani śliczna, nieśmiała Lucy, ani zraniona Lucy. Obecna Lucy miała w sobie determinację, którą budowała przez dekadę. Gdy weszła do Blue Moose, dostrzegła go w boksie z tyłu i podeszła ze słowami:

– Czy to ciebie Bam przysłał do pomocy?

Przez chwilę niemal spanikował. Zabrakło mu tchu. Coś nie tylko wysało mu powietrze z płuc, ale i zatrzymało serce. Jedyne, co był w stanie zrobić, to pokiwać głową. Jakby znów miał siedemnaście lat i został przydzielony do pracy z nią nad zadaniem z angielskiego.

W końcu westchnął i obdarzył ją szczerym uśmiechem.

Obroż, która zacisnęła się wokół jego serca, trochę się rozluźniła.

– Cześć, Lucy. Um, jak się masz? – Wstał, wyciągnął do niej rękę. Ona zrobiła to samo. Jej dłoń pasowała idealnie do jego dłoni. Przytrzymał ją za długo.

Lucy usiadła naprzeciw niego.

– Cześć, Seb.

To on ją zdradził, ale gdy na nią patrzył, na jej słodki uśmiech, wszystkie uczucia, którym zaprzeczał przez tak długi czas, które tłumił, nagle wyrwały się na wolność. Wcale nie przestał jej kochać. Ani trochę. A te lata, gdy uciekał przed własnymi emocjami i próbował oczarować inne dziewczyny, nagle zaczęły mu ciążyć. *Boże, przepraszam za to, co jej odebrałem.*

Usiadł, czując, że jego ciało wciąż było nieco sztywne po dzisiejszym treningu.

– Więc – powiedziała, zsuwając torbę z ramienia – zostaniesz tutaj na dłużej?

– Tak. Tak naprawdę... wracam do domu. Będę pracował w szkole. I mam nadzieję, że będę też trenerem drużyny futbolowej.

– Naprawdę będziesz trenował drużynę?

– A dlaczego nie?

Lucy zdawała się nad tym zastanawiać.

– No i jak ci idzie?

– Dobrze, tak myślę. W przyszły piątek będzie mecz towarzyski. To jakby konkurs o posadę trenera. Kilku chłopaków z mojej starej drużyny pomaga mi przy treningach.

– Jestem pewna, że świetnie się przy tym bawią. – Przyglądała mu się przez chwilę, po czym za-

pytała: – Jak twoje ramię?

Tego się nie spodziewał.

– Lepiej. Dzisiaj jednak sporo rzucałem piłką, więc obłożę je lodem.

– To uderzenie wyglądało naprawdę strasznie. Przykro mi. – Mówiąc to, spuściła wzrok na blat, więc być może nie zauważyła, jak jego usta otwierają się lekko w zdumieniu.

To znaczy, że Lucy oglądała mecz, który zakończył jego karierę w Iowa State? Wziął głęboki oddech, walcząc z szalejącą w nim radością.

– To było straszne. Lekarzom nie udało się przywrócić pełnej sprawności. Choć przeszedłem nawet operację.

– Wiem. Pisali o tym w gazetach. – Teraz potrafiła już spojrzeć mu w oczy, jakby czytanie o jego przeżyciach w lokalnej prasie było bardziej akceptowalne, niż szukanie jego meczy w kablówce w sobotnie popołudnia. Tak, to wymaga większego zaangażowania.

Uśmiechnął się i raz jeszcze poczuł się jak siedemnastoletni chłopak, który spotyka się z najpiękniejszą dziewczyną w szkole.

– Bam wspominał coś o biznesplanie. Dlaczego go potrzebujesz? Prowadzisz przecież sklep z pączkami.

– Tak, ale... – Pochyliła się nad stołem, jakby dzieliła się z nim sekretem. – W Java Cup zaczęli serwować pączki.

– Wow, to....

– W zeszły weekend sprzedawałam dziennie średnio sześćset pączków mniej niż rok temu.

– Sześćset. – Powstrzymał się przed dodaniem: *Aż tak dużo?*

Widać bez sześciuset pączków nie czuła się już jak pączek w maśle.

– Przestań się szczerzyć – powiedziała. Zawsze potrafiła czytać mu w myślach, a nawet teraz na jej ustach igrał cień uśmiechu. – To poważna sprawa, Seb. Już teraz jestem do tyłu z pieniędzmi w tym sezonie. Wreszcie udało mi się ustalić, dlaczego tak się dzieje. To nie dlatego, że robię niedobre pączki...

– Robisz wspaniałe pączki – zapewnił z kamienną twarzą.

– Wiem, ale w tym tkwi problem. Jestem zbyt popularna. I nie jestem w stanie nadążyć. Muszę... się rozwijać. Jerry powiedział, że przydałoby mi się *drive-through*.

– *Drive-through?*

– Albo zwykłe okienko dla pieszych. Coś wychodzącego na zewnątrz, żeby poradzić sobie z dużą liczbą klientów.

– Dziura w sklepie z amerykańskimi pączkami. – Jednak nie potrafił przestać się szczerzyć.

– Jesteś słodki, ale to prawda. Jedyne problemy w tym, że potrzebne są do tego pieniądze. A ja ich nie mam.

– Więc musisz wziąć pożyczkę dla firm.

Skinęła głową.

– Mogłabym wynająć Gary'ego Starra i jego ekipę, by zrobili okienko w sklepie jeszcze przed Świętem Pracy, ale muszę im za to zapłacić. – Westchnęła ciężko. Była naprawdę poważna. – Pomożesz mi, Seb?

Ton, jakim to powiedziała, bez śladu ich wspólnej przeszłości i z ogromną nadzieją, sprawił, że Seb miał ochotę skoczyć na równe nogi i wrzasnąć: *Tak!*

– Ja...

Prawda była jednak taka, że nigdy nie napisał prawdziwego biznesplanu, nie był też właścicielem firmy. Był za to świadomy własnych porażek i miał cichą nadzieję, że Lucy nie przyjdzie, że nie będzie musiał robić z siebie głupca, że wymknie się po cichutku, a jego kłamstwa pozostaną nieodkryte.

Ale w końcu wrócił tutaj, by zawalczyć o drugą szansę, prawda? I przede wszystkim wiedział, jak to jest pracować na coś ciężko całe życie i później to utracić, niezależnie czy to z własnej winy, czy nie.

To nie może być takie trudne, prawda?

– Z przyjemnością ci pomogę.

Odchyliła się i uśmiechnęła promiennie. Ten uśmiech sięgał do jego wnętrza i rozświecał najciemniejsze zakątki.

– Naprawdę?

– Tak. Oczywiście. Ja... – Nie chciał powiedzieć *Jestem ci to winny*, by nie przywoływać złych wydarzeń z przeszłości, ale naprawdę był jej to winien. Użył więc innych słów, ułatwiając sobie i jej tę rozmowę. – Cóż, bez ciebie prawdopodobnie nie zdałbym angielskiego, więc przynajmniej tak mogę ci się odwdziaczyć.

– Zdałbyś i beze mnie, Rochesterze. – Lucy wysunęła się z boksu i podniosła torbę. – Muszę wracać do domu. O tej porze powinnam już być w łóżku. Ktoś musi rano wstać i zrobić te pączki. Dzięki, Seb.

Znów wyciągnęła do niego rękę. Jakoś zdołał ją ująć. Jakoś się uśmiechnął. Jakoś dał jej odejść i nie rzucił się za nią w pogoń.

Może znów będzie mógł zostać bohaterem.

Seb Brewster powrócił i jeśli Lucy prawidłowo odczytywała jego wyraz twarzy, był tak samo wstrząśnięty jej widokiem, jak ona jego.

Przeszła przez ulicę i skierowała się pod górę, w stronę domu. Powietrze było wilgotne, a gałęzie kołysały się na wietrze. Gdzieś w oddali rozległ się grzmot.

Wyglądało na to, że Seb wydorosłał. Już nie był tym nieśmiałym chłopakiem, który ledwo potrafił czytać. Tylko Lucy wiedziała o jego dysleksji i o tym, jak trudno mu było z tego powodu. Pomogła mu się nauczyć słowo po słowie tekstu dramatu na angielski, aż zapamiętał całość i mógł z pasją wyrecytować zadany fragment.

Uśmiechnęła się na wspomnienie, jak stał na stole piknikowym przy porcie i wyrzucał z siebie słowa z siłą grzmotu, usiłując przekrzyczeć fale.

Ponieważ – mówił dalej – podlegam niekiedy w stosunku do ciebie dziwnemu uczuciu, zwłaszcza gdy znajdujesz się blisko mnie, jak teraz; mam wrażenie, że gdzieś w okolicy lewych żeber mam umocowany sznur silnym węzłem spojony z takimże sznurem przytwierdzonym w takimże miejscu u ciebie...[\[13\]](#)

Dała się wtedy porwać marzeniom i wpadła w ramiona Seba. Została Jane, biedną i zwykłą, niewyróżniającą się i małą, ale za to kochaną. Pewnie przez to wystąpienie uwierzyła, że naprawdę ją kochał. Dlatego powiedziała „tak” tamtej letniej nocy, gdy nad ich głowami migotały gwiazdy.

Nigdy nie powinna była dawać wiary słodkim słówkom, wszystkim *na zawsze* czy *kocham*, które wypowiadał.

Lucy, szaleję za tobą...

Pewnie, że szalał. Tak bardzo, że zaraz po meczu poszedł świętować i świętował tak intensywnie, że szyby w jego samochodzie zaparkowanym na plaży aż zaparowały. Tej samej plaży, która znajdowała

się naprzeciwko Najlepszych Pączków na Świecie.

Szkoda, że zauważyła jego samochód, gdy szła do pracy wczesnym rankiem. Szkoda, że ciekawość zwyciężyła.

Całe lata zajęło jej wyrzucenie z pamięci widoku Bree i Seba. Jeszcze gorsze było to, że nigdy nie potrafiła pozbyć się obrazu samej siebie w jego ramionach. Prawdopodobnie z tego powodu, gdy Lucy weszła do kawiarni dziś wieczorem i zobaczyła go siedzącego w boksie, ubranego w białą koszulę i krawat, i te jego czarne, kręcone, krótko obcięte włosy, wszystko do niej wróciło. Wspomnienie tego, jak była jego dziewczyną, jak była w jego ramionach. I ta nadzieja na *I żyli długo, i szczęśliwie*.

W domu Issy wciąż świeciło się światło – o tej porze powinna być mniej więcej w połowie programu. U jej sąsiada również się paliło.

Zaraz... Czy Issy nie wspominała czasem, że to jej sąsiad jest nowym trenerem futbolu?

Nie wiedziała zbyt wiele o futbolu – tylko tyle, ile udało jej się podłapać, kiedy kręciła się blisko trenera Presleya, a starała się robić często, gdy Seb był w pobliżu. Jedno wiedziała na pewno: Seb Brewster potrafił doprowadzić każdą drużynę do zwycięstwa.

Nigdy jednak nie udało jej się zrozumieć, dlaczego po tym, jak doznał kontuzji, nie wrócił do Cyclones. Zrezygnował ze szkoły, w Deep Haven przestali o nim mówić, straciła go z oczu. Po prostu wyparował, stając się tylko kartą w historii drużyny futbolowej Huskies.

Ale teraz... trener Brewster. Tak, podobało jej się to.

Okolica wydawała się teraz bardziej złowroga niż wczesnym rankiem. Kolejny grzmot pioruna rozległ się już bliżej. Przyspieszyła kroku.

Pomożesz mi, Seb? Włożyła w te słowa wszystko. Każdą uncję desperacji i nadziei. Dostrzegła też to, jak wygląda w tym momencie. Taka mała. Taka zwykła.

Taka załamana. Aż...

Jego oczy. Rozświetliło je coś, co rozpoznała – a przynajmniej tak jej się wydawało. Patrzył na nią w ten sam sposób, jak tamtego dnia, gdy nauczycielka przydzieliła ich do jednej grupy, by pracowali razem. I w tej samej chwili zrozumiała, że on wcale o niej nie zapomniał, ani trochę.

Dotarła prawie do domu, była już na ulicy, przy której mieszkała. Nad jej głową migotały gwiazdy, zdawało się, że są równie zaskoczone jak ona. Miała ochotę podskakiwać i zanucić piosenkę.

Proszę, Boże, nie pozwól, by znów zniszczył mi życie. Wyciągnęła morał z tej lekcji – już nigdy nie złamie własnych zasad. Jednak sądząc po tym, jak jej uczucia obudziły się na nowo do życia, gdy tylko Seb wrócił do miasteczka, nie będzie to takie łatwe. Istniało ryzyko, że mężczyzna znowu wyrządzi ogromne szkody.

Po prostu nie mogła oddać mu serca. Tylko tyle. Teraz była mądrzejsza, to już nie była ta mała, naiwna Lucy. Mogła pracować z Sebem Brewsterem i nie stracić dla niego głowy, prawda?

Caleb nigdy nie był człowiekiem, który szuka rozrywki w internecie. Miał przecież ciężarki do podnoszenia, taśmy z meczami do obejrzenia czy weekendowe rozgrywki, dzięki którym stał się biegaczem w reprezentacji stanu. Dorastając na farmie w południowej Minnesocie, też nie narzekał na brak zajęć.

Nigdy by nie przypuszczał, że mógłby spędzać wieczory, dzwoniąc do talk show. Talk show o miłości.

Dobrze, że Dan o tym nie wiedział. Caleb nigdy nie wpadłby na to, że jego pierwszym przyjacielem

w Deep Haven będzie pastor. Pastor, który jest też całkiem niezłym trenerem futbolu – pokazywał zawodnikom, jak mają wykonywać ćwiczenia, pomógł też biegaczom opracować ich trasy.

Caleb czuł w kościach, że drużyna, którą się zajmował, jest dobra. Tak długo, jak trzymali się podstaw, nie próbowali gwiazdorzyć i zachowywali rozsądek, mieli szansę wygrać.

Jeśli oczywiście uda mu się jakoś dotrzeć do Jareda Ryana. Dzisiaj, kiedy chłopak prawie pobił się z Bryantem, Calebowi udało się poznać jeden z powodów, dla których podejście chłopaka jest takie marne – do drugiej drużyny dostał się kumpel Ryana, skrzydłowy Chase Samson. Z tego, co Caleb słyszał, gdy chłopacy grali w jednej drużynie, razem czynili cuda na boisku.

Caleb miał nadzieję, że jego słowa, po tym jak Dan rozdzielił bijących się, trafiły do Ryana. *Dobry rozgrywający przewodzi swojej drużynie, odnajduje w innych talenty, sprawia, że stają się lepsi. Znajdź sposób, by pomóc Bryantowi, a zmienisz go w gracza, z którym chciałbyś wspólnie grać.*

Gdy jednak Ryan w końcu spojrzął na Caleba, mężczyzna dostrzegł nieufność wypisaną na jego twarzy. Najwidoczniej musiał najpierw jakoś zyskać w oczach chłopaka, nim ten zacznie go słuchać. Gdyby tak udało się powalić go na ziemię albo jeszcze lepiej – podać piłkę wprost do Bryanta... Z Caleba był całkiem dobry rozgrywający, nim zadomowił się na pozycji biegacza. Niestety, ból z nogi promieniował mu na całe ciało. Nie wyrwałby się obronie, choćby zależało od tego jego życie.

Czasami jego ograniczenia dawały mu się mocno we znaki.

Wszedł na stronę „Mojego Niemądrego Serca” i włączył radio. Nie mógł powstrzymać się przed zdaniem sprawozdania, musiał zameldować, że naprawdę odrobił zadanie domowe.

Może to wina jego wewnętrznego nauczyciela.

Rozległ się głos Panienci Niemądre Serce.

– Dzisiaj porozmawiamy o pięknie. Czy można pokochać mężczyznę lub kobietę, których uważamy za nieatrakcyjnych? Spójrzcie choćby na Jane Eyre i Rochester. Ani jej, ani jego nie można określić mianem „pięknych”. Tak właściwie Rochester został nawet nazwany brzydkim. Jednak Jane kochała go, nawet gdy ośleplł i miał blizny. Dlaczego? Kupidynie, jesteś na antenie.

– Rochester zakochał się w Jane ze względu na jej intelekt, a także dlatego, że nawiązała z nim nic porozumienia. Ona go rozumiała i to czyniło ją piękną.

– Dzięki, Kupidynie. A co ty myślisz, MiłaDziewczyno?

– To nie zewnętrznego piękna chciał. W końcu Blanche była piękna. Ale nie była odpowiednia dla niego.

– Dobre porównanie, MiłaDziewczyno, ale nie zapominajmy, że z Rochester też nie była cudowna partia. Jane mówi nawet: *Gdyby był przystojnym młodzieńcem, o bohaterskiej powierzchowności, nie byłabym się odważyła tak stać przed nim, wypytywać go wbrew jego woli i ofiarowywać mu się z usługami nieproszona*^[14]. Nie postrzega ani siebie, ani jego jako osoby atrakcyjnej, a więc przez to Rochester staje się bardziej osiągalny. Śmiało, DorothyP.

– A więc sądzisz, że to niemożliwe, by brzydka dziewczyna poślubiła przystojnego mężczyznę?

– Nie. Ale dziewczyna nie chce wejść do pokoju i mieć wrażenie, że wszyscy gapią się na jej partnera.

O rany. Caleb zjechał na dół strony, by przeczytać informacje o programie. Nie było tam zdjęcia prowadzącej, Panienci Niemądre Serce. A sądząc po kierunku tej rozmowy... cóż, nie chciał zgadywać, jak mogła naprawdę wyglądać. Kliknął na forum i zalogował się, pragnąc dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

O... rany... Stworzyli nawet dyskusję o ChłopakuZSąsiedztwa. Najechał kursorem na link, wahając

się.

Kliknął na niego.

Wow. Kobiety mają naprawdę bujną wyobraźnię.

– Myślę, że Rochester traktował ją jak kogoś równego sobie. Dlatego stała się dla niego piękna. –

Powiedział to ktoś, kto brzmiał jak dziewiętnastolatka.

Nie mógł się powstrzymać. Wykręcił numer i podał swój pseudonim producentowi.

– ChłopakuZSąsiedztwa, jesteś na linii. – Jej głos. Delikatny, z nutą pytania. Mówiący wprost do niego. Ups, nie sądził, że Panienka Niemądre Serce odbierze ten telefon od razu. Nie obowiązywała jakaś kolejka wśród dzwoniących?

– Hm, cześć. – Czy to właśnie on był teraz na antenie? Brzmiał jak idiota, gruby głos osoby, która nie wie, co się dzieje. Odchrząknął.

– Chciałbyś coś dodać do naszej rozmowy?

Nie brzmiała jak ktoś nieatrakcyjny. Właściwie wyobraził ją sobie jako młodą osobę. Może z brązowymi włosami i ciepłymi szaroniebieskimi oczami.

– Ja... Chciałem tylko powiedzieć, że myślę, że wszyscy się mylicie.

Cisza.

– Och? – Ale nie pełne złości *och*. Raczej zaciekawione *och*, jakby chciała się z nim podroczyć.

– Tak. Um... Słuchaj, mężczyźni lubią ładne dziewczyny. Nie chcą kogoś im równego. Każdy facet, gdyby tylko mógł, spotykałby się z gwiazdą filmową, ale to coś nieosiągalnego.

– Wow... ChłopakuZSąsiedztwa, brzmisz teraz jak neandertalczyk.

Przełożył telefon do drugiego ucha, żeby móc zjechać w dół strony, przeczytać komentarze. Auć, te kobiety potrafiły rozerwać faceta na strzępy.

– Taka jest prawda. Tacy jesteśmy. Pewnie, uroda nie jest jedyną rzeczą, jaka się liczy, ale jest czymś, co przyciąga uwagę.

Przez sekundę obraz Isadory spacerującej chodnikiem wypełnił jego myśli. Tak, zdecydowanie przyciągnęła jego uwagę.

– Jak mawiał mój ojciec, Panienko Niemądre Serce: Piękno to tylko powłoka, ale nie chcesz chyba obdzierać dziewczyny ze skóry, by ją pokochać.

Panienka Niemądre Serce nabrała gwałtownie powietrza.

– To okropne.

– Taka jest prawda, Panienko Niemądre Serce. – Uśmiechnął się, żałując, że nie może zobaczyć jej miny. – Ale to nie jedyna prawda. Piękno dla mężczyzny to coś więcej niż krągłości, uśmiech czy wspaniałe włosy. To jej śmiech, gdy śmieje się z twoich żartów, uczucia, jakie w tobie wzbudza, sposób, w jaki traktuje innych ludzi. To wszystko stanowi całość. I to właśnie dlatego ten Rochester kochał Jane, bo nawet, jeśli nie była najpiękniejszą dziewczyną w okolicy, to sprawiała, że czuł się jak najprzystojniejszy mężczyzna.

Chwila ciszy. A potem:

– Dziękuję. Tak. Myślę, że to właśnie Jane miała na myśli, gdy powiedziała: *i ty nie jesteś pięknością, a może się panu Rochesterowi podobasz; w każdym razie nieraz czułaś, jak gdyby tak było*^[15].

Nie miał pojęcia, o czym ona w ogóle mówi, ale mógł pokiwać głową na znak, że się zgadza. Albo mruknąć:

– Yhm.

– A więc ChłopakuZSąsiedztwa, myślę, że nasi słuchacze chcieliby się dowiedzieć, jak tam rozwija

się sytuacja z twoją prawdziwą miłością.

Jego prawdziwą...

– Posłuchaj, ona nie jest moją prawdziwą miłością. Po prostu... dziewczyną, którą chciałbym do siebie przekonać.

– Ale może nią być, prawda?

Spojrzał w oświetlone okno domu obok.

– Nie wiem. Zacząłem pracować nad jej listą rzeczy do zrobienia, ale ona ledwo to zauważyła. Tak naprawdę, zastanawiam się, po co w ogóle to robię.

Cisza.

– Och. Hm. No pomyślmy chwilę, ChłopakuZSąsiedztwa. Twój tak bardzo taktowny cytat działa w obie strony: Piękno to tylko powłoka, ale nie chcesz chyba obdzierać chłopaka ze skóry, by go pokochać. Dałeś tej dziewczynie jakiś powód, by na ciebie patrzyła? Upewnij się, że wyglądasz porządnie. Nie ubieraj się jak bezdomny. Kobiety lubią mężczyzn, którzy potrafią utrzymać czystość.

Nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć do lustra. Faktycznie, musiał przyznać, że trochę zarósł. Ostatni raz golił się pewnie kilka tygodni temu.

Pociągnął za szew swojej koszulki Gwardii Narodowej, tam, gdzie odpruł sobie rękaw. Może miała rację.

– Mam się wykapać, kumam.

Roześmiała się. Ten śmiech przeszył go całego, aż do serca, ciepły i słodki.

– Dzięki, pani trener – powiedział, starając się brzmieć hardo.

Usłyszał lekki oddech, a potem drżący śmiech, nim odparła:

– Dorwij ją, mistrzu.

Rozłączył się.

Uśmiechnął się.

Może jednak facet mógł się czegoś nauczyć od Panienki Niemądre Serce.

[13] Cytat z *Dziwnych losów Jane Eyre*, w tłumaczeniu Teresy Świdorskiej.

[14] Cytat z *Dziwnych losów Jane Eyre*, w tłumaczeniu Teresy Świdorskiej.

[15] Cytat z *Dziwnych losów Jane Eyre*, w tłumaczeniu Teresy Świdorskiej.

dziewięć

– Od soboty nie udało mi się zebrać na odwagę, by zamienić choć słowo z moim sąsiadem. Skosił trawę parę dni temu i powiedział mi „cześć”, a ja ledwo się powstrzymałam, by nie popędzić z powrotem do domu i nie zabarykadować drzwi. Musi myśleć... cóż, kto wie co musi sobie myśleć.

Issy siedziała w fotelu ojca, patrząc gdzieś w przestrzeń ponad Rachele. W parze wygodnych bojówek, niebieskiej koszuli i sandałach terapeutka wyglądała tak, jakby wybierała się na obiad do knajpki z przyjaciółmi. Czarne włosy opadały jej swobodnie na ramiona, a pasma siwizny wskazywały na życiową mądrość, którą jeszcze podkreślał tajemniczy uśmiech. Issy rozmawiała z nią jak ze swoją ulubioną ciocią.

– Porozmawiajmy o tym, jak poszłaś do niego w sobotę. Czulaś, że zbliża się atak paniki?

Issy przymknęła oczy, przypominając sobie tamten pożar szalejący w piersi.

– Nie, właściwie nie. Byłam po prostu wściekła.

– Widzisz, nie martwiłaś się atakami paniki. Nie myślałaś nawet o tym, co robisz. Po prostu pomaszerowałaś do jego domu.

– Albo zaślepiła mnie furia. Powiedziałam mu tyle paskudnych rzeczy.

Rachele uniosła dłoń.

– Przeprosiłaś. Tego się trzymajmy. Bez wątpienia ci wybaczył. Skosił w końcu trawnik, prawda?

Issy wyjrzała przez okno. I jeszcze zaparkował samochód na ulicy. Kto by pomyślał. Może jednak wysłuchał jej tyrady.

– Czy myślisz, że stanę się kiedykolwiek tą osobą, którą byłam przed wypadkiem?

– A chciałybyś?

Czy chciała znów być pewną siebie, niemal chorobliwie ambitną kobietą? Kobieta, która przyrzekła sobie nigdy nie wracać do Deep Haven?

– Zawsze wyobrażałam sobie, że kiedy wrócę tutaj na dziesiątą rocznicę ukończenia liceum, zrobię to z poczuciem triumfu. Może jako gospodyni własnego programu w telewizji. Ktoś, z kogo Deep Haven mogłoby być dumne.

– Nie sądzisz, że Deep Haven jest z ciebie dumne?

– A ty byś była? Byłam prymuską w swojej klasie. A teraz jestem miasteczkową ofiarą.

– Myślę, że za bardzo martwisz się tym, co myślą o tobie mieszkańcy miasteczka.

Wzdrygnęła się.

– Myślałam, że wy, terapeuci, macie tylko pytać, jak się czuję.

– A jak się czujesz?

– Ha ha ha. Bardzo śmieszne.

– Więc? Nie sądzisz, że za bardzo przejmujesz się tym, co myślą inni? – spytała Rachele.

– Wiem, że to robię. Ale nic nie mogę na to poradzić. – Issy podkuliła nogi, zwiijając się w kłębek na fotelu ojca. – Nie mogę przestać myśleć o tym, jak rozczarowałam wszystkich.

– Zdefiniuj „wszystkich”.

– Wszystkich. Mieszkańców Deep Haven.

Rachelle uniosła brew.

– Moją parafię.

– Pastor Dan kazał cię pozdrowić. Chciałby wpaść do ciebie w odwiedziny.

Issy nie widziała go od prawie dwóch tygodni. Pastor i Ellie opiekowali się nią po wypadku jak rodzina.

– Lucy? – podsunęła. – Mnie samą?

Rachelle skinęła głową, jakby czekając na więcej.

– Boga?

– Myślisz, że rozczarowałaś Boga?

Tak.

– Nie wiem. Może po prostu coś jest ze mną nie tak. Patrę przez okno i widzę, jak wszyscy wiodą normalne życie, szczęśliwe życie. Wiesz, czasami myślę sobie, że też mogłabym to wszystko mieć. Wstaję rano, słyszę ptasie trele, stoję przy oknie, patrę na jezioro i myślę sobie: *Dzisiaj. Dzisiaj zmienię swoje życie. Dzisiaj pójdę odwiedzić ojca.*

– I wtedy co się dzieje?

– I wtedy robię coś okropnego, jak to, co zrobiłam mojemu sąsiadowi, i uświadamiam sobie, że jestem inna. Rozczarowuję siebie i innych. Nie mogę ufać samej sobie. To okropne uczucie.

Przesunęła wzrokiem po rodzinnych zdjęciach stojących na regale. Issy wraz z ojcem trzymają przed sobą sandacze na żyłce. Matka całuje ją w policzek podczas ceremonii zakończenia szkoły.

– Nie wiem. Może masz rację. Spędzam za dużo czasu, zastanawiając się, co powiedzą inni. Co zobaczą.

– Powiedz mi, kiedy najlepiej czujesz się w swojej skórze?

Issy przesunęła dłońmi po podłokietnikach.

– Gdy prowadzę swój program. Gdy wyobrażam sobie ludzi po drugiej stronie linii i pomagam im.

Rachelle uśmiechnęła się.

– I mogę się założyć, że nie boisz się z nimi rozmawiać.

– Nie mogą mnie zobaczyć.

– Ale i tak mogłabyś przeżyć atak paniki na antenie.

– Dzięki, że mi o tym przypomniałaś.

– Ale?

– Tak. Może i tak. Ale nigdy o tym nie myślę.

– A więc nigdy tego nie robisz. Mogę ci zasugerować dlaczego?

– Jesteś terapeutką, proszę bardzo.

– Ponieważ poświęcasz swój czas, by pomagać innym. Nie skupiasz się na sobie. Nawet siebie nie dostrzegasz, a więc nie możesz sobie wyobrazić siebie podczas ataku paniki.

– Mówisz, że jeśli będę poświęcać mniej czasu na wyobrażanie sobie panikującej siebie i będę mniej przejmować się tym, co pomyślą sobie mieszkańcy, to *może* mi pomóc wyzdrowieć?

– Twoje ataki paniki biorą się z tego, co sobie uroisz, że może się stać. Pozwalasz, by twe obawy kształtowały twoje życie. Dodaj dwa do dwóch.

– To nie takie proste.

– Może to tylko jedne drzwi, niezamknięte na klucz. Powiedz mi jedno... Dlaczego nie ujawniłaś mieszkańcom miasteczka, że to ty jesteś Panienką Niemądre Serce?

Cóż, to akurat było proste.

– Ponieważ gdyby się dowiedzieli, wyśmialiby mnie.

– Dlaczego mieliby się śmiać?

Oczy Issy zwęziły się, gdy popatrzyła na Rachelle.

Terapeutka uśmiechnęła się.

– Spróbujmy inaczej. Dlaczego nigdy nie byłaś na randce?

– Jestem nierandkowa?

– Naprawdę w to wierzysz?

Issy wzruszyła ramionami.

– Może. Miałam kilka propozycji w college'u, ale żadna nie pasowała do listy...

– Issy, dlaczego w ogóle stworzyłaś tę listę?

– Nie chciałam skończyć jak Lucy. – Wypowiedziała te słowa cicho. Spojrzała w oczy Rachelle. –

Chcę po prostu mieć pewność, że jeśli oddam komuś serce, to tylko temu jedynemu.

– Ponieważ nie chcesz zostać zraniona.

Wzruszyła ramionami.

– To źle?

Rachelle złożyła ręce i pochyliła się do przodu.

– Powiedziałaś wcześniej, że najbardziej chciałabyś być normalna. Co to jest normalność, Issy?

Wiedziała raczej, czym nie jest.

– To wstawanie z łóżka każdego dnia, chodzenie do pracy, zakochywanie się, zakładanie rodziny, posiadanie dzieci.

W przeciwieństwie do innych terapeutów Rachelle nigdy nie robiła notatek podczas prowadzonej rozmowy. Zamiast tego patrzyła teraz na Issy swoimi brązowymi oczami, przyszpilając ją przenikliwym wzrokiem do fotela.

– Czy bycie zranionym od czasu do czasu znalazłoby się na tej liście?

– Najlepiej nie.

Rachelle uśmiechnęła się.

– A więc ustawiłaś świat tak, aby był bezpieczny. Dający się kontrolować. Ale wcale taki nie jest, prawda?

Issy przycisnęła palce do powiek, walcząc z nagłym uczuciem pieczenia.

– Panienko Niemądre Serce, nie możesz zaprogramować swojego życia.

Issy poddała się. Wytarła dłonie w spodnie.

– A więc co mogę zrobić, aby mieć pewność, że wszystko ułoży się dobrze?

Rachelle nie odpowiedziała, lecz Issy usłyszała odpowiedź w biciu jej serca. Na zewnątrz przejechała śmieciarka i zaszczekał pies.

– Opowiedz mi o ChłopakuZSąsiedztwa.

Issy spojrzała na nią.

Rachelle wzruszyła ramionami.

– Weszłam na forum. I słyszałam twój głos. Lubisz z nim rozmawiać.

– Myślę, że mogę mu pomóc. Chcę mu pomóc.

– Ponieważ to podniesie twoją słuchalność?

– Może. Nie wiem. – Issy spojrzała na zegar. – Jeśli udałoby mi się pomóc mu umówić się na randkę z Tą Jediną, miałabym może poczucie, że moje życie nie jest całkiem pozbawione znaczenia. Mogłabym nawet stać się osobą, którą byłam w przeszłości.

Rachelle poruszyła się na siedzeniu, spojrzała Issy w oczy.

– Może nie powinnaś starać się zostać kobietą, którą byłaś, lecz raczej tą, która czeka na ciebie w przyszłości.

Czasami po sesji Issy chciała po prostu owinać się kocem swojej matki i schować się. Ale jakoś odnalazła w sobie dość siły, by zapytać:

– A jaka jest ta kobieta?

– Nie jestem pewna. Ale mogę się założyć, że jeśli przestałabyś tak mocno ją ograniczać, by zapewnić jej bezpieczeństwo, to mogłaby cię jeszcze zaskoczyć.

Na zewnątrz trzasnęły drzwi. Caleb wszedł na ganek.

– Co to w ogóle znaczy?

Rachelle podążyła za wzrokiem Issy. Patrzyły, jak Caleb schodzi powoli ze schodów ze stosem kaset pod pachą. Przeszedł przez ulicę do biblioteki.

– Może to znaczy tyle, że następnym razem powiesz mu „cześć”.

Agorafobia to przypadłość, w której chory odczuwa niepokój w sytuacjach albo miejscach, gdzie nie ma kontroli nad otoczeniem, jak na przykład na otwartych przestrzeniach, w tłumie albo w podróży. Często niepokój nasila się z powodu strachu przed przeżyciem ataku paniki lub wystawieniem swego przestraszonego oblicza na widok publiczny. Często chory może bać się określonego miejsca, gdzie zdarzył mu się w przeszłości atak. Strach przed atakami paniki może spowodować, że chory zamknie się w bezpieczniejszym świecie. Agorafobia może być także wywołana zespołem stresu pourazowego.

Caleb siedział w bibliotece, gdzie promienie słońca przesuwają się po drewnianym stole. Klasykistyczne okna budynku wychodziły na okolicę – głównie na dom Issy naprzeciwko. Zwisające rośliny o wielkich różowych kwiatach i krzaki róż wokół drzwi zapraszały do środka, ale słowa Dana, wypowiedziane parę dni temu na treningu, wciąż nie dawały mu spokoju.

Od tego czasu nie opuściła domu.

Caleb znał tego rodzaju strach. Gdy zdezorientowany obudził się w szpitalu – jeszcze w Iraku – był tak napompowany lekami, że nie mógł nawet myśleć. Strach złapał go za gardło i niemal zadusił. Towarzyszył mu przez całą drogę do Niemiec, a potem do Walter Reed. Caleb nigdy nie zapomniał dnia, gdy przyjrzał się trzeźwym okiem temu, co zostało z jego nogi, i wszystkim bliznom pokrywającym jego ciało. Widok ten zmroził go do kości.

– Hej, trenerze!

Uniósł wzrok. Młoda bibliotekarka, ta z blond warkoczami, uśmiechnęła się do niego. Opierała na biodrze stosik książek.

– Podoba mi się twoja kozia bródka.

Widział swoje odbicie w oknie tego popołudnia, gdy szedł do biblioteki po wizycie u fryzjera i w sklepie z używaną odzieżą, gdzie kupił sobie bojówki, kilka koszul i koszulkę bez nadruku. Wyglądał jak porządny obywatel Deep Haven. I nie czuł się z tym wcale źle.

Czy to głupie z jego strony, że chciał, by Isadora zauważyła zmianę?

– Nie chcę wyglądać jak wieśniak, ale muszę mieć jakieś włosy na głowie. – Mrugnął do dziewczyny, wiedząc, że humor pozwala wszystkim odetchnąć. – Dziękuję, hm...

– Mindy. Skończyłeś już przeglądać? Mogłabym odłożyć tę księgę na półkę.

Zamknął encyklopedię.

– Dziękuję. Mogłabyś mi powiedzieć, gdzie w mieście znajduje się centrum opieki?

– Idź wzdłuż głównej drogi do granic miasteczka, skręć w lewo przy basenie i idź dalej Eight Street.

– Dzięki.

– Och, no i powodzenia w meczu. – Zarumieniła się. – Curt McCormick to mój chłopak.

– Odwala kawał dobrej roboty. Możesz mu przekazać, że tak twierdzi jego trener. – Uśmiechnął się do niej i wstał od stołu.

Centrum opieki w Deep Haven było usytuowane na szczycie wzgórza, na wprost pięknego Jeziora Górnego. Ze skrzynek na kwiaty stojących obok drzwi wylewały się bodziszki, a znajdująca się przy wejściu tabliczka z napisem: *Goście proszeni są o rejestrację* wskazywała recepcję, do której Caleb skierował swe kroki.

– Chciałbym się zobaczyć z trenerem Presleyem.

Pielęgniarka przy biurku wskazała mu palcem korytarz.

– Ostatnie drzwi po prawej.

Caleb wpisał swoje imię i nazwisko do księgi, odebrał identyfikator dla odwiedzających, po czym przeszedł wzdłuż korytarza.

Pacjenci, którzy przebywali we wspólnych pomieszczeniach, mogli przyprawić o łzy. Niektórzy całkowicie zamknęli się w sobie, inni mieli na tyle przytomności, by unieść na niego wzrok, zakwestionować jego wizytę. Domy opieki zawsze pachniały starością, jakby życie opuściło ich mieszkańców dawno temu.

Do drzwi trenera Presleya ktoś przykleił naklejkę z futbolowym kaskiem. Caleb słyszał dobiegające ze środka głosy, więc zapukał i nacisnął klamkę.

Niemal zrobiło mu się słabo z ulgi, gdy zobaczył, że Dan spogląda na niego, siedząc u brzegu łóżka starszego mężczyzny. Caleb napotkał jego oczy i zauważył w nich współczucie.

– Hej, Caleb – przywitał się Dan. – Cieszę się, że wpadłeś.

Przez duże okno za Danem widać było, jak promienie słońca padają na jezioro, jasne i wspaniałe w połączeniu z mlecznobiałym niebem. Nad łóżkiem wisiał wyciszony telewizor. Caleb spojrzął na niego i rozpoznał powtórki meczów na kanale NFL. Na stoliku obok łóżka stało zdjęcie Issy oraz kobiety z długimi ciemnymi włosami i pięknym uśmiechem, która, jak domyślał się Caleb, była piękną żoną trenera. Obie siedziały na stopniach ich domu. Wreszcie spojrzął na trenera. Przełknął ślinę, nim jego usta uformowały się w uśmiechu.

Dlaczego myślał, że to dobry pomysł? Spotkać trenera, przedstawić mu się? Mógł winić za to Dana, który znów zasugerował wizytę tego ranka po treningu.

Trener Presley wyglądał tysiąc lat starzej niż powinien. Jego kościste i bezwładne ciało leżało na łóżku podłączone do respiratora. Żałosny widok: obwisła skóra na pozbawionych życia rękach, przerezione białe włosy. Caleb stłumił w sobie chęć, by zrobić w tył zwrot i uciec.

To mógł być on. To zapewne on wypadł przez przednią szybę, a potem połamany leżał na poboczu i walczył o każdy oddech. To zapewne on tak sapał i wzdychał, i mrugał oczami, by się komunikować.

Caleb tylko stracił nogę. I to tylko jej kawałek. No i co, że został poparzony? Zatrzymał większość

swoich palców, zdolność ruchu. I Bóg oszczędził jego twarz.

– Witam, trenerze. Jestem Caleb Knight. Staram się o... cóż, o twoją pracę. – Nie był pewny, czy powinien teraz potrząsnąć jego dłonią? Spoczywała martwa obok jego ciała. Wziął sobie krzesło. – Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli usiądę?

Mężczyzna miał oczy Issy. A raczej Issy miała jego oczy, szaroniebieskie, głębokie i zagładające wprost do wnętrza, nawet gdy się uśmiechał. Mógł rozpoznać w nim też kontur twarzy Issy, krawędzie jej mocnej szczęki, pomimo fałdów skóry wokół szyi Presleya.

– Nie krępuj się... synu. – Głos Presleya dochodził z głębi, jakby był uwięziony w jego ciele. I zaniżył na końcu. Caleb nie brał pod uwagę faktu, że mężczyzna nie będzie mógł mówić. Spojrzał na Dana.

– Z powodu przeprowadzonej tracheotomii może mówić tylko wtedy, gdy respirator odsysa powietrze z jego płuc. A więc musi być krótko i do rzeczy. No i nie może modulować głosu, więc lepiej przybliżyć się, aby go słyszeć.

Caleb przysunął krzesło.

– Chciałem tylko przyjść i się przedstawić. Ja... cóż, wiem, że nigdy nie zajmę twojego miejsca, ale chciałem powiedzieć, że zrobię, co w mojej mocy dla tej drużyny. Zostawiłeś po sobie niezły dorobek.

Respirator wyciągnął powietrze z płuc trenera.

– Spotkałeś moją córkę?

Caleb zerknął na Dana.

– Wspomniałem mu, że jesteście sąsiadami.

– Tak. Spotkałem. Jest... hm... ładna z niej dziewczyna. – O matko. Dukał, jakby wciąż był w liceum.

Trener przesunął wzrok na Dana. Uśmiechnął się. Przez moment Caleb widział w mężczyźnie tę iskrę, która doprowadziła jego drużynę do zwycięstwa w zawodach stanowych. Był twardy, sprytny i znał się na rzeczy.

– Opowiedziałem mu o naszych treningach w tym tygodniu i wspomniałem o meczu, który się odbędzie – powiedział Dan. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Powiedziałem mu też o naszym obiedzie w niedzielę. Cieszę się, że przyszedłeś.

Respirator wykonał pełny cykl, podczas gdy Caleb wytarł dłonie o spodnie.

– Skąd jesteś?

– Południowa Minnesota. Byłem biegaczem w małym miasteczku. Wygraliśmy mistrzostwa stanowe w naszej grupie.

– Stypendium w college'u?

– Nie, ja... – Spojrzał na Dana. – Byłem szybki, ale nie aż tak. Prawie nie schodziłbym z ławki, gdybym grał w Ohio State. Znalazłem więc college, w którym mogłem grać i uczyć się podstaw trenowania innych. Zdobyłem tam swój dyplom z psychologii. Zawsze chciałem trenować licealistów.

Caleba znów zaczęła boleć noga; marzył o tym, by położyć ją poziomo na krześle.

– Gwardia Narodowa pomogła mi spłacić długi za college, więc zaraz po zakończeniu edukacji pojechałem do Iraku. Chciałem wypełnić swoje obowiązki, a potem wrócić tutaj i znaleźć szkołę, w której mógłbym zostać trenerem.

Trener poczekał, aż respirator znów wypchnie powietrze.

– Zostałeś ranny?

Czyżby zbyt mocno masował nogę? Caleb odchylił się na krześle, założył ręce na piersi. Może tre-

ner był najlepszym kandydatem, by powierzyć mu swoje sekrety. Ale co, jeśli Presley kibicował Brewsterowi?

Pomimo troski w oczach mężczyzny i mimo obecności Dana, Caleb minął się z prawdą o swojej ranie.

– Tak. Ale nie przeszkadza mi to w trenowaniu innych.

Trener przyjrzał mu się uważnie, a Caleb odwrócił wzrok. Na twarzy Dana też pojawił się dziwny grymas.

Wreszcie padło pytanie:

– Chcesz pomóc mojej drużynie?

To było najdłuższe zdanie do tej pory i Presley niemal wyrzucił je z siebie z desperacją.

– Tak, właściwie. Tak. – Caleb poprawił się na krześle i pochylił. – Naprawdę tego pragnę. Zawsze chciałem być trenerem w małym miasteczku, jak to, z którego pochodzę. Chcę pomóc zmienić chłopców w honorowych, odważnych młodych mężczyzn i futbol jest do tego dobrym narzędziem. Chcę doprowadzić drużynę Huskies do mistrzostw stanowych. Albo i dalej. – Teraz w jego uśmiechu nie było ani trochę fałszu.

Trener skinął głową, mrugnął i łza spłynęła z jego oka na policzek. Terapeuta Caleba w Walter Reed ostrzegał go, że bolesne urazy obniżają próg emocjonalny człowieka. Caleb mógł się teraz całkiem rozkleić, jak na filmie emitowanym przez Hallmark. Emocje trenera sprawiły jednak, że odwrócił twarz.

Dan wciąż miał ten dziwny wyraz twarzy. Jakby on i trener dzielili ze sobą jakiś sekret.

– Trener od dawna modlił się o kogoś takiego jak ty, Calebie – powiedział. – Naprawdę od dawna.

dziesięć

Grillowanie, podczas gdy twoja sąsiadka pracuje w ogrodzie, powinno być zakazane. Zwłaszcza że Issy musiała jeszcze wykopać zwiędłe bratki z grządki, nim mogła wrócić do środka, zjeść marne tosty z żółtym serem i spędzić dwie godziny na forum przed rozpoczęciem programu. Obecność Panienci Niemądre Serce na stronie zawsze podbijała słuchalność.

Po dzisiejszej przeprawie z Rachele potrzebowała swoich przyjaciół z sieci. Ma powiedzieć „cześć”? Ma przestać myśleć o tym, co sądzi o niej miasteczko, przestać martwić się o bezpieczeństwo swojego świata? W ustach Rachele to wszystko brzmiało tak prosto. Powinna jednak spróbować pożyć chwilę z jej wspomnieniami i zobaczyćłaby wtedy, jak bezpiecznie mogłaby się czuć.

Zaburczało jej w brzuchu. Issy starała się zignorować zapach jedzenia, tak samo jak piosenki country dochodzące zza płotu, którym towarzyszyło podekscytowane szczekanie Duncana.

Oczywiście, że pies wolał trenera Knighta, rycerza w lśniącej zbroi, niż ją. Ona karmiła go tylko pączkami, podczas gdy trener oddał mu kilka burgerów. Kanciarz.

Była pewna, że ChłopakZSąsiedztwa nie był złodziejem psów. Okej, no dobrze, może jej sąsiad nie ukradł jej swojego własnego psa, ale Duncan spędził dzień, wylegając się u niej w cieniu, na jej ganku, i zajadał jej resztki.

ChłopakZSąsiedztwa miał pewnie własnego czworonoga. Jakiegoś zwyczajnego i dobrze ułożonego. Miniaturowego sznaucera albo pudła. Może nawet i owczarka collie. A nazwał go... Frank. Albo Harold. Jakoś typowo po amerykańsku.

Wrzuciła martwe kwiaty do kompostnika i zamieszała. Smród sprawił, że odwróciła głowę w kierunku zapachu obiadu.

Może dzisiaj ChłopakZSąsiedztwa spędzał czas na świeżym powietrzu, rzucając frisbee swojemu collie wabiącemu się Frank. A wcześniej zjadł stek wołowy, sałatkę z rukolą i orzeszkami piniowymi, polaną sosem winegret. Może siedział na schodach werandy i machał swoim sąsiadom na przedmieściach... Chicago? Może Grayslake? Albo Schaumburga?

W jakiś dziwny sposób świadomość, że trener Knight grilluje burgery za płotem i bawi się z psem, sprawiały, że czuła w sobie niemal przyjemne ciepło.

Trochę jak wtedy, gdy Lucy zjawiała się u niej po pracy, by pogadać.

Albo podczas pikniku na ganku.

Albo gdy po zalogowaniu się na stronie znalazła swoich ulubionych ludzi na forum lub oczekujących na linii. A co, jeśli ChłopakZSąsiedztwa pojawi się dzisiaj?

O, i właśnie dlatego nie powinna chodzić na randki. Skoro nie mogła się doczekać, by porozmawiać online lub usłyszeć głos mężczyzny, którego nigdy nawet nie spotkała – mężczyzny, którego imienia nawet nie знаła – jak mogłaby sobie zaufać, by zachować spokój i zdrowy rozsądek w pobliżu kogoś,

kogo lubiła i spotkała na żywo?

Nie chodzi o to, że lubiła ChłopakaZSąsiedztwa. Po prostu chciała znów zobaczyć, jak rośnie jej słuchalność. Za każdym razem, gdy dzwonił, na forum aż kipiało. A co cieszyło ją jeszcze bardziej, liczba użytkowników strony ostatnio niemal podwoiła się w stosunku do poprzedniego tygodnia.

ChłopakZSąsiedztwa był po prostu korzystny dla „Mojego Niemądrego Serca”.

Co więcej, nie był żywym, oddychającym człowiekiem, który mógłby patrzeć, jak rozkleja się na jego oczach.

Nawet jeśli ten człowiek... wziął się za swoją higienę.

Uchwyciła wcześniej moment, jak trener Knight wychodzi z pikapa i coś w jej wnętrzu po prostu... się zatrzymało. Wyglądał tak...

Co on właściwie robił tu, w Deep Haven? Ze swoją opalenizną, ładnie wyrzeźbioną szczęką, brodą przyciętą w kozią bródkę i w spodniach khaki... Pewnie miał spotkanie z komisją szkolną albo bankiem.

Tak czy siak, nie był ChłopakiemZSąsiedztwa. ChłopakZSąsiedztwa próbowałby znaleźć sposób, by zdobyć dziewczynę swoich snów. Sprawić, by się uśmiechnęła.

Zaprosić ją na randkę.

Odgieła kolczaste łodygi krzaku róży pomarszczonej, by wyrwać ostatnie chwasty z ziemi.

– Au!

Uważaj na te dzikie róże, kochanie. Potrafią pokłuć.

Głos jej matki rozbrzmiał w jej głowie, gorzkie ostrzeżenie, które mogło doprowadzić ją do łez. Wyrzuciła chwasty do kubelka.

Słońce prażyło wtedy mocno i bezlitośnie, a wiatr ledwo przynosił ukojenie w ten długi weekend ze Świętem Pracy.

– Wiem, jak wrywać chwasty, mamó. Nie wiem tylko, po co mamy zrywać się bladym świtem w ostatni dzień moich wakacji.

Jej matka odchyliła się i przetarła ramieniem czoło. Jej twarz ocieniał słomiany kapelusz.

– Chciałam spędzić z tobą trochę więcej czasu. Prawie cię nie widzujemy. Tęsknię za tobą.

Nawet po tych wszystkich latach jej matka wciąż mówiła z akcentem, który wskazywał, że żyła kiedyś w jakimś egzotycznym miejscu. W rzeczy samej, gdyby jej ojciec nie grał w futbol we Włoszech, on i Gabriella nigdy by się nie spotkali.

– Ja też za tobą tęsknię, mamó – odpowiedziała Issy. Chociaż te dwa lata po zakończeniu szkoły zdawały się ledwie chwilą. Issy poświęciła się studiom dziennikarskim i dostała pracę w stacji kablowej w Duluth, gdzie pisała scenariusze i pełniła obowiązki producentki. Ale najbardziej chciała stać przed kamerą, prowadzić talk show o bieżących sprawach. O książkach. Filmach. Nawet o sporcie, jeśliby musiała.

– Wrócisz do domu na homecoming[16]?

Issy odeszła od róż, by oczyścić bratki z martwych pąków.

– Spróbuję.

Nie musiała się obracać, by widzieć usta matki zaciśnięte w wąską linię, jakby gryzła się w język.

– Ja po prostu nie kocham Deep Haven tak jak ty, mamó. Jest zbyt małe. Każdy zna każdego.

– W tym właśnie tkwi jego urok, kochanie. Ale może wrócisz do domu na mecz nie dla miasteczka, lecz dla ojca.

Jej matka nie grała fair. Tak, Issy zrobiłaby dla ojca wszystko, włączając w to trzygodzinną jazdę do

domu na mecz w piątek wieczorem. Zwłaszcza teraz, gdy mistrzowska drużyna ojca właśnie kończyła szkołę.

Tak naprawdę ona też kochała futbol. Uwielbiała patrzeć, jak jej ojciec chodzi wzdłuż linii bocznej. Uwielbiała, jak dawał rady swoim zawodnikom. Kochała nawet jego czwartkowe imprezy z grillowanymi hamburgerami i porcjami lodów, urządzone w ogródku matki, podczas gdy od frontu domu zawodnicy mogli sobie porzucać piłkę.

– Postaram się.

– Cieszę się. Chodź tu i powąchaj te róże *Pilgrim*. – Jej matka ucięła pęk i podała go Issy.

– Nie zetniesz chyba wszystkich, prawda?

– Muszę je ściąć, by powstało więcej pęków.

– Auć.

– Tak. Ale obiecuję ci, że wyrosną znów piękniejsze. – Wstała i ucałowała córkę w czoło, po czym zostawiła ją samą na słońcu. Strużka potu spływała dziewczynie po plecach.

Jej matka nie dożyła tego momentu, kiedy róże zakwitły ponownie, dwa razy większe.

– Roger! Wracaj tu!

Issy usłyszała obok siebie łomot. Obróciła się i zobaczyła piłkę, która utknęła pomiędzy gałązkami jej trzmieliny.

– Hej!

Sekundę później Duncan rąbnął w luźną deskę niezdobytego płotu jej ojca. Przeczłgał swoje bawole ciało przez dziurę i skoczył w trzmielinę, by po chwili wyleźć stamtąd z piłką w pysku.

– Duncan! – Issy wstała. Pies przydreptał do niej. Spojrzał na nią, po czym wypuścił piłkę u jej stóp. Ślina i błoto spływały z jego futra. Cofnął się, merdając ogonem.

– Nie rzucę ci tego.

– Proszę?

Spojrzała na świeżo odkryte wyjście ewakuacyjne w płocie. Jej sąsiad, który wreszcie ogarnął trochę swój wygląd, wetknął głowę w dziurę.

– Przynajmniej wiem już, jak dostał się do mojego ogródka.

Trener Knight skrzywił się.

– Nie mam z tym nic wspólnego, przysięgam.

Podniosła piłkę, ignorując ślinę. Cieszyła się, że ma na dłoniach rękawiczki ogrodowe.

– A z tym?

– Przepraszam. Nie wyszedł mi rzut. Piłka odbiła się od płotu i wpadła do twojego ogródka. – Spojrzał na psa. – Chodź tu, Roger.

Roger? Ten pies w ogóle nie wyglądał jak Roger.

– Duncan. Po tej stronie płotu nazywamy go Duncan.

– My? Ty i twoja funkia?

– Myślę, że ma do tego prawo po wszystkim, co przeszła.

Uśmiechnął się do niej i przez sekundę czuła, jak jej serce przyspiesza. Dotknęła palcami szwów na piłce.

– Hm... masz ochotę na hamburgera? To sekretny przepis mojego brata. Masło ziołowe w środku – zaproponował.

Jej żołądek zaburczał. Zdrajca.

– Och... nie, dziękuję. Muszę iść do pracy.

– W piątek wieczorem?

– Tak, właśnie tak. Pracuję w domu. Ale... może... – Przełknęła ślinę i szybko wypchnęła słowa z gardła. – Może kiedy indziej? – Do słów dodała uśmiech. Nie musiała łamać mu serca, prawda?

– A więc jesteśmy umówieni na kiedy indziej.

Wyciągnęła do niego rękę z piłką. On wystawił dłoń przez płot.

– Rzuć mi ją.

Rzuć mi ją, Issy! Przez sekundę wydawało się jej, że stoi tam jej ojciec z wyciągniętą ręką. Zostaw na chwilę mamę i rzuć mi piłkę. Prawo nie zakazuje dziewczynom grać jako rozgrywający.

Miała wspaniały rzut. Od zawsze.

Zmierzyła wzrokiem Caleba, po czym przegoniła go machnięciem ręki.

– Lepiej się cofnij, sąsiedzie.

Posłał jej dziwne spojrzenie, ale zaraz zniknął.

Cisnęła piłkę za płot, żałując, że nie będzie wiedziała, czy ją złapał, czy nie.

– To nasz szczęśliwy dzień, Rog. Albo Duncan? – Caleb kucnął przy psie i przysunął mu talerz z kottletami, które zostały. Wrzucił na grilla o dwa więcej, niż potrzebował...

Tak na wszelki wypadek.

Najwyraźniej nie potrafił skusić Isadory zapachem mielonego mięsa pieczonego nad ogniem. Ani towarzyskim podrzucaniem sobie piłki.

Chociaż musiał przyznać, że potrafiła nieźle podkręcić piłkę. Prawie ją złapał, ale unikanie dziur w trawniku znacznie go spowolniło. Wolał, żeby to piłka upadła na glebę, a nie on sam.

Nie sprawdziła, jak mu poszło, więc mógł się nie przyznawać, że jej nie złapał.

Jak tak dalej pójdzie, będzie miał większe szanse umówić się na randkę z Panienką Niemądre Serce, niż żyć na przyjacielskiej stopie ze swoją sąsiadką. Złapał się na tym, że myśli o Paniencie Niemądre Serce, o jej programie, jej głosie w jego uchu...

Tyle że jej metody w ogóle nie skutkowały.

Poklepał psa po głowie, wdrapał się po schodach i usiadł. Oparł kikut wzdłuż stopnia i poczuł ulgę, odciążając go w ten sposób. Jedząc hamburgera, myślał, że przydałyby mu się jeszcze frytki albo koktajl czekoladowy.

No i ktoś, z kim mógłby zjeść ten posiłek.

Usłyszał, jak furka u sąsiadki się zamyka. Powinien naprawić ten uszkodzony płot, ale...

Trener modlił się o kogoś takiego jak ty, od dawna. Odłożył hamburgera na talerz. Stracił apetyt.

Widok człowieka takiego jak Presley – człowieka, który tak bardzo przypominał kogoś, kim Caleb chciałby być – odstawionego na bok, uziemionego... mógł zmienić kości Caleba w galaretę.

Tamtej nocy w rowie Bóg obdarzył go ogromną łaską.

A co, jeśli został tutaj przysłany nie tylko po to, by pomóc drużynie, lecz także córce trenera?

Caleb wstał, żałując, że nie może zobaczyć jej z ganku. Płot blokował mu pole widzenia. Musiałby wejść na piętro domu, ale to przypominałoby już szpiegowanie.

Jak mógł kobietę uwięzioną we własnym strachu wyciągnąć na zewnątrz, do świata? Rzucił burgera Rogerowi, który złapał go w locie. Caleb pokuśtykał do domu, gdzie usiadł powoli na kanapie, ściągnął osłonę z nogi i zdjął protezę. Kiedy – no dobrze, jeśli – dostanie tę pracę jako trener i gdy ludzie

dowiedzą się o jego niepełnosprawności, wymieni protezę na sportową, która da mu większe możliwości poruszania się, a nawet biegania. Nieważne, że jego kalectwo będzie się rzucało w oczy z powodu metalowej stopy.

Do tego czasu musi pokazać, na co go stać z dwiema, jakby się wydawało, zdrowymi stopami.

Położył nogę na kanapie, a pieczenie po całym dniu zelżało. Opierając głowę o podłokietnik, miał ochotę zakryć sobie oczy ramieniem i się zdrzemnąć.

Nic z tego. Jeszcze musiał przygotować zagrywki na poniedziałkowy trening. I wykonać swój zestaw ćwiczeń na wzmocnienie kikuta, i wyczyścić protezę, i....

A tak naprawdę chciał porozmawiać z Panienką Niemądre Serce. Usłyszeć, czy ma jakieś pomysły na to, jak skruszyć twardą skorupę wokół jego sąsiadki.

Wychylił się i sięgnął po laptopa, po czym położył go sobie na udzie. Może pobuszuje trochę na forum.

Zalogował się, zignorował stronę powitalną pełną jakichś zwariowanych cytatów, po czym kliknął na zakładkę z dyskusjami.

Trzysta nowych postów od czasu jego kłótni z Panienką Niemądre Serce. Czy ci ludzie nie mieli nic lepszego do roboty?

Chociaż spekulacje na temat jego tajemniczej dziewczyny wywołały uśmiech na jego twarzy.

To pewnie jego szefowa i stara się po prostu o awans.

Złamał jej serce lata temu i teraz chce ją odzyskać.

Myślę, że jest nieśmiały. Chcę jego numer.

Dobrze, że te rzeczy pozostawały anonimowe.

Przy kilku postach Panienska Niemądre Serce sama udzieliła odpowiedzi.

Czy pojawiłaby się, gdyby zaczął własną dyskusję?

Kliknął na zakładkę „Rozpocznij dyskusję” i zatytułował ją *Jak zdobyć dziewczynę*. Wcisnął enter, nim zdążył się rozmyślić. Natychmiast zaczął żałować tej decyzji. Chciał usunąć temat, ale ten pojawił się już na stronie głównej forum.

Czuł się trochę tak, jakby stał w deszczu w samych bokserkach.

Jak mógł to usunąć? Kliknął na „Pomoc”. Wyświetliła mu się lista dostępnych opcji; kliknął na „FAQ”. Tematy mogły zostać usunięte tylko przez administratora.

Pięknie.

Ale gdy zjechał na dół strony, zauważył ustawienia prywatności. Wrócił do strony z tematami. Skoro sam rozpoczął wątek, mógł go przestawić na dostęp prywatny.

Dobrze.

Tylko że jak miał teraz otrzymać jakieś rady?

Na ekranie wyświetliło mu się okienko. *PanienskaNiemądreSerce chciałaby dodać coś w twoim temacie. Zgadzasz się?*

Czy się zgadza? Kliknął na „Tak”.

Jej awatar ze stokrotką pokazał się w jego oknie.

PanienskaNiemądreSerce: Cześć, ChłopakuZSąsiedztwa, potrzebujesz pomocy?

Caleb gapił się na ekran, na migoczący kursor.

PanienskaNiemądreSerce: Przepraszam, czy wtrącam się w nie swoje sprawy? Zobaczyłam, że ustawiłeś ten temat jako prywatny. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy nie potrzebujesz pomocy.

Pomocy, o tak, zdecydowanie potrzebował pomocy, bo jego jama ustna nagle wyschła na wiór, a dłonie się spociły.

ChłopakZSąsiedztwa: Cześć. Tak, potrzebuję pomocy.

PanienskaNiemądreSerce: Żaden ze mnie technologiczny geniusz, ale jestem administratorem, więc mogę spróbować.

ChłopakZSąsiedztwa: Cóż, potrzebuję głównie pomocy z... Jak mogę zaprosić dziewczynę na randkę?

PanienskaNiemądreSerce: Zapytaj ją.

Skrzywił się. Tak, w jego przypadku na idiotometrze czasami zaczynało brakować skali.

ChłopakZSąsiedztwa: Nie, chodzi mi o to, że twoje rady nie przyniosły rezultatu.

Zagapił się na kursor. Ups. Nie wiedział, jak działała ta komunikacja online, ale nie chciał, by zabrzmiało to, jakby był zły. Po prostu stwierdzał fakt.

PanienskaNiemądreSerce: Przykro mi to słyszeć. Jesteś pewien, że ona nie ma już kogoś? Może cały czas wysyłać ci sygnały „idź sobie”.

Isadora... i chłopak? Na pewno jej ojciec by o tym wiedział. No i Caleb nie widział żadnego faceta w jej okolicy.

ChłopakZSąsiedztwa: Wydaje mi się, że jest singielką.

PanienskaNiemądreSerce: I zrobiłeś dokładnie wszystko, tak jak ci powiedziałam?

Wow, brzmiała jak stuprocentowa kobieta.

ChłopakZSąsiedztwa: Tak, co do joty. Nawet się ogoliłem.

PanienskaNiemądreSerce: Och, ChłopakuZSąsiedztwa, naprawdę, co za poświęcenie.

Bardzo śmieszne.

ChłopakZSąsiedztwa: Chodzi o to, że przydałby się jej przyjaciel i pomyślałem, że mógłbym ją zaprosić na randkę.

PanienskaNiemądreSerce: A więc ona potrzebuje randki? To strasznie aroganckie.

ChłopakZSąsiedztwa: Nie o to mi chodziło. Ale widziałem się z jej ojcem i myślę, że on chciałby, abym ją lepiej poznał.

PanienskaNiemądreSerce: To wszystko zaczyna brzmieć coraz gorzej. Jej ojciec? Jesteś amiszem czy co? Czy to małżeństwo aranżowane?

Och, jak bardzo chciałby teraz usłyszeć jej głos, bo w swojej głowie słyszał jej śmiech.

ChłopakZSąsiedztwa: Nie! Oczywiście, że nie! Po prostu od jakiegoś czasu nie chodziła na żadne randki.

PanienskaNiemądreSerce: Dlaczego?

ChłopakZSąsiedztwa: Jest niepełnosprawna. Tak jakby.

To słowo nie do końca mu pasowało, ale nie potrafił znaleźć lepszego. Kursor mrugał.

PanienskaNiemądreSerce: Czuję się okropnie. Proszę, wybacz mi.

ChłopakZSąsiedztwa: Powinienem być potraktować twoje zastrzeżenia bardziej poważnie.

Ton jej wypowiedzi zwrócił jego uwagę. Zatopił się bardziej w poduszkach. Jakby naprawdę jej zależało.

ChłopakZSąsiedztwa: Nic się nie stało. Chciałbym po prostu poznać ją bliżej. Jest w niej coś wyjątkowego. I chcę odkryć, co to jest.

PanienskaNiemądreSerce: Wiedziała, że jest w tobie coś, co lubię. Co w tej dziewczynie przykuwa twoją uwagę?

Co takiego lubił w Issy?

Pozwolił, by kursor migał przez chwilę. Podobało mu się, jak pogłaskała łeb Duncana, tak jakby troszczyła się o tego psa, chociaż całkiem zniszczył jej funkię.

ChłopakZSąsiedztwa: Potrafi przebaczać.

PanienskaNiemądreSerce: To dobra cecha.

Jej wzrok padł na kronikę szkolną.

ChłopakZSąsiedztwa: Kocha swoje miasto i sąsiadów.

PanienskaNiemądreSerce: A więc jest przyjacielska.

Miał przecucie, że lubi też futbol. W końcu sposób, w jaki rzuciła piłkę, pokazywał, że jest dziewczyną, która wie swoje o sporcie i nie boi się ubrudzić sobie rąk. No i kochała swój ogród, podczas gdy rośliny umierały na sam jego widok.

ChłopakZSąsiedztwa: Przede wszystkim, myślę, że jest kimś, kogo chciałbym poznać. Ale jak na razie, mam tylko tyle.

PaniąNiemądreSerce: To w sumie niewiele, by zacząć coś z tym robić. Dlaczego to jest dla ciebie takie ważne?

Dlaczego?

ChłopakZSąsiedztwa: Ponieważ dostałem drugą szansę, by stać się takim człowiekiem, jakim powinienem być, i nie poddaję się bez walki. Lubię skończyć to, co zacząłem.

Jak uczyć się chodzić od nowa. I zmienić drużynę straceńców tego miasteczka w materiał na mistrzów.

I udowodnić Bogu, że podjął dobrą decyzję, gdy uratował mu życie.

PaniąNiemądreSerce: Uważaj. Brzmisz, jakbyś traktował ją jak przedsięwzięcie.

Przedsięwzięcie. Czasami on sam czuł się jak przedsięwzięcie. Ale nie. Może raczej... zachęta?

ChłopakZSąsiedztwa: A co, jeśli ona jest nagrodą?

Kursor migał przez dłuższą chwilę.

PaniąNiemądreSerce: ChłopakuZSąsiedztwa, masz szczęście. Prawie dostałeś bana po tym komentarzu „ona potrzebuje randki”. Okej, czas na trochę kreatywności. Mógłbyś zaprosić ją na piknik. Na przykład z pizzą. Albo jeszcze lepiej – ze spaghetti. To proste i niegroźne.

ChłopakZSąsiedztwa: Nie jestem pewien, czy ona jada spaghetti.

PaniąNiemądreSerce: Wszyscy lubią spaghetti. Czego tu nie lubić? Poza tym większość dziewczyn lubi, gdy mężczyzna okazuje zainteresowanie tym, co one lubią. Czy ona ma jakieś hobby?

ChłopakZSąsiedztwa: Lubi pracować w ogródku. I ćwiczyć.

PaniąNiemądreSerce: No to świetnie. Załóż buty do tenisa i zaprosz ją na partyjkę. Albo na spacer po plaży. Albo nawet porzucacie razem piłkę.

Porzucac piłkę?

Lubił PaniąNiemądre Serce o wiele bardziej, niż powinien. No i jeszcze to, że założyła, że potrafi to wszystko zrobić...

Przez moment mógł poczuć te dni przed wypadkiem, te dobre, gdy ktoś po prostu wołał do niego z drugiego końca korytarza: „Caleb! Porzucamy sobie piłkę!”.

PaniąNiemądre Serce widziała go jako całość.

I przez ten krótki, wspaniały moment on też tak siebie widział.

ChłopakZSąsiedztwa: Dziękuję, PaniąNiemądreSerce. Spróbuję.

PaniąNiemądreSerce: Powodzenia, ChłopakuZSąsiedztwa. Prawdziwa z niej szczęściara, że ciebie ma.

No nie, ChłopakZSąsiedztwa wylogował się, a Issy widząc to, próbowała – och jak bardzo próbowała – nie nienawidzić tej dziewczyny.

Co się z nią zrobiło, że stawała się zazdrosna o nieznane – i zajęte – głosy na forum?

Cała ta rozmowa bardzo ją poruszyła. Ten stan wciąż się utrzymywał, gdy wzięła tosta z złotym serem i zeszła na dół.

Usłyszała skomlenie przy drzwiach; otworzyła je. Duncan siedział na ganku. Jego ciemny, kudłaty ogon omiatał drewnianą podłogę.

– Nie wiem, po co w ogóle tracisz na to czas. Nie mógłbyś sam wleźć do środka przez karton? – Ale i tak go wpuściła i nakarmiła resztkami kanapki.

Połknął ją błyskawicznie, jakby głodował od dekady. Potem ułożył się na podłodze i przewrócił na plecy, oczekując drapania po brzuchu.

– A przy okazji, musimy poważnie porozmawiać o zniszczeniu mojego płotu. – Uśmiechnęła się lekko, wyobrażając sobie jej własnego chłopaka z sąsiedztwa, który przyszedł wtedy do niej za psem.

Co, jeśli złapał jej piłkę?

Co, jeśli jej nie złapał?

Podrapała bosą stopą klatę piersiową psa.

– Muszę iść do pracy. Jeśli obiecasz, że ogrzejesz mi stopy, możesz iść ze mną.

Duncan poszedł za nią na górę.

ChłopakZSąsiedztwa nie wrócił na forum. Pewnie był już na zewnątrz i wiązał buty do biegania.

Chociaż jeśli ta dziewczyna była niepełnosprawna, może wcale nie mogła biegać. Issy dała mu więc beznadziejną radę... znowu.

Co to za mężczyzna, który nie zauważał albo nie przejmował się niepełnosprawnością kobiety?

Taki, którego sama chciałyby poznać.

Słońce schowało się już za horyzontem, a zmierzch obejmował ogródek w swoje posiadanie. Zgasiła światło na ganku i wyjrzała przez okno. Później zamknęła drzwi od frontu i wspięła się na górę po schodach.

U sąsiada dalej paliło się światło.

Potrafi przebaczać.

Te słowa wciąż rozbrzmiewały jej w głowie, nie dawały spokoju. Czy ona wybaczyła swojemu sąsiadowi? Co? Wkurzanie jej? Niekoszenie swojej trawy?

Pojawienie się w jej świecie i zmuszenie, by przyglądała się własnym brakom? Ograniczeniom?

Zatrzymała się na schodach, z ręką na poręczy.

Odkąd Caleb pojawił się w mieście, w jej życiu, coś się w niej rozstroiło. Jakby świat wymknął się jej nieco spod kontroli.

Przypominał Issy o jej mieście, jej ludziach. Jej ojcu.

Jej stracie.

Caleb przypominał jej o tych wszystkich razach, gdy ich zawiodła. O wszystkich razach, gdy zamknęła się w sobie, wszystkich razach, gdy poniosła porażkę.

Usiadła na schodach, wyglądając przez pozbawiony szyby otwór w swoich drzwiach. Przez ten wąski prześwit widać było dom Millerów po drugiej stronie ulicy oraz kawałek biblioteki. Dalej widok obejmował wieżę latarni morskiej usytuowanej na przylądku i rozświetlającej ciemną przestrzeń jeziora. Ale jej własny świat nagle wydał się jej ograniczony do takiego właśnie kadru, jak fragment widoczny z prześwitu drzwi – brzegi ucięte, tylko przebłyski realnego świata.

O Boże, jak ja się tutaj znalazłam? Szalona córka trenera, bojąca się całego świata?

Przycisnęła dłonie do oczu i usłyszała głos Rachele. *Może nie powinnaś starać się zostać kobietą, którą byłaś, lecz raczej tą, która czeka na ciebie w przyszłości... Mogę się założyć, że jeśli przestałaś tak mocno ją ograniczać, by zapewnić jej bezpieczeństwo, mogłaby cię jeszcze zaskoczyć.*

Och, miała swoje wątpliwości. Ona na randce – coś nie do pomyślenia. Skończyłyby pod stołem zwinięta jak dzikie zwierzątko. *Przepraszam, ale czy mógłbyś zabrać mnie do domu?*

Nie, nie, nie.

Caleb sprawił tylko, że ta rana zaczęła znów boleć.

Sprawił, że chciała się zakochać. Albo przynajmniej zdobyć przyjaciela.

Brzmisz, jakbyś traktował ją jak przedsięwzięcie.

Czy naprawdę to napisała? Mogła być jeszcze bardziej niegrzeczna? Ale fascynacja ChłopakaZSąsiedztwa tą jego Dziewczyną nie dawała jej spokoju. Zdawał się wiedzieć o niej tak niewiele. Była *przyjacielska*? Ciężko to nazwać intrygującą cechą, od której zaczyna się zainteresowanie.

Prawie to napisała, prawie zaczęła z nim flirtować, prawie chciała, aby zapomniał o tej Dziewczynie i został z nią na forum, porozmawiał z nią, a wtedy...

A co, jeśli ona jest nagrodą?

Issy ukryła twarz w kolanach. To właśnie sprawiało, że ChłopakZSąsiedztwa czynił tak wielkie... spustoszenie.

Był idealną partią.

Ale ona nigdy nie będzie nagrodą. Ani dla ChłopakaZSąsiedztwa, ani dla swojego sąsiada, ani dla nikogo.

[16] Tradycyjny, coroczny zjazd absolwentów szkoły; często w jego ramach odbywają się np. mecze futbolowe.

jedenaście

Przez te wszystkie lata Seb myślał, że rodzina Lucy żyje jak pączek w maśle.

Uśmiechnął się na swoją grę słów, ale szczerze mówiąc, gdy spojrział na wyciągi z konta bankowego, wcale nie było mu do śmiechu.

Lucy z trudem udawało się utrzymać Najlepsze Pączki na Świecie... dosłownie ledwo, ledwo. A Seb nie miał takich zdolności biznesowych, by znaleźć sposób na wyciągnięcie jej z tych tarapatów.

Gdy pochylała się nad stołem i patrzyła na niego, jakby potrafił czynić cuda, on skrupulatnie zapisywał cyfry na kartce i – niestety – nic dobrego z tego nie wychodziło.

– No dobrze, Seb. Bez owijania w bawełnę.

Na zewnątrz mewy przeczesywały plażę w poszukiwaniu resztek pozostawionych przez sobotnich piknikowiczów. Mała dziewczynka w obwisłych pieluchomajtkach stała przy brzegu wody, pozwalając, by fale obmywały jej sandałki. Potem odskoczyła w tył i uciekła do rodziców. Wysoki mężczyzna z przyciętymi kręconymi włosami wziął ją na barana.

– Jeśli dobrze rozumiem, twoi rodzice nie byli właścicielami budynku?

– Nie, wynajmowali go tylko. Nasza rodzina miała podpisaną umowę na pięćdziesiąt lat, która wygasła cztery lata temu. A więc kupiłam ten budynek.

– I to właśnie dlatego masz teraz problem z regulowaniem opłat?

– Tak. Z samym budynkiem bym sobie poradziła. Ale podatek od nieruchomości w strefie przybrzeżnej... – Pokręciła głową. – Dlatego właśnie muszę sprzedawać więcej pączków.

Stłumił kolejny uśmiech. Wszystko, co mówiła w przeciągu ostatnich trzech dni, wywoływało w nim taki nieco szalony uśmiech. Nawet podczas treningów łapał się na tym, że się uśmiecha.

Przez to jego treningi były nieskuteczne. Dobrze, że Bam i reszta przychodzili, by dać chłopakom wycisk i zadbać o ich formę.

Jako tako. Na pewno nie byli drużyną zdolną zwyciężyć w mistrzostwach. Michaels ledwo potrafił utrzymać piłkę w dłoniach, a co dopiero ją podać. A Samson nigdy nie znajdował się tam, gdzie powinien, nie mówiąc już o tym, że miał łapać podania od rozgrywającego.

Seb założył sobie, że zagrywki trenera Presleya uratują im skórę. Gdyby udało im się przeprowadzić dwie albo trzy skuteczne akcje...

– Seb?

Ups. Przy niej też mu się to zdarzało. Odpływał do szczęśliwszych czasów, gdzie wciąż słyszał wiwatujące tłumy.

– Myślałem o treningu.

– Jak idzie?

– W porządku. Bam i DJ zjawiają się każdego dnia po pracy. A chłopaki lubią słuchać o trenerze

Presleyu.

– Mógłbyś go kiedyś odwiedzić.

Seb mrugnął kilka razy.

– Iść... Och, nie, raczej nie.

– Dlaczego nie? Potrzebuje gości. Staram się wpaść do niego parę razy w miesiącu. Jestem pewnego rodzaju ogniwiem pomiędzy nim a Issy. Wiem, że bardzo chciałby cię zobaczyć.

– Nie, nie sądzę, żeby chciał. – Odwrócił głowę, by nie patrzeć na zdziwienie na jej twarzy. – Nie spełniłem jego oczekiwań wobec mnie.

– Och, daj spokój, Seb. Doznałeś kontuzji ramienia. To przecież nie twoja wina.

– Zrezygnowałem, Lucy. – Pozwolił, by te słowa wyrwały się na wolność, szybko i twardo.

Zamarła.

– Co?

– Ja... Odszedłem. Po kontuzji siedziałem na ławce przez pół roku. Potem na treningu przed sezonem mój trener oznajmił mi, że o rok młodszy chłopak był lepszy ode mnie i dostał moją pozycję rozgrywającego. Straciłem nad sobą panowanie. Zareagowałem jak mój ojciec i po prostu zszedłem z boiska.

– Zrezygnowałeś ze swojego stypendium.

– Tak. Najgłupsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu. I może ciężko w to uwierzyć, ale trener Presley jakimś cudem się o tym dowiedział i zadzwonił do mnie.

– Co ci powiedział?

– Powiedział, że mógłbym wrócić do gry, gdybym tego chciał. Że człowiek, który wkłada w coś całe serce, może osiągnąć wszystko. Ale ja wtedy nie miałem już serca do gry. Został mi tylko gniew. I strach. Tak mi się wydaje.

Lucy położyła swoją małą dłoń na jego dłoni. Popatrzył na nią, nie wiedząc, czy ma prawo ująć jej rękę.

– Czego się bałeś? – zapytała łagodnie.

– Nie wiem. Może siedzenia na ławce. Może ciężkiej pracy, cięższej niż kiedykolwiek w moim życiu, bez żadnej gwarancji, że zagram jeszcze w futbol chociaż przez sekundę. Może rozczarowania samego siebie.

– A więc zamiast ponieść porażkę, zrezygnowałeś.

– Siedziałem w swoim pokoju w akademiku podczas pierwszego meczu i myślałem o tych wszystkich robotach, które mój ojciec stracił albo rzucił, o wszystkich kłótniach moich rodziców, o tym, jak wiele razy matka groziła, że go zostawi, aż w końcu to zrobiła. – Wziął głęboki oddech. – Przypominałem sobie, jak wiele razy wracał do domu tak pijany, że nawet mnie nie poznawał. I zdałem sobie wtedy sprawę, że zupełnie tak jak on, przegrałem swoje życie. Wiedziałem, że zniszczyłem swoje wszystkie szanse, by grać w futbol profesjonalnie.

Westchnął, czekając, aż się od niego odsunie. Ale nie zrobiła tego. Ścisnęła jego dłoń.

– Ale wróciłeś. Nie poddajesz się tak łatwo. Zdobyłeś dyplom, a teraz jesteś tutaj.

Był tutaj. Tak.

Odetchnęła głębiej.

– Seb... dlaczego tu wróciłeś?

Dlaczego wrócił? Przez lata starał się oprzeć tej pokusie. Dopóki nie usłyszał o wypadku trenera. I dopóki nie stracił pracy w sklepie sportowym i nie przeczytał w internecie ogłoszenia, że w Deep Ha-

ven mają wakat na stanowisku nauczyciela matematyki. Wtedy coś się w nim zmieniło, poczuł coś, co miało smak odkupienia.

Coś, co powinien zrobić dawno temu.

– Myślałem, że skoro wszystko zaczęło się tutaj, mógłbym wrócić do początku, niejako zresetować swoje życie. Pchnąć je na dobry tor.

Spojrzała na niego i przez chwilę znów widział jej wielkie oczy, gdy ocknął się na tylnym siedzeniu pontiaca, z ramieniem wokół Bree i wzrokiem Lucy na sobie. Nie potrafił wydusić z siebie słowa – ani wtedy, ani teraz.

Ale uratowała go, jak to zawsze robiła.

– Więc dlatego chcesz sam zostać trenerem.

Uśmiechała się. Czuł się tak, jakby mu przebaczyła.

– Tak. Sądzę, że jakaś część mnie myśli, że jeśli uda mi się wyprowadzić drużynę na prostą, a może nawet doprowadzić ją do mistrzostw, wtedy...

– Znów będziesz bohaterem w tym miasteczku. – Powiedziała to taktownie, prawie... z uczuciem.

– Czy to takie okropne?

– Myślę, że to szczere. I może kiepski byłby z ciebie facet, gdybyś znów nie chciał wygrywać.

Jej dobroć naprawdę mogła zatrzymać jego serce w piersi. Przełknął ślinę, spróbował się uśmiechnąć.

Ale nie mógł, bo w jej oczach nie ujrzał nawet śladu litości albo obrzydzenia. Ani cienia żalu albo bólu. Tylko... uśmiech.

Usta otworzyły mu się bez udziału woli.

– Po tym, gdy opuściłem Deep Haven, myślałem o tobie przez cały czas.

Jej uśmiech zniknął. Przygryzła wargę i uciekła wzrokiem.

– Och...

Ujął jej dłoń.

– Czy... czy kiedykolwiek cię przeprosiłem?

Spojrzała na jego dłoń, która trzymała jej rękę.

– Pewnie tak. Ale i tak dziękuję. – Wzięła głęboki oddech. – To nic takiego.

Nic takiego? To było ważne. Wyraz bólu na jej twarzy – zawsze do niego wracał, gdy zabierał jakąś dziewczynę do pokoju. Przypominał mu, że jest łajdakiem.

– Lucy, tak bardzo przepraszam, że cię skrzywdziłem. I znajdę jakiś sposób, żeby postawić twój sklep na nogi. Obiecuję ci, nie stracisz go.

– A tobie uda się zdobyć tę pracę trenera, Seb. Wierzę w ciebie. – Spojrzała na niego z uśmiechem i wszystko nagle przestało mieć znaczenie. Była tylko Lucy, blask w jej oczach, i Seb nie mógł się powstrzymać.

Pochylił się do przodu, ściskając jej dłoń, i pocałował ją.

Nie poruszyła się, ani trochę, i zamarł w tej pozycji, wisząc nad stołem.

Czując się trochę głupio.

Ale wtedy zarzuciła mu ręce na szyję i oddała pocałunek. Słodki, z odrobiną cukru i kawy na wargach. Lucy. Jak dobrze pamiętał jej dotyk, jej smak. Nic w jego życiu nie wydawało się tak właściwe, jak bycie jej chłopakiem.

Może tym razem będzie umiał zrobić to dobrze.

Caleb Knight stał na podwórzu, polewając wodą z węża swoją wspaniałą białą limuzynę.

Samochód przetrwał całe trzy dni bez mycia, a Issy zdążyła dostrzec smugę brudu wokół tylnego błotnika. Och nie.

Issy przebiegła obok Caleba, szybko odwracając wzrok, ale nie dość szybko, by nie dostrzec czarnej koszuli z długimi rękawami podkreślającej wysportowaną sylwetkę futbolisty. Polał wodą dach samochodu, po czym skierował strumień na Duncana. Pies przestał śledzić wzrokiem biegnącą Issy i zamiast tego próbował zawzięcie pogryźć wodę. „Zapauzowała” swojego iPoda w samą porę, by usłyszeć śmiech Caleba.

Miał przyjazny, głęboki, rezonujący śmiech, od którego zadrżały jej wnętrzności.

Następnym razem powie mu *cześć*. Włączyła z powrotem muzykę, skręciła na chodniku i pobiegła wzdłuż kwartału. Przebiegła wokół niego już siedem razy, została więc jeszcze tylko jedna tura. Osiem okrążeń równało się dwóm milom. Jej ojciec zmierzył tę odległość, gdy była jeszcze w liceum. Osiem okrążeń, dziewiętnaście minut wolności. A jeśli tym razem nie uda jej się wydusić powitania, przebiegnie jeszcze wokół dwa razy.

Nie mógł poczekać z tym myciem, aż ona skończy biegać?

Skręciła na rogu, wbiegła w kolejną ulicę, równoległą do jej domu, mijając dom Lucy.

Zawsze mogła szybko uciec przez ich ogródki na tyłach.

Powiedz *cześć*. Powiedz *cześć*.

Trawnik Lucy przydałoby się posprzątać, wyrwać chwasty z grządek, przyciąć róże i skosić trawę. Ale Lucy i tak prawie nie oglądała go w świetle dnia, biedna dziewczyna.

Issy skręciła na kolejnej ulicy, kierując się na południe. Ciekawe, że nie widziała się z Lucy już od dwóch dni, chociaż ta wciąż zostawiała pączki na jej ganku z dołączoną karteczką *Zadzwoń*.

Ale nie zadzwoniła. Soboty zawsze były dla niej najbardziej zakrecone. Biedna, pracowała pewnie po godzinach. Inaczej na pewno by ją odwiedziła.

Caleb Knight miał w rękach irchę i właśnie polerował swą limuzynę, gdy Issy wróciła na ich uliczkę, minęła go i zatrzymała się, by zmierzyć puls; truchtała w miejscu. Wtedy na nią spojrział.

Kątem oka zauważyła, że idzie w jej stronę.

O... nie...

Ale spojrzała na niego i wyciągnęła słuchawki z uszu.

– Siema, sąsiadko! – powiedział, wycierając dłoń w szmatkę. – Isadora, no nie?

Och, nie chciała wiedzieć, skąd... Przełknęła ślinę i uśmiechnęła się, pokazując zbyt dużo zębów.

– Cześć.

– Widziałem się z twoim ojcem. Pastor Dan pomaga mi w treningach i zapoznał nas ze sobą.

Spojrziała w stronę domu. Słowa Caleba zmartwiły ją trochę. Co powiedział mu jej ojciec?

– Pomyślałem sobie, że może mógłbym wpaść i naprawić płot? Wiesz, tam gdzie Rog... to znaczy Duncan się przebił?

Może jej ojciec nic nie powiedział. Nie widziała w oczach Caleba ciekawości, tego spojrzenia: *a więc to jest ta pustelnica*.

Czekał na jej odpowiedź. Długo zajęło jej odnalezienie swojego głosu.

– Myślę, że to byłoby w porządku. – Trener Knight w jej ogródku? Wzięła głęboki oddech. Znowu spojrziała na swój dom. Duncan wyłożył się w cieniu na jej ganku.

– Co powiesz na porę obiadową? Muszę skończyć myć samochód, a później... Mógłbym też napra-

więc twoje tylne drzwi do domu.

– Moje drzwi? – Wyrwało jej się. Skąd on w ogóle wiedział o jej drzwiach?

Wydawało się, że czyta w jej myślach, bo przyciszył głos do konspiracyjnego szeptu i utkwiał w niej swój niebezpieczny wzrok.

– Lucy w sklepie z pączkami złożyła dzisiaj rano donos na naszego przyjaciela Duncana. – Mrugnął do niej.

Może to była mieszanina głosu, mrugnięcia i tego jego zapachu przyniesionego przez wiatr – bogatego i ostrego – że obudziło się w niej coś znajomego. Coś słodkiego i wcale nieprzerazającego.

Coś, w co chciałyby się wtulić.

Chciała go polubić. Chciała wpuścić go do ogrodu, by naprawił płot, naprawił drzwi. Chciała być kobietą, która mogłaby odpowiedzieć na jego uśmiech, mogła nawet zaprosić go na...

– A skoro już u ciebie będę, co ty na to, żebym przyniósł ze sobą pizzę? Albo jakąś chińszczyznę na wynos?

– Nie mamy w Deep Haven chińszczyzny na wynos. – Jej głos był tak cichy, że nie była nawet pewna, czy faktycznie coś powiedziała. Odetchnęła płytko. Przełknęła ślinę.

– Nic nie szkodzi – odparł cicho, wciąż patrząc jej w oczy. – Uwielbiam pizzę. Ty nie?

– Hm... cóż... – Znów przełknęła ślinę, chociaż w jej gardle utknął głaz. Zrobiła krok. – Właściwie wolę spaghetti – powiedziała. Albo przynajmniej wydawało się jej, że powiedziała.

– Spaghetti. Okej. – Uśmiech rozświetlił mu twarz. – Zobaczę, co uda mi się upichcić. Co powiesz na okolice piątej?

Próbowała się uśmiechnąć, ale wydawało jej się, że tylko zaprasza muchy do środka; jej usta wysychały. Zrobiła kolejny krok.

– Czy mam to rozumieć jako *tak*? – Znów ten łagodny głos; brzmiał tak... znajomo. Jakby już skądś go znała, jakby gościł już w jej myślach.

Czy to było *tak*? Odetchnęła głęboko i przycisnęła dłonie do brzucha.

– Tak. Yhmmmm. – Skinęła też głową, na wypadek, gdyby nie potrafiła tego lepiej zakomunikować, bo kto w końcu mógł być pewien w jej stanie?

Ale wyglądało na to, że coś jednak wyrwało się z jej piersi, bo na jego twarzy znów pojawił się uśmiech.

– No to do zobaczenia o piątej, Isadoro.

– Issy. Mów mi Issy. – To już usłyszała.

Zagwizdał na Duncana, który wstał i zbiegł truchtem po schodach. Caleb spojrział na nią. Ciepły uśmiech wciąż ozdabiał jego twarz.

– Do zobaczenia później, Issy.

Zdążyła wrócić do domu, nim się zorientowała...

Miała randkę. Prawdziwą randkę.

Dwa ogromne kroki naprzód naraz.

– Issy, nigdy nie zgadniesz, co się stało!

Lucy zamknęła za sobą drzwi, czekając w pogrążonym w ciszy domu na odpowiedź Issy. Radio grało na górze, dobiegał z niego cichy szum głosów, ale poza tym dom wyglądał na pusty.

Przeszła przez hol do tylnych drzwi i otworzyła je.

– Issy!

Ogródek był pusty.

Obróciła się, pobiegła korytarzem do salonu. Issy nigdzie nie było.

– Gdzie jesteś?

Nasłuchiwała, mimo że uszach aż tętnił jej puls, i w końcu wspięła się po schodach na piętro.

Drzwi do gabinetu Issy były uchylone, ale w pokoju obok usłyszała jakiś huk. Popchnęła drzwi do pokoju rodziców Issy.

Co u licha...? Issy stała na środku pokoju w swojej sukience ze studniówki. W uszach miała słuchawki i udawała, że gra na gitarze.

Zauważyła Lucy w odbiciu w lustrze i zamarła. Obróciła się. Wyjęła słuchawki.

– Cześć.

– Co ty wyprawiasz?

– Co się stało?

Stały tak chwilę, aż...

– Ja spytałam pierwsza. – Lucy weszła do pokoju. Zauważyła, że Issy wyprała narzutę, która nie nosiła już żadnych śladów bytności Duncana. Ale wydawało się, że cała garderoba Issy leży wyłożona na łóżku. Dżinsy, swetry, bluzki, dwie sukienki i pewnie z osiem par sandałów na obcasach oraz szpilek. Dostrzegła nawet dwie pary damskich garniturów, z których jeden wciąż miał przypiętą metkę.

Lucy podniosła go, po czym usiadła na łóżku na parze dżinsów.

– Robisz wyprzedaż garażową?

Issy wyszczerzyła się. Ten rodzaju uśmiechu kojarzył się Lucy z pacjentami szpitala psychiatrycznego. Było go jakby za dużo... Właściwie to wcale nie musiał być uśmiech, lecz raczej nowa forma paniki.

– Wszystko w porządku, Issy?

– Mam... mam randkę. – Słowa brzmiały bardziej jak pytanie niż zdanie oznajmujące, ale Issy obróciła się i wygładziła sukienkę, patrząc na siebie w lustrze. – Mam. Randkę. Ja

– Serio? Z kim?

– Z sąsiadem.

– Trenerem Knightem?

– Tak. – Oczy Issy rozszerzyły się. – Mam randkę z trenerem Knightem.

– Okej, słuchaj, czy to jakiś atak spowodowany niskim poziomem cukru we krwi? Wiem, że nie było mnie tu przez kilka dni, ale zachowujesz się naprawdę dziwnie.

Issy uśmiechnęła się, a Lucy zobaczyła, że przyjaciółka znów jest sobą.

– Staram się po prostu przyzwyczaić do tej myśli, zanim zacznę panikować, że nie mam co na siebie włożyć.

– Proszę, powiedz mi, że nie zamierzasz iść w swojej sukience ze studniówki.

– Zwróć uwagę, że wciąż na mnie pasuje.

– Jesteś wspaniała. Wyślę twoje imię do magazynu „Woman’s Day”. Ale mam takie wrażenie, że trener Knight zwieje gdzie pieprz rośnie, jeśli pojawisz się na randce w swojej studniówkowej sukience.

Issy pozwoliła sukience zsunąć się na podłogę i stworzyć coś na kształt kałuży materiału, po czym włożyła szlafrok.

– Nie chciałam w niej iść. Szukałam dobrej pary butów i znalazłam ją w szafie mamy. A później, cóż, jest tutaj to wielkie lustro...

– Dlaczego na gabinet przerobiłaś swój pokój, a nie pokój gościnny na dole?

– Podoba mi się widok na Deep Haven. I na ogród mamy.

– Wiesz, powinnaś przenieść się do tego pokoju. Twój tata w końcu nigdy nie wróci do domu.

Issy wciągnęła powietrze do płuc. Lucy tak bardzo chciała cofnąć te słowa.

– Nie to miałam na myśli. Przepraszam.

– Miałaś. I masz rację. – Issy wzięła garnitur, ten z metką. Jej ręka drżała. – Kupiłam go na rozmowę kwalifikacyjną w KQRD. Nigdy nie miałam go na sobie. – Powiesiła go w szafie matki. – Powiedz mi, jakie masz dla mnie ważne informacje.

Tyle ran, małych skaleczeń, które wciąż krwawiły, gdy Issy starała się przetrwać kolejny dzień. Ale jeśli chciała zmienić temat...

– Seb mnie pocałował.

– Co? Seb Brewster?

Ups. Lucy nie miała zamiaru być taka bezpośrednia ze swoją nowinką. Planowała nawiązać do tego powoli, przygotować Issy. *Seb Brewster pomaga mi uratować sklep z pączkami. Seb Brewster pocałował mnie...*

Nie, powinna lepiej to wyjaśnić.

– Spotykałam się z nim przez dwa poprzednie wieczory. Pomaga mi jakoś ogarnąć finanse sklepu z pączkami, bym mogła dostać kredyt.

– A więc to z Sebem miałaś wtedy spotkanie?

– Tak. Nie mogłam w to uwierzyć. Studiował finanse w college'u. Uczy teraz matematyki w szkole i... och! – Spojrzała na Issy. – On i Caleb starają się o tę samą posadę. Wszyscy o tym mówią. Wielki mecz towarzyski w przyszły piątek ma rozstrzygnąć, kto zostanie nowym trenerem.

– Spotkałaś Caleba?

– Dzisiaj. Przyszedł do sklepu i przedstawił się.

– Powiedziałaś mu o drzwiach.

– Powinnam przeprosić?

Issy uśmiechnęła się. A potem zdała sobie z czegoś sprawę.

– Chwila... A więc Caleb i Seb będą razem prowadzić drużynę?

– Myślę, że to konkurs. Seb ma do pomocy całą starą drużynę Huskies. Uczą dzieciaki swoich starych zagrywek, tych, które wciąż pamiętają.

Issy usiadła na łóżku, zaczęła składać ten bałagan.

– Biedny Caleb. Mam nadzieję, że jemu też ktoś pomaga.

– Pastor Dan służy mu pomocą. I jeśli wierzyć Sebowi, Caleb ma dyplom z coachingu. Uczy psychologii w szkole. Na mieście już wiszą plakaty reklamujące mecz.

– Pamiętam, że gdy mój tata był jeszcze trenerem, to było coś wielkiego. Wszyscy fani, rodzice, większość miasteczka przychodziła popatrzeć, jak grają, ocenić ich potencjał.

– Po tych dwóch latach przyda nam się trochę entuzjazmu dla drużyny Huskies.

Issy przyjrzała się czarnemu swetrowi, nim go wciągnęła przez głowę.

– Ciekawe, czy mój tata wie.

– I którego z nich by wybrał.

Issy zdecydowała się na dzinsy.

– Czy tak właśnie pójdziesz na randkę? – spytała Lucy.

– Nie tak szybko. Wciąż rozmawiamy o tobie. I Sebie. Pocałowałaś go?

Lucy wzięła sweter i złożyła go na udach.

– Tak. To po prostu się wydarzyło. Siedział, opowiadając o swoim ojcu i o tym, dlaczego rzucił futbol, i nagle pocałował mnie. – Uśmiechnęła się na wspomnienie jego oczu, gdy się cofał. Miał minę, jakby stracił szklankę mleka na podłogę. – Nie jestem pewna, czy chciał to zrobić, ale... to jak reset dla nas. Jakbyśmy zaczęli od nowa.

Issy nie poruszyła się.

– No nie wiem, Lucy. Ty i Seb... pomiędzy wami jest tyle bólu.

To nic takiego. Jej własne słowa wróciły do niej. To nic takiego. Oprócz tego, że nigdy nie wybaczyła sobie zdradzenia własnych zasad. Cóż, miała w życiu trudny okres, gdy dała się pochłonać swoim ranom i ruszyła szukać ukojenia w niewłaściwych miejscach. To nic takiego.

Tak bardzo przepraszam, Lucy, że cię skrzywdziłem. Tym razem, widząc szczerłość w jego oczach, uwierzyła mu. I jeśli nawet nie przebaczyła mu wcześniej, zrobiła to teraz.

Lucy sięgnęła po kolejny sweter.

– Myślę, że tym razem może być inaczej.

– Jesteś silniejsza. Mądrzejsza.

– I on też jest inny. Skromniejszy. I słodki. Naprawdę chce mi pomóc. Myślę, że uda mi się uratować sklep z pączkami.

– Wydawało mi się, że nie znosisz pączków. – Issy uśmiechnęła się złośliwie.

Sterna ubrań na udach Lucy wciąż rosła.

– Nie mogę stracić sklepu. Był w mojej rodzinie od trzech pokoleń. Poza tym, zmieniam powoli świat, pączek za pączkiem, prawda?

– A ja też zmieniam świat: jedno niemądre serce za drugim.

– Hej, jeśli Bóg ma pożytek ze mnie i moich pączków, ma też pożytek z ciebie, chociaż jesteś uwięziona w domu. Nigdy nie zaczęłabyś prowadzić tego programu, gdyby cię tutaj nie było. I pomyśl o tych wszystkich ludziach, którym pomagasz.

– Tak, akurat. Nie mam bladego pojęcia, co robię. Biedny ChłopakZSąsiedztwa podąża za wszystkimi moimi wskazówkami, a jego upatrzona Dziewczyna nawet z nim nie rozmawia.

– Zrobi to w końcu. Nie ma dla kobiety nic bardziej pociągającego, niż zakochany w niej mężczyzna.

– Dziękuję. To jak muzyka. Tak jakby.

– Moja najlepsza kwestia. A więc opuszczasz dom, idąc na swoją wielką randkę?

Issy odwróciła się od okna.

– Nie, nie idziemy do miasta. Wpadnie tutaj naprawić mój płot. I moje drzwi.

– Hm... Nie chcę sprawić ci przykrości, Issy, ale jesteś pewna, że to w ogóle randka?

– Ma przynieść spaghetti.

– Spaghetti... No to teraz już nie mam wątpliwości.

Issy wróciła do ubrań.

– Nie mogę tego włożyć. – Zdjęła sweter i sięgnęła po brązową koszulkę z krótkimi rękawami.

– Co ty robisz?

– Jeśli włożę ten sweter, będę starała się za bardzo. Jest zbyt elegancki, zbyt... pełny oczekiwań.

– Masz jakieś oczekiwania?

– Nie! – Issy posłała przyjaciółce mordercze spojrzenie. – Oczywiście, że nie. To tylko... spaghetti.

– Mmm-hmm. Tak, cóż, ten podkoszulek aż krzyczy: „Hej, stary, podaj piłkę”.

Issy zamarła.

– Och... Poradziłam na czacie ChłopakowiZSąsiedztwa, by porzucił piłkę ze swoją dziewczyną.

– I co z tego? – Lucy pogrzebała w stercie ubrań i znalazła bluzkę z kory z krótkimi marszczonymi rękawkami.

– Nie rozumiesz? Chłopak z sąsiedztwa zaoferował, że przyniesie mi spaghetti.

– Mówisz bez sensu.

Issy opadła na łóżko.

– Nie, to nie może być on. Powiedział, że jest niepełnosprawna. A poza tym wszyscy lubią spaghetti.

– Kto jest niepełnosprawny?

– Ta Dziewczyna.

– ChłopakZSąsiedztwa spotyka się z niepełnosprawną dziewczyną?

Issy wzięła bluzkę, po czym wstała i ściągnęła z siebie podkoszulek.

– Tak, chociaż powiedział, że to nie ma znaczenia. – Założyła bluzkę i zapięła guziki. – Czy nie jest to facet, którego chciałabyś poznać? Facet, który patrzy na kobietę, a nie na jej niepełnosprawność? –

Wygładziła materiał.

O... nie.

– Issy, lubisz go.

Issy zmarszczyła brwi.

– Cóż, nasze początki na pewno nie były łatwe, ale... powiedziałam mu dzisiaj *cześć*. No i naprawi mój płot...

– Nie trenera Caleba. Tego ChłopakaZSąsiedztwa. Lubisz go.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie jest... prawdziwy. Chodzi mi o to, że jest tylko głosem po drugiej stronie linii. I tak, rozmawialiśmy trochę na forum...

– Rozmawialiście na forum?

– Tam właśnie dowiedziałam się o jej niepełnosprawności. I poradziłam mu, by kupił jej spaghetti.

Ciekawe.

– Cóż, wszyscy lubią spaghetti.

– Oczywiście, że tak. – Podeszła do sekretarzyka, wyjęła perły.

– Oczywiście, że nie.

Odłożyła je.

– Chciałabym po prostu, żeby znalazł się ktoś, kto patrzyłby na mnie tak, jak ChłopakZSąsiedztwa na swoją dziewczynę. Kto wszedłby w mój świat...

– I zabrał cię stąd.

Issy wzruszyła ramionami.

– Może ktoś, kto nie bałby się mojego świata, chociaż jest ponury. – Znów spojrzała za okno. Lucy podążyła za jej wzrokiem. Słońce świeciło na brzozy, które rozdzielały ich podwórka.

– Twój świat nie jest już taki ponury, jak był kiedyś. Ile razy obiegałaś dzisiaj dzielnicę?

– Osiem. Ale mogłabym obieć ją dziewięć razy. – Spojrzała Lucy w oczy. – Tak mi się wydaje.

– Wiem. I wiem, że przed tobą jest światło. Po prostu musisz iść w jego stronę.

dwanaście

Czy facet może kupić kwiaty dziewczynie, której pasją jest ogrodnictwo? Caleb stał przed półką pełną roślin doniczkowych w sklepie Red Rooster i starał się wykombinować, czy Issy bardziej ucieszyłaby się z irysa czy – sprawdził metkę na drugim kwiatku – z chryzantemy.

A co, jeśli przyniósłby jej cięte kwiaty? Na przykład biało-różowy bukiet? Albo lepiej nie przynosić nic? Nie chciał jej wystraszyć.

Ale gdy Issy obejrzała się na niego przez ramię, wchodząc do domu, rozbudziła w nim całą burzę szczęśliwych, szalonych myśli. Jakby zrobił coś dobrze.

Nareszcie.

Jakaś jego część nie mogła się już doczekać, by zakomunikować o tym Paniencie Niemądre Serce. Chociaż może powinien to zrobić już po randce.

Zdecydował się na irysa.

Z głębi alejki doszedł do niego łomot puszek. Caleb obejrzał się i zobaczył chłopaka w białym pracowniczym fartuchu, który mocował się z pudłem.

Caleb odstawił doniczkę z kwiatkiem i pokuśtykał bliżej, by złapać krawędź przechylającego się pudła i wciągnąć je na wózek.

– Nie znoszę, gdy ode mnie uciekają. – Uśmiechnął się do młodego pracownika.

Jared Ryan.

Ryan spojrział na niego z niechęcią, po czym pognał za turlającymi się puszkami.

Caleb trzymał pudło, podczas gdy chłopak ciskał puszki do środka. Mógł zgadnąć, że niedługo sklep zrobi promocję wgniecionych puszek z kukurydzą.

– Hej, ostrożnie...

– Nie próbuj mnie pouczać w mojej pracy. – Ryan wrzucił resztę puszek do pudła. Złapał je jedną ręką i zaczął odjeżdżać.

– Nie ma za co.

Ryan zatrzymał się. Obrócił się, a jego oczy były zimne.

– Nawet nie wiem, po co tu jesteś, koleś. Co dobrego w ogóle robisz? Uczymy się tylko rzeczy, które poznaliśmy już w czwartej klasie. *Draw, sweep, reverse*, każda obrona w kraju zna te manewry. Zamiast tego potrzebujemy czegoś fantastycznego, zagrywek, które kiedyś wykonywali Huskies. Takich jak te, których uczy swoją drużynę trener Brewster. Przegramy i wyjdziemy na głupków. Musimy poznać jakieś lepsze zagrywki albo nas zmiażdżą.

Caleb starał się nie stracić panowania nad sobą.

– Wygrywa się, znając podstawy. Byłbym szczęśliwy, gdybyście opanowali chociaż najprostsze rzeczy. Jesteście całkiem w rozsypce po dwóch latach złych treningów...

- Sam jesteś złym trenerem. I nie chcę u ciebie grać. Będę grać u Brewstera.
- Przykro mi, synu, ale nie możesz tego zrobić. Brewster nie pozwoli ci u siebie grać.
- Zrobi to, jeśli chce wygrać.

O rany. Caleb wolał nie myśleć, że sam mógł być tak samo arogancki w przeszłości.

- A ja myślałem, że to efekciarskie zagrywki pozwolą nam wygrać.

Ryan posłał mu mordercze spojrzenie.

- Jeśli nie mogę grać u Brewstera, to zapomnij o tym. Zachowam swoją energię na koszykówkę. Byłem w tamtym roku najlepszym skrzydłowym w lidze. I skakałem też przez płotki.

– Świetnie. Będzie nam ciebie brakowało. Ale nie myśl sobie, że gdy zostanę głównym trenerem Huskies, przyjmę cię znowu do drużyny.

- Nie dostaniesz tej pracy.

Puszka kukurydzy wyslizgnęła się z pudła i spadła na ziemię. Caleb schylił się i podniósł ją. Nie przejmował się bólem, który przeszył jego ciało. Podał ją Ryanowi.

Chłopak wyrwał ją z jego rąk.

– Masz jeszcze jedną szansę, by pojawić się na treningu. – Caleb obrócił się i wyszedł, ignorując kwiaty.

Wsiadł do samochodu i patrzył na witrynę sklepu, na Ryana, który pchał kukurydzą alejką. Jego słowa wciąż rozbrzmiewały mu w głowie. Efekciarskie zagrywki. Nie, nie potrzebowali efekciarskich zagrywek – potrzebowali podstaw. Blokowania. Szarżowania. Biegania z piłką.

Zamknął oczy i oparł czoło na kierownicy.

Przysięgam, robię, co w mojej mocy, Boże. Ale co, jeśli ta cała moc to i tak wciąż za mało?

Tego ranka podczas wspólnego czytania Biblii poznał kilka osób, z którymi mógłby się kiedyś zaprzyjaźnić. Lokalny hydraulik. Joe, strażak, którego żona prowadziła księgarnię. Miał też dzieciaka w drużynie Brewstera.

Dan powtórzył niedzielny werset z listu do Filipian. Bóg dał Calebowi okazję. Teraz musiał po prostu pracować ciężiej, być mądrzejszy, aby dobrze ją wykorzystać.

Caleb odetchnął głęboko, po czym wrócił jeszcze raz do sklepu. Unikając Ryana, kupił pudełko makaronu, włoski sos i przyprawy potrzebne do zrobienia domowego spaghetti według przepisu jego mamy.

Potrafił robić naprawdę zabójcze spaghetti.

Trzy godziny później miał na sobie pas z narzędziami. Udało mu się przybić gwoździami luźne deski płotu Issy.

- Upewnij się, że użyłeś naprawdę wystarczającej ilości gwoździ. Duncan jest całkiem spory!

Issy stała na ganku. Wyglądała czysto i pięknie w swojej białej bluzce z krótkimi rękawami i w dżinsach. Potrafiła sprawić, że wieczór też stawał się uroczy. Te jej długie brązowe włosy, piegi wokół nosa, sposób, w jaki poruszała się po ogrodzie i zrywała kwiaty...

Dobrze, że nie zdecydował się na kwiaty – nie miałyby szans przy bukiecie, który postawiła na stole na tarasie. Dalie i róże. Wyczerpał tym jednak swoją botaniczną wiedzę, którą nabył, spędzając nieco czasu w ogródku matki. Ale przynajmniej mógł dzięki temu sprawiać wrażenie, jakby trochę się na tym znał, gdy Issy oprowadzała go pomiędzy swoimi cudami.

– Moja matka je zasadziła. – Zatrzymała się obok krzaku żółtych róż. – Róże *Pilgrim*. Kochała je. – Podeszła do trejażu. – Ale te są moje. Różowe, pnące róże herbaciane. – Powąchała jeden z pąków i wyciągnęła go ku Calebowi.

Tak, pachniały nieźle. Wszystko jedno. Ale i tak pewnie mógłby z nią tutaj stać całą noc. Mając w pamięci dzisiejsze popołudnie, gdy zagadał do niej podczas biegania, teraz – wieczorem – prawie nie poznawał tej dziewczyny z sąsiedztwa.

Otworzyła przed nim swój świat i zaprosiła go do środka. Kimkolwiek się stała, lubił ją. Bardzo. Lubił jej niewymuszony uśmiech i sposób, w jaki zdawała się przy nim odprężyć. Jak patrzyła na niego, gdy naprawiał płot. Jak pogłaskała pysk Rogera, potarłszy go za uszy.

Gdy skończyła sprzątać ze stołu talerze po spaghetti, nalała do szklaneczek resztkę lemoniady z dzbanka. Caleb wykonał już pomiary otworu w jej drzwiach. Wpadnie jutro do składu drewna i dowie się, czy będzie mógł zamówić szybę. Na razie jednak karton był genialnym rozwiązaniem.

Przez resztę wieczoru cieszył się szeptem wiatru w liściach brzozy i topoli. Lawendowym zmierzchem za swoimi plecami. Słodkim smakiem zwycięstwa.

Panience Niemądre Serce i Chłopakowi z Sąsiedztwa udało się zdobyć serce Dziewczyny – a przynajmniej zaprosić ją na randkę.

Musiał tylko rozegrać dobrze ten wieczór, nie spłoszyć jej rozmowami o przeszłości, utrzymywać miły i przyjacielski nastrój.

Skończył wbijać ostatni gwóźdź w drewno, a następnie wsunął młotek na swoje miejsce. Ściągnął pas z narzędziami i położył go na ganku, po czym usiadł powoli na stopniach.

– Chcesz jeszcze lemoniady?

Skinął głową.

Zeszła po schodach, podała mu szklanekę i przysiadła obok.

– To było naprawdę świetne spaghetti.

– Przepis mojej mamy. – Napił się. Czuł, że musi położyć nogę w poziomie. – Byłaby dumna, że pamiętam, jak je przyrządzić.

Spojrzała na niego, a na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech.

– A więc gotujesz.

– Moja mama twierdziła, że wszyscy jej chłopcy muszą umieć gotować i tańczyć. Lekcje w kuchni odbywały się w każdy niedzielny wieczór.

– Gotowania?

– I tańca. – Wyszczrzył się. Miał nadzieję, że nie poprosi go, by zatańczył walca. Pewnego dnia może zatańczy znowu.

– Nie potrafię tańczyć. Ani gotować, tak na dobrą sprawę. A więc masz braci? – drążyła temat.

– Collin jest najstarszy. Mieszka w Minneapolis ze swoją żoną. I Levi. Jest w ostatniej klasie college’u i gra tam w koszykówkę.

– Czym zajmują się twoi rodzice?

– Mój tato jest właścicielem sklepu z narzędziami, ale mieliśmy też farmę.

– Stąd ten pas z narzędziami.

– Dobrze być w życiu zręcznym. Dostałem go od taty.

– Mądry człowiek. – Issy złożyła ręce między kolanami.

– Zimno ci? Możemy wejść do środka.

Spojrzała na niego i pokręciła szybko głową.

Okej, a więc nie do środka. Może było to zbyt osobiste, za bardzo inwazyjne.

– Po prostu, hm...

– Naprawdę, Issy, w porządku. Nie powinienem był tego sugerować.

Jej oczy rozszerzyły się.

– Dlaczego?

Dlaczego?

– Ponieważ na dworze jest przyjemnie, prawda?

Odetchnęła głębiej, zdając się akceptować taką odpowiedź.

– Mogę cię zapytać, czym się zajmujesz? Wydaje mi się, że jesteś zawsze w domu...

– Ja... Pracuję w domu. E-rzeczy – odpowiedziała.

– E-rzeczy?

– Pracuję online.

Och.

– Jak radzi sobie drużyna? – spytała.

– Dobrze. Pracujemy nad wyeliminowaniem wszystkich drobnych błędów. Myślę, że chłopcy będą gotowi na mecz w przyszłym tygodniu. – Przypomniał sobie spięcie z Ryanem. – Przynajmniej większość z nich.

– Pamiętam, jak mój tata wracał do domu po pierwszym tygodniu treningów. Obkładał sobie lodem nogi, zupełnie jak jego gracze. Lubił tarzać się z nimi w brudzie, pokazywać im nowe zagrywki jako przedsmak przed rozpoczynającym się sezonem. – Potrząsnęła głową, jakby pozbywając się tego wspomnienia. – Myślisz, że dostaniesz tę pracę?

– Mam nadzieję. Zawsze chciałem mieszkać w małym miasteczku.

– Dlaczego?

– Ponieważ dorastałem w takim. Pamiętam mecze i kochałem...

– Być gwiazdą futbolu? – Uśmiechnęła się złośliwie i nie wiedział, jak to zinterpretować.

– Nie. Kochałem to, że znam wszystkich w miasteczku. Uwielbiałem chodzić do kawiarni, gdzie kelnerka wiedziała, co zamówię. I tak, lubiłem wygrywać mecze. Lubiłem sposób, w jaki drużyna razem działała. Lubiłem być częścią czegoś większego niż ja sam. – Tak samo jak był częścią oddziału w Iraku. Strata tamtego życia była prawie tak bolesna jak strata nogi.

– Naderwałeś sobie mięsień, grając w futbol?

Zabrał dłoń z uda. Pewnie znów za bardzo je pocierał. Och, tak bardzo nie chciał kłamać. Zwłaszcza kiedy dopiero zaczynali. Ale...

– Coś w tym rodzaju,

– Myślisz, że możemy wygrać? Wystartować w mistrzostwach?

– Zespół jest jeszcze młody. I szczerze mówiąc... – Skupił się na tym, żeby nie masować nogi. Zamiast tego zwinął dłoń w pięść i oparł ją na udzie. – Mam pewne problemy z jednym zawodnikiem. Jest... niezadowolony z faktu, że pracujemy nad podstawami. Sądzę, że chce być gwiazdą, a ja nie jestem dla niego wystarczająco efekciarski.

– Mój tata spędzał pierwszy tydzień albo dwa tylko na ćwiczeniach, zanim uczył ich jakichkolwiek swoich słynnych zagrywek.

– Słynnych zagrywek?

– No wiesz, takich dla zmylenia przeciwnika, dzięki którym można wygrać mistrzostwa.

Wiedział. Tak naprawdę miał już kilka takich taktycznych zagrywek w głowie. Ale na razie nie mógł ich wypróbować w swojej drużynie... na razie.

– Nie zawsze.

– Nie, jeśli nie potrafisz wdrożyć ich w życie. I właśnie dlatego ważne są podstawy.

– Byłby z ciebie świetny trener – powiedział Caleb. W nagrodę dziewczyna zmarszczyła nos.

– Gdzie tam. Jestem tylko córką trenera.

– Świetnie podkręcasz piłkę.

Obróciła głowę i nie mógł się powstrzymać – odgarnął z jej twarzy kosmyk włosów rozwianych przez wiatr.

Odsunęła się od niego gwałtownie.

– Och, przepraszam, ja...

Przełknęła szybko ślinę. Potrafił rozpoznać fałszywy uśmiech, gdy miał jeden przed oczami.

– Issy, przepraszam. Jesteś przy mnie bezpieczna.

Zacisnęła usta.

– Dlaczego to powiedziałaś?

– Ponieważ... Ja... Myślę, że cię lubię, i chciałbym poznać cię lepiej. Nie chcę niczego zepsuć.

Czy naprawdę właśnie to powiedział?

Zdawała się przetrawiać jego słowa, przyglądać im się w myślach z każdej możliwej strony.

– Dlaczego mnie lubisz, Caleb? Nawet mnie nie znasz. Dlaczego robisz mi spaghetti i przychodzisz naprawić mi płot?

– Bo jesteś moją sąsiadką? Czy muszę mieć jakiś powód?

Przygryzła wargę i odwróciła wzrok.

Stłumił w sobie pragnienie, by znów odgarnąć jej włosy. A wszystko do tej pory szło tak dobrze.

Złożyła ręce. Choć zajmowała się ogrodem, miała nieskazitelne paznokcie.

– Człowiekiem od oszukańczych zagrywek mojego ojca był Seb Brewster. Uwielbiał wcielać w życie te wszystkie dziwactwa, które przygotował tata. Siedzieli razem przy stole, nawet gdy wszyscy pozostali poszli już do domu, nawet gdy już kładłam się spać. A czasem rano mogłam znaleźć Seba śpiącego u nas na kanapie. – Spojrzała na niego, a jej usta ułożyły się w uśmiech. – Seb był wspaniałym graczem. Potrzebujesz asa w rękawie, by go pokonać.

Miała piękne oczy, które intrygująco się iskrzyły. Przyciągały go i wysysały mu oddech z piersi.

– Jednym z trików mojego taty przed ważnym meczem było zapraszanie drużyny na grilla w czwartek wieczorem. Zapraszał ich do nas po treningu i karmił hamburgerami. Siedzieli w kółku, omawiając zagrywki i strategię. Ufali mu.

Tego właśnie Caleb potrzebował – żeby jego zawodnicy mu zaufali.

– Powinienem tak zrobić. Zaprosić ich do siebie. Zrobić na grillu hamburgery.

Przycisnęła dłoń do twarzy.

– Co? – spytał.

– Przyjrzałeś się może czasem swojemu grillowi?

– Tak. Codziennie piekę na nim mięso.

– Wiem. I któregoś dnia on wybuchnie. Oby nie wtedy, gdy cała twoja drużyna będzie stać obok z papierowymi talerzykami, czekając na kiełbasę.

– A więc co proponujesz, sąsiadko?

– Hm... Myślę, że mógłbyś... urządzić go... tutaj.

– Naprawdę? – Przyjrzał się uważnie jej twarzy. – Słuchaj, nie chcę, by grupka nastolatków...

– Tak. Tak. Chcę tego. – Słowa wyszły z jej ust tak szybko, jakby wyrzucała je z ciała siłą.

– Issy...

– Naprawdę. W czwartkowy wieczór urządzimy tutaj grilla przed meczem. – Skinęła głową,

uśmiechnęła się przed siebie, ale uśmiech wydawał się sztuczny, niemal zbyt promienny.

– Issy, naprawdę. Nie musisz tego robić.

– Ale mogę. Jeśli przyniesiesz hamburgery i napoje. I powstrzymasz ich przed zniszczeniem mojej funkcji.

Uśmiechnął się. Och, naprawdę mógłby polubić kobietę, która przekraczała granice swojego strachu.

– Zagrozę im, że będą biegali wokół dzielnicy, jeśli to zrobią.

Spojrzała na niego i skinęła głową.

– Siedziałam tutaj dawniej i słuchałam rozmów chłopaków. Myślałam sobie wtedy, że w życiu są ważniejsze rzeczy niż futbol.

– Nie, wcale nie. Wypluj te słowa.

Zachichotała. Ten dźwięk przeniknął go aż do kości, rozbudził w nich coś.

– Mówię poważnie. Życie to futbol. To parcie naprzód i może uda ci się przy okazji zdobyć parę jardów, albo i nie, ale tak czy siak zostaniesz powalony na murawę. I wtedy masz przed sobą wybór, czy zostaniesz na ziemi, czy się podniesiesz. Jeśli wierzy w ciebie wystarczająco wielu ludzi i starczy ci serca do gry, stajesz na nogi, idziesz na naradę i próbujesz jeszcze raz. Życie to futbol.

– Czasami jednak gracze zostają uderzeni tak mocno, że podnoszenie się zajmuje im dużo czasu. I boją się, że ktoś znów ich uderzy. Boją się znów włączyć do gry. – Spojrzała na niego, a na jej twarzy nie było śladu rozbawienia. – Co wtedy mówisz takim graczom, trenerze?

Chciał chwycić jej dłonie. Przytrzymać je. A jeszcze bardziej chciał jej powiedzieć, że rozumie. Przez długi czas sam bał się podnieść. Bał się znów popędzić ku życiu.

– Mówię im, żeby się z tego otrząsnęli. A potem mówię im, żeby wyszli tam, na boisko, i im oddali. Żeby nie pozwolili się im pokonać. Nigdy nie będziesz czuć się dobrze, jeśli nie wkładasz w grę całego serca.

Otarła dłonią policzek, a on zamarł. O nie, wcale nie chciał doprowadzić jej do łez.

– Issy?

– Zamierzałam opuścić to miasteczko i nigdy nie wracać. Chciałam więcej od życia. Nie potrzebowałam sławy i chwały, ale chciałam udowodnić wszystkim w Deep Haven, że potrafię wyjść z cienia ojca i stać się kimś. Nigdy w życiu nie spodziewałam się, że będę... cóż, pracować w swoim ogródku.

Gdy na niego spojrzała, jej oczy wyrażały tak wielką potrzebę duchowego wsparcia, że nie mógł uciec od prawdy.

– Masz piękny ogród, Isadoro. Ale tam za płotem istnieje równie piękny świat i jeśli mi pozwolisz, chciałbym pomóc ci go zobaczyć.

Tak, wyłożył wszystkie karty na stół.

Zakryła usta dłonią, odwróciła się.

– Rozmawiałeś o mnie z moim ojcem, prawda?

– Nie, właściwie to nie. Ale to oczywiste... twój ojciec bardzo cię kocha.

– Tęsknię za nim tak mocno, że wydaje mi się, jakbym miała w sobie dziurę wielkości pięści.

Och, Issy. Wiedział, że za płotem znajdowała się kobieta, w której serce chciał wejrzeć.

Wziął głęboki oddech.

– Może spróbujesz go odwiedzić.

Od razu pokręciła głową.

– Nie rozumiem. Poszedłbym z tobą...

– Nie wsiądę do samochodu. Chyba już nigdy w życiu.

– Możemy iść pieszo.

Przymknęła oczy. Zacisnęła pięści.

– Nie rozumiesz... Ja... Nie mogę przejść przez drogę numer sześć.

Nie mogła przejść przez drogę?

– Za każdym razem, gdy zbliżam się do skrzyżowania, na którym wydarzył się wypadek, wpadam w panikę. I nie chodzi tylko o skrzyżowanie, ale o całą ulicę. Wtedy znów widzę przed oczami tamte obrazy...

Ujął jej rękę. Delikatnie splótł jej palce ze swoimi.

Zawahała się na moment, ale w końcu ścisnęła jego dłoń.

– Chciałbym pomóc ci przejść przez tę ulicę, Issy – powiedział. – Zdjąć cię z ławki i wysłać z powrotem do gry.

Nie spojrzała na niego, ale zauważył uśmiech igrający na jej ustach, gdy pochyliła głowę. Jej głos stał się ciepły, gdy mówiła:

– O raju! No i znowu siedzę na ganku z futbolistami.

Nie puścił jej ręki.

– Zgadza się.

Issy prawie przegapiła swój program. Tak sobie siedziała, trzymając szeroką i ciepłą dłoń Caleba, pozwalając mu skąpać ją w nieznanym jej cieple. Prawie przesiedziała tu cały program.

Musiała znaleźć jakiś sposób, by wyrwać się z tego uścisku i iść stąd, i... wcale nie miała na to ochoty.

Pierwszy raz, odkąd zaczęła prowadzić audycję, coś ciągnęło ją z powrotem do prawdziwego świata.

Ale spragnieni miłości jej potrzebowali.

Albo ona potrzebowała ich.

Nieważne.

Spojrzała więc na zegarek w niezbyt subtelny sposób i Caleb zrozumiał aluzję. Spakował się szybciej, niż to było konieczne, zabrał narzędzia i życzył jej dobrej nocy.

Nie pocałował jej.

I była naprawdę żalosna, bo w rzeczywistości miała nadzieję, że...

Nie. Nie, nie musi wcale tracić zdrowego rozsądku tylko dlatego, że przez chwilę nie czuła się samotna. Jakby znalazła mężczyznę, który potrafił dostrzec więcej niż... cóż, jej własną niepełnosprawność. Właściwie Caleb nie tylko dostrzegał więcej, lecz także chciał jej pomóc pokonać słabości.

Nie wiedziała, jak zinterpretować to dziwne, słodkie wirowanie w jej sercu.

Właśnie była na randce.

I nie przeżyła ani jednego ataku paniki.

Issy rozpoczęła audycję mottem programu i przeszła od razu do osób na linii. W sobotnią noc aktywność na forum często zwiększała się, a w kolejce czekało mnóstwo dzwoniących. Zbyt wiele samotnych serc siedziało w domach.

W ciągu tygodnia jej słuchalność podwoiła się. W ciągu tygodnia.

A to wszystko dzięki ChłopakowiZSąsiedztwa.

I naprawdę była żałosna, bo mimo swojej udanej randki z Calebem wciąż liczyła na to, że ChłopakZSąsiedztwa zadzwoni.

Lubisz go. Oskarżenie Lucy wirowało w jej głowie, nawet gdy przyjmowała rozmowy. Nie. Była po prostu zainteresowana w sposób czysto naukowy, czy jej rady podziałały.

– Jesteś na antenie, SłodkiKróliczku.

– Cześć, Panienko Niemądre Serce. Chciałam ci powiedzieć, że jestem twoją wielką fanką i czekam wytrwale na mój idealny związek.

– To wspaniale, Słodki...

– I myślę, że masz absolutną rację co do listy i trzymania się jej. Rozstałam się właśnie z chłopakiem, z którym byłam od trzech lat. Żałuję tylko, że straciłam aż tak dużo czasu, zanim zorientowałam się, że był tylko ósemką.

Ósemką. Issy dokonała obliczeń w głowie. Przy punkcie „żadnych graczy w futbol” wykreślonym z listy i „żadnych neandertalczyków”, zadbany i *odpowiedzialny*, co pasowało, nie zapominając też o *miły dla zwierząt* i *uprzejmy*, Caleb mógł otrzymać pięć punktów na dziewięć. Jeśli dodałaby do tego *potrafi dobrze słuchać*, okazałyby się szóstką. Najważniejsza rzecz – jego wiara – pozostała jeszcze do sprawdzenia. Ale ósemka może wcale nie była taka zła.

– Może powinnaś poczekać trochę, SłodkiKróliczku. Przekonać się, czy z czasem nie...

– Nic z tego. Dziesiątka albo nic. Dziękuję, Panienko Niemądre Serce, że pomogłaś mi ustalić moje standardy.

Rozłączyła się.

Issy wsłuchiwała się w ciszę.

– Okej. Hm, następny słuchacz... Romeo?

– Cześć. – Męski głos, niski i głęboki. – Chcę wiedzieć, czy to wszystko, co poradziłaś temu drugiemu facetowi, żeby zabrał się za rzeczy z tej listy i się umył, czy to działa.

– ChłopakowiZSąsiedztwa?

– Ano. Chcę wiedzieć, czy to działa.

– Działa, Romeo.

– Czy podziałałoby to na ciebie?

Zastanowiła się.

– Tak, podziałałoby.

Podziałałoby. Ponieważ poradziła ChłopakowiZSąsiedztwa, by robił dokładnie to, czego ona sama chciała od Caleba. By zajął się domem, zadbał trochę o swój wygląd, zrobił dla niej coś miłego. Ugotował jej spaghetti.

I to naprawdę podziałało.

Dziwne.

– Myślę, że ChłopakZSąsiedztwa powinien sam zadzwonić i nam wszystko opowiedzieć – powiedział Romeo.

– Też tak myślę. Jeśli tam jesteś, ChłopakuZSąsiedztwa, zadzwoń do nas. Chcemy się dowiedzieć, czy poszedłeś na randkę z dziewczyną twoich marzeń.

Gdy wypowiadała te słowa, poczuła się tak, jakby w jej sercu obracała się śruba. A co, jeśli to zrobił? I mu się podobało? I zakochał się w Dziewczynie?

Czy nie tego właśnie chciała?

– Dzięki za telefon, Romeo.

Puściła reklamę i otworzyła forum, sprawdzając, kto jest online.

Nie zauważyła ChłopakaZSąsiedztwa.

Pewnie był właśnie na randce.

Spojrzała na dom obok. Światło padające od okien Caleba rozświetlało ciemność.

Co ona właściwie wyprawia, mając nadzieję, że facet nieznany jej z twarzy, a nawet z imienia, zadzwoni, podczas gdy chwilę temu przepędziła właśnie z ogródka całkiem dobrą... szóstkę.

Reklama się skończyła, a ona wróciła do kolejki dzwoniących.

ChłopakZSąsiedztwa pojawił się na liście. Serce podskoczyło jej lekko w piersi.

Nie powinna tego robić, ale... zignorowała innych słuchaczy i kliknęła w jego imię.

– Witaj, ChłopakuZSąsiedztwa. Miło cię dzisiaj słyszeć.

– Potrafię rozpoznać wyzwanie, gdy je słyszę – powiedział, a w jego głosie czaił się uśmiech.

Czy można było zakochać się w kimś tylko na podstawie brzmienia głosu?

Odchrząknęła, oczyszczając gardło i – oby także – głowę.

– Ciekawscy słuchacze chcą się dowiedzieć... Czy udało ci się pójść na randkę?

Milczał przez chwilę i w tym momencie zaczęła mieć nadzieję... Nie. To nie było w porządku, wiedziała o tym, ale chciała mieć ChłopakaZSąsiedztwa tylko dla siebie. No dobrze, może nie dla siebie, ale...

Przymknęła oczy. Jak mogła zakochać się w nicku na forum? W głosie na antenie?

– Tak, udało. Zrobiłem dokładnie tak, jak mi radziłaś, Panienko Niemądre Serce. Zrobiłem coś, co jej się spodobało. I zjedliśmy razem obiad.

– To wspaniale, ChłopakuZSąsiedztwa. – Ale nawet ona sama słyszała drżenie swojego głosu. – Oby tak dalej.

Zaśmiał się znowu.

– Panienko Niemądre Serce, jak mogę ci dziękować?

– Żyj długo i szczęśliwie. – Też się roześmiała, ale brzmiało to okropnie fałszywie. Modliła się, aby jej słuchacze nie przejrzeni... ech, aby nie usłyszeli tego.

– Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że ona może polubić kogoś takiego jak ja – przyznał.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Przez cały ten bagaż, tak mi się wydaje. – Wziął głęboki oddech. – Nie tylko ona jest niepełnosprawna. Straciłem część nogi w Iraku.

Och. Och...

– Tak mi przykro.

– Pogodziłem się z tym, ale pamiętam, że zaraz po ataku, gdy uświadomiłem sobie, że bomba ode-rwała mi kawałek nogi, chciałem po prostu umrzeć. Widziałem tylko to, kim nie byłem. Że stałem się gorszym mężczyzną. Sześć miesięcy zajęło mi uświadomienie sobie, że mogłem stać się lepszy, niż byłem kiedykolwiek wcześniej. Moje kalectwo sprawiło, że pracowałem ciężiej i rozmyślałem nad swoim życiem i nad tym, że chcę żyć. Dostrzegłem, że Bóg mnie ocalił. I dzięki temu mogłem sięgnąć dalej niż czubek własnego nosa. I to właśnie zrobiłem dzisiaj. Sięgnąłem dalej, aż do jej życia. I myślę... Myślę, że ona też mnie lubi.

Wtedy wyobraziła go sobie: mężczyznę z obciętymi po żołniersku włosami w jednej z baz wojskowych w Teksasie lub Georgii. Leżał na kanapie z nogą wyciągniętą na łóżku. Miał umięśniony tors i niebieskie, poważne oczy, pełne determinacji.

– Jestem pewna, że tak jest, ChłopakuZSąsiedztwa. Nie bój się teraz oddać jej swojego serca.

Znów wziął głęboki wdech.

– Nie spieszmy się tak bardzo.

Zaśmiała się i po drugiej stronie linii on również się roześmiał.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem, Panienko Niemądre Serce.

W jego głosie było coś takiego, że natychmiast poczuła suchość w gardle. Och, niedobrze.

– Zadzwoń, kiedy tylko będziesz miał na to ochotę, ChłopakuZSąsiedztwa. – Rozłączyła się i od

razu puściła reklamy.

Jego awatar wyświetlił się na forum, gdy prosił ją o czat.

Nie, nie, miała program do poprowadzenia i... nacisnęła *Akceptuj*.

PanienskaNiemądreSerce: Wszystko w porządku. Myślę tylko o twojej historii. Tak mi przykro z powodu twojej nogi.

ChłopakZSąsiedztwa: Dzięki. Chociaż, gdybyś знаła mnie przed tym atakiem, wiedziałabyś, że to pewnie uratowało mi życie.

PanienskaNiemądreSerce: Och?

ChłopakZSąsiedztwa: Wychowałem się w małym miasteczku, a później poszedłem do małego college'u, który wydawał mi się wtedy zbyt spokojny. Zdecydowałem więc, że sam stworzę sobie zasady. A kiedy poszedłem do wojska, prowadziłem tam życie, z którego nie jestem dumny. Szczerze mówiąc, przynosiłem wstyd sobie i Bogu. Dopiero tam, w rowie, zacząłem poświęcać Mu uwagę. Teraz przeżywam każdy dzień, wdzięczny za Jego łaskę.

PanienskaNiemądreSerce: Tak czy siak, wciąż brzmi to strasznie. Jak udało ci się przez to przejść?

ChłopakZSąsiedztwa: Drugi list do Tymoteusza, rozdział pierwszy, werset siódmy: *Albowiem nie dał nam Bóg ducha bojaźni, ale mocy i miłości, i trzeźwego myślenia*. Powtarzałem to sobie, aż znalazła mnie jednostka medyczna. Postanowiłem sobie, że jeśli przeżyję, to nie dopuszczę do tego, by strach miał kontrolę nad moim życie. Zamiast tego pozwolę, aby Jego siła napełniła mnie zdyscyplinowaniem.

PanienskaNiemądreSerce: I miłością?

Zagryzła zęby. Jej palce same przebiegły po klawiaturze, pisząc tę wiadomość.

ChłopakZSąsiedztwa: Tak, nią też. Tak naprawdę, Boża miłość jest doskonała. Bóg nas nią napełnia, abyśmy mogli kochać tak, jak On kocha. A co najważniejsze, dzięki Jego doskonałej miłości mogę Mu zaufać, cokolwiek się stanie.

PanienskaNiemądreSerce: Zaufanie. Nie wiem. Jak można ufać Bogu, który wydaje się taki nieprzewidywalny?

ChłopakZSąsiedztwa: Jest nieprzewidywalny tylko dla nas. Nawet gdy nadeszła noc, a ból przenikał każdą komórkę mojego ciała, myślałem sobie, że Bóg jest światłością i nie ma w Nim ani śladu ciemności. Co znaczyło, że nawet w tamtym ciemnym miejscu, On wiedział, co robi. I nieważne, co by się wydarzyło, to byłoby to dobre.

PanienskaNiemądreSerce: Jak mogło to być dobre, skoro straciłeś nogę?

ChłopakZSąsiedztwa: Nie sądzę, by Bóg był równie zainteresowany moją nogą, jak jest zainteresowany moim sercem. I nie byłem wtedy osobą, którą powinienem być. Obudził mnie tam, w rowie, pozwolił mi zrozumieć, że ocalił mnie od zniszczenia na tyle innych sposobów. Pewnie, kosztowało mnie to wiele, by nauczyć się znów chodzić, ale nie jestem już tym samym człowiekiem, którym byłem, nim straciłem nogę. A to coś dobrego.

PanienskaNiemądreSerce: A więc możesz chodzić?

ChłopakZSąsiedztwa: Tak. I biegać. I nawet tańczyć, gdy nikt nie patrzy. Ale wygląda to okropnie.

PanienskaNiemądreSerce: Chciałabym to zobaczyć.

Szlag, powinna to skasować.

Ale zamiast tego czekała, a kursor migotał.

ChłopakZSąsiedztwa: Chciałbym, żebyś mogła.

Reklama dobiegła końca i znów rozbrzmiała czołówka jej programu.

PanienskaNiemądreSerce: Zadzwoń jeszcze kiedyś.

ChłopakZSąsiedztwa: Do ciebie na pewno.

Issy wylogowała się, czując lekką niechęć do siebie, bo naprawdę żałowała, że on nie może być jej chłopakiem z sąsiedztwa.

trzyście

– Sam to wszystko zrobiłeś? Jestem pod wrażeniem, Seb. – Bam przekartkował biznesplan. Wydrukowali go wczoraj na starożytniej atramentowej drukarce Lucy. – Ale dlaczego Lucy sama mi tego nie przyniosła?

– Ma roboty po łokcie w sklepie z pączkami. Powiedziała, że już się z tobą spotkała wcześniej, a ja zaproponowałem, że go podrzucę. Umówi się z tobą na spotkanie, gdy już rozważysz propozycję.

I chciał prowadzić tę sprawę bez Lucy w pobliżu. Była już wystarczająco zestresowana, nie mówiąc o zmęczeniu. Seb podrzucił ją wczoraj do domu po kolacji w Trout House o wiele później, niż zwykle kładła się spać, bo o dwudziestej pierwszej. Jego druga pierwsza randka z Lucy. Idealny sposób spędzenia niedzielnego wieczoru.

W restauracji, siedząc na tarasie ogrodzonym grubymi białymi linami, patrzyli, jak wydra harcowała wokół nabrzeża. Seb tęsknił za długimi włosami Lucy, ale wiatr całkiem by je potargał. A poza tym krótka fryzura bardziej przykuwała wzrok do jej twarzy, sprawiała, że jej piękne oczy wydawały się dwa razy większe.

Przyciągały go tak mocno podczas całej kolacji, że ledwo mógł wydusić coś z siebie i prowadzić jakąś rozsądną konwersację.

Zmusił się, by znów skupić się na dyskusji z Bamem.

– Jak sam widzisz, Najlepsze Pączki na Świecie mogą przynieść znaczne zyski przy inwestycji w okienko. Zwiększyłyby to obrót dwukrotnie, przyciągając ludzi przechodzących w pobliżu. I pewnie mogłaby to wszystko zrobić za mniej niż pięć tysięcy dolarów.

Bam odłożył teczkę na biurko.

– Problem w tym, że zalega już trzy miesiące ze spłatą kredytu, a w akcie notarialnym sprzedaży nieruchomości jest zapisane, że sprzedający zachowuje prawo własności do nieruchomości aż do czasu spłaty długu z odsetkami, oddając kupującemu na ten czas tylko prawo użytkowania, więc w przypadku braku zapłaty może z powrotem przejąć nieruchomość. Tak więc nie wiem, czy właściciel wyrazi zgodę na zaciągnięcie kolejnego długu.

– Jeśli uda jej się uruchomić to okienko przed Świętem Pracy, zarobi dość, by pokryć zaległości i spłacić kolejną ratę. Wiesz dobrze, że na jesieni może zarobić tyle, że spłaci całość przed listopadem, gdy kończy się sezon turystyczny. – Seb pochylił się na skórzanym krześle i przewrócił kilka kartek. – Zrobiłem tutaj rozpisę spłat. Nie ma praktycznie żadnego ryzyka.

– Nic nie jest wolne od ryzyka, Seb. – Bam odchylił się na oparcie. – Ale masz rację. To solidny plan. Przedstawię go zarządowi i zobaczę, co powiedzą.

– Im szybciej, tym lepiej, Bam. Ona potrzebuje tego okienka już. Gary Starr i jego ekipa mogą zabrać się za to w najbliższy weekend.

– Gary wykonuje dobrą pracę. – Bam rzucił wniosek na biurko. – A jaki jest plan na dzisiejszy trening?

– Chcę przećwiczyć z nimi zagrywkę, której nauczyliśmy ich ostatnio. – W poprzednim sezonie jako rozgrywający zdobył dzięki niej przynajmniej dwadzieścia jeden punktów. Znów poczuł tamtą siłę, gdy demonstrował zagrywkę z P-Trainem. – Myślę, że będą gotowi na piątek.

– Słuchaj, nie chciałem nic mówić, ale pracowałem trochę z tymi chłopakami i martwię się, że nie potrafią szarżować. Uderzają swoją słabszą stroną. Jeśli drużyna Knighta będzie wiedziała, jak ich z siebie zrzucić, wdepczą nas w murawę. Musimy poćwiczyć podstawy.

– Oczywiście, że tak. Ale zabierzemy się za to po piątku, gdy już zostanę trenerem. W tej chwili chcę się tylko dobrze bawić i wygrać. – Seb promieniował pewnością siebie i uśmiechał się szeroko, ale...

Zauważył ich byle jaką szarżę. Widział, jak piłka wypada im z rąk, jak nie potrafią sobie jej podawać. I jego drużyna szybko opadała z sił. Powinien położyć większy nacisk na trening kondycyjny, ale tym też zajmie się później. Po piątkowym spotkaniu towarzyskim będą mieć jeszcze dwa tygodnie do pierwszego meczu ligowego.

Mnóstwo czasu, by popracować nad ich formą. A teraz przynajmniej znali już tyle wspaniałych zagrywek.

– Twoja decyzja, trenerze. Nie mogę jednak przyjść dzisiaj na trening. Mam spotkanie komisji szkolnej. Ale jutro będę. No i oczywiście zakładam, że całe miasteczko zjawi się, by oglądać mecz. – Bam uniósł brew i uśmiechnął się złośliwie. – Tak przy okazji, widziałem cię wczoraj w Trout House. Z Lucy.

– Tak. Poszliśmy na randkę.

Randkę, która skończyła się całowaniem na jej ganku, z Lucy w jego ramionach.

Bam potrząsnął głową.

– Może to nie mój interes, ale Lucy Maguire nie jest tą samą dziewczyną, którą kiedyś zostawiłeś. Jest spoza twojej ligi, stary.

Seb zamrugał.

– Staram się naprawdę mocno, żeby nie zrobić jej teraz krzywdy.

– Mówię tylko, że Lucy nie zrobiła ze swoim życiem nic od ukończenia liceum.

– Prowadzenie własnego biznesu się nie liczy?

– Stać cię na więcej. Nie chcę znów oglądać cię na kolanach. Zwłaszcza z powodu kogoś takiego jak Lucy.

Seb gapił się na niego. W głowie aż mu huczało.

– Co masz na myśli, mówiąc *kogoś takiego jak Lucy*?

Bam zaśmiał się szorstko.

– Naprawdę myślisz, że tylko ty spałeś z Lucy Maguire?

Seb ledwo mógł wydusić z siebie słowa.

– Słuchaj, Bam, wszyscy zrobiliśmy jakieś rzeczy, które staramy się ukryć.

– Parę lat temu Lucy i ja spędziliśmy razem noc.

Te słowa uderzyły Seba i zapadły mu w serce. Z trudem znalazł swój głos.

– Jesteś żonaty z Joann od pięciu lat.

– Byliśmy wtedy w separacji. Nie jestem z tego dumny.

Seb nie spuszczał z niego wzroku. W głowie szalał mu tajfun.

– Nie wierzę ci. Zawsze coś do niej czułeś. Nigdy nie mogłeś pogodzić się z tym, że wybrała mnie.

Co to ma być, jakiś rodzaj zemsty? Myślałem, że jesteś po jej stronie...

– Skompromitowała się, Seb. Musisz to zobaczyć, nim cię zrani.

Przez okno za plecami Bama mógł dostrzec coraz ciemniejsze burzowe chmury kłębiące się nad jeziorem. Skompromitowała się. Spojrzał Bamowi w oczy.

– Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że to wszystko przeze mnie?

Jego własne słowa wstrząsnęły nim. Seb wstał.

– Daj jej po prostu tę pożyczkę, Bam.

Gdy wychodził z gabinetu, pozwolił sobie na trzaśnięcie drzwiami.

Caleb prowadził podwójne życie.

Czy zdradzał Issy, dzwoniąc do „Mojego Niemądrego Serca”? Tak właśnie się czuł, chociaż przecież nie spotykał się z Panienką Niemądre Serce, tylko...

Myślał o niej. Myślał o jej śmiechu po drugiej stronie linii, o jej słowach pełnych otuchy i sposobie, w jaki rozmawiała z nim o jego nodze.

Przyznanie się komuś do kalectwa zmniejszyło ucisk, jaki odczuwał w piersi. Jego maskarada zaczynała go już dusić. I podobało mu się, że Panienska nie chciała mu się przypodobać, że nie zachowywała się, jakby był jakąś chodzącą tragedią.

Ale była jeszcze Issy. W tamtą sobotnią noc ścisnęła jego rękę, jakby czaiła się w nim moc zdolna ją uwolnić.

Nie potrafił przegnać z myśli tego uczucia. Ani jej uśmiechu, ani tego, jak na niego patrzyła, bez śladu litości albo smutku. Przynajmniej na razie.

Tak, jego życie smakowało zdradą, chociaż Issy przecież wcale nie była jego dziewczyną, a Panienska Niemądre Serce to tylko głos w radiu.

Tak czy siak, nigdy nie był tym rodzajem faceta, który oddaje swoje serce wielu dziewczynom.

Jedna kobieta teraz i na całe życie. Tak jak postępował jego ojciec. I jego brat Collin.

Te myśli nie dawały mu spokoju przez całą niedzielę, gdy był w kościele, odwiedził pralnię, porozmawiał z Collinem przez telefon.

Tak jakoś wyszło, że przesłuchał też niedzielne podsumowanie tygodnia w „Moim Niemądrym Sercu”. Pojawił się tam jego własny głos. Dwa razy.

Chyba lubił Panienską Niemądre Serce zbyt mocno. Może więc lepiej skoncentrować się tylko na Issy. I na wygraniu piątkowego meczu.

Co znaczyło, że musiał zakończyć trening, nim zawodnicy padną mu ze zmęczenia. W tym tygodniu musieli czuć się silni. Specjalnie przesunął ich treningi na popołudnie, by przyzwyczaili się do gry, gdy słońce stoi nisko i świeci im w oczy. Zagwizdał, by wszyscy podeszli do niego, przerywając bieg wokół boiska. Złowieszczy cumulus wisiał im nad głowami, a wilgotny wiatr uniósł kołnierz jego kurtki przeciwdeszczowej. Chłodna mżawka zawsze jednak była jego ulubioną pogodą na treningi.

Dan dyszał ciężko, przebiegnąwszy ostatnie okrążenie z chłopakami.

Nic dziwnego, że drużyna uwielbiała asystenta trenera. Kilku chłopaków nawet klepnęło go po plecach, gdy oparł dłonie na kolanach. Wyglądało na to, że mężczyzna dzięki treningom zrzucił kilka funtów.

Caleb wszedł na boisko. Jego buty piszczały na mokrej trawie.

– Dobra, chłopaki, siadajcie. Chwila odpoczynku.

On sam postoi. Gdy drużyna siadała, złapał równowagę, opierając się mocno na zdrowej nodze.

Ryan opadł nonszalancko na ziemię, kładąc się jak długi na murawie.

– Ryan, albo siadasz, albo idź stąd.

Ryan wymamrotał coś pod nosem, ale dźwignął się do pozycji siedzącej, przytrzymując ręką hełm.

Gdyby miał jeszcze jednego rozgrywającego. Ale rezerwowi rozgrywający, Michaels, grał w drużynie Seba.

– Do wielkiego meczu mamy jeszcze cztery dni. Niektórzy z was dają z siebie wszystko. I jak mówiłem, w tej grze chodzi o serce. Jeśli pojawialiście się codziennie na treningach i pokazaliście mi, co potraficie, możecie się spodziewać, że zagracie w tym meczu. Szczerze mówiąc, bardziej od wygranej interesuje mnie to, co sobą zaprezentujecie.

Ryan pokręcił głową, wrywając żdźbła trawy, i odezwał się:

– Nie wygramy.

Caleb spojrzał na Dana, który poszedł stanąć za Ryanem. Och, gdyby tylko mógł chwycić tego dziecka za szmaty i zmusić go do biegania, dopóki młody nie nabrałby trochę szacunku.

Tak, jeśli Caleb dostanie tę pracę, Ryan być może przesiedzi swój ostatni rok w liceum na ławce rezerwowych. Nie musieli wygrać od razu w pierwszym roku. Zbudowanie futbolowego programu od podstaw zajmowało trochę czasu.

– Nieważne, czy zostanę waszym trenerem, czy nie, i tak będę oceniał każdego z was pod kątem je-siennych rozgrywek...

– Naucz nas zagrywek, których jeszcze nie znamy, trenerze!

Nie spodziewał się tych słów od Bryanta, ani spojrzenia połączonego ze złośliwym uśmiechem, jakie chłopak wymienił z Ryanem.

Świetnie. Ryan podburzył resztę drużyny.

– Możemy wygrać, wykorzystując to, co mamy. Musimy tylko zagrać porządnie.

Bryant pokręcił głową, odchylając się do tyłu i opierając na rękach.

– Nie ma szans, nie wygramy.

Caleb zacisnął szczęki i nabrał wolno powietrza.

– Tak, masz rację. Nie wygracie.

Kilka głów się uniosło.

– Właściwie, Bryant, możesz nawet nie grać.

– Trenerze...

– Bo już przegrałeś. Jeśli wierzysz w coś w sercu, wierzysz w to także w swojej głowie. A tam właśnie przegrywa się mecze.

Namyślał się przez chwilę, lecz w końcu uklęknął na jedno kolano, by znaleźć się na tym samym poziomie, co ich twarze. Noga płonęła mu żywym ogniem, ale chciał w tym momencie powiedzieć chłopakom parę słów prawdy.

Przez moment chciał bardzo podzielić się z nimi swoją historią. Powiedzieć im, że gdy obudził się w Niemczech, uwierzył głosom, które przekonywały go, że będzie musiał zadowolić się czymś mniejszym. Że nie będzie miał szans spełnić swoich marzeń i nadziei. Że nie ma nic złego w poddaniu się.

Słowa wspinały mu się po gardle, prawie dotarły do ust. Mógł niemal zobaczyć miny swoich zawodników, najpierw szok, a później odwagę.

Albo... pogardę. Z Ryanem na czele drużyna mogła się zwrócić przeciw niemu. Niepełnosprawny trener. Nie trener pełen chwały, za którym chcieli podążać.

Nie, Caleb musiał najpierw się sprawdzić. Musiał im udowodnić, że potrafi stać się ich trenerem bez lojalności wzbudzonej współczuciem. Musiał zdobyć ich serca dzięki samemu treningowi i tylko dzięki temu.

– Słuchajcie mnie, chłopaki. Nikt nie wygrywa, poddając się. Ale jeśli włożycie w grę całe wasze serce, będziecie walczyć z całych sił, to nawet jeśli przegracie... – Przełknął ślinę, przemawiając z najgłębszych czeluści swego bólu. – ...będziecie mogli zachować swoją dumę.

Przykuł ich uwagę. Nawet Ryan przestał bawić się trawą.

– Wierzę w was i wierzę, że jesteście w stanie wygrać. Jeśli dacie z siebie wszystko tam, na boisku, nigdy nie przegracie. Obiecuję.

Nie mógł się podnieść. Nie bez upadku na ich oczach, bo jego zdrowa noga zapadła się w rozmokłej ziemi, a jego proteza wbiła się w kikut, zmieniając go w płynny ogień. Zamiast wstawać, przywołał ich ręką.

– Chodźcie tu bliżej.

Drużyna podniosła się i otoczyła go, jak przed naradą.

Nagle Caleb poczuł chęć, aby się pomodlić. Słowa wyszły z niego same.

– Boże, prosimy cię o pomoc, abyśmy mogli zagrać najlepiej jak umiemy. Abyśmy mogli użyć naszych talentów i umiejętności, włożyć w grę całe serce. Tu nie chodzi o mecz, ale o całe życie. I jak je przeżywamy. Ale jednak zaczyna się ono na boisku, więc... chroń nas i pobłogosław nasze wysiłki.

– I pomóż nam wygrać.

Nie był pewien, kto to powiedział, ale przez drużynę przeszedł pomruk.

Nie miały nic przeciwko wygranej.

– I... pomóż nam wygrać. Amen.

Zawodnicy unieśli głowy i coś się zmieniło, bo niektórzy nawet uśmiechnęli się do niego. Szczere uśmiechy, które zwiastowały po raz pierwszy, że może jeszcze będzie z nich prawdziwa drużyna.

– W czwartek wieczorem po treningu robimy grilla w domu mojej sąsiadki. Mam nadzieję, że wszyscy się zjawicie.

Pognali do szatni, gdy deszcz zaczął siąpić nad boiskiem.

Caleb wciąż musiał znaleźć sposób, by jakoś się podnieść. A może już się nie podniesie. Odchylił się, oparł na rękach i wyprostował nogi. Och tak. Odetchnął pełną piersią po raz pierwszy od dziesięciu minut.

Dan zaczął zbierać piłki z boiska i wrzucać je do siatki. Spojrzał na Caleba.

– Świetna mowa. I zawsze dobrze pomodlić się za drużynę.

– Ale?

Dan zacisnął sznurek od siatki i pozbierał butelki po wodzie, które zostały na ławce.

– Mógłbyś jednak pomyśleć nad jedną *oszukańczą* zagrywką. Zasłużyli na nią. Byłem tutaj, gdy mistrzowska drużyna zdobywała punkty. Trener Presley miał w zanadrzu wspaniałe zagrywki. Moglibyśmy go zapytać...

– Nie będę wdrażał zagrywek trenera Presleya. – Caleb wystawił twarz na deszcz. Był taki zimny, łagodzący. – To nowa epoka, nowa drużyna i będziemy mieć nowe zagrywki.

– Nie sądzę, by trener Presley miał coś przeciwko. Mógłby być nawet zaszczycony.

– Ja mam coś przeciwko. Muszę udowodnić komisji szkolnej, że potrafię wykonywać tę pracę. Że

nie potrzebuję żadnych wspomagaczy, jak na przykład spuścizny trenera Presleya. Sam mogę wymyślić własne zagrywki.

– Naprawdę? Bo mi się wydaje, że sam nie potrafisz nawet wstać z murawy.

Caleb gapił się na Dana, mrugając.

– O co ci chodzi?

– O to, że masz chorą nogę i cała drużyna o tym wie. Kuśtykałeś na ich oczach przez cały tydzień.

Co się stało? Stara futbolowa kontuzja?

– Potrafię wstać z murawy. – By to udowodnić, zgiął zdrową nogę nad protezą, przewrócił się na brzuch i odepchnął się od ziemi. Poszło gładko.

Nie musiał nawet skakać.

Wyciągnął rękę, a Dan rzucił mu piłkę.

– I do twojej wiadomości: myślałem już nad tymi zagrywkami. Ale nie jestem pewny, czy są już na nie gotowi.

– Ja jestem. – Dan podszedł do linii. – Pokaż mi.

Super, musiał użerać się z kolejnym Ryanem. Ale teraz już nie mógł się wycofać.

Zwłaszcza że na trybunach stał trener Brewster.

Caleb zauważył go, gdy drużyna zmyła się do szatni.

Przemyślał to: jeśli teraz pokaże, co przygotował, Seb może to od niego skopiować. Ale z drugiej strony, czy nie miał w głowie całego podręcznika *oszukańczych* zagrywek Presleya? Nie potrzebował żadnych od Caleba.

– Okej, pracowałem nad czymś. To taki odwrotny *flea-flicker* albo *double pass*. Nazwałem zagrywkę Szorstki Jeździec. Rozgrywający dostaje piłkę, a skrzydłowy biegnie i zatrzymuje się trochę przed linią wznowienia gry. Rozgrywający podaje piłkę prostopadle do skrzydłowego, odciągając jednego z obrońców. W międzyczasie rozgrywający odbiega i prawdopodobnie nikt mu nie przeszkodzi w przechwyceniu podania od skrzydłowego.

– Wypróbujmy ją.

Wypróbujmy ją.

Okej, nie musiało to być szybkie i ostre. Caleb potrafił złapać praktycznie wszystko, nawet jeśli był biegaczem.

– No dobra. Ja wezmę piłkę, a ty biegaj. – Ustawił się na linii, dał sygnał, a Dan pognął za niego. Wtedy Caleb cofnął się dwa kroki, obrócił się i rzucił piłkę Danowi.

Nie czekał, aż Dan ją złapie, lecz trzymał się za wymyślonym biegaczem, który blokował go, gdy się przesuwali.

Przez moment wyobraził sobie, że znów jest młody i cały, słyszał wiwatujące tłumy, poczuł słodki smak adrenaliny towarzyszący idealnie wykonanej zagrywce.

Obrócił się na protezie, aby odbiec w drugim kierunku.

To wszystko wina deszczu, który zmienił świeżo skoszony trawnik w tafłę lodu. Albo tego, że nosił korki, by lepiej utrzymywać równowagę. Niezależnie od przyczyny stało się to błyskawicznie. Postawił nogę, obrócił się, ale jego proteza nie.

Caleb poślizgnął się na zdrowej nodze i upadł ciężko, odczepiając protezę, która skręciła mu się pod nogawką dzinsów.

Gdyby miał zdrowe obie kończyny, tego typu kontuzja mogłaby z niego zrobić kalekę, bo jego noga obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni w stawie kolanowym. Dla Caleba znaczyło to tyle, że musiał le-

żeć tutaj z kolanem niemal wyrwanym z zawiasów i tłumaczyć się, dlaczego nie wył z bólu.

Chociaż miał na to ochotę. Ponieważ gdy piłka przeleciała obok niego, gdy Dan do niego podbiegł i gdy Seb wstał z siedzenia, Caleb wiedział...

Jego podwójne życie dobiegło końca.

Seb wyglądał jak pies, którego ktoś porzucił na deszczu.

Na dźwięk dzwonka Lucy uniosła wzrok. Widziała, jak mężczyzna wchodzi do środka, mija ladę i siada na kanapie w boksie.

Był przemoczony do suchej nitki; deszcz posklejał jego kręcone włosy w strąki i przylepił kurtkę przeciwdeszczową do ciała. Buty zostawiały mokre ślady na czarno-białym linoleum.

Oparł ręce na stole i zwiesił głowę, jakby właśnie stracił najlepszego przyjaciela.

Lucy nie miała jednak czasu, by usiąść naprzeciw niego, spojrzeć mu w oczy i zapytać, co się stało. Nie teraz, gdy miała przed sobą kolejkę klientów, którzy kupowali ostatki z jej dziennej produkcji. Specjalnie zostawała w sklepie dłużej, z nadzieją, że sprzeda dodatkowe sto czy dwieście pączków. Nie wychodziła stąd, dopóki nie opchnęła ostatniego okruszka.

– Chciałabym pączka z cukrem pudrem i dwa...

– Z polewą czekoladową. Oczywiście, pani Howard. – Lucy wyciągnęła papierową torebkę i wrzuciła pączki do środka.

Seb zdjął kurtkę i powiesił ją na brzegu stołu, by trochę wyschła.

– Witaj, Jerry, co mogę dla ciebie zrobić? – Lucy uśmiechnęła się do burmistrza, choć wciąż nie mogła mu zapomnieć jego bezdusznej reakcji na jej położenie. Niech nie liczy na to, że zagłosuje na niego w listopadzie. Nim ją splawił, powinien był pomyśleć o pączkach, którymi wabił głosujących podczas kampanii wyborczej.

– Poproszę ostatniego *skizzle*.

Wrzuciła pączka do torby, ciesząc się w duchu, że leżał już na tacy od jakiegoś czasu. Gorący *skizzle* sprawiał, że ciekła jej ślinka. Po godzinie łamał się w ustach i rozpadał w dłoniach. Miała nadzieję, że okruszki pokryją czarne, wyprasowane dżinsy Jerry'ego.

– Hej, Lucy. – To była Bree, wysoka i szczupła, z perfekcyjnym manicur'em, umalowanymi oczami i tlenionymi włosami. Lucy nie miała pojęcia, gdzie mieści w tych swoich obcisłych dżinsach jednego pączka dziennie.

Podala jej torebkę z samotnym ciastkiem. Bree puściła do niej oko i włożyła do ręki osiemdziesiąt centów.

– Kolejny klient, proszę! – Turystka. Lucy uśmiechała się, gdy kobieta wyczyściła jej zapasy pączków z lukrem.

Kątem oka widziała, jak Bree siada naprzeciw Seba. Spojrzał na nią, ale nie odezwał się.

Widzisz, Bree? Nie jest zainteresowany.

Ale Bree otworzyła torebkę, wyrzucając pączka na stół, po czym pochyliła się bliżej, by coś do niego powiedzieć.

Uśmiechnął się.

– Czy mogę kupić pączka?

Lucy spojrzała na klienta. Och, właściciel hotelu z naprzeciwka.

- Pewnie, Anthony. Czego sobie życzysz?
- Chciałbym tego ostatniego precla z lukrem.

Wrzuciła go do torby.

Bree dotykała ramienia Seba.

- I te dwa ostatnie z marmoladą?

Lucy spojrzała na Anthony'ego.

- Słucham?

Miał dobrotliwe niebieskie oczy. Podążył za jej wzrokiem w kierunku stolików.

- Chciałbym też dwa ostatnie pączki z marmoladą.

Jasne. Wrzuciła je do kolejnej torebki.

- Możesz mi to doliczyć do rachunku?

Jeśli Lucy się nie myliła, dziewczyna pochylała się...

- Lucy?

Wciąż miała na twarzy uśmiech – zawsze miała na twarzy uśmiech.

- Mhm?

- Czy możesz mi to doliczyć do rachunku?

- Tak. Oczywiście. – Postukała w klawiaturę komputera. – Dzięki, Anthony.

Za nim nie było już nikogo.

Bree skinęła głową, słuchając uważnie tego, co Seb powinien opowiadać jej, Lucy.

Koniec. Sklep zamknięty. Lucy wyciągnęła z witryny pozostałe tace z pączkami i zaczęła wynosić je na zaplecze. Miała nadzieję, że Issy będzie głodna.

– Poradzę już sobie sama, Bree. Dzięki. – Stanęła nad nią z mokrą szmatką w dłoni. Ostentacyjnie przetarła stolik, gdzie upadło nieco lukru z pączka Bree.

Bree spojrzała na Seba, a później znów na Lucy.

- Hm...

– Sklep zamknięty. Zapraszamy jutro. – Lucy wciąż się uśmiechała, ale Bree nie powinna się na to nabrać.

Wstała. Lucy nawet nie odprowadziła jej wzrokiem do drzwi. Zamiast tego usiadła na jej miejscu w boksie.

- Marnie wyglądasz. Co się stało?

- Z Bree? Powiedziałem jej tylko, że wygląda świetnie i że powinna przyjść w piątek na mecz.

Wygląda świetnie? Lucy przyjrzała się jej. Bree wyszła na zewnątrz i stała teraz na ganku. Uniosła rękę. Jej blond włosy wyglądały wspaniale nawet w tak ponury dzień jak ten.

– Wygląda tak samo, jak wtedy gdy kończyła szkołę. – Uroczo. Marzenie każdego nastoletniego chłopaka.

Marzenie Seba Brewstera.

Seb uśmiechnął się do niej.

– Ale ona nie jest tobą, Lucy. Nigdy o niej nie myślałem po... cóż, po tej nocy, gdy nakryłaś nas razem.

Węzeł w jej żołądku rozwiązał się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Seb chciał jej, a nie przelotnego romansu.

- No dobrze. Czemu więc wyglądasz, jakbyś właśnie przegrał ważny mecz?

Uśmiech Seba zbladł.

– Nie dostanę tej pracy jako trener. Wiem to.

– O czym ty mówisz?

– Mówię o nowym trenerze. On... cóż, jest niepełnosprawny.

– Co? – Widziała trenera Knighta. Racja, miał blizny, ale wyglądał na całkiem sprawnego. – O czym tym mówisz?

– Nie jestem pewien, ale z trybun wyglądało to tak, jakby miał protezę na nodze.

– Żartujesz sobie.

Seb pokręcił głową.

– Widziałem, jak upadł. Tam, na boisku. Chciał rzucić piłkę i upadł na siedzenie.

– To może zdarzyć się każdemu, wiesz o tym.

– Odpadła mu noga.

Całe powietrze uciekło jej z płuc.

– Odpadła mu noga?

– Nie całkiem. Ale skręciła się, a gdy pastor pomógł mu się podnieść, dyndała bezwładnie i gość nie mógł chodzić. – Seb zamknął oczy. – To jakiś koszmar.

– Myślisz, że komisja szkolna o tym wie?

– Nie wiem. Ale nie mogę im powiedzieć. To by było... wredne. Desperackie.

– Ale czy on w ogóle może wykonywać swoją pracę? Nie uczy w końcu informatyki. Musi biegać i pokazywać drużynie zagrywki, i...

– Ludzie z protezą mogą robić to wszystko. Protezy mają różne ulepszenia. I zanim Knight upadł, biegał całkiem dobrze. Może tylko lekko utykał...

– Widziałam, jak utykał. Myślałam, że naciągnął sobie mięsień.

– Wszyscy tak pewnie myśleli.

– Nie sądzisz, że komisja szkolna powinna o tym wiedzieć?

– Nie wiem. Ale to nie ja powinienem ich poinformować. Poza tym, gdyby się dowiedzieli... – Westchnął. – Gdybyś tylko mogła go wtedy zobaczyć, Lucy. Starał się sam stanąć na nogi i prawie nie pozwolił Danowi sobie pomóc. Możesz sobie wyobrazić, jak silnym trzeba być, by stać na boisku bez nogi?

– Wow... – Czy Issy o tym wiedziała?

Seb przeczeszał palcami mokre włosy. Odchylił się na siedzeniu. Patrzył, jak fale uderzają wściekle o wybrzeże. Ulewa się skończyła. Lucy chciała chwycić go za rękę...

– Czy ja jestem dobrym człowiekiem, Lucy? – Spojrzał na nią. Zmarszczył brwi. – Chcę być dobrym człowiekiem.

– Tak.... jesteś. Jesteś dobrym człowiekiem, Seb.

– Co sprawia, że ktoś jest dobrym człowiekiem?

– Myślę, że to, jak się zachowuje, prawda? I wybory, jakie podejmuje.

Wyciągnął serwetkę i starł wilgoć ze stolika.

Wzięła jego rękę.

– Wiem jedno: bycie dobrym człowiekiem nie ma nic wspólnego z tym, ile przyłożeń udało ci się zdobyć. Raczej z tym, jak grasz.

Spojrzał na nią i skrzywił się.

– No dobrze, zabrzmiało to banalnie, prawda? Ale w końcu cały dzień smażyłam pączki. Mój mózg zmienił się w marmoladę.

Roześmiał się i pokręcił głową.

– Lucy, zawsze wiesz, jak poprawić mi humor.

Pogłaskała kciukiem jego palce.

– Co trener zawsze powtarzał? O pracy zespołowej?

– Mówił nam, że mamy być mężczyznami stworzonymi dla innych, nie tylko dla siebie.

Wzruszyła ramionami.

– Nie mogę walczyć z kaleką. Kim wtedy będę? – Unikał jej wzroku.

– Seb, nie wiedziałeś, że jest niepełnosprawny, bo nikomu o tym nie powiedział. Jasne jest, że nie chce, by ludzie poznali jego sekret. A więc chce, żebyś stawiał mu czoła jak równemu sobie. Nie z litością. Może okażesz się dobrym człowiekiem właśnie wtedy, kiedy uszanujesz go dobrą grą. Musisz go pokonać *fair*.

– Knight podniósł się i stanął na nogi. – Teraz na nią popatrzyl. – Ja się nie podnoszę. Zostaję na ziemi, jak mój ojciec. Zostaję na ziemi i odczołguję się.

– Nie, kiedyś zostawałeś na ziemi. Ale teraz wróciłeś i znów stajesz na dwóch nogach.

Westchnął.

– Tak. – Z dziwnym wyrazem twarzy wyciągnął ku niej rękę.

Lucy wtuliła twarz w jego chłodną dłoń.

– Jesteś w końcu Sebanatorem, czy nie?

– Sam nie wiem, kim jestem, Lucy.

– A więc może czas, byś się dowiedział.

czternaście

Issy po prostu nie poznawała samej siebie.

Nie tylko się umalowała – po raz drugi w ciągu mniej niż tygodnia – ale założyła też džinsy z nogawkami podwiniętymi za kostkę, adidas i białą bluzkę, jakby właśnie czekała na czyjąś wizytę.

Bo oczywiście czekała.

Ale nie chciała, by to było takie oczywiste. Zarzuciła więc na siebie jedną z niebieskich koszul swojego ojca, którą wkładała teraz do pracy ogrodzie.

Zdecydowała się wyrwać chwasty z różanych grządek z przodu domu. Chociaż zrobiła to już w zeszłym tygodniu. Albo nawet wcześniej. Ale wyrywanie stawało się łatwiejsze, gdy ziemia była bardziej miękka po deszczu.

Oczywiście.

Wieczór pełen cykania świerszczy, promieni słońca kładących się nisko na dachach domów, zapachu spalanego drewna orzesznika na grillu albo w ognisku pobudzały w niej tęsknotę za młodością. Niemal oczekiwała, że ojciec wróci z treningu, podjedzie zaraz SUV-em i pomacha do niej.

Twój ojciec cię kocha.

Nie była pewna, dlaczego Caleb to powiedział, ale te słowa wciąż wywoływały u niej łzy jeszcze przez dwa dni po spotkaniu.

Wyprostowała się, patrząc na lichą kupkę chwastów, i wzięła głęboki oddech pomimo ucisku w piersi. Zrobiła postępy, prawda? Zaprosiła do siebie drużynę futbolową. To liczyło się jako krok w kierunku wolności, w kierunku jej ojca, prawda?

Jestem z ciebie dumny, kochanie. Takie słowa wypowiedział jej ojciec, gdy opowiedziała mu o Calebie, o grillu. Nie wspomniała o propozycji Caleba, który chciał ją zabrać do centrum opieki.

Leżący na ganku Duncan uniósł łeb i zaczął szczekać. Obejrzała się przez ramię i wróciła do pracy na grządce, gdy Caleb podjeżdżał pod dom.

Trzasnęły drzwi od samochodu.

– Hej, Isadoro!

Uśmiechnęła się lekko, zanim spojrzała w jego stronę. Lubiła, gdy używał jej pełnego imienia.

Musiał wziąć prysznic w szkole, bo nie wyglądał tak, jakby wracał prosto z treningu. Miał na sobie białą koszulę bejsbolową z czarnymi rękawami, która wspaniale podkreślała jego mięśnie. I jeszcze obowiązkowo czapka z daszkiem. Trzymał w rękach dwie białe torby z jedzeniem na wynos.

– W miasteczku otworzyli nową knajpę z tajskim żarciem. – Skinął głową w stronę domu. – Zjemy razem kolację na moim ganku?

Issy odchyliła się i wstała gwałtownie.

– Twoim ganku?

Przytaknął, miło się uśmiechając.

– Weź ze sobą Rogera.

Duncan zszedł ze schodów i stanął obok niej. Jego ganek. Widziała go stąd. Dwadzieścia kroków i znów byłaby w domu.

– Okej.

– Wezmę sztucce. Widzimy się za dziesięć minut.

Dziesięć minut agonii podczas przyglądania się schodom. Obiegnięcie dzielnicy, odcinając się od świata słuchawkami, to jedno. Ale wejść samej na jego teren? To coś innego.

Usiąść na jego schodach.

Ale Caleb wiedział o jej... problemach.

Co, jeśli ChłopakZSąsiedztwa miał ten sam problem ze swoją dziewczyną? Nie to, żeby Issy była dziewczyną Caleba, ale teoretycznie, czy Chłopak musiał nakłaniać Dziewczynę, by weszła do jego świata?

Albo czy to on wszedł w jej świat?

No i naprawdę nie powinna była myśleć o ChłopakuZSąsiedztwa na randce z Calebem.

Nie będzie.

Wchodząc do domu, zdjęła koszulę ojca, po czym powiesiła ją na haczyku w kuchennej szafie. Zatrzymała się przy zlewozmywaku, wyszorowała ręce do czysta i wytarła je.

Jej włosy... cóż, może powinna namówić Bree na wizytę domową, by przycięła jej te rozdwojone końcówki. Niewiele więcej mogła zrobić z ciemną szopą na głowie, którą odziedziczyła po matce.

Stojąc tak w kuchni przez kolejne pięć minut, czekała na ucisk w klatce piersiowej. Nic.

Ciekawe. Może Rachele miała rację. Może Issy powinna przestać oczekiwać ataków paniki.

Po dziesięciu minutach (co do sekundy!) otworzyła drzwi, zeszła ze schodów, przeszła przez trawnik, przez podjazd i postawiła stopę na trawniku Caleba.

Rozłożył piknik na ganku i usiadł pod kolumną, z jedną nogą wyprostowaną, a drugą podkuloną. Jak prawdziwy mężczyzna jako serwety użył ręcznika kąpielowego i położył na nim kilka papierowych talerzyków.

– Nie wiedziałem, czy wolisz pałeczki, czy widelec. – Podsunął jej pod nos jedno i drugie.

– Wiesz, że większość Tajlandczyków używa widelców, a nie pałeczek? – Wzięła od niego widelec i usiadła na schodku. – Naprawdę kupiłeś tajskie jedzenie?

Skinął głową, otwierają biały kartonik.

– Pad Thai z kurczakiem.

Wyjął makaronową mieszankę z kawałkami kurczaka, jajkiem, kiełkami fasoli i orzeszkami ziemnymi.

– Wygląda pysznie.

– A tutaj masz kurczaka w zielonym curry.

– Naprawdę?

– Nie zapomnij o klejącym się ryżu. – Podał jej kolejne pudełko.

– Gdzie to wszystko znalazłeś?

Caleb zdecydował się na pałeczki i za ich pomocą właśnie wpychał sobie makaron do ust.

– Myślę, że była tam kiedyś knajpa z tacos. Widziałem sombrero wymalowane na szybie.

– Zbankrutowali dwa lata temu. Wcześniej była tam włoska restauracja. A jeszcze wcześniej sprzedawali tam hamburgery.

– Wow. Dobrze znasz te kąty.

Uśmiechnęła się.

– Napisałam na ten temat wypracowanie w ostatniej klasie liceum.

– Naprawdę? Chciałbym je przeczytać.

Sposób, w jaki to powiedział, słodczy w jego uśmiechu, sprawiły, że Issy mogłaby tu siedzieć z nim przez całą noc bez cienia strachu.

– Taaak, jest naprawdę porywające. Absolutnie wciągające. Zwłaszcza fragment o ciężarówce z drewnem, która całkiem zniszczyła smażalnię ryb na klifie. Akcja jak z filmów sensacyjnych. Albo powódź na Main Street w 1987 roku. Mój ojciec wziął kajak i przepłynął nim do sklepu z pączkami. Musiał dostać swoją dzienną dawkę pączków, rozumiesz?

Caleb roześmiał się.

– A więc pewnie możesz mi wyjaśnić, dlaczego sklep z koszulkami ma w środku bar i stołki?

– Był kiedyś pubem.

– A to wielkie, niezamieszkałe okropieństwo pośrodku Main Street?

– Stare kino. Ostatni seans, *Dźwięki muzyki*, późne lata siedemdziesiąte.

– A czy Honeymoon Bluff to naprawdę... wiesz... Najlepsze Miejsce Na Randkę?

Odłożyła widelec i sięgnęła po butelkę z wodą.

– Nie mogę tego powiedzieć.

– Nie bądź taka. Mi możesz. – Poruszył brwiami i zrobił taką minę, że woda omal nie wyszła jej nosem.

– Nie, właśnie ci to mówię. Nigdy tam nie byłam. – Wytarła usta i sięgnęła po pałeczki.

– Nigdy?

– Nigdy. Cóż... nigdy nie chodziłam na randki w liceum.

– Słucham? Żartujesz sobie ze mnie? – Odłożył talerz. Jego szczere zaskoczenie sprawiło, że Issy zrobiło się ciepło.

– Nie. Miałam zasadę, by nie spotykać się z futbolistami.

Zmarszczył czoło.

– Mój tata był trenerem. Nie mogłam spotykać się z nikim z jego drużyny.

– Niech będzie. Ale co z łamagami? No wiesz, chłopakami, co grali w piłkę nożną. Albo tymi z kółka teatralnego.

– Mówisz jak prawdziwy tępy osiłek.

– Hej, mój najlepszy przyjaciel w liceum występował we wszystkich sztukach, więc cofnij to. Żartowałem.

– Nie mieliśmy drużyny piłki nożnej, a w kółku teatralnym było trzech chłopaków, wszyscy zajęci.

– To się nie godzi. Przed drzwiami takiej pięknej dziewczyny jak ty powinny ustawiać się kolejki adoratorów.

Słowo piękna otuliło ją.

– Nawet jeśli by tak robili, mam... zasady.

– Zasady?

– Tak... – Chociaż tak naprawdę wolałaby ich nie mieć. Wolałaby ufać, że odpowiedni mężczyzna po prostu pojawi się w jej życiu bez bycia takim... – Zasady, które chroniły mnie od spotykania się z nieodpowiednimi chłopakami.

– Myślę, że chroniły cię od spotykania się, i tyle.

– Hej, to są dobre zasady. Na przykład, on musi być ogolony.

– No tak, zarośnięci wieśniacy zostają wykluczeni.

Uśmiechnęła się.

– Jest też zasada *Żadnych Wielkich Samochodów*.

– Wiesz, ten tak naprawdę nie jest mój. Jeżdżę nim dla przyjaciela.

– No i musi być odczytany.

– Wspominałem, że czytam rubrykę sportową w „Deep Haven Herald” od deski do deski?

– Widzisz, nie miałbyś żadnych problemów, by spełnić te wymogi.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa na głos, miała ochotę je cofnąć, schować gdzieś głęboko w środku, gdzie było ich miejsce.

Ponieważ – owszem – on nie miałby problemów, by *spełnić* te wymogi. Miała nadzieję...

– Jesteś chrześcijaninem? W co wierzysz? – Błagam, błagam. Ponieważ nawet jeśli od roku nie postawiła nogi w swoim kościele i Bóg wcale nie chciał jej oglądać, po tym, jak przyniosła Mu wstyd...

– Tak. Jestem człowiekiem, który kocha Boga, i stara się Mu służyć. I jestem w kościele w każdą niedzielę. Nawet w trakcie sezonu futbolowego.

– To dobrze. – Powiedziała piskliwie, uśmiechając się. Uśmiech został na jej ustach zbyt długo, zwłaszcza gdy Caleb patrzył na nią albo nawet w nią... tymi swoimi wspaniałymi niebieskimi oczami.

Sam ich widok sprawiał, że z głowy ulatywały jej wszystkie myśli. Także te, dzięki którym mogłaby powiedzieć „nie”, gdy pochylił się ku niej. W jego oczach tliło się pytanie.

Nie była wystarczająco szybka, nie była przyzwyczajona do...

Pocałował ją. Delikatnie. Jego palce gładziły jej policzek. Pocałunek był prawie jak szept na jej wargach. Ledwie przedsmak, skończył się zbyt szybko.

Caleb odsunął się, spojrzał jej oczy.

I pocałował ją znowu. Jego dłoń spoczęła na jej karku, gładząc go lekko, lecz bez śladu wahania.

Chociaż nie zrobiła tego za pierwszym razem, teraz oddała pocałunek. Smakował słodkim sosem z orzeszków ziemnych i szczyptą curry. Jego broda łaskotała ją w podbródek, gdy dotknęła jego twarzy.

W tym momencie dwa poprzednie lata odeszły w niepamięć, a ona stała się zwykłą dziewczyną, która siedzi na frontowym ganku i całuje chłopca z sąsiedztwa, zatracając się w uroku bycia chcianą.

Bycia normalną.

Gdy odsunął się, jego oczy się śmiały.

– Mam do ciebie słabość, Dziewczyno Z Sąsiedztwa.

Powiedział to w taki sposób, że wzdłuż kręgosłupa przeszedł jej dreszcz. Ale Caleb przecież nie mógł wiedzieć o jej programie, prawda? Pewnie nie miał nawet komputera.

– Ja też – odparła, choć zabrzmiało to niezręcznie i nie tak, jak chciała. Caleb jednak przyjął to i znów oparł się swobodnie o słupek.

– A więc... Chciałabyś może przyjść na piątkowy mecz?

I wtedy ta chwila ją przytłoczyła. Mecz. Co oznaczało tłum, co oznaczało, że gdy zaczniesz panikować...

– Issy, wszystko w porządku?

Wir zaczął tworzyć się nisko w jej ciele, gorący okrąg w żołądku. Zaparło jej dech w piersiach.

– Hm... tak... – Och nie, zaczęła wydawać z siebie ciche piski. *Weź się w garść. „W miłości nie ma lęku, lecz doskonała miłość usuwa lęk”*. I co powiedział wtedy ChłopakZSąsiedztwa? *„Albowiem nie dał nam Bóg ducha...”*

– Issy, jesteś blada jak ściana. Słuchaj, wcale nie musisz iść na mecz. – Położył dłoń na jej ramieniu. Krzyknęła w panice i wyrwała się. Jedyne pogorszył sytuację.

– Muszę... muszę już iść. – Wstając, przytrzymała się kurczowo barierki. – Dzięki za kolację.

Caleb podciągnął się i wstał. Złapał Issy za ramię.

– Przestań, Issy. Co takiego powiedziałem? Przepraszam.

Złapała się w okolicy żołądka, ale bolesny wir przeniósł się już do jej klatki piersiowej, biorąc ją w kleszcze.

– Ja... nie mogę. Ja... dzięki za kolację, Caleb.

I właśnie dlatego nie powinna z nikim się spotykać. Dlatego nigdy nie powinna była pocałować Caleba. Dlatego powinna poprzestać jedynie na snach o mężczyźnie po drugiej stronie monitora. Ponieważ w realu prawdziwy mężczyzna nigdy nie mógłby pokochać kobiety, która zbiegła ze schodów na łeb, na szyję, po czym pognęła do domu i znalazła bezpieczne schronienie pod fortepianem.

Dlaczego nie był szybszy?

– Issy! – Caleb utykał, schodząc po schodach i idąc przez trawnik, ale ona zdążyła już zatrzaskać drzwi.

Nie powinien wspominać o meczu. A może...

Czy to wszystko przez pocałunek?

Zbyt wcześnie zaczął na nią naciskać. I chociaż ze wszystkich sił musiał się powstrzymać, żeby nie wziąć jej w ramiona, to ona i tak o mało co nie zaczęła krzyczeć.

Dobra robota, Caleb.

Chociaż miał wrażenie, że odpowiedziała na jego pocałunek. Czuł, że miała ochotę znaleźć się w jego ramionach.

Wspiął się po schodach na ganek jej domu. Zapukał do drzwi.

– Issy!

Cisza.

Złapał za klamkę. Zamknięte.

Obrócił się i opadł ciężko na podłogę. Oparł się głową o drzwi.

– Issy, przepraszam.

Chciał jej powiedzieć, że doskonale to rozumie. Że tego popołudnia, gdy leżał plackiem na boisku, w rozsypce, miał ochotę wycofać się do tego ciemnego miejsca w środku. Chciał poddać się i zacząć wyc.

Ale Bóg oczekiwał od niego więcej. Po tym wszystkim, co dla niego zrobił, Caleb był Mu to winien: musiał wstać, wziąć się w garść, wciążyć iść naprzód.

Zastanawiał się długą chwilę, zanim pozwolił Danowi sobie pomóc. I to tylko dlatego, że nie mógł przecież skakać na jednej nodze przez całe boisko.

Dotarło do niego, że nawet gdyby to potrafił, to któryś z jego zawodników mógł wrócić na boisko. Wtedy na pewno czekałaby go interesująca rozmowa. Nie wspominając już o końcu jego trenerskiej kariery w Deep Haven, bo nawet jeśli komisja szkolna zatrudniłaby go, nie dowiedziałby się nigdy, czy zrobili to ze względu na jego umiejętności, czy dlatego, że chcieli mieć u siebie niepełnosprawną osobę, bo to ociepla wizerunek szkoły.

Dan opuścił go na ławkę, po czym usiadł okrakiem obok niego.

– Mogę coś zrobić?

– Upewnij się tylko, że żaden z chłopaków tutaj nie przyjdzie. – Caleb podwinął nogawki tak wysoko, jak się dało, i nastawił protezę. Nie odpadła całkiem, po prostu przekrzywiła się. Caleb odwinął materiał. – Poczekam, aż wszyscy wyjdą z szatni, a potem nastawię ją jak trzeba.

Dan miał współczującą minę. Caleb nie zamierzał tego wykorzystywać, by dostać pracę.

– Nie mogę w to uwierzyć – zaczął Dan. – Cały ten czas...

– Pożyczony czas. Wiedziałaś, że coś jest nie tak. Nie mogłem tego ukrywać w nieskończoność. Ale chciałem poczekać z ujawnieniem się do końca piątkowego meczu. Żeby ludzie zobaczyli, co chciałem osiągnąć z tą drużyną. Chciałem zasłużyć na to, na tę pracę.

Dan skinął głową.

– Rozumiem to. Ale nie mogę przymknąć oka na fakt, że nas oszukiwałeś.

– Dlaczego? Opowiadasz swoim parafianom o każdej swojej ranie?

– Nigdy nie straciłem kończyny.

– Ale mogłeś stracić wiarę. Albo nadzieję. Albo nawet swoją drogę życiową. To też są rany, prawda? Czy to znaczy, że Bóg nie będzie miał wtedy z ciebie pożytku?

Dan wziął głęboki oddech.

– Powinieneś zostać adwokatem.

– Byłem żołnierzem. Medykiem w Iraku. I to dobrym. Ale zawsze chciałem zostać trenerem.

– I w tym też jesteś naprawdę dobry.

– Chcę taki być. Zwłaszcza po tym, jak Bóg ocalił mi życie. Staram się po prostu robić to, co do mnie należy. – Deszcz nie padał już tak mocno, właściwie mżyło. Caleb wystawił twarz na spadające krople. Zamknął oczy. – On zrobił już wystarczająco wiele. Reszta należy do mnie.

– Ty, Piotr i Ben Franklin.

– O czym ty mówisz?

Dan podniósł torbę z piłkami.

– *Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają.* Chodź. Siądźmy w samochodzie. – Tym razem nie zaoferował Calebowi pomocnej dłoni.

Gdy Caleb szedł za Danem do samochodu, zobaczył kilku rodziców, czekających na swoich synów po treningu. Pomachał im, starając się nie kuśtykać, i wsiadł za Danem do jego suchego chevroleta.

Dan włączył silnik, by trochę ogrzać samochód.

– Pamiętasz, jak Jezus obmył stopy uczniom?

– Pewnie. W wieczniku, w tę noc, kiedy został aresztowany. Po ostatniej wieczerzy.

– Tak. Oczywiście, po tylu latach spędzonych z Jezusem Piotr wiedział, że jest On Synem Bożym. Widział cuda, które Jezus uczynił, widział, jak chodzi po wodzie. I znał także siebie. Wiedział, jakim był człowiekiem. To on właśnie wykrzyknął: *Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiek grzeszny.*

– Rozumiem to. Przez długi czas nie mogłem pogodzić się z tym, że Bóg sięgnął do mnie z nieba, by mnie ocalić.

– Wielu ludziom jest trudno zaakceptować łaskę. Zbyt dobrze siebie znamy. – Dan uśmiechnął się ironicznie. – Dlatego myślę, że Piotr zareagował właśnie w taki sposób, gdy Jezus do niego podszedł. Powiedział: *Nie, nigdy mi nie będziesz nóg umywał.* Nie mógł znieść myśli, że Syn Boży może służyć takiemu grzesznikowi jak on.

Caleb wziął głęboki oddech, gdy ze szkoły wyszedł Ryan. Chłopak napotkał wzrok Caleba; zach-

wał przy tym stoicki wyraz twarzy.

– Ale przez Piotra przemawiała pycha. Nie chciał, by Bóg musiał mu pomagać. Chciał być tym jedynym, któremu Jezus nie obmyje nóg. Ale widzisz, Jezus nie był bezradny. Wiedział, kim jest i co musi zrobić, a obmycie nóg Piotrowi miało pokazać Jego uczniowi łaskę Bożą. Jezus powiedział: *Jeśli cię nie umyję, nie będziesz miał udziału ze Mną*. Nie mówił tutaj o zbawieniu. W późniejszych wersetach wspomina, że są już czyści. Mówił o ciągłym obcowaniu z Bogiem, o pokorze, dzięki której pozwalamy Bogu działać w naszym życiu. Obmycie naszych nóg przez Jezusa jest konieczne, byśmy stali się Jego uczniami. Musimy być gotowi zaakceptować Jego miłość i łaskę. I dopiero wtedy możemy odwrócić się i robić to samo dla innych. Codzienna łaska dla ciebie i dla innych.

– Zaakceptowałem łaskę...

– Ale czy pozwoliłeś Jezusowi, by umył ci nogi? Czy też może twoja duma mówi: *Boże, zrobiłeś już wystarczająco dużo. Nie obmywaj mnie?*

Caleb westchnął.

– To słabość. Nie mogę przejść przez życie, ciągle potrzebując Boga.

– Dlaczego nie? O to właśnie chodzi, tak myślę. Bóg mówi: *Wystarczy ci mojej łaski. Moc bowiem w słabości się doskonali*. – Dan przykręcił ogrzewanie. – Nie sławisz Boga swoją siłą ani wdzięcznością, lecz słabością i ufnością. W swojej wierze, że Bóg nie zawiódł cię w przeszłości... i nie zawiedzie cię też w przyszłości. – Dan położył mu dłoń na ramieniu i ścisnął je. – Pozwól, by Bóg umył twoje stopy. Albo stopę, w tym wypadku.

Caleb uśmiechnął się.

– Bardzo śmieszne.

– Taki tam protezowy humor. – Uśmiech Dana zbladł. – Pomyśl nad poinformowaniem o tym komisji szkolnej. Nie staniesz się przez to słaby. Ale na pewno będziesz szczerzy.

– Szczerłość nie ułatwi mi pracy, którą chcę zdobyć na własnych warunkach.

Dan przyjrzał mu się uważnie.

– Rozumiem, dlaczego nie chcesz nic powiedzieć komisji przed meczem. Ale nie możesz trzymać tego w sekrecie w nieskończoność.

– Powiem im zaraz po meczu. Cały czas taki właśnie miałem zamiar. Dowiedzą się o tym, kiedy podejmą decyzję w sprawie pracy.

– I nie będzie więcej sekretów?

I nie będzie więcej sekretów.

Słowa Dana szumiały mu w głowie, gdy siedział na ganku domu Issy.

Żadnych sekretów. A co, jeśli Issy dowiedziałyby się, że ją rozumiał? Że znał smak strachu, który rzuca się do gardła i dusi. I że gdyby mógł uciec i schować się, zrobiłby to?

Co by powiedziała Panienska Niemądre Serce?

To nie miało znaczenia. Nie była realna, w przeciwieństwie do Issy. Uśmiech Issy naprawiał jego świat. Śmiech Issy potrafił...

Śmiech Issy. To właśnie to. Brzmiała dokładnie tak jak Panienska Niemądre Serce. I dzisiaj, gdy siedział z nią, słuchając jej głosu, gdy opowiadała mu o jej małym miasteczku...

Nie.

Pracuję w domu.

Nie.

Pracuję online.

Nie. „Moje Niemądre Serce” było programem na cały kraj, jak „The Bean”. A Issy... Issy była dziewczyną z sąsiedztwa. Poza tym... ona nigdy nawet nie była na randce. A Panienska Niemądre Serce wiedziała o miłości wszystko: co robić, czego nie, znała różne techniki. Musiała być wytrawnym randkowiczem. Może nawet miała męża.

Uff. To by dopiero było, gdyby Issy dowiedziała się, że dzwonił do programu poświęconego romanansom, prosząc prowadzącą o pomoc w poderwaniu jej. Wtedy dopiero poczułby się obnażony. Tak, atak paniki stulecia gwarantowany.

A zważywszy na to, że zdradził Paniencie Niemądre Serce swoje największe sekrety, cóż, ten atak paniki mógłby dotyczyć ich obojga.

Gdy Seb po raz pierwszy spotkał trenera Presleya, od strony jeziora napłynęła mgła i osiadła na boisku jak wata. Seb był mokry, brudny od błota i wściekły, nie tylko dlatego, że jego skrzydłowy wypuścił piłkę, ale też dlatego, że jego drużyna przegrała dwoma przyłożeniami. Seb miał ochotę rzucić się na kogoś. Ale z racji tego, że był dopiero w szóstej klasie, musiał poczekać rok na dołączenie do szkolnej drużyny.

Seb stał wtedy pochylony przy naradzie, gotując się ze złości, gdy z mgły wyłonił się trener Presley, krocząc niczym bohater wojenny. Trener zatrzymał się na linii bocznej, założył ręce na swojej szerokiej piersi i utkwiał wzrok w Sebie. Właśnie wtedy zrodziło się w nim przekonanie, że trener przyszedł na mecz futbolu flagowego, by go obserwować.

Może to wcale nie była prawda, ale musiał tylko całym sobą w to uwierzyć, zaufać, że trener czeka, aż Seb zaprezentuje zagrywkę godną rozgrywającego i pogna czterdzieści jardów do pola punktowego.

Stawał się rozgrywającym – i mężczyzną – którym pragnął być, gdy trener mu się przyglądał.

Dobrze, że trener nie mógł go zobaczyć siedem lat temu, gdy Seb odebrał telefon. Ukrywał twarz w dłoniach, słuchając w radiu relacji z meczu Cyclones.

Wierzę w ciebie, Seb. Nie pozwól, by to cię pokonało.

Ale wtedy do jego uszu nie docierały słowa trenera. Złość i strach tłumiły dźwięk.

Teraz, gdy stał przed drzwiami do pokoju Presleya w centrum opieki, gapiąc się na niebiesko-białą naklejkę w kształcie futbolowego kasku przyklejoną do drzwi, znów słyszał ten głos.

Co go podkusiło, by przyjechać w odwiedziny? Może te wszystkie marudzenia, które słyszał dzisiaj podczas treningu. Co gorsza, gdy posadził Samsona na ławce, chłopak prawie zszedł z boiska.

Seb patrzył, jak zmagają się z ćwiczeniami, i uświadomił sobie, że wychodował drużynę supergwiazd, drużynę napędzaną blaknącą sławą spuścizny jej trenera.

Co więcej, Seb nie miał pojęcia, jak mógłby zmienić tych chłopców w mężczyzn. Ponieważ, cóż, sam nie wiedział, jak powinno to wyglądać.

Spędził tyle lat na oglądaniu się za siebie, poszukiwaniu rady, znaczenia, że teraz nie potrafił zatrzymać wzroku na tym, co znajdowało się przed nim.

Popchnął palcami drzwi. Znajome zapachy szpitala sączyły się z pokoju – smród ciała, środek dezynfekujący, słyszał szmer respiratora i szum przyciszonego telewizora.

Oddech zatrzymał mu się w piersi. Seb zacisnął zęby, by się nie rozpląkać.

Oczywiście, słyszał o wypadku trenera, ale nie miał pojęcia, że obrażenia mogą pozbawić go postury i zniekształcić do takiej postaci. Nie miał pojęcia, że jego twarz może stracić rysy, zmienić się w

maskę z rurką od respiratora.

Ani że w jego oczach wciąż będzie ta siła, która skupi się na Sebie i wywoła w nim falę ciepła.

– Czołem, trenerze – powiedział Seb, przysuwając sobie krzesło. Na stoliku przy łóżku stało zdjęcie rodziny trenera, ale poza tym w pokoju nie było żadnych osobistych rzeczy, jakby trener nie zamierzał zostawać tutaj długo.

– Słyszałem, że wróciłeś. – Głos trenera był chropowaty i cichy. Presley wciąż wpatrywał się w Seba.

Seb czekał na coś więcej – na pytanie o jego przeszłość, o to, co porabiał przez ostatnie parę lat – ale nic więcej nie usłyszał. Aż w końcu zorientował się, że trener po prostu nie może mówić. W jego szyi tkwiła rurka.

Zapieкло go w gardle. Przełknął szybko ślinę i zmusił się do uśmiechu.

– Tak. Uczę matematyki w szkole. I... no wie pan... trenuję drużynę. Ale... – Wziął głęboki wdech, żałując, że nie może odwrócić wzroku. Czuł się tak, jakby znowu miał dwanaście lat i widział trenera wyłaniającego się z mgły. – Nie jestem pewien, czy wiem, co robię. Myślałem, że może powinienem skupić się na efektywnych zagrywkach, sprawić, by drużyna była podekscytowana grą. Ale moja drużyna jest... cóż, gracze są bardziej zainteresowani słuchaniem o dawnej chwale i wykonywaniem ciekawych zagrywek, niż ćwiczeniami i poprawianiem kondycji.

Potarł dłonie o siebie, nie mogąc dłużej patrzeć na trenera. W głowie słyszał głos Bama: *Naprawdę myślisz, że tylko ty spałeś z Lucy Maguire?*

Jego słowa okazały się żrące niczym kwas. Oczywiście, Lucy dokonała swoich wyborów, ale to on, Seb, był jej pierwszym.

Pierwszym, który zdobył jej serce, pierwszym, którego pokochała, pierwszym, który ją zdradził.

Pierwszym, który pokazał jej, że mężczyznom chodzi tylko o jedno.

Jest skompromitowana.

– Trenerze, tak mi przykro. Zawaliłem sprawę. – Wziął głęboki oddech i zorientował się, że płacze. Otarł policzki i zapatrzył się w okno za łóżkiem trenera. – Chciałem po prostu być takim trenerem, jak pan. Takim człowiekiem, jak pan.

– Weź mój podręcznik – wydyszał trener.

– Podręcznik? Ale ja znam zagrywki, trenerze, pamiętam je...

– Mój podręcznik, Seb. – Rozpoznał ten ton, to spojrzenie Nawet-Nie-Próbuj-Się-Ze-Mną-Kłócić.

– Gdzie...? – Ale on wiedział gdzie. A przynajmniej wiedział, gdzie znajdował się podręcznik za czasów liceum. Seb nocował u trenera, kiedy jego ojciec wracał do domu pijany, albo gdy nie wracał wcale. Wtedy szedł do domu pana Presleya, zwykle zastając go czytającego do późna.

Trener zawsze zapraszał go do środka i wysłuchiwał. A czasem po prostu dawał mu koc.

Podręcznik zawsze leżał na podłodze, obok jego fotela, pod Biblią.

– Wciąż jestem z ciebie... dumny.

Seb ujął dłoń trenera i zapłakał.

piętnaście

Issy wcale nie potrzebowała Caleba Knighta, ani jego psa, ani jego tajskiego zarcia.

Nie, gdy miała forum „Mojego Niemądrego Serca”.

Nie, gdy miała ChłopakaZSąsiedztwa. Chociaż ten nie odzywał się od dwóch dni. Może uciekł ze swoją wymarzoną dziewczyną.

Podczas gdy ona uciekła z ramion całkiem dobrego mężczyzny do swojego internetowego świata.

– Witajcie, spragnieni miłości. Witajcie w drugiej godzinie „Mojego Niemądrego Serca”. Zakończymy wcześniejszą dyskusję o korespondencji miłosnej cytatem z listu Elizabeth Barrett Browning do Roberta Browninga: *A teraz posłuchaj. Wzruszyłeś mnie do głębi, bardziej niż sądziłam, że nawet ty potrafisz mnie wzruszyć – moje serce wezbrało, gdy przyszedłeś dzisiaj do mnie. Odtąd jestem twoja na zawsze...*

Issy powstrzymała się przed spojrzeniem w okno domu Caleba. Jej głos prawie załamał się na ostatnim zdaniu. Nie kochała Caleba. Ale on napełnił jej serce nadzieją. Czowała się przy nim prawie normalna, zniknęły ślady paniki, gdy przejechał palcami po jej włosach, pocałował ją tak czule. Miała ochotę dotknąć jego koziej bródki i...

Nie.

– Czy otrzymaliście kiedyś list miłosny? Czy moglibyście pokochać kogoś, nie spotykając się z nim twarzą w twarzą? Spytajmy jeszcze jednego słuchacza. Linie są otwarte.

Oczywiście nie kochała także ChłopakaZSąsiedztwa. Ale przyjaźń z nim była łatwa i zabawna. Nawet pocieszająca, jakby Issy mogła podzielić się z nim jakąś częścią swojego serca.

Mogłaby zakochać się w kimś takim jak ChłopakZSąsiedztwa. Kiedyś.

– PanienkoElizabeth, jesteś na antenie.

– Myślę, że wysyłanie listów jest romantyczne. I tak jak mówiłaś tydzień temu: Co, jeśli osoba, w której się zakochasz, nie jest atrakcyjna? Możesz ją pokochać, jeśli poznasz jej serce. Ale jak będziesz mogła je poznać, jeśli nie dasz jej szansy?

– Masz rację, PanienkoE. A z tym wiąże się kolejny temat: Kiedy się poddajecie? Jak wiele możecie zainwestować w związek, nim zorientujecie się, że nic z tego nie będzie? Panienska Niemądre Serce zaleca zwykle trzy randki. Ale jeśli widzicie, że nic z tego nie będzie, to w jaki sposób ze sobą zrywacie? Czy moglibyście w tym celu użyć listu?

W tle Elliot puścił cicho piosenkę *Breaking Up Is Hard To Do*^[17] Neila Sedaki. Niezłe wyczucie, Elliot.

– NieszczęśliwaWMiłości, jesteś na antenie.

Głos, który rozległ się na linii, był chropowaty i ponury. Brzmiał nieszczęśliwie, jakby słuchaczka właśnie sama leczyła złamane serce.

– Zrywanie ze sobą przez e-mail to marny zwyczaj. To zbyt szybkie i łatwe, a przecież najlepsze rozstania pomagają obu stronom czegoś się nauczyć.

– A więc mówisz, że przy zrywaniu nie chodzi o obrzucanie się winą, lecz o pomoc sobie wzajemnie, by stać się lepszymi ludźmi?

– Mówię tylko, że ludzie potrzebują definitywnego zakończenia, to nie *fair* jest spławić kogoś online. – Jej głos się załamał. – Należy im się jakiś powód. – Rozłączyła się.

– Hm, dziękuję za telefon, Nieszczęśliwa. Panienska Niemądre Serce się z tobą zgadza. Związek dojrzałych ludzi opiera się na szacunku, rozmawia się w nim o tym, co się nie udaje. – Miała nadzieję, że głos nie zdradził jej na tym ostatnim zdaniu. Caleb pukał dzisiaj do jej drzwi dwa razy. Nienawidziła siebie za to, że została na górze, zamknięta w gabinecie, ale nie zamierzała kompromitować się jeszcze bardziej. Zasługiwał na wyjaśnienie, chociaż mądry mężczyzna, bez niemądrego serca, sam już by się wszystkiego domyślił.

– A co z wycuciem czasu? Czy istnieje moment, aby zerwać ze sobą, jeśli nie jesteś gotowy na poważny związek? Czy też trwasz w nim dalej, dopóki nie poczujesz, że to odpowiedni moment?

W kolejce dzwoniących pojawiła się DumoIPasja. Oby nie z kolejnymi prośbami, by Issy przysłała na jej ślub.

– MaszMojeSerce, miło mi cię znów usłyszeć. Jak się dzisiaj miewasz?

– Dobrze. Chciałam nawiązać do twojej rozmowy o listach. Poznałam swojego chłopaka na czacie. Spotkamy się za parę tygodni... i, cóż, nie wiem, czy to dobry moment. Ale nie chcę z nim zerwać. Po prostu chodzę jeszcze do szkoły i chciałabym ją skończyć, nim zacznę to na poważnie. Co powinnam zrobić?

– Panienska Niemądre Serce zawsze radzi trzymać się planu. Powiedz mu, że nie jesteś jeszcze gotowa się spotkać i jeśli naprawdę chce z tobą być, to poczeka. Powodzenia, Serce.

– To prawda – kontynuowała – że w naszych czasach bardzo wiele związków zaczyna się w sieci. Nie musząc patrzeć drugiej osobie w oczy, łatwiej nam się rozmawia o rzeczach prywatnych, które dotąd skrywaliśmy, trzeba więc uważać, co i komu się mówi. Panienska Niemądre Serce radzi, by rozmawiać w sieci o rzeczach lekkich i przyjemnych, a intymne zwierzenia zostawić na spotkanie twarzą w twarz.

Oczywiście, pomijając sytuacje, gdy nie możecie spotkać się twarzą w twarz. Och, Elliot powinien ją wyłączyć.

Mieli trzydzieści sekund do przerwy na reklamy i tylko DumoIPasję w kolejce. Cóż, Issy zawsze mogła jej przerwać, jeśli zacznie robić scenę.

– Dziękuję za telefon. – Nabrała powietrza w płuca i spróbowała brzmieć wesoło. – DumoIPasjo, jesteś na antenie.

Chlipanie i szloch.

– Dumo?

– Paniensko Niemądre Serce, myślę, że popełniłam okropny błąd.

Issy pozostała spokojna.

– Co się stało?

– Myślę, że powinnam odwołać ślub. Nie wiem, czy on jest tym jedynym.

I właśnie dlatego Issy chciała, by jej słuchacze pozostali anonimowi. Gdyby ogłosili, że biorą się ślub, a potem się wycofali, nie skończyliby w tabletkach.

– Dumo, co się stało?

– Nic. To znaczy... wszystko jest świetnie. Chociaż... co, jeśli wcale nie jest?

– Nie rozumiem.

– Co, jeśli pewnego dnia on stwierdzi, że już mnie nie kocha? Albo że jestem zbyt neurotyczna? Albo spotka kogoś innego? Skąd mam wiedzieć, czy to moje *I Żyli Długo, i Szczęśliwie*?

Jej własne słowa wypełniły głowę Issy. *Czy to dziesiątka? Czy ma wielką trójkę? Czy jesteś zanurzona w miłosnej mgle? Ale po raz pierwszy te banały, które oferowała, wydały się jej bardziej wojskowym dryblem niż mądrością.*

– Prawda jest taka, że nie wiem tego, Dumo. Wszystko może być idealnie w jednej sekundzie, a w drugiej coś może się zdarzyć. Możesz zapaść na jakąś chorobę, albo owszem, on może zdecydować, że wcale cię nie kocha. – *Albo ciężarówka może przejechać na czerwonym świetle i zniszczyć ci życie.* – W życiu nie ma gwarancji.

Cisza. A potem:

– Tak właśnie myślałam. Ja... ja nie mogę tak żyć, ciągle się bojąc, że wszystko się zawali.

Issy usłyszała w jej głosie coś, czego nie potrafiła zidentyfikować.

– Dumo, czy to właśnie dlatego zerwałaś ze swoimi pięcioma poprzednimi chłopakami? Dlatego, że się bałaś?

– To nie były dziesiątki, Panienko Niemądre Serce. I zawsze mówiłaś, że jeśli chłopak nie jest dziesiątką, gdy się spotykacie, to spadnie jeszcze niżej, gdy przyprowadzisz go do domu.

Issy tak właśnie powiedziała, ale to było zgadywanie, a nie wiedza osadzona na doświadczeniu. I tak szczerze, czy dziesiątki w ogóle istniały? Issy wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny, że należy patrzeć na prawdziwe oblicze, a nie na maskę. Choć nawet wtedy nie miało się żadnych gwarancji, że osoba, którą kochasz, nie wyskoczy z twoich ramion i nie odbiegnie do kogoś innego. Tak czy siak, dziewczyna musiała chronić swoje serce.

– Tak powiedziałam, Dumo. Jeśli nie jesteś gotowa, to...

– Ślub jest odwołany. Nie mam wyboru. Muszę poczekać, aż znajdę idealną dziesiątkę. Dziękuję, Panienko Niemądre Serce. Znowu mnie uratowałaś.

Duma rozłączyła się.

Issy włączyła reklamy, wciąż słysząc w głowie słowa Dumy. *Nie mogę tak żyć, bojąc się, że wszystko się zawali.* Zajrzała na forum, śledząc aktywność. Nie wszyscy się z nią zgadzali i nawet jej samej nie całkiem podobała się odpowiedź, jakiej udzieliła Dumie.

W kolejce dzwoniących pojawił się ChłopakZSąsiedztwa. Issy poczuła ciepło w sercu. Nie obchodziły jej rady Paniunki Niemądre Serce. Lubiła swoją przyjaźń w sieci z ChłopakiemZSąsiedztwa i nie zamierzała z niej zrezygnować.

Skoro nie mogła mieć Caleba, to ChłopakZSąsiedztwa może wystarczyć.

W jej gabinecie rozległ się dźwięk telefonu. Podniosła słuchawkę.

– Co ty wyprawiasz?

Elliot. Mogła sobie go wyobrazić, jak chodzi wte i wewte po pokoju.

– O co ci chodzi?

– Czy ty właśnie kazałaś Lauren O’Grady zerwać ze swoim narzeczoną? Zwariowałaś? Może powinienem dać twój domowy numer gubernatorowi, gdy do nas zadzwoni.

– Elliot, słyszałaś ją. Nie była pewna.

– Życie nie jest pewne! Ale to nie znaczy, że masz przestać żyć!

Wciągnęła powietrze do płuc. Otworzyła usta, ale nie mogła mówić.

Ton Elliota złagodniał.

– Przepraszam. Po prostu... nie możemy dopuścić, by ludzie zaczęli mówić, że Panienska Niemądre Serce torpeduje związki.

Ale to właśnie zrobiła, prawda?

Issy zwalczyła drżenie w głosie, nim znów wróciła na antenę.

– Miło nam, że się pojawiłeś, ChłopakuZSąsiedztwa. Powiedz, jak ci się układa z Dziewczyną.

– Nie chce ze mną rozmawiać. – Był... poirytowany? Zły? – I nic nie mogę na to poradzić.

– Rozstajecie się? – Nie wiedziała, jak odczytać ten wir w sercu. Radość? Panika?

– Nie wiem. Nie chce mi powiedzieć, co zrobiłem nie tak. Ani pozwolić, bym to naprawił.

– Co się stało?

– Zrobiłem wszystko, co mi powiedziałaś. Zaprosiłem ją na randkę, zjedliśmy razem kilka obiadów w miłej atmosferze i wtedy... to nie *fair*. Zrobiłem wszystko, co mi kazałaś, a ona i tak się ode mnie odcięła.

Poznawała ten ton. Jej ojciec używał go zbyt wiele razy po przegranym meczu.

– Może potrzebuje trochę czasu, by zrozumieć, co straciła, Chłopaku. Kobiety takie są. Czasem gubimy się w emocjach i potrzebujemy chwili, by przejrzeć na oczy.

Spojrzała na dom Caleba.

– Sam nie wiem. Może ona wcale nie jest mną zainteresowana. Może za bardzo się staram.

Miała ochotę sięgnąć do niego przez linię i ująć jego dłoń. *Ja cię nie skrzywdzę, ChłopakuZSąsiedztwa. Ja cię nie odetnę.* Ale to może dlatego, że znajdował się daleko. W bezpiecznej odległości.

– Może być tak, że ona po prostu się boi. – Nie wiedziała, skąd jej się to wzięło, ale czuła, że ma rację. Pierwsza właściwa rzecz, jaką powiedziała tej nocy. Nabrała powietrza w płuca. – Miałam wczoraj randkę. Była prawie idealna, bardzo prosta, wiesz? Tajskie jedzenie na wynos, które zjedliśmy u niego na ganku. Rozmawialiśmy i nawet się pocałowaliśmy. Ale czasami to, co wydaje się idealne, ma ukryte wady. I bywa niebezpieczne. Może ona stara się przed czymś cię ochronić.

Jego głos zmienił się, stał się nieco roztrzęsiony.

– Um... Przed czym może chcieć mnie chronić?

– Przed samą sobą?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Issy zrozumiała, że zdradziła o sobie zbyt wiele. Nigdy nie opowiadała słuchaczom o swoim życiu i wiedziała dlaczego. Ale jak powiedziała Rachele, oni nie mogli jej zobaczyć. ChłopakowiZSąsiedztwa nawet by się nie śniło, że Panienska Niemądre Serce to Isadora Presley, uwięziona w swoim domu na głębokiej północy kraju.

Isadora Presley to Panienska Niemądre Serce.

Caleb zamarł, nie mogąc ani się ruszyć, ani odezwać. *Miałam wczoraj randkę. Była prawie idealna... Tajskie jedzenie na wynos, które zjedliśmy u niego na ganku.*

Przypomniał sobie rady, których mu udzielała. Jego ciało zmieniło się w sopel lodu. Czy to dla niej jakaś gra? Od jak dawna wiedziała, że to on dzwoni? Miała go za idiotę, każąc mu robić te wszystkie rzeczy. A on jej słuchał. Jak jakaś... marionetka.

Tylko dlaczego? To miał być jakiś eksperyment? Albo zagrywka podnosząca zainteresowanie publiki? Caleb wysłuchał powtórki w niedzielę, tych kilku reklam głoszących, że Panienska Niemądre Serce

może pomóc znaleźć prawdziwą miłość nawet chłopakowi z sąsiedztwa.

Wykorzystała go.

Nie. Okłamała go.

A on powierzył jej swoje sekrety. Wiedziała o jego nodze. Nic dziwnego, że Seb Brewster oglądał jego treningi. Pewnie tylko czekał, aż Caleb się przewróci. Pewnie całe miasteczko już wiedziało.

Wszyscy go zwodzili. Wszyscy. Litowali się nad nim. Pewnie dlatego Ryan nie chciał dla niego grać, nie okazywał mu żadnego szacunku.

On też nie darzyłby szacunkiem trenera, który w każdej chwili może upaść na twarz. Albo trenera, który kłamie.

Co gorsza, po treningu kupił Issy kwiaty, stał przed drzwiami i pukał. I pukał. A później, zdesperowany, zadzwonił do „Mojego Niemądrego Serca”, by poprosić o radę, jak ją odzyskać.

Ciekawe, że z jej gabinetu na górze nie dochodził maniakałny śmiech.

– ChłopakuZSąsiedztwa, jesteś tam jeszcze?

Na szczęście do tej zabawy były potrzebne dwie osoby.

– Powiedz mi proszę, Panienko Niemądre Serce, jaka jest definicja niemądrego serca? Czy to ktoś, kto oddaje swoje serce zbyt łatwo?

– Um... Wydaje mi się...

– Czy to może raczej ktoś, kto wierzy w czyny, w uśmiech innej osoby, a potem dowiaduje się, że ona cały czas śmiała się z niego za plecami?

Otworzył forum i zobaczył, jak rozkręca się dyskusja. Prawie jak jedna z zagrywek rozgrywającego, by skołować obronę.

Ellery09: Wydaje się zły.

SerceJakJego: Może z nim zerwała.

Miał ochotę napisać *Panienka Niemądre Serce to oszustka*, ale nie mógł się zdobyć, by zniszczyć ją z powodu własnego bólu. Nie zdemaskuje jej na antenie.

– Czy twoja Dziewczyna śmiała się...

– Albo ktoś, kto kłamie ci w żywe oczy? Sprawia, że wierzysz, że jest jedną osobą, a okazuje się być kimś zupełnie innym?

Jej głos był cichy, skąpany we współczuciu. Uwierzyłby jej, gdyby nie to, że znał prawdę.

– Co się stało?

Starał się trzymać gniew w ryzach.

– Właśnie się dowiedziałem, że Dziewczyna, wiesz, ta, którą pomagałaś mi zdobyć...

– Tak, wiem.

– No tak, raczej, że wiesz. – Ups.

– Nie rozumiem, Chłopaku.

– Pozwól więc, że wytłumaczę. Dowiedziałem się właśnie, że Dziewczyna mnie wykorzystuje. Wca-
le nie była zainteresowana mną, ale tym, co mogłem dla niej zrobić. – Skrzywił się, gdy to mówił.

Spodziewał się westchnienia, spodziewał się, że zrozumie, ale...

– To okropne. Tak mi przykro.

– Jest ci... przykro?

– Oczywiście. Każdy, kto wykorzystuje drugą osobę, jest... Cóż, to nie twoja wina, na pewno. Wróć-
my do twojego pytania na początku. Definicji niemądrego serca. Myślę, że to bardzo dobre pytanie.
Jak myślicie, drodzy słuchacze, czym jest niemądre serce?

Och, była świetna, a on jej się podłożył. Rozłączył się.

Ale jeszcze z nim nie skończyła. Na forum pojawił się jej awatar. Poprosiła go o rozmowę. Zaakceptował pod wpływem impulsu i od razu zaczął tego żałować.

PanienskaNiemądreSerce: ChłopakuZSąsiedztwa, czy skrzywdziłam cię jakoś?

Zapatrzył się na kursor. Pyta, czy go skrzywdziła? Serio?

PanienskaNiemądreSerce: Jesteś pewien, że Dziewczyna cię wykorzystuje? Dlaczego miałyby to robić?

A co, jeśli... a co, jeśli ona wcale nie wiedziała, że to on?

Caleb zastanowił się nad tym przez moment, nim udzielił odpowiedzi.

ChłopakuZSąsiedztwa: PanienskoNiemądreSerce, na ilu randkach byłeś w swoim życiu?

Patrzył na okienko czatu, czekając, aż zacznie pisać. Jeśli wiedziałyby, że to on, nie kłamałyby, prawda? Ale jeśli nie wiedziała...

PanienskaNiemądreSerce: Na wystarczająco wielu, by poznać tę dobrą.

Ciekawe.

ChłopakuZSąsiedztwa: Co sprawiło, że twoja wczorajsza randka była idealna?

Nie był pewien, dlaczego o to zapytał, ale to był prawie idealny wieczór, włączając w to również pocałunek. Dopóki Issy nie uciekła.

PanienskaNiemądreSerce: Mój tata jest trenerem futbolu i czasami, gdy wracał do domu z treningu, przynosił ze sobą kubek skrzydełek kurczaka. Siadaliśmy wtedy z mamą na naszym ganku i jedliśmy. Te pikniki na świeżym powietrzu, gdy machaliśmy do sąsiadów, cieszyliśmy się kolorami jesieni, miały coś w sobie. Prostotę. Bezpieczeństwo. Wczoraj miałam randkę z piknikiem i przez chwilę czułam się tak samo, jak kiedyś.

Nie tego się spodziewał. Ani rosnącej pewności, że Issy rzeczywiście nie miała pojęcia, iż awatar na jej ekranie naprawdę należał do chłopaka z sąsiedztwa.

ChłopakuZSąsiedztwa: Kiedy przestałaś czuć się bezpiecznie?

Proszę, nie mów, że wtedy, gdy cię pocałowałem.

PanienskaNiemądreSerce: Zaprosił mnie na mecz futbolu w piątek wieczorem.

Prawda. Zrobił to.

ChłopakuZSąsiedztwa: Nie lubisz futbolu?

PanienskaNiemądreSerce: Uwielbiam futbol.

Patrzył na migoczący kursor.

Och, Issy.

Przerwa na reklamę dobiegła końca i znów usłyszał jej głos na antenie.

– Wracamy na kolejne pięć minut. Dziękuję wam za definicje niemądrego serca. PanienskaNiemądreSerce także ma własną. Niemądre serce to takie, które kocha lekkomyślnie. Czy ktoś z was chciałby jeszcze coś dodać?

Kocha lekkomyślnie. Może nie było innego rodzaju miłości. Ta myśl sprawiła, że Caleb podniósł słuchawkę. Nie mógł nic na to poradzić. Musiał usłyszeć jej głos.

– ChłopakuZSąsiedztwa, hm, dziękuję, że znów zadzwoniłeś.

– Dziękuję, że odebrałaś, PanienskoNiemądreSerce. Przepraszam, że wcześniej rozłączyłem się tak nagle. Chcę zadać ci pytanie o Dziewczynę.

– Nie krępuj się. Jestem tutaj, aby pomóc.

Tak, Caleb naprawdę w to wierzył. I w to, że nie miała pojęcia, kim on naprawdę jest. Z jakiego innego powodu zawahałaby się, by opowiedzieć mu o swoich obawach? Przecież już je znał.

Nie mógł tak po prostu dać sobie spokój. *Może ona stara się przed czymś cię ochronić.... Przed*

samą sobą.

Nie potrzebował ochrony przed Issy, co to, to nie.

– Odwołuję to, co powiedziałem. Nie sądzę, by Dziewczyna mnie wykorzystywała. Myślę, że ona się mnie boi. Boi się za bardzo zbliżyć.

Issy wzięła głęboki oddech.

– Tak. Zgadza się.

– Co mam więc zrobić, jeśli zgodziła się wcześniej na kolejną randkę? Czy myślisz, że powinienem ją przekonać, by na nią poszła?

– Dama dotrzymuje swoich zobowiązań. Ale z drugiej strony, dżentelmen daje jej szansę, by się z nich wycofała.

– A co, jeśli byłoby to dla niej korzystne? – Banda zawodników w jej ogródku, przypominająca jej o przeszłości?

– Czy jesteś skłonny zaryzykować utracenie jej na zawsze, jeśli będziesz naciskał zbyt mocno?

Nie, wcale nie chciał jej stracić. Ale miał poczucie, że już teraz się od niego oddala. Może ChłopakZSąsiedztwa był jego ostatnią deską ratunku, by ją zatrzymać.

– A co, jeśli to i tak moja ostatnia szansa? – zapytał łagodnie, z emocją w głosie. – Co, jeśli nie skorzystam z niej, a i tak stracę Dziewczynę?

Proszę Issy, usłysz moje słowa.

– W takim razie nie wahaj się, ChłopakuZSąsiedztwa. Musisz włożyć w grę całe swoje serce, prawda?

Jej słowa zaparły mu dech w piersi. Nie mógł nic odpowiedzieć, a Issy przeszła do słów zamykających program.

– Dziękuję za wasze telefony, spragnieni miłości. Pamiętajcie, by odwiedzić nasze forum i zostawić komentarze. Żegna się z wami Panienska Niemądre Serce i mówi, że wasza doskonała miłość może mieszkać po sąsiedzku.

Miłosna ballada zakończyła program.

Czekał, aż Issy pojawi się online, ale jej awatar zbladł – znak, że się wylogowała.

A w jej biurze na piętrze zgasło światło.

[17] Dosł. Rozstanie jest trudne (przyp. tłum.).

szesnaście

– Jak myślisz, gdzie moja mama mogła schować przepis na sałatkę ziemniaczaną?

Lucy spojrzała na Issy, która siedziała na podłodze przed biblioteczką matki otoczona stosami książek kucharskich, pudłami z przepisami i morzem pojedynczych kartek.

– Futbolową sałatkę na czwartkowy wieczór? Nie pamiętasz składników?

Issy zgarnęła stosik książek, upchnęła je na półce i przysiadła na taborecie. Włosy splotła dzisiaj w długi francuski warkocz, nałożyła też lekki makijaż. Sprawiała wrażenie wybudzonej z głębokiego snu. Na jej twarzy wymalowała się zaciętość, którą Lucy ledwo poznawała.

– Nie pamiętam, jak mama ją nazywała. Była w trakcie przenoszenia wszystkich przepisów na komputer, więc kto wie, gdzie go wsadziła. Ale czy któraś z nich wydaje ci się znajoma? – Rozłożyła luźne kartki niczym talię kart. – Muszę znaleźć ten przepis.

Lucy przesunęła po nich wzrokiem.

– Myślałam, że postanowiłaś już nigdy więcej się z nim nie spotkać.

– Wszystko przez Panienkę Niemądre Serce. Powiedziała coś parę wieczorów temu i nie mogę przestać o tym myśleć.

Lucy spojrzała na nią.

– Masz jakieś rozdwojenie jaźni? Ty jesteś Panienką Niemądre Serce.

– Masz rację. Jestem niemądra. – Issy potrząsnęła głową.

– Okej, co w ciebie wstąpiło?

Issy westchnęła.

– ChłopakZSąsiedztwa zadzwonił we wtorek.

– Oho, historia zatacza krąg.

– Jego Dziewczyna dała mu kosza. Zapytał, czy powinien spróbować jeszcze raz, i powiedziałam mu, że tak. Ale to nie jego telefon tak na mnie podziałał. Zadzwoniła też DumaIPasja.

– Czy to ta, co zaprosiła cię na swój ślub?

– Tak, tyle że odwołała ślub. Obleciał ją strach. No i ja niemądrze poradziłam jej, by czekała na dziesiątkę.

– Niemądrze? Przecież takie masz zasady.

– No i zobacz, dokąd mnie doprowadziły. Może posiadanie wysokich standardów to wcale nie taki dobry pomysł.

– Myślę, że wysokie standardy to świetny pomysł.

– A co, jeśli odrzucę chłopaka, bo będę myśleć, że to nie ten jedyny, a tak naprawdę to będzie on? Co, jeśli Caleb jest moją ostatnią szansą? – Issy wstała i podeszła do blatu, gdzie w wazonie stała bogata wiązanka świeżo ściętych róż. – To już drugi bukiet, który zostawił na moim progu w ciągu

dwóch dni. Dołączył do niego liścik.

– Myślałam, że te kwiaty są z twojego ogrodu.

Issy podała jej kartkę.

Proszę, wpuść mnie do środka. Grill w czwartek wieczorem? Obiecuję, że będę zachowywał się nie-nagannie.

Lucy oddała jej liścik.

– To słodkie.

Issy opadła z powrotem na stołek.

– Elliot zadzwonił w trakcie programu i nawrzeszczał na mnie. Powiedział mi, że chociaż życie jest straszne, nie przestajemy żyć.

Lucy splotła ręce na stole.

– Jakie to głębokie. Ciekawam, gdzie już to wcześniej słyszałaś.

– Przestań. Wydaje mi się, że wreszcie jestem gotowa, by zacząć w to wierzyć. – Gapiła się na liścik, przesuwając kciukiem po literach. – Zostawiłam mu dzisiaj kartkę pod drzwiami. Napisałam, że zrobimy tego grilla. Chciałabym go też przeprosić. Tak bardzo przyciągnął mnie mężczyzna, który rozumiał moją sytuację, że całkiem zapomniałam, że to normalny facet, który chce robić normalne rzeczy. Jak wyjść na mecz. Być w miejscu publicznym. Nie mogę uwierzyć, że chce związać się z kobietą, która całkiem traci głowę, kiedy on tylko wspomni o wyjściu do ludzi.

– Och, Issy. Chciałabym, żebyś mogła zobaczyć to, co widzę ja. I co widzi Caleb. Silną kobietę, która stara się jakoś poukładać swoje życie na nowo. Jest z tobą lepiej niż miesiąc temu, niż nawet dwa tygodnie temu. Poszłaś dzisiaj do sklepu. I to sama! I teraz nawet zapraszasz Caleba i tłum rozbrykanych chłopców do swojego domu.

Issy uśmiechnęła się.

– Prawda jest taka, że sami widzimy nasze ograniczenia o wiele wyraźniej niż inni – dodała Lucy.

– Tak jak ChłopakZSąsiedztwa, który nie przejmuje się niepełnosprawnością Dziewczyny.

– Twoje przywiązanie do niego zaczyna mnie zastanawiać, Issy. Myślę, że się w nim zakochałaś. Ale wiesz przecież, że równie dobrze mógłby być wytworem twojej wyobraźni. Nie jest prawdziwy. Ma własne życie, pewnie gdzieś w Houston czy Milwaukee. Nigdy go nie spotkasz. I nawet nie wspominając już o tym, że zadzwonił do ciebie, bo jest zainteresowany kimś innym.

– Wiem. Wiem. Wydaje się po prostu mężczyzną doskonałym. Ale masz rację. To tylko nick na forum. Równie dobrze może mieć sześćdziesiąt dwa lata i żonę.

– Okej, teraz zaczynam się bać. On nie jest prawdziwy, ale Caleb jest. I co więcej, wydaje się być wszystkim, czym jest ChłopakZSąsiedztwa, a nawet więcej. Jest uroczy, pełen entuzjazmu i potrafi słuchać... Caleb to dobry facet. Wart zrobienia mu dwóch wielgachnych misek sałatki ziemniaczanej.

– Lucy pochyliła się, by posortować przepisy. – Co, mogę dodać, jest dla ciebie wielkim krokiem naprzód. Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– To mnie wcale nie przeraża. Będę w swoim domu. Dorastałam z zawodnikami. Wiesz, ile razy Seb jadł z nami śniadanie w soboty? Nie, to wcale nie jest trudne. To myśl o pójściu na mecz pozbawia mnie tchu. Nie mogę kontrolować meczu. Mogę kontrolować kolację. Jeśli uda mi się znaleźć ten przepis.

Lucy podniosła jedną z kartek.

– Spróbuj ten. Nazywa się *Sałatka dla głodomora*. Jeśli to nie określa idealnie gracza futbolu, to ja już nie wiem.

Issy wzięła od niej kartkę, przeczytała przepis i posłała Lucy triumfalny uśmiech. Wyciągnęła garnek spod kuchenki i włożyła go do zlewu razem z dziesięciokilogramowym workiem ziemniaków.

– Hej, podręcznik twojego taty. – Lucy wzięła do ręki grubą, oprawioną książkę. Napis na okładce brzmiał: „Zagrywki Presleya”.

Issy wsypała ziemniaki do zlewozmywaka i wyjęła obieraczkę.

– Myślałam, żeby pokazać go Calebowi. Pewnie chciałby zobaczyć niektóre zagrywki, które może wysmażyć Seb.

– Magiczne zagrywki Presleya. Tak, jestem pewna, że Caleb oddałby za to swoją prawą rękę. Zwłaszcza że... – Rzuciła wzrokiem na Issy, która zaczęła myć ziemniaki.

Issy znieruchomiała.

– Zwłaszcza że co?

Och nie. Issy wspomniałaby o niepełnosprawności Caleba, gdyby o niej wiedziała, prawda?

– Zwłaszcza że... nigdy nie widział ich w akcji. – Caleb powinien sam jej o tym powiedzieć, prawda? – Czy Caleb... mówił ci coś o swoich bliźnich?

Issy wyłączyła wodę i sięgnęła po ręcznik.

– Nie. Ale myślę, że to zrobi, gdy będzie gotowy. Nie powiedziałam mu jeszcze o wypadku moich rodziców. – Podeszła do Lucy, zaglądając jej przez ramię. – Och, pamiętam tę zagrywkę. Chaos Rozgrywającego.

Lucy przeczytała opis.

– To na poważnie? Czy to w ogóle legalne?

– Tak. Użyli jej w meczu o mistrzostwo stanu. Nie pamiętasz, ostatnia zagrywka? Całkiem oszołomiła obronę. Jest zabawna i całkowicie legalna. Tata sam ją wymyślił. Ale nie miał odwagi jej wykorzystać, dopóki nie pojawił się Seb. I nie wydaje mi się, by później użył jej ponownie, bo wszyscy w lidze już o niej słyszeli.

– To prześmieszne. Twój tata zawsze był zabawnym gościem.

Issy spojrzała na nią, blednąc.

– Jest zabawnym gościem. Nie umarł.

Och. Tak.

– Przepraszam, Issy. Oczywiście, że żyje. – Lucy zamknęła podręcznik i odchrząknęła. – Myślę, że Seb martwi się moim biznesplanem. Spędził wczoraj całą noc na sporządzaniu planów okienka w sklepie.

– Dostałaś już odpowiedź z banku?

– Nie. Ale Seb powiedział, że spotkanie z Bamem w poniedziałek poszło dobrze, więc jestem dobrej myśli. Gary rozpocznie pracę w sobotę. Seb sądzi, że jeśli ekipa da z siebie wszystko, to zdążą uwinąć się w weekend, akurat na Święto Pracy. Pewnie będę musiała zatrudnić jeszcze kogoś do pomocy, ale według jego obliczeń możemy zarobić tyle, by spłacić moje obecne długi, a nawet trochę zyskać.

– Sebanator – powiedziała Issy. – Ciągle mistrz.

– Myślę, że chce być moim mistrzem. – Lucy pozwoliła sobie uciec we wspomnienia: ich złączonych rąk, smaku jego warg. Tym razem nie wydawało się to takie niebezpieczne, zupełnie jak gdyby Seb dotrzymywał swoich obietnic. – I myślę, że także dla miasteczka. Bardzo się martwi jutrzejszym meczem.

Lucy wyciągnęła z torby stosik listów.

– Pewnie powinnam odwiedzać swoją skrytkę pocztową częściej niż dwa razy w tygodniu, chociaż i

tak dostaję tylko same reklamowe śmieci. Och, bank mi coś przysłał.

Podważyła kciukiem klapkę i rozerwała ją, po czym wyjęła ze środka list i przeczytała go.

– To jakiś żart?

– Co? – Issy wrzuciła czystego ziemniaka do garnka.

– Wszczynają postępowanie egzekucyjne wobec mojego długu.

– Co? – Issy znów sięgnęła po ręcznik.

– To od Bama. Napisał, że w związku z niedotrzymaniem terminu płatności żąda zwrotu pożyczki za Najlepsze Pączki.

– Może to zrobić?

Lucy położyła list na blacie. Wzięła głęboki wdech.

– Tak, ponieważ przy tej pożyczce mam jedynie prawo do użytkowania sklepu, dopóki nie spłacę kredytu za budynek. Poprzedni właściciel nieruchomości może ją przejąć, jeśli mi się to nie uda.

– Dlaczego miałby to zrobić?

Lucy pokręciła głową, ale miała całkiem konkretne podejrzenia. A wszystko zaczynało się w gabinecie Bammera, zapewne gdy Seb wręczył Bamowi bankierowi jej wspianiały, teraz już jego, biznesplan. Bam, słynny obrońca.

Bam, właściciel jej sklepu.

Bam, żonaty kobieciarz, który poderwał ją na tańcach podczas Pikniku Rybackiego parę lat temu. Skończyło się tak, że wykaraskała się z jego samochodu nad ranem. Chciała wymazać ten moment z pamięci. Niestety, Bam nie był przyzwyczajony do tego, że dziewczyna zatraskiwała mu drzwi przed nosem. Dodać do tego jeszcze jego nieodwzajemnione zauroczenie w szkole i już pojawiały się powody, dla których Bam chciał się na niej odegrać za zranioną dumę.

A Seb pomógł swojemu kumplowi ją zdradzić.

– Utrzymujcie szyk! Do piłki!

Seb zacisnął zęby, gdy piłka wyslizgnęła się z rąk skrzydłowego, jak nasmarowana tłuszczem. Toczyła się teraz po boisku, a gracze z drugiej części drużyny biegli jeden za drugim, by ją złapać.

Obrona i atak zwały się na środku boiska.

– Piłka! – Nie mógł na to patrzeć.

– Nie kończą zagrywek. Nie potrafią szarżować w odpowiedniej chwili. Zatrzymują się przy zawodnikach, zamiast ich wymijać. – Bam wyliczał uwagi, a stojący obok DJ przytaknął.

– Nie zdobędziecie jardów, jeśli nie trzymacie piłki.

Przez dwa tygodnie Seb nie nauczył tych chłopców niczego. Nawet poświęcenie ostatnich trzech dni na ćwiczenia nie przyniosło żadnego skutku, bo jedyne, na czym im zależało, to wypróbowywanie kolejnych ciekawych zagrywek, które dawny mistrz stanu opanował do perfekcji.

– Może powinienem zrobić jeszcze parę ćwiczeń z szarżowania. – Seb spojrział na Bama, który pojawiał się na każdym treningu od poniedziałku bez słowa przeprosin. Ale teraz to nie miało znaczenia. Byli tutaj, by grać w futbol.

Bam pokręcił głową.

– Wymagałoby to kolejnego tygodnia ciężkich treningów, a mecz już jutro. Zwołaj ich, pozwól im odpocząć. I tak są zmęczeni.

Seb dmuchnął w gwizdek, czując, jak pali go w środku. Chłopaki ściągnęli kaski i podbiegli do niego, gdy podszedł do linii.

– Siadajcie.

Większość zawodników po prostu padła na trawę tak, jak stała. I to by było na tyle, jeśli chodzi o dyscyplinę. Seb widział dzisiaj, jak drużyna Knighta zbiera się w kółku na modlitwę.

Jemu nawet modlitwa nie pomoże, chociaż po prawdzie nie szukał pomocy u Boga – nie sądził, że może jej potrzebować.

Cisnął notatnik na murawę, oparł ręce na biodrach. Bam i DJ przysunęli się bliżej, utkwili w nim oczy. Dawny rozgrywający musiał porwać drużynę.

Tyle że Seb nigdy nie musiał porywać swojej drużyny. Nie z trenerem Presleyem u steru. Trener zawsze wiedział, co powiedzieć, jak ich zachęcić, na co położyć nacisk. I gdyby to była drużyna Presleya, dzisiejszego wieczoru zebraliby się w ogródku trenera na grillu.

Słońce wisiało nisko, a wieczór wyciągał swoje czarne palce w stronę boiska. Roje komarów krążyły nad głowami zawodników, którzy nie mieli już siły, by się od nich opędzać. Słychać było cykanie świerszczy, a czoła owiewała leniwa bryza.

Zostaną zmasakrowani.

I mogą za to obwiniać jedynie trenera Brewstera i jego dni pełne chwały.

Seb ściągnął czapkę z daszkiem i przejechał dłonią po włosach. Westchnął.

– Chłopcy, jestem wam winien przeprosiny.

Oczy Bama zwięzły się, DJ wbił wzrok w murawę.

– Zawiodłem was. Przez te dwa tygodnie nie nauczyłem was tego, co powinniście wiedzieć.

Wpatrywały się w niego oczy pełne nieufności, gniewu.

– Nauczyłem was paru fajnych zagrywek, ale bez wiedzy o tym, jak szarżować, jak trzymać piłkę albo nawet jak blokować, dobra zagrywka nie ma znaczenia. Podstawy mają znaczenie. Nie blichtr.

Bam pokręcił głową i odwrócił się do niego tyłem. DJ założył ręce na piersi.

– Powodem, dla którego wygraliśmy mistrzostwa, nie były magiczne zagrywki trenera Presleya. Wygraliśmy, bo trener kazał nam ciężko ćwiczyć, dopóki nie nauczyliśmy się dobrze grać w futbol. Pokazał nam, jak zostać ludźmi, którzy się nie poddają, stworzonymi dla innych, dla drużyny.

Patrzył na chłopców. Kilku z nich świdrowało go spojrzeniem. Inni unikali jego wzroku, jakby zawstydzeni.

Powinien był pójść po ten podręcznik, jak radził mu trener. Przejść się do Issy i poprosić o niego. Ale co takiego znalazłby w nim, czego już nie wiedział?

– Czyli mówisz, że przegramy? – zapytał Michaels. Rozgrywający z drugiej klasy liceum, szczupły blondyn, śliski jak piskorz i o rzucie, który przy dobrym blokowaniu mógł sięgnąć pola punktowego. Chłopak miał pusty wyraz twarzy.

Tak. Seb patrzył na swoich zawodników... zasługiwali na trenera, który w nich wierzył.

I w którego oni mogli wierzyć. Takiego jak Caleb Knight, który wiedział, co to znaczy być człowiekiem honoru i jak nie pozwolić, by przeszłość zdominowała teraźniejszość.

Wczoraj dał Lucy szansę, by opowiedziała mu o swojej przeszłości, ale ona jej nie wykorzystała. Dlaczego tak go męczyły słowa Bama? Może i spotykała się – okej, spała – z innymi facetami. Ale on też nie był przykładem cnoty po tym, jak wyjechał z Deep Haven.

Bam przyglądał mu się, unosząc brwi.

Seb musiał coś zrobić.

– Nie mówię, że przegramy. Ale może... może ta wygrana nie ma znaczenia. Może po prostu wyjdziemy tam, będziemy się dobrze bawić i zobaczymy, co da się zrobić. Pracowaliśmy ciężko i jesteśmy sobie oraz naszym przeciwnikom winni dobrą walkę. I to im właśnie damy. Będziemy grać twardo, uderzać twardo. Pamiętajcie, że gracie o swoje pozycje w drużynie tego, kto zostanie trenerem. A więc wyjdźcie na boisko i dajcie z siebie wszystko.

Paru chłopaków mu przytaknęło, jednakże Seb nie triumfował.

Miał ochotę po prostu uciec z boiska, nie oglądając się za siebie.

– Idźcie do domu i wypocznijcie. Jutro o trzeciej rozgrzewka.

Chłopcy jakoś zwlekli się z boiska.

Bam podszedł do Seba.

– Co to w ogóle za gadka? Dobrze się bawić? To nie jest futbol flagowy, Seb. Jesteśmy tutaj, by wygrać. Chcesz, żeby Knight dostał twoją robotę?

Może.

– Knight to dobry trener. Drużyna miałaby szczęście, gdyby go dostali.

– On tu nie pasuje. Ty tak. Ty jesteś trenerem, którego potrzebujemy.

Seb podniósł notatnik z ziemi.

– Masz jakieś informacje od zarządu w sprawie pożyczki Lucy? Umówiliśmy się już z ekipą Gary’ego na sobotę...

– Zarząd odrzucił wniosek.

Seb spojrział na niego.

– Co? Dlaczego?

Bam odetchnął głęboko.

– Lucy zalega ze spłatą trzy miesiące, Seb. Nic na to nie poradzę.

– Widziałeś biznesplan. Zarobi te pieniądze, a nawet więcej.

– W jej przypadku właściciel nieruchomości ma prawo przejąć budynek, jeśli wynajmujący nie wywiązuje się z zobowiązań finansowych.

– Pozwól mi z nim porozmawiać. Kto to jest? Wyjaśnię mu...

– To ja, Seb. – Bam spojrział mu w oczy.

Seb zamrugał, nie mając pewności, jak powinien rozumieć te słowa.

– To... Co masz na myśli, mówiąc, że to ty?

– Moja rodzina była kiedyś właścicielem posesji, w której znajdują się Najlepsze Pączki. Chcą ją z powrotem.

– Robisz to tylko dlatego, że poczułeś możliwość zarobku. Nie możesz otworzyć sklepu z pączkami. Nie masz pojęcia o robieniu pączków.

– Ale Java Cup ma. I zatrudnię ich, żeby przychodzili i robili pączki. Ludzi nie obchodzi jakaś sekretna receptura. Chcą po prostu mieć pączka do kawy. I owszem, twój biznesplan pozwolił nam dostrzec potencjał tego miejsca. To nie nasza wina, że Lucy przestała płacić.

– Nigdy nie zamierzałeś udzielić Lucy tej pożyczki, prawda?

Bam schylił się i podniósł piłkę.

– Daj sobie z nią spokój Seb. Wszyscy inni już to zrobili.

Seb nie wiedział nawet, że wypuścił z rąk notatnik, dopóki ten nie upadł mu na stopę; ale w tej chwili Seba to nie obchodziło. Rzucił się na Bama, obalił go na ziemię z takim impetem, że mężczyźni nie zadzwoniły zęby, i przydusił go. Uniósł pięść i popełnił pierwszy z wielu fauli osobistych.

Trening miał nieoczekiwany finał: cała drużyna była świadkiem tego, jak rozgrywający Deep Haven Huskies spuszcza bęcki obrońcy.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o ducha współpracy.

Issy wspominała czwartkowe grille w przydomowym ogrodzie. Właśnie smażyła na drewnie orzesznika hamburgery i hot dogi, a nastoletni chłopcy przerzucali się przechwałkami i plotkami na tarasie. Kilku innych rzucało sobie piłkę.

– Uważajcie na moje hortensje!

– Żaden problem, pani P.!

Caleb, w białym fartuchu i różowych kuchennych rękawicach, serwował burgery przy grillu.

Tak bardzo przypominał jej ojca po czwartkowym treningu. Uśmiechnięty, pewny siebie, godny zaufania.

Wzbudzający poczucie bezpieczeństwa.

– Czy to już twój trzeci, Jackson? – Zapamiętała ich imiona, gdy Caleb ich przedstawiał, głównie dzięki ich pozycjom. – Może i masz szarżować, ale nie musisz wyglądać jak człowieczek Michelina.

Pryszczaty blondyn był chudy jak szczapa.

– Trzymam jeszcze miejsce na ciasteczka, pani P.!

Caleb uśmiechnął się szeroko, gdy podeszła do niego, zakończywszy rundkę z napojami.

– Ta sałatka ziemniaczana to ósmy cud świata. – Papierowy talerz Caleba, wylizany do czysta, leżał na poręczy.

– To sekretny przepis mojej mamy. Zawsze podawała ją na grilla.

– Nic dziwnego, że Huskies zawsze wygrywali. – Puścił do niej oko.

Tak, zdecydowanie mogłaby się do tego przyzwyczaić.

To wszystko było niemal jak wyprawa na mecz. Ta myśl przez chwilę kołatała Issy po głowie, a dziewczyna czekała na pierwsze oznaki paniki. Nic.

– Przyniosę ciasteczka.

– Issy, ci chłopcy muszą być w stanie jutro biegać.

– Deser to też sekretny przepis mojej mamy.

– No to dawaj.

Otworzyła tylne drzwi, w których nadal brakowało szyby, i nieomal potknęła się o Duncana rozciągniętego na środku kuchennej podłogi. Rozgrywający drużyny siedział przy nim, głaszcząc go po głowie i czytając...

– To poradnik mojego taty.

Ryan, tak się chyba nazywał, spojrzał na nią.

– Serio? Ma fajne zagrywki.

– Wygrał z nimi trzy mistrzostwa stanowe.

Ryan skinął głową. Wrócił do czytania.

Lucy stała przy zlewie, przygotowując nową wazę ponczu. Mieszając napój, co rusz wyglądała za okno.

– Myślę, że już jest gotowy – powiedziała Issy, obejmując przyjaciółkę ramieniem. Lucy miała minę, jakby ktoś spalił jej dom. Była wycofana. Pusta w środku. – Poradzisz sobie jakoś?

– Straciłam sklep moich rodziców. Sklep, który był w mojej rodzinie od trzech pokoleń. Jak mogłam do tego dopuścić?

– Nie sądzę, by to była tylko twoja wina...

– Masz rację, Issy. – Lucy obróciła się do niej, a w oczach miała jakąś dzikość, coś nierozpoznawalnego. – Żadnych graczy w futbol. Numer trzy. Powinnam była słuchać ciebie i twojej listy. Panienska Niemądre Serce wie najlepiej.

– Cii...

Lucy otworzyła usta, po czym zasłoniła je dłonią.

– Przepraszam.

– Ani słowa o programie! – wyszeptała gorączkowo Issy. – Nie jesteśmy tu same. – Spojrzała na Ryana, który wciąż przeglądał podręcznik. Może pewnego dnia będzie dość silna, by rozstać się z nim, oddać go do szkoły. Jeśli ojciec się na to zgodzi, oczywiście. Teraz mogła niemal usłyszeć jego głos w głowie, gdy czytał o zagrywkach, widziała go na linii bocznej. Nie, zdecydowanie nie była jeszcze gotowa, by rozstać się z książką.

– Przepraszam. Po prostu... Byłam taka głupia. A już myślałam... – Lucy znów otworzyła usta. Jej myśli krążyły wokół zmywy. – A co, jeśli Bam mnie podpuścił? Wysłał Seba na przeszpiegi? Jeśli specjalnie rozbudził moje nadzieje, by zobaczyć, jak się załamuję? Bam ma powody, dla których mnie nie znosi. I na pewno powiedział o nich Sebowi.

– Jakie powody?

Lucy pokręciła głową.

– O czym ty mówisz, Lucy?

– A jeśli to wszystko było z zemsty? – W jej głosie wyczuwało się napięcie. Lucy zamknęła oczy. Miała zbolałą twarz. – Bam się zemścił. A Seb mu w tym pomógł. Wiedziałam, że nigdy tak naprawdę mu na mnie nie zależało. To wszystko to był dla niego tylko żart.

Issy ujęła jej dłonie.

– Zemsta? Ale za co?

– Wszystko w porządku? – Caleb wszedł do środka. Wyglądał naprawdę uroczo w tych różowych rękawiczkach kuchennych. – Mam na zewnątrz kilku chłopaków, którzy są gotowi was rozdzielić.

– Nie gniewamy się na siebie – powiedziała Issy przez ramię. – Nigdy.

Caleb zbliżył się do zlewozmywaka, by wyjąć z niego wazę z ponczem. Lucy przesunęła się, by zrobić mu miejsce.

– Jesteś pewna?

– Cześć wszystkim! Są jakieś naleśniki?

Głos dobiegł z korytarza. Lucy zamarła.

Issy obejrzała się, nie będąc pewna, czy powinna się uśmiechnąć, czy nie. Spojrzała na przyjaciółkę, która odwróciła twarz.

– Seb Brewster. Nareszcie.

Czas się cofnął, gdy Seb wszedł do kuchni. Mężczyzna miał szersze niż kiedyś ramiona, chociaż wciąż wyglądał jak rozgrywający, i nawet siniaki, jakie zwykle dało się zaobserwować w sobotni poranek po meczu. Widać było, że on też ciężko pracował ze swoją drużyną, chociaż zarobił przy tym cios w podbródek.

Seb zawsze obdarzał ją nieśmiałym uśmiechem; zwłaszcza gdy pojawiał się w sobotę rano i jadł naleśniki przy ich stole. Teraz także się uśmiechnął.

– Hej, Issy.

Pozwoliła mu się przytulić.

Gdy zrobiła krok w tył, spojrzała na dwoje ludzi, którzy im się przypatrywali. Caleb stał z wagą w dłoniach; Lucy miała wzrok, jakby chciała kogoś w niej utopić.

– To Caleb Knight. Nowy trener... albo, hm...

– Nie, pewnie masz rację. – Seb wyciągnął do niego dłoń. – Cześć, Caleb.

Caleb odstawił napój na blat i uściskał mu rękę.

– Miło mi cię poznać, Seb. Masz dobrą drużynę.

– Ty też.

– Będą świetni, gdy wyślemy ich razem na boisko – ocenił Caleb.

– Jutrzejszy mecz będzie dobry...

– Właściwie chodziło mi o to, co stanie się później, gdy będziemy mogli zobaczyć, jak pracują razem. Wiem, że Ryan nie może się już doczekać, by zagrać ze swoim kumplem Samsonem. Prawda, Ryan?

Ryan spojrzał na Caleba, ale nie uśmiechnął się. Gdy Seb wszedł do pokoju, chłopak wstał i zwrócił się do niego. Teraz wyciągnął dłoń.

– Jestem Jared Ryan, rozgrywający. Wspaniale móc cię poznać, trenerze.

Seb spojrzał szybko na Caleba, ale uściskał dłoń chłopaka.

– Ciebie także. Widziałem cię na boisku. Dobrze sobie radzisz. Nie mogę się doczekać, by zobaczyć cię w akcji w tym roku.

– Mam nadzieję, że będę mógł grać dla ciebie, trenerze. Obejrzałem każdą taśmę z meczami sezonu mistrzowskiego. Nawet słuchałem ich w radiu.

– Dzięki. Ale nie ma znaczenia, dla kogo grasz. Ważne, jak to robisz. Jutro daj z siebie wszystko.

Ryan zacisnął usta.

– Hej, czy to podręcznik trenera? – Seb sięgnął po książkę, którą Ryan trzymał w dłoni. – Wow, to prawdziwa podróż sentymentalna.

– Pamiętam, jak siedziałeś przy stole i czytałeś sobie o niektórych z nich – wtrąciła Issy.

– Spójrz na tę. Doktor. Wspaniała zagrywka. Udajesz, że chcesz biec, a tak naprawdę podajesz piłkę.

– Znam ją. Doc Dorman, który był głównym trenerem Upper Iowa University, użył jej w meczu jako pierwszy. – Caleb przysunął się do Seba. Miał w głosie tyle werwy, że Issy niemal widziała, jak sam stosuje ją na boisku.

– Użyliśmy jej raz. Wspaniała zagrywka. – Seb spojrzał na Caleba i Issy ujrzała w nim starego Seba. Przez moment mogła też zobaczyć Caleba otoczonego licealistami albo gimnazjalistami, którzy słuchali, jak zagrzewa ich do walki przed meczem. Pochylałby się tak jak teraz, jego głos byłby cichy, pełen podekscytowania...

Mogła się związać z tym mężczyzną. Ta myśl pojawiła się nagle i wysączyła Issy powietrze z płuc. Mogła związać się z tym mężczyzną, bo zabrał ją do miejsca, w którym była już wcześniej i... mógł zabrać do miejsca, do którego chciała pójść.

Bezpiecznego miejsca.

– A więc jeśli jutro użyjesz tej zagrywki, będę przygotowany – powiedział Caleb do Seba.

– Mam pod ręką jeszcze kilka innych – odparł Seb, ale w jego głosie nie było arogancji, którą miał w młodości. Spojrzał na Lucy, która splotła ręce na piersi, i zamknął podręcznik.

– Możemy porozmawiać?

Lucy podniosła gwałtownie wazę z ponczem, oblewając sobie przy tym koszulkę.

– Pewnie, mów, jeśli masz ochotę. To i tak wszystko kłamstwa. Nie wiem, dlaczego w ogóle kiedykolwiek ci wierzyłam.

– Lucy...

– Dość. Nawet nie zaczynaj. Nigdy nie powinnam była wpuścić cię na nowo do mojego życia. Powtarzałeś, jak bardzo ci mnie brakowało, że przez te osiem lat myślałeś tylko o mnie. Tak, na pewno myślałeś o mnie.

– Myślałem. – Sebowi drgnęła szczeka. Wciąż ścisnął w palcach poradnik. – Tak samo jak ty myślałaś o mnie.

Issy zmarszczyła brwi na dźwięk tonu w jego głosie.

– Chcesz mi powiedzieć, Lucy, jak bardzo ci mnie brakowało?

Lucy aż otworzyła usta.

– Wiedziałam. Jestem skończoną idiotką. Powinnam była się domyślić, że wystawiasz mnie do wiatru.

– Zaraz, chwila...

– Masz takie monstrualne ego. No ale to oczywiste, w końcu jesteś Sebanatorem. Przyzwyczaiłeś się, że machasz tym swoim ego na prawo i lewo, nie przejmując się w ogóle tym, że po drodze możesz kogoś stratować, zniszczyć. – Lucy z impetem odstawiła poncz na blat, złapała szmatkę i zaczęła wycierać ochlapaną koszulkę. – Co, myślałeś, że nigdy się z ciebie nie wyleczę? Że byłeś taki cudowny, że nie będę mogła bez ciebie żyć?

Seb drgnął, jakby jej słowa naprawdę go zaboląły. Zrolował podręcznik.

– Myślę, że radziłaś sobie beze mnie całkiem dobrze.

Lucy natarła na niego.

– I masz rację. Zostałam tutaj, prowadziłam sklep... umawiałam się z innymi facetami. Jestem pewna, że doskonale już o tym wiesz. Przecież właśnie o tym lubicie rozmawiać, wy tępe osiłki. Pewnie wypaplałeś o nas całej szatni. Mogę się założyć, że Bam aż się palił, by zrobić to samo.

Seb nabrał powietrza i pokręcił głową.

– Nigdy nikomu nie zdradziłem tego, co się między nami wydarzyło. I nie obchodzi mnie, co powiedział Bam. Mówiłem ci, że chcę, żebyśmy zaczęli od nowa.

Oboje patrzyli na siebie z taką intensywnością, że Issy miała ochotę uciec. O czym oni mówili?

– Przepraszam, Lucy. Przepraszam, że cię zraniłem. Przepraszam za... za wszystko.

Lucy odwróciła wzrok.

– Jak już mówiłam, to nic takiego – odparła dziwnym głosem.

Seb rozwinął podręcznik, który miał teraz pozaginane rogi.

Lucy starła z blatu czerwoną plamę po napoju.

– Myślałam, że już mi na tobie nie zależy. Myślałam, że udało mi się o tobie zapomnieć. Ale prawda jest taka, że oddałam ci całą siebie, Seb. Oddałam ci wszystko, co miałam... a ty wyrzuciłeś to do śmieci. Wyrzuciłeś mnie.

Seb drgnął.

– Lucy, nie miałem pojęcia, że Bam odbierze ci sklep. Gdybym wiedział, nigdy nie pokazałbym mu biznesplanu. Ale wiedzielaś, co chcę zrobić. Taki był w końcu cel. Chcieliśmy pokazać, że sklep może przynieść zyski.

– Nie, twoim celem było udowodnić, że wciąż jesteś gwiazdą, że nie możemy bez ciebie żyć. Ale

wiesz co? – Odwróciła się do niego tyłem, wyzymając ścierkę. – Wynoś się, Seb. – Znów stała z nim twarzą w twarz. – Wynoś się z tego domu. Wynoś się z mojego życia. Dziękuję, że wróciłeś i zniszczyłeś mnie na nowo. Jestem idiotką, że kiedykolwiek ci zaufałam.

Issy zrobiło się nawet żal Seba, gdy zobaczyła jego zrozpaczoną minę.

– Naprawdę tego chcesz? – spytał.

– Tak – odparła szybko, ostro. To było jak pchnięcie sztyletem. Odkręciła wodę i wypłukała ścierkę do naczyń.

Seb patrzył na nią, oddychając nerwowo. Wreszcie rzucił podręcznik na blat.

– Tak, zdecydowanie możesz żyć beze mnie. Przepraszam, że wróciłem do Deep Haven.

Spojrzał na Issy, a potem na Caleba.

– Powodzenia jutro.

Caleb skinął głową. Issy zauważyła, że zrobił krok w kierunku Lucy. Zwróciła się do przyjaciółki.

– Lucy?

– Idę do domu.

Issy chciała ją zatrzymać, ale Lucy zgarnęła całą pocztę i wrzuciła ją do torby.

– Proszę, pozwól mi po prostu iść do domu.

Caleb wyszedł do ogródka i ryknął do chłopców, by zaczęli sprzątać.

– Tutaj nie chodzi o sklep z pączkami, prawda, Lucy?

Przyjaciółka uniosła dłoń.

– Nie chcę, żebyś przegapiła swój program. – Coś w jej twarzy wydawało się Issy boleśnie znajome.

– Nie przegapię. Elliot ułożył na dzisiaj powtórkę najlepszych fragmentów programu. – Wyciągnęła rękę do Lucy, ale ta cofnęła się. – Lucy, jestem tutaj, jeśli mnie potrzebujesz.

Lucy obróciła się i wyszła. Issy patrzyła, jak biegnie przez ogródek, a torba obija się jej o nogę.

Powinna za nią pójść.

Może nadszedł czas, by Panienska Niemądre Serce zaczęła się wybierać z wizytą.

siedemnaście

– Nie idź za nią.

Caleb patrzył, jak Lucy ucieka przez ogródek Issy. Ogromnie jej współczuł. Wiedział, jak to jest, gdy ktoś złamie ci serce. Ale wyraz twarzy Seba, gdy Lucy go zaatakowała, powiedział mu, że być może dziewczyna nie poznała całej historii.

Tak czy siak, ona i Seb musieli to jakoś rozwiązać. Bez pomocy Panienci Niemądre Serce. Nie to, żeby Issy nie potrafiła dawać dobrych rad, ale przy pechu Lucy mogłoby się okazać, że Issy wymieniłaby jej wszystkie wady Seba i chłopak skończyłby jako minus trzy.

Caleb wolał nawet nie myśleć, jakim numerem mógłby sam się okazać. Gdy Issy na jego słowa zmarszczyła brwi, dodał:

– Potrzebuje побыć sama.

– To moja najlepsza przyjaciółka. I cierpi. Nie znasz ich historii. Lucy chodziła z Sebem w liceum, ale on złamał jej serce, gdy nakryła go obściskującego się z Bree Sanders.

– Zdaje mi się, że ona też złamała mu serce.

– No chyba nie. W końcu po tym, jak zerwali, jakoś udało mu się wygrać mistrzostwa stanowe, prawda? – Chciała pójść na ganek, ale Caleb zagroził jej drogę. – Serio? Będziesz mnie blokował?

– Po prostu... wysłuchaj mnie. Pozwól im, żeby sami jakoś to rozpracowali. Nie potrzebują twoich rad. To coś prawdziwego, Issy, a nie... rozrywka.

Patrzyła na niego, mrugając oczami. Skrzywił się. Nie chciał powiedzieć jej o tym w ten sposób. Wokół niego chłopaki zaczęli zbierać śmieci z trawnika. Wolałby raczej wybrać inny moment, by ujawnić jej, że jest ChłopakiemZSąsiedztwa i że nakłonił ją do tej kolacji szwindlem.

– Co masz na myśli, mówiąc, że to nie rozrywka? – Odsunęła się od niego o krok, a on ściszył głos.

– Issy, proszę. Porozmawiamy o tym później.

– O czym porozmawiamy później? – Dotarła już do drzwi. Ścisnęła klamkę tak mocno, że jej kłykcie zbieleły.

– Muszę odwieźć kilku chłopaków do domu, ale przyjdę później, pomogę ci sprzątać.

– O co ci chodziło, Caleb? – Jej głos był ostry jak brzytwa i mężczyzna przypomniał sobie grymas na twarzy Seba.

Westchnął.

– Mówię tylko, że nie musisz zawsze rozwiązywać problemów innych osób.

– Ja nie... Słuchaj, nie wiesz nic o Sebie ani o Lucy, ani o tym, czego potrzebują. Co to znaczy, że nie musisz rozwiązywać problemów innych ludzi? Nawet mnie nie znasz.

Zbliżył się do niej.

– Znam cię lepiej, niż myślisz. A ty znasz mnie.

– Wcale cię nie znam.

– Tak się składa, że znamy się bardzo dobrze.

Przekroczyła już próg domu. Zamknęła oczy i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Zgarnął chłopaków tak szybko, jak się dało, i odwiózł ich do domów.

McCormick był ostatni do podwózki. Biegacz żył w domu z wyrośniętym jałowcem przy schodach, który jak dywan ścielił się na stopniach. Przy drzwiach migotało blade światło.

Chłopak zawahał się przez moment, nim otworzył drzwi.

– Wszystko w porządku, McCormick?

McCormick przez chwilę gapił się na lampę, po czym wreszcie skinął głową.

– Powiedziałbyś mi... gdyby coś nie grało w domu... prawda?

Chłopiec spojrzał na Caleba, usiłując się uśmiechnąć. Caleb aż za dobrze pamiętał chłopaków we własnej drużynie, którzy grali tylko po to, by uciec od rzeczywistości.

– Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował pogadać, pamiętaj, że jestem.

– Dzięki, trenerze. – McCormick wysiadł z auta. – Świetny grill.

– Odpocznij trochę.

Caleb czekał, aż chłopak wejdzie do środka, po czym ruszył. Mijając dom pastora Dana, poczuł wdzięczność za to, że pastor zechciał dochować jego tajemnicy, przynajmniej aż do meczu.

Wystarczy ci Mojej łaski. Moc bowiem w słabości się doskonali.

Zacisnął dłonie na kierownicy.

Tak bardzo nienawidził swojej słabości. Nie można niczego wygrać, przyznając się do swoich ograniczeń, prawda?

Przejechał obok szkoły, objechał nieoświetlone boisko i zaparkował samochód. Przyjrzał się czarnej murawie i wyobraził sobie jutrzejszy mecz. Ryan u steru, wykonujący zagrywki. Bryant dalej, pilnujący piłki. McCormick biegnący pomiędzy zawodnikami. Chłopcy znali podstawy, przynajmniej na tyle, na ile można im je było wpoić przez dwa tygodnie.

Teraz nadszedł czas na dobrą grę. Zwrócić uwagę wszystkich na Huskies.

– Wszystko rozstrzygnie się jutro, Boże. Proszę, pomóż mi Cię nie zawieść. Proszę...

Potrzeba obmycia nóg przez Jezusa, by stać się Jego apostołem. Musimy być gotowi zaakceptować Jego miłość i łaskę. I dopiero wtedy możemy odwrócić się i robić to samo dla innych.

Słowa Dana wydawały się go dzisiaj prześladować.

Caleb chciał być apostołem, naprawdę. Ale czy musiał to robić, leżąc na ziemi? Czy nie mógł stać?

Tak czy siak, nie on tutaj decydował o zagrywkach. Zamknął oczy.

– Boże, chcę wypełniać Twoją wolę, dla tych chłopców, dla tego miasteczka. Pomóż mi zaakceptować Twoją łaskę w moim życiu. – Przełknął ślinę, wziął głęboki wdech. – Jakkolwiek będziesz chciał mi ją okazać.

Księżyc schował się za chmurami. Caleb wracał do domu. Prognoza pogody na jutro przewidywała deszcz.

Caleb lubił grać w chłodne dni. Chciał, żeby Issy przyszła na mecz. Wyobrażał ją sobie na trybunach, w kurtce Huskies; jej długie włosy ściągnięte w kucyk, ciemne oczy błyszczące radośnie, gdy mu będzie kibicowała.

Właśnie, mógł ją sobie wyobrazić w swoim życiu. Widział, jak zawsze się rozpromienia, gdy on wspominał o podręczniku jej ojca. Kochała futbol. Kochała to miasteczko.

A on mógł pokochać ją.

Może tylko tyle potrzebowała usłyszeć. Musiałby po prostu wszystko jej wyjaśnić. Wcale nie miał zamiaru jej zwodzić. Czy mógł przewidzieć, że obok niego mieszka gospodyni talk show?

Zaparkował auto na swoim podjeździe i poszedł do pogrążonego w ciemności domu Issy. Nacisnął dzwonek do drzwi. Począł. Nacisnął raz jeszcze.

– No dalej, Issy!

Nic. Żadnych kroków. Nic poza światłem, które wylewało się z okna jej gabinetu. Nie zdziwił się, że uciekła do „Mojego Niemądrego Serca”.

Niech będzie. Wiedział doskonale, gdzie ją znaleźć.

Lucy patrzyła na swoje odbicie w lustrze, na przycięte włosy, nijakie orzechowe oczy, ciało, które według niej nie miało zbyt kobiecych kształtów.

Z pewnością wyglądała niewinnie.

Ale spojrzenie Seba przywołało wszystko z powrotem. Wstyd. Poczucie, że już nigdy więcej nie będzie czysta.

Dlatego właśnie wzięła gorący prysznic. To było zawsze najbezpieczniejsze miejsce, by płakać.

Wytarła włosy ręcznikiem – stały nastroszone, jakby je nażelowała – po czym zawiązała ciasniej pasek od szlafroka i wyłączyła światło w łazience.

Myślę, że radziłaś sobie beze mnie całkiem dobrze.

I masz rację. Zostałam tutaj, prowadziłam sklep... umawiałam się z innymi facetami.

Tak, spotykała się z facetami. Z dwoma, jeśli chodzi o ścisłość. No i był jeszcze Bam, którego nawet nie zaliczała w poczet partnerów, traktując tamtą sytuację z nim jako okropne zdarzenie. Płakała w jego ramionach. Z powodu Seba, oczywiście. Nic dziwnego, że dyszał żądzą zemsty.

Przy Sebie Brewsterze zawsze robiła z siebie idiotkę.

Lucy zamknęła oczy. Istniał pewien konkretny powód, dla którego tak kurczowo trzymała się sklepu z pączkami. W oczach swoich klientów widziała kobietę, którą chciała być. Słodką Lucy.

Ale przez Seba i Bama nie miała już nawet tego.

Kiedy szła korytarzem, zauważyła migające czerwone światełko na automatycznej sekretarce w pokoju.

Zatrzymała się przy drzwiach. Po chwili wahania weszła do środka i nacisnęła guzik.

– Lucy, to ja, Seb. Idę właśnie do domu Issy. Miałem nadzieję, że jeszcze cię złapię. Bam powiedział mi, że odmówił ci pożyczki. Tak strasznie mi przykro. Coś wymyślimy. Oddzwoń do mnie.

Skasowała tę wiadomość. Stała tak, widząc w wyobraźni ból w jego oczach, gdy rozbrzmiała kolejna wiadomość.

– To ja. Ja... Chciałem powiedzieć, że nie obchodzi mnie to, co zdarzyło się w przeszłości, Lucy. Wiem, że jestem winny tak wielu rzeczy i...

Tę wiadomość również skasowała.

Rety, naprawdę chciałaby mieć jeszcze trzecią. Może nie do usunięcia. Taką, która pomogłaby jej uwierzyć.

Wróciła do salonu, wzięła torbę i przeczytała jeszcze raz pismo o zajęciu nieruchomości.

Bam nie mógł tego zrobić. Nie mógł zniszczyć jednego z symboli Deep Haven.

Lucy siedziała na kanapie rodziców – pewnego dnia chciałaby zarabiać wystarczająco dużo, by

kupić własny kąt. Ale skoro jej rodzina większość czasu spędzała na Florydzie, darmowy czynsz z pewnością pomagał jej zapłacić rachunki.

Przynajmniej tę ich część, którą mogła zapłacić.

Co miałyby tak właściwie robić, kiedy zamkną jej sklep?

Pochyliła się i przejechała palcem po lampce, zapalając ją. Po pokoju rozlał się strumień światła, obejmując też brązową kanapę.

Otworzyła listonoszkę, wyciągnęła z niej stos rachunków i...

Och nie. Podręcznik trenera. Musiała zgarnąć wszystko z blatu, nie patrząc, co zabiera. Issy będzie wściekła. A może nawet tego nie zauważy, pochłonięta Calebem.

Wreszcie. Wreszcie Issy Presley znalazła mężczyznę, który mógł jej pomóc się uwolnić. Który widział w niej więcej, niż ona sama.

Lucy starała się zwalczyć piekący ból pod powiekami. Otworzyła podręcznik trenera na pierwszej stronie. Widniało tam zdanie skreślone wąskim charakterem pisma.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa [niech będzie] z duchem waszym! – List do Filipian, 4,23.

Lucy położyła głowę na oparciu kanapy. Czy ona kiedykolwiek otrzymała taką łaskę? Albo pozwoliła sobie ją otrzymać?

Przymknęła oczy, przypominając sobie rozmowę z Issy – czy to naprawdę było prawie dwa tygodnie temu? *Amerykańskie pączki mają w środku dziurkę. Czyli to znaczy, że czegoś im brakuje. Świetna metafora mojego życia.*

Czegoś brakuje. Po rozstaniu z Sebem Lucy czuła się tak, jakby ktoś oderwał kawałek jej serca. A gdy Seb kolejny raz pojawił się w jej życiu, sprawił, że znów poczuła się cała – albo przynajmniej prawie cała. Być może załatało to rany na jej sercu. Ale nie mogło wyleczyć ran na jej duszy. Ran, które pozostały po zdradzie samej siebie.

Ran, które tylko łaska mogła uleczyć.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa [niech będzie] z duchem waszym...

Jakiś głos szeptał w jej wnętrzu. Rezonujący. Mocny. Pod powiekami coś zaszczypało.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa...

Czy Lucy pozwoliła Mu na to? Pozwoliła, by łaska ją zmieniła, odnowiła? Czy mogłaby jeszcze kiedykolwiek poczuć się kompletna, skoro oddała tak wiele z samej siebie? Już kiedyś prosiła Boga o wybaczenie. Ale nigdy nie wierzyła w łaskę. Nigdy jej nie przyjęła, nie pozwoliła, by łaska ją uleczyła, zmieniła. Obmyła.

Nie, Lucy próbowała to zrobić sama.

Ukryła twarz w dłoniach.

– Boże, tak bardzo przepraszam. Nie wiem, kim jestem. Nie wiem, kim powinnam być. Jestem taka zagubiona.

Przyciągnęła kolana do piersi i oparła o nie czoło.

– Lucy?

Uniosła głowę. Seb stał tuż obok, rozkładając ręce, jakby chciał jej coś ofiarować.

Seb tutaj był?

Lucy otarła oczy dłonią.

– Sam wpuściłeś się do środka?

– Przepraszam. Pukałem, ale chyba mnie nie słyszałaś. – Przełknął głośno ślinę i opadł na kolana. – Wiem, że nie powinienem był wchodzić do środka, ale... musiałem cię zobaczyć. Tamto... To nic ta-

kiego? Nie! Oczywiście, że to było coś ważnego. Przespałem się z tobą. I wiem, że to było wbrew twoim przekonaniom. Wiem, że zrobiłaś to dla mnie, i czuję do siebie obrzydzenie, że wziąłem ten dar i go podeptałem. Manipulowałem tobą, a później cię zdradziłem. I nie mogę się z tym pogodzić. Ciągle myślę o tobie, o tym, jak mówiłaś mi, że wolałabyś poczekać, a ja i tak na ciebie naciskałem. Gdybym mógł cofnąć czas i uszanować twoje pragnienia...

Wyglądał na załamane, głos mu się urywał.

– Niedobrze mi na myśl o tym, co wydarzyło się z Bamem. Nie winię cię, chociaż sama myśl o tobie z nim pożera mnie żywcem od środka. Należy mi się za wszystko. – Zamknął oczy, zacisnął zęby. – Pewnie tak właśnie się czułaś, gdy nakryłaś mnie z Bree. Tak mi przykro.

Och, Seb. Lucy miała ochotę dotknąć jego twarzy, uleczyć rany z przeszłości.

– Gdy zobaczyłam cię z Bree, najgorsza była świadomość, że oddałam się człowiekowi, który mnie nie szanował. I wtedy nagle stałam się taka jak Bree. Spragniona kogoś, kto by mnie kochał. Ale ja taka nie byłam i nie wiedziałam, jak w ogóle znalazłam się w takiej sytuacji.

– Wszyscy jesteśmy spragnieni tego, by ktoś nas kochał, Lucy.

Lucy potarła dłonie o siebie.

– Tak, ale... – Wzięła głęboki oddech. – Przespałam się z Bamem. To był bardzo zły moment podczas Pikniku Rybackiego parę lat temu. Czułam się samotna i... – Zamknęła oczy, znów czując, jak wstyd rozlewa się po jej ciele. – Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam. Z nim.

– W porządku. Ja też nie byłem mężczyzną, którym chciałem być. Po tamtej nocy z Bree zdałem sobie sprawę, że zniszczyłem wszystko, co było między nami, i zniechęciłem się za to. Nie wiem, dlaczego w ogóle to zrobiłem. Nie myślałem. Pozwoliłem jej, by sprawiła, że czułem się królem świata. Oczywiście, dopóki wszystko się nie skończyło. Dopóki nie zobaczyłem twojej twarzy. Myślałem, że jeśli wygram mistrzostwa stanowe, będę bohaterem, ale widząc, jak ludzie mi kibicują, i wiedząc, jakim jestem człowiekiem... to jedynie sprawiało, że czułem się jeszcze gorzej. A więc zostawiłem Deep Haven, z nadzieją, że jeśli wyjadę, to stanę się kimś. A potem odniosłem kontuzję i rzuciłem futbol. Wtedy pomyślałem, że jeśli zdobędę dyplom, jeśli odniosę sukces... ale oczywiście tego też nie potrafiłem zrobić. A więc stwierdziłem, że wrócę tutaj i będę starał się o posadę trenera. Ale zrozumiałem, że chciałem po prostu znów czuć się dobrze we własnej skórze. Nie chcę być człowiekiem zdradzającym tych, których kocha. I Kocham cię... Kocham cię, Lucy. Zawsze cię kochałem. Tyle że byłem przy tym skończonym głupcem.

Lucy zasłoniła dłonią usta i skinęła głową. Po policzku spłynęły jej łzy.

– Po tym, co wydarzyło się z Bamem, starałam się wierzyć, że jeśli... będę dobrym człowiekiem, to może Bóg naprawi wszystko, co było we mnie zepsute. A później, po wypadku Presleyów, pomyślałam sobie: *Hej, pomogę Issy. Będę dla niej całym światem.* I to działało, dopóki... dopóki nie wróciłaś.

– Dopóki znów cię nie zdradziłem. A przynajmniej myślałaś, że to zrobiłem.

– Wiem, że mnie nie zdradziłaś, Seb. Bam to zrobił. Sama to zrobiłam. Po prostu byłam tak bardzo spragniona miłości. Ale... już nie byłam słodką Lucy.

Jego głos stał się twardszy. Seb miał czerwone oczy.

– Dla mnie zawsze będziesz słodką Lucy.

– Ale czy będę słodką Lucy w oczach Boga?

Seb nie był pewien, jak znalazł się w salonie Lucy. Siedział w samochodzie, czując pieczenie w klatce piersiowej, a potem nagle znalazł się pod jej domem. Stał tak beczynnie na podjeździe przez niemal godzinę, zbierając się na odwagę. Słyszał w głowie jej słowa.

Wynoś się z tego domu. Wynoś się z mojego życia. Dziękuję, że wróciłeś i zniszczyłeś mnie na nowo. Jestem idiotką, że kiedykolwiek ci zaufałam.

Patrząc na nią w kuchni Issy, Seb wiedział, że jej ból nie ma nic wspólnego ze sklepem z pączkami. Strach, że może go stracić, pomógł tylko prawdzie wypłynąć na wierzch.

A Sebowi, zamiast pomóc, udało się jedynie wzburzyć złe wspomnienia.

Widok Lucy skulonej na kanapie prawie go zniszczył. Teraz jej pytanie przeszywało go na wskroś:
Ale czy będę słodką Lucy w oczach Boga?

– Ja... nie wiem, Lucy. Wiem, że nie mogę ci zwrócić tego, co zabrałem. Ale chciałbym ci udowodnić, że potrafię cię szanować.

Lucy przełknęła ślinę, ale skinęła głową.

Zamknął oczy.

– O co chodzi? – spytała.

Otworzył oczy i potrząsnął głową.

– Nie wiem. A co, jeśli zmienię się w swojego ojca? Znów cię skrzywdzę? Co, jeśli nie wiem, jak to jest być tym mężczyzną?

Odchyliła się, sięgnęła po notatnik i podała ją Sebowi.

– Podręcznik trenera?

– Wzięłam go niechcący z domu Issy. Otwórz.

Seb nabrał powietrza w płuca, po czym otworzył zeszyt na środku.

Zagrywki, a na marginesach wersety z Biblii zapisane ręką trenera.

List do Filipian 3,13-14: Bracia, ja nie sądzę o sobie samym, że już zdobyłem, ale to jedno [czynię]: zapominając o tym, co za mną, a wytyżając siły ku temu, co przede mną, pędzę ku wyznaczonej mecie, ku nagrodzie, do jakiej Bóg wzywa w górę w Chrystusie Jezusie.

Lucy przeczytała go razem z nim, po czym uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

Seb przewrócił stronę. Zagrywka Bronco. Pamiętał, jak ją wykonywał, ale nie wiedział, że dołączono do niej cytat. Księga Ezechiela 36,25-26: *pokropię was czystą wodą, abyście się stali czystymi, i oczyszczę was od wszelkiej zmyzy i od wszystkich waszych bożków. I dam wam serce nowe i ducha nowego tchnę do waszego wnętrza, odbiorę wam serce kamienne, a dam wam serce z ciała.*

Znów przewrócił stronę i znalazł następną zagrywkę z innym fragmentem Biblii. List do Efezjan 2,8-9: *Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę. A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga: nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił. Jesteśmy bowiem Jego dziełem, stworzeni w Chrystusie Jezusie dla dobrych czynów, które Bóg z góry przygotował, abyśmy je pełnili.*

Cokolwiek Bóg dla niego przygotował, Seb to wszystko zniszczył.

Lucy wzięła od niego zeszyt i wróciła do okładki.

– Ten, Seb. Przeczytaj ten.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa [niech będzie] z duchem waszym.

Miała na twarzy łagodny uśmiech.

– Może właśnie tego jesteśmy spragnieni. To dlatego powiedziałam ci „tak”; dlatego „tak” powiedziała ci Bree; dlatego tak intensywnie szukaliśmy jej u innych. Potrzeba nam łaski. Bezinteresownej miłości, pomimo naszych ran i błędów.

Ujęła jego dłoń.

– Myślę, że Bóg naprawdę cię tutaj przyprowadził, Seb. Ty myślałeś, że zrobił to dla ciebie, a ja myślałam, że dla mnie. Ale to chyba było dla nas obojga. Myślę, że Bóg chciał, abyśmy dostali drugą szansę. Żebyśmy otrzymali Jego łaskę. Już dawno zaplanował dla nas dobre rzeczy, ale my je zaprzepaściliśmy. A teraz daje nam kolejną okazję.

Seb spojrział na jej dłoń, a potem w jej słodkie oczy.

– A więc możemy zrobić te dobre rzeczy?

– Jak być trenerem?

– Albo pączkową dziewczyną?

Lucy uśmiechnęła się.

– Co powiesz na „po prostu twoją dziewczyną”?

Lucy. Coś ścisnęło go za gardło.

– Tak. Proszę, bądź moją dziewczyną.

A gdy ją pocałował, naprawdę miał wrażenie, jakby całował ją pierwszy raz.

osiemnaście

Tak się składa, że znamy się bardzo dobrze.

Issy chciała wymazać z pamięci słowa Caleba, ale zagnieździły się tam na dobre, pomimo że dziewczyna starała się skupić na swoich słuchaczach.

– PółnocneSerce, jesteś na linii.

– Dziękuję, że przyjąłeś mój telefon, Panienko Niemądre Serce. Od miesiąca chodzę z... cóż, na tę chwilę na pewno z ósemką, ale być może będzie kiedyś dziesiątką... Czy to zbyt wcześnie, by wiedzieć na pewno, że go kocham?

– Standarową odpowiedzią Paniunki Niemądre Serce zawsze była zasada trzech miesięcy, ale czasami... tak, czasami możesz wiedzieć, czy kogoś kochasz, znacznie wcześniej.

– Jak?

Jak? Czy to sposób, w jaki sprawiał, że się czułaś? Sposób, w jaki widziałaś siebie w jego oczach? Jak wyobrażałaś go sobie w swojej przyszłości, gdy serwuje hamburgery. Może pewno dnia wybierze się razem na mecz?

Do momentu, gdy usłyszała tajemnicze słowa Caleba, czuła w sobie zbierającą się odwagę. Z Calebem na linii bocznej mogłaby zgubić się w tłumie i znów stać się częścią świata.

Na forum już zaczęły pojawiać się odpowiedzi.

Czy to dziesiątka?

Nie chodziliście ze sobą przez trzy miesiące!

Czy podziela twoje wartości?

Wszystkie jej zasady, jej papierki lakmusowe – żadna z nich nie zawierała najważniejszej rzeczy, słów, które pochodziły z jej wnętrza i wydawały się naturalne. Pełne.

– Pozwala ci uwolnić się od rzeczy, które cię wiążą. I pozwala ci stać się osobą, którą chcesz być.

Cisza po drugiej stronie linii. Ups.

– Chodziło mi oczywiście o to, że... Wszyscy zmagamy się z rzeczami, których się obawiamy, prawda? Może kiedy kogoś kochamy, to ta osoba potrafi nam pokazać, że nie musimy żyć w strachu. Może trzyma cię za rękę. Może pomaga ci w sobie uwierzyć. Czy twój wybranek sprawia, że wierzysz, iż możesz stać się osobą, którą chcesz być?

– Wydaje mi się, że tak. – PółnocneSerce westchnęła. Issy ją rozumiała. – Wiem, że tak. Dziękuję, Panienko Niemądre Serce. Naprawdę mi pomogłaś.

Nie, PółnocneSerce, to ty pomogłaś mi.

Włączyła reklamy i spojrzała na okno Caleba. Było ciemne. Może Caleb nie wrócił jeszcze do domu.

Tak się składa, że znamy się bardzo dobrze.

Może chodziło mu o rozmowę, którą odbył z jej ojcem. Tylko co takiego powiedział mu jej ojciec?

Jeśli zobaczy u niego światło po programie, ośmieli się tam pójść i...

W kolejce dzwoniących pojawił się ChłopakZSąsiedztwa.

Uśmiechnęła się.

– Witajcie z powrotem, spragnieni miłości. Czas na kolejną osobę. Witaj, ChłopakuZSąsiedztwa.

Jak się czujesz dzisiaj wieczorem?

– Jestem... zdezorientowany. I sfrustrowany.

– Och. W czym w takim razie mogę ci pomóc?

– Chcę się dowiedzieć, czy darzysz mnie uczuciem. Czy kiedykolwiek wpuścisz mnie do siebie.

– Nie jestem pewna, czy rozumiem. Mam cię wpuścić? – Otworzyła okienko chaty i poprosiła o prywatną rozmowę, ale ją zignorował.

– Pozwól więc, że nieco rozjaśnię sytuację. – Jego westchnięcie nie dawało jej spokoju. – Wszyscy lubią spaghetti, prawda?

– Tak się składa, że tak, wszyscy lubią spaghetti.

– A może mam pomóc jej w ogródku?

– Um...

– Na przykład naprawić jej płot?

Zamarła. Nie przypominała sobie, by wspominała cokolwiek o płocie.

– To miła rzecz, którą można dla kogoś zrobić.

– A co powiesz na: *Spraw, by miała na co patrzeć?*... jak na przykład ogoloną twarz?

Przełknęła ślinę, przypominając sobie transformację Caleba.

Zakryła dłonią usta.

– Czy spełniam wymagania listy, Panienko Niemądre Serce? Czy spełniam twoje standardy doskonałego romansu? Ponieważ zacznam mieć wrażenie, że jednak nie.

Rozłączył się, a jej zabrakło słów. Na antenie zapadła martwa cisza.

A w domu Caleba zapaliło się światło.

Nie...

ChłopakZSąsiedztwa nie mógł być Calebem Knightem.

Zaraz, chwilunia. Przecież wcale tego nie planowała. To on zadzwonił do jej programu. To on prosił ją o rady. To on był... żołnierzem z brakującą nogą? Ich rozmowy na forum zaczęły do niej wracać. Opowieści o tym, jak leżał ranny w rowie, a wokół panowała noc. Jak jego zrozumienie dla jej obaw pomagało ją uspokoić.

Ale Caleb wcale nie wyglądał tak, jakby nie miał nogi, prawda? Widziała, jak chodzi. Pewnie, kuśtykał i miał blizny, ale przestała je zauważać już dawno temu...

Nie. Przecież facet bez nogi nie starałby się zostać trenerem, prawda?

Ale dlaczego Caleb miałby ją okłamywać?

Praca trenera. Podręcznik.

Rzuciła słuchawkami i pognała na dół.

Gdzie...? Zapaliła światło, zrzuciła książki z regału, po czym przeszukała kuchnię.

Nie ma go. Oczywiście, że go nie ma.

Caleb wkroczył do jej świata i ukradł jedyną rzecz, jaka została jej po ojcu.

Otworzyła z impetem drzwi. Stopy marzły jej w wysokiej trawie, gdy biegła boso do jego domu. Minęła podjazd, wbiegła po schodach i załomotała w drzwi.

Nikt nie odpowiadał. Nacisnęła na klamkę. O dziwo, ustąpiła, więc Issy wpuściła się do środka.

– Jak śmiałaś! – Jej słowa zmieniły się w szloch, gdy mężczyzna uniósł na nią zdziwiony wzrok z kanapy.

Na kolanach trzymał otwartego laptopa, a jego twarz pozostawała poważna, jakby szykował się do obrony.

– Zabrałaś podręcznik mojego ojca?

– Co?

– Nie kłam. Wszystko już rozumiem. Dlaczego... dlaczego nie trzymałam się mojej listy?! Jestem idiotką. Stworzyłam ją właśnie po to, by trzymać takich drani jak ty z dala od mojego życia.

– Co?... Nie, Issy, to wcale nie tak.

– Czy to nie ty dzwoniłaś do programu? – Słyszała swój głos na antenie, powtórkę wcześniejszego programu. Elliot musiał zdać sobie sprawę, że opuściła posterunek.

– Tak, ale...

– A więc nie zastawiłaś pułapki, żebym wyszła na głupią przed całym światem?

– Nie!

– Nie bawiłaś się mną, nie starałaś się, bym się w tobie zakochała?

– Ty to wszystko zaczęłaś. I cytuję: *Pomogę ci oczarować tę dziewczynę.*

– To nie ja sięgnęłam po telefon! Musiałeś umierać ze śmiechu za każdym razem, gdy zrobiłaś coś, wiedząc, że będę oszołomiona twoimi zdolnościami à la Casanova, by zdobyć moje serce.

– Chyba nie mówisz poważnie. Dopiero parę dni temu dowiedziałem się, kim jesteś.

– Nie kłam. Musiałeś wiedzieć, że jestem Panienką Niemądre Serce.

– A to dlaczego?

– Ponieważ z jakiego innego powodu miałbyś interesować się... – jej głos lekko zadrżał – ...niepełnosprawną dziewczyną?

– Issy, źle mnie zrozumiałaś.

– Nie, masz rację. Jestem w proszku. Mój świat ma szerokość dwóch przecznic. I nie mogę nawet wyjść z domu, nie czując się przy tym tak, jakbym stała naga przed całym miasteczkiem. Tak wiele rzeczy jest ze mną nie tak, że musiałbyś za każdym razem targać na randkę terapeutę.

– A więc co tutaj robisz?

– Okradłeś mnie. Ukradłeś mi najważniejszą rzecz, którą mam po tacie.

– Niczego nie ukradłem. Nie mam podręcznika twojego ojca. Nie potrzebuję go. Przygotowałem własne zagrywki.

– Pewnie, że je przygotowałaś. Twoje specjalne, oszukańcze zagrywki.

Jego twarz skamieniała.

– Chcesz porozmawiać o problemach? A co powiesz na pierwsze spotkanie z piękną dziewczyną, która ucieka od ciebie z krzykiem?

Issy zeszywniała.

– Wiesz, że tego żałuję.

– Ale to niczego nie zmienia. Wiem, jak wyglądam. I wiem, że po jakimś czasie ty też byś to zauważyła. Litość to marny fundament miłości.

– Nie widzę twoich blizn, Caleb. Ale zdaje się, że ty tak.

Drgnęła mu szczęka.

– Nie mogę uwierzyć w to, że zapytałeś mnie na antenie, czy darzę cię uczuciem. Co chciałeś usłyszeć? Tak? Tak, darzę cię uczuciem?

Gapił się na nią, jakby właśnie tego oczekiwał.

Pokręciła głową.

– Nie poszłabym z tobą na randkę, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną w Deep Haven.

– A więc naprawdę jesteś Panienką Niemądre Serce – wyszeptał. – A tak przy okazji, twój tata wciąż żyje.

Z jej piersi wyrwał się szloch. Obróciła się na pięcie i opuściła jego dom.

Caleb nienawidził tego, że jego niepełnosprawność potrafiła go pokonać. Teraz zablokowała go w gonitwie za Issy. Musiał najpierw zrzucić z siebie laptopa, znaleźć lepszą pozycję na kanapie, złapać kule i wreszcie stanąć prosto, by móc za nią podążyć.

Oczywiście do tego czasu Issy zdążyła zatrzaskać drzwi do własnego domu. Caleb najpierw zadzwonił, a potem zaczął łomotać.

– Issy!

A więc naprawdę jesteś Panienką Niemądre Serce. Zachował się jak drań! Po prostu czuł się... sfrustrowany. I tak, zły też.

Może to była prawda, że tylko on widział swoje blizny. Nie mógł przewyciężyć tego strachu, tkwiącego głęboko w nim, że nie sprostą wymaganiom Issy. Że jest na to po prostu zbyt... uszkodzony.

No dobra, facet może być przynajmniej tak zaradny jak jego pies. Caleb przeszedł na tyły domu i dostał się do ogródka Issy. Wspiął się po schodach na werandę i gdy zobaczył zamknięte kuchenne drzwi, zawołał:

– Issy, wchodzę do środka!

Żadnej odpowiedzi, tylko stukanie i rzucanie czymś o ziemię.

– Wszystko tam w porządku?

Rozważał to dłuższą chwilę, lecz w końcu odsunął karton od ramy drzwi na tyle, by sięgnąć do środka, i otworzył drzwi. Dobrze, że jeszcze nie dostał tej nowej szyby.

Issy siedziała na podłodze w kuchni, otoczona książkami. Większość z nich leżała grzbietami do góry. Dziewczyna spojrzała na niego.

– Nie mogę go znaleźć.

Wtem, nim zdążył usiąść obok niej, wstała i cofnęła się. Jej twarz ściągnęła się w bólu.

– Nie mogę go znaleźć.

– Issy, znajdziemy ten podręcznik. Jestem pewien, że musi tutaj gdzieś być.

Ale ona tylko kręciła głową.

– Ja... – Obróciła się i zniknęła za schodami, nim zdążył przejść przez książkowe pole minowe.

– Wszystko będzie dobrze.

Usłyszał łomot w drugim pokoju. Gdy wreszcie tam dotarł, zobaczył, że zrzuciła na podłogę całą zawartość biblioteczki.

– Gdzie on jest? – Jej głos brzmiał dziko.

– Issy, oddychaj. Po prostu... uspokój się. Wszystko będzie dobrze.

– Nie ma go, Caleb. Nie ma go. – Szepnęła ledwo słyszalnie. – I taty też już nie ma.

– To nieprawda. Przepraszam za to, co powiedziałem.

Gdy chciała oprzeć się o fortepian, nie trafiła i upadła na podłogę. Wycofała się rakiem pomiędzy ławkę i ścianę, podkuliła stopy i oparła twarz o kolana.

Odrzucił swoje kule i doskoczył do niej.

Spojrzała na niego. Jej usta otworzyły się, jakby widziała go po raz pierwszy. Przeniosła wzrok na jego nogę, na kule.

Starał się, aby wyraz przerażenia na jej twarzy nie dotknął go zbyt mocno; przygotowywał się, co prawda, na cios przesywający jego ciało niby ostrze, ale i tak skrzywił się z bólu.

– Tak, straciłem nogę. Tak jak ci powiedziałem.

– Chłopak z Sąsiedztwa mi o tym powiedział.

– Ja ci powiedziałem, Panienko Niemądre Serce. Nie wiedziałem wtedy, że to ty. Ale planowałem ci powiedzieć. Chciałem, żebyś wiedziała.

Zakryła usta dłonią, zamknęła oczy. Ramiona jej się trzęsły.

– To tylko noga. – Opuszczając się na podłogę, wsparł się na taborecie przy fortepianie. Dotknął policzka Issy i pogładził go kciukiem. – A ja wciąż żyję. Uświadomienie sobie tego zajęło mi sporo czasu. Wciąż żyję. I żyję pełnią życia, jak tylko mogę.

Otworzyła oczy. Były pełne bólu.

– Masz w sobie więcej życia niż ktokolwiek, kogo spotkałam. Byłeś dla mnie taki dobry, mimo że od ciebie uciekłam. Nie powinieneś zadawać się z kimś takim jak ja. Zachowałam się wobec ciebie okropnie... i przepraszam cię, Caleb.

– Oczywiście, że ci wybaczam, Issy. Ale musisz wiedzieć, że wcale nie chciałem cię zwodzić. Po prostu... nie jest łatwo cię poznać. I lubiłem być tym facetem, z którym dzieliłaś się swoimi myślami pod koniec dnia. I nie będą kłamał, mówiąc, że nie czułem się dobrze, gdy poświęcałaś mi swoją uwagę, gdy widziałaś coś więcej niż blizny. Myślałem, że jeśli poznasz mnie dobrze przez radio, będzie ci łatwiej – wziął głęboki oddech – pokochać mnie na żywo.

Przełknął ślinę.

Spojrzała na niego pustym wzrokiem i nie mógł zrobić nic innego, jak tylko porwać ją w ramiona dokładnie tam, pod fortepianem.

– Nie zostawię cię, Issy. Nie, gdy dopiero co cię znalazłem. Może i potrzebowałem trochę pomocy na początku, ale wszystko, co zdarzyło się po spaghetti, to moja inwencja. Mówiłem o tobie szczerze Paniencie Niemądre Serce. Tobie.

Przycisnął wargi do jej włosów. Uwielbiał jej zapach, utrzymujący się aromat ogrodu, perfumy, których używała. I pasowała idealnie do jego ramion.

Wypełniała całą pustkę w jego życiu.

Jej oddech stał się drżący, jak gdyby jakaś tama w jej wnętrzu została przerwana. Złapała go za koszulę i zacisnęła pięści.

– Nie odchodź, Caleb. Proszę, nie zostawiaj mnie.

Moja kochana.

Spojrzała na jego nogę.

– Czy... czy to boli?

– Czasami. Gdy zbyt długo stoję, albo pod koniec treningu. No i łatwo mogę skrzywić sobie kolano, jeśli nie uważam.

– Tak mi przykro.

Wziął głęboki oddech.

– Issy... Przyniekasz, że nie miałaś pojęcia, że to ja? ChłopakZSąsiedztwa? Wydaje mi się, że naprawdę nie wiedziałaś, ale jak mogłaś się nie domyślać? Robiłem wszystko, co mi mówiłaś.

– Ja... – Głos jej się zatrząsł. – Nie wiedziałam. Parę razy zdawało mi się, że twój głos brzmi znajomo, ale... nie. – Jej spojrzenie złagodniało. – Chociaż chciałam, aby tak było.

Pogłaskał ją po twarzy.

– Kiedy dowiedziałem się, że to ty, nie chciałem tego zepsuć. Zdradziłem bardzo wiele o sobie Paniencie Niemądre Serce i sam też czułem się bardzo niemądrze. Ale wiem, że będzie warto, jeśli tylko wpuścisz mnie do swojego świata. – Nie mógł w tej chwili zdobyć się na spojrzenie jej w oczy, ale ona i tak odnalazła jego wzrok.

– Wiem. Kochałam te cząstki ciebie, które mi ofiarowałeś; kochałam zaglądać do twojego serca. I to pewnie dlatego zakochałam się w ChłopakuZSąsiedztwa na zabój. Prowadziłam ten program przez dwa lata i ani razu nie obdarzyłam uczuciem dzwoniącego. Ale kiedy zacząłeś dzwonić, nagle myślałam o twoim głosie, sprawdzałam forum. I wtedy, gdy ty, Caleb, zacząłeś dobijać się do mojego życia...

– Hej, to ty przyszłaś do mojego domu i wtargnęłaś w moje...

– Twój pies wtargnął w moje życie pierwszy!

– To nie mój pies, tak przy okazji.

Gapiała się na niego.

– Serio?

– Serio.

– Ale tego pierwszego dnia, gdy...

– Prawie odgryzłaś mi głowę, obwiniając mnie o jego zachowanie? Tak, cóż, trochę mnie wystraszyłaś. Nie chciałem, żebyś się na mnie wkurzyła.

– Przepraszam.

– Ale... muszę wiedzieć jedno... Jak wpadłaś na pomysł tego programu, skoro nigdy w życiu nie byłaś na randce?

– Och, to zaczęło się parę miesięcy po wypadku moich rodziców. Zadzwoiłam do radia, by wziąć udział w dyskusji, i zacytowałam Jane Eyre. Tak się złożyło, że menedżer stacji jest przyjacielem ojca. Zaproponował mi, żebym poprowadziła z domu program o książkach. Zaczęło się od klubu książki dla romantyków; opublikowaliśmy go jako podcast w sieci. Mój producent, Elliot, usłyszał go i zmienił w „Moje Niemądre Serce”. Zabrałam się za prowadzenie online niedługo potem, no i... cóż, podobno to hit.

– Zostałaś zaproszona na ślub Lauren O’Grady w Napa.

Posmutniała.

– Który, oczywiście, zniszczyłam koncertowo. Ale nawet gdyby Lauren go nie odwołała, i tak nie mogłabym jechać.

Caleb potarł kciukiem jej policzek.

– Może któregoś dnia.

Jej oddech zadrżał.

– To zabawne. Od czasu tamtego ataku paniki w sklepie praktycznie nie wahałam się, by pójść do twojego domu albo wpuścić cię do swojego. Spotkanie z tobą stanowiło dla mnie jakiś przełom.

– Cieszę się, że potrafię cię wkurzyć tak mocno, że ci się poprawia. Coś czuję, że będę w tym dobry.

Uśmiechnęła się.

– A przy okazji, tak, darzę cię uczuciem.

– Darzysz mnie uczuciem?

– Siedzę z tobą pod fortepianem.

– To ważne?

– To... moje bezpieczne miejsce. Moja mama lubiła grać na fortepianie, a ja siadałam tutaj, żeby posłuchać. Mogę ją sobie wyobrażać w tym miejscu jako kogoś żywego. Bycie tutaj... utrzymuje mój świat w całości.

– Słyszałem, że umarła w twoich ramionach.

Skinęła głową.

– Zamieniłyśmy ze sobą kilka ostrych słów o moim wyjeździe. Wróciłam do domu na *homecoming*, ale chciałam wyjechać w niedzielę rano. Mama próbowała mnie namówić, bym zrobiła to po mszy. Pokłóciłyśmy się i w końcu zdecydowałyśmy się zjeść obiad na mieście w sobotę. Padało, ciężarówka nie wyhamowała na światłach. – Issy westchnęła. – Wciąż nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak mi się spieszyło, by wyjechać.

– Przykro mi, Issy.

Oparła się o jego tors.

– Dziękuję, że wpuściłaś mnie pod fortepian.

– Dziękuję, że włamałaś się do mojego domu.

– Przykro mi z powodu drzwi.

– Myślę, że powinnam dać sobie spokój z szybą.

Spojrzała na niego, a on ujął jej twarz w dłonie.

– Jesteś piękna. – Pochylił się, zatrzymując się ledwie na odległość oddechu od jej ust. – Czy mogę...?

Pocałowała go. Po prostu nachyliła się i przycisnęła wargi do jego warg, z uczuciem. Issy Presley, Panienska Niemądre Serce, całowała go. Z gardła wyrwał jej się mały jęk. Caleb oplótł ją ramionami i oddał pocałunek.

Issy, ja również darzę cię uczuciem.

Cofnęła się, biorąc oddech.

– Wow, przy tobie błyskawicznie łamię swoje zasady, ChłopakuZSąsiedztwa.

– Jakie zasady?

– Żadnego całowania na pierwszej randce.

– Cóż, całowaliśmy się już wcześniej. Poza tym, to wcale nie jest randka. Raczej misja ratunkowa.

Położyła mu palec na ustach.

– No i jeszcze: *Żadnego planowania wspólnej przyszłości na drugiej randce.*

– Czy planujesz swoją przyszłość ze mną, Paniensko Niemądre Serce?

– Pozostaje też: *Nie wypowiadaj słowa „kocham”, dopóki nie jesteś całkowicie, absolutnie pewna, że...*

– Czy kochasz mnie, Isadoro?

– Cóż, nie tak trudno cię kochać, Calebie. W sieci... i poza nią.

W oczach Caleba pojawiły się łzy. Odwrócił twarz, a Issy pocałowała go w szyję. Tam, gdzie skóra była zniszczona.

Siedzieli razem bez słowa. Na zewnątrz co jakiś czas uderzał piorun; deszcz cicho grał na szybach.

– Gotowa, by wyjść spod fortepianu?

- Dlaczego? Nie podoba ci się tutaj?
- Właściwie... myślę, że znalazłem swoje miejsce.

dziewiętnaście

Mewy nawoływały się na plaży. Seb ścigał się z własnym cieniem, w stronę miasta od rzeki Kadunce. Chłodny wiatr znad jeziora wysuszał mu pot z czoła i pleców, a słodki zapach sosen przywoływał do domu.

Och, Boże, pozwól mi wygrać.

Nie wiedział, jak ma wyrazić to inaczej. Czy mógłby żyć w Deep Haven, gdyby jednak nie otrzymał posady trenera?

Wszedł na ganek i otworzył drzwi. Zawiasy zapiszczały i ten dźwięk sprawił, że jego ojciec odwrócił się od kuchenki.

Seb stał na skrawku linoleum, które imitowało podłogę w przedpokoju, i gapił się na niego.

– Co robisz?

Mężczyzna miał na sobie džinsy, które wisiały na nim, jakby wcale nie miał kości, oraz niebieski T-shirt z napisem „Ochotnicza Straż Pożarna Deep Haven” wyszytym na kieszonce na piersi. Ogolił się, a spojrzenie miał bardziej przytomne, niż Seb kiedykolwiek pamiętał. Nawet... wziął prysznic?

– Jajka sadzone.

– Jajka sadzone?

Ojciec znów się obrócił, tym razem z patelnią w ręku.

– Zawsze robię ci jajka sadzone przed meczem.

Naprawdę? Ale gdy tylko ojciec podszedł do malutkiego stołu, Seb zobaczył wspomnienia, ostre, wyraźne i wywołujące pieczenie w oczach. Tak, naprawdę.

Ojciec zsunął kilka jajek z patelni na talerz.

– Wciąż lubisz z płynnym żółtkiem?

Seb skinął głową.

– Cóż, siadaj, dzieciaku. Potrzebujesz energii. – Odstawił patelnię na kuchenkę.

– Tato, ja..

– Usiądź, proszę.

Prysznic mógł chwilę poczekać, jeszcze nie było tak źle.

– Okej. – Seb odsunął krzesło od stołu. Ojciec nalał mu szklanek... mleka? – Byłeś na zakupach?

– Zapłacili mi.

– Znalazłeś pracę?

Ojciec nie patrzył na niego, gdy kroił jajko na talerzu.

– Sprzątam remizę.

Seb odwrócił wzrok, mrugając szybko w zaskoczeniu.

– Przyjdę na mecz, jeśli nie masz nic przeciwko.

Seb uniósł widelec.

– Przyjdiesz?

– Oczywiście. To jest niesamowite, widzieć, jak mój syn gra w futbol. – Ojciec posłał mu półuśmiech. – Byłeś na boisku kimś o wiele lepszym, kimś ponad to, co ja ci dałem. Nie poddawałeś się jak twój stary.

– Tato...

– Nie, posłuchaj mnie. – Ojciec odłożył widelec. – Masz w sobie coś specjalnego, synu. Moc, która sprawia, że ludzie cię słuchają, że chcą dla ciebie grać. Jesteś Sebanatorem.

– Wiedziałaś o tym?

– Krzyczałem to razem z tłumem. – Jego uśmiech zgasł. – Byłem na każdym meczu, Seb. Pewnie o tym nie wiedziałaś. A przez te ostatnie kilka lat, gdy wszystko rozpadło się na kawałki, nawet nie chciałeś wiedzieć. Wiem, że skrzywdziłem ciebie, i twoją matkę także. Nawet gdy nie mogłem ci tego powiedzieć, byłem z ciebie bardzo dumny.

Seb patrzył na jajko. Żółtko zaczęło rozlewać się po talerzu.

– Ale ja poddałem się, tato. Zostawiłem Cyclones.

Ojciec włożył sobie do ust kawałek chleba.

– Ale się podniosłeś. I dalej idziesz przed siebie. Wróciłeś do Deep Haven.

– Co, jeśli... – Seba coś ścisnęło w gardle. – A co, jeśli nie nadaję się na trenera?

Ojciec przyglądał mu się przez chwilę.

– Wtedy znajdziesz sobie coś innego, w czym jesteś dobry, dzieciaku. Musisz wciąż próbować. Nie ważne, co robisz, ważne, że wkładasz w to całe serce. Czy nie to właśnie zawsze powtarzał trener Preasley? – Spuścił wzrok, by nie patrzeć na Seba. – A przynajmniej to powtarzał mi wiele lat temu. Żałuję, że nie uwierzyłem mu wcześniej.

Trener rozmawiał z jego ojcem? Może wcale nie powinno go to dziwić.

Ojciec wziął głęboki oddech, uniósł wzrok, uśmiechnął się.

– Bądź lepszym człowiekiem niż ja.

Seb nie wiedział, co odpowiedzieć. Zamiast tego sięgnął po szklanę z mlekiem. Powąchał je. Tak, jego staruszek naprawdę wybrał się po zakupy.

– Obiecujesz, że będziesz mi smażył jajka?

Ojciec roześmiał się, co wcześniej się nie zdarzało.

– Umowa stoi.

Ta rozmowa wciąż rozbrzmiewała w głowie Seba, gdy szedł do szkoły, gdy stanął na boisku, gdy w myślach rozgrywał mecz. Chmury wisiały nisko, wysysając kolor z nieba, a nad wzgórzami porośniętymi lasem sosnowym zbierały się burzowe kłęby. Wiatr przynosił zapach deszczu.

Seb wspiął się na trybuny i usiadł na wysokości linii wyznaczającej pięćdziesiąt jardów.

Znów przypomniał sobie werset z wczorajszej nocy: *I dam wam serce nowe i ducha nowego tchnę do waszego wnętrza, odbiorę wam serce kamienne, a dam wam serce z ciała.*

Rozmyślał nad sercem kamiennym, nad cudem nowego serca w jego piersi. Dawno, dawno temu na tym właśnie boisku żył dla okrzyków radości tłumu, a nie dla Boga.

Seb zaczerpnął głęboki wdech. Już nie. Nie chciał już więcej czcić Sebanatora. Chciał dostać nowe serce, serce wolne od brudu – jego błędów, porażek, egoizmu dawnego siebie. Serce, które było rozumne i kąpało się w łasce.

– Boże, ten mecz jest Twój, cokolwiek zaplanowałaś. Spraw, bym stał się człowiekiem stworzonym

dla innych. Człowiekiem stworzonym... dla Ciebie.

Uniół głowę ku niebu, zamykając oczy, gdy pierwsze krople deszczu zaczęły spadać, zwilżając jego twarz jak łzy.

Atmosfera panująca tego dnia w miasteczku nie pozostawiała wątpliwości, że odbędzie się mecz. Issy czuła szum podekscytowania pod skórą tuż po obudzeniu, a kiedy włączyła lokalne radio, Ernie przyjmował telefony od słuchaczy, którzy kłócili się zawzięcie o wynik.

Brewstersi kontra Knightsi. Miasteczko obstawiało, że Brewters wygra o dwa przyłożenia. Ale oni nie znali Caleba tak dobrze jak ona.

Nie wiedzieli, że drużyna miała trenera, który zapomniał, co to znaczy się poddawać.

– Mogę dotknąć twojej nogi? – zapytała, gdy wreszcie wydobyli się spod fortepianu i Caleb pozwolił jej obejrzeć swoje rany.

Niezwykłe, że skóra na jego kikucie tak ładnie się zrosła, że chirurg rekonstrukcyjny poskładał jego ciało niemal jak kopertę. Zostawił cztery cale kości piszczelowej, wystarczająco dużo, by były solidną bazą dla protezy. Dodatkowa długość zapewniała Calebowi lepszą kontrolę motoryczną i zachowanie równowagi.

– ...a gdy mam na sobie protezę do biegania, wciąż jestem szybki. Pewnie przegoniłbym cię podczas wyścigu wokół dzielnicy.

I tak, pozwolił jej dotknąć swojej nogi i spojrzał w jej oczy, gdy uniosła na niego wzrok. Czyste i budzące zaufanie spojrzenie, które sięgało w głąb niej i mówiło jej prawdę.

Mogła pokonać ten strach. Mogła go pokonać, ponieważ Caleb miał rację – Bóg nie dał jej ducha bojaźni, lecz mocy i miłości. I przypomniał jej o tym, sprawiając, że osoba, której zdawałoby się – nie mogła pokochać, wprowadziła się tuż obok i wkroczyła w jej życie.

Jej doskonały świat... z doskonałym romanssem.

– Bardzo bym chciał, żebyś przyszła na mecz – powiedział Caleb na odchodnym poprzedniego wieczoru. Burzowe chmury zasłaniały księżyc w nowiu, a powietrze było wilgotne.

Jej ojciec też by tego chciał. Granie w deszczu zawsze rozbudzało w nim ducha walki, chociaż Issy nie rozumiała dlaczego. Gdy padało, miała ochotę zamknąć się w pokoju.

Ale może to zaczynało się powoli zmieniać.

– Chciałabym przyjść – odpowiedziała – ale...

Caleb położył jej dłoń na policzku i przejechał kciukiem po jej wargach.

– Wiem. – Pocałował ją raz jeszcze, a ona z całych sił zapragnęła zobaczyć go na boisku.

Nawet teraz, gdy włączyła radio na pierwsze kopnięcie, miała go przed oczami, w niebieskiej kurtce Huskies, którą kupił w Ben Franklin, oraz czerwonej czapce. Na tę okazję odkopała wielgachny palec z pianki należący do jej matki, koc z logo Huskies, poduszkę na trybuny, a nawet stary megafon ojca. Rozłożyła obóz w salonie. Nawet Duncan nosił bandanę Huskies.

Oczami wyobraźni widziała boisko. Trzy sekcje trybun, tłum znajomych twarzy. Jerry i ekipa z gazety, oczywiście z Brianem na murawie, który robił zdjęcia. I Nancy z knajpy, Anthony z hotelu, który przy okazji pewnie przyprowadził ze sobą kilku gości. Nic tak nie przyciąga turystów jak małomiasteczkowy futbol. Nelda i klub kibica na samej górze, owinięci kocami i wyciągający palce z pianki ku niebu.

Mecz towarzyski biało-niebieskich zawsze potrafił przyciągnąć ludzi na początek sezonu. Issy zgadywała, sądząc po szumie w radiu i informacjach od Lucy, że trybuny mogą być pełne.

Z budki komentatorów Ernie i Wade machali pewnie do tłumów, jak z rękawa sypali żartami i odczytywali reklamy sklepu z narzędziami, pizzerii Pierre'a i sklepu wędkarskiego.

Gdyby to był prawdziwy mecz, a nie spotkanie towarzyskie, orkiestra zaczęłaby od czegoś wesołego – *Do Boju Wielcy Niebiescy!* – a domorośli muzycanci staliby przy barierkach z wuwuzelami i dzwonkami.

Gdyby pojawiły się cheerleaderki, rozgrzałyby tłum kilkoma zabawnymi układami.

A gracze – byliby w szatni, słuchając jej ojca – nie, słuchając Caleba.

Zamknęła oczy, wyobrażając sobie, jak wybiegają na murawę, podczas gdy Ernie wymienia nazwiska zawodników początkowego składu, a potem prosi o powstanie do hymnu narodowego.

Issy wstała, położyła dłoń na sercu i przyłączyła się do śpiewu.

Kopnięcie, Brewsters przy piłce. Wystawili piłkę i zdobyli dwadzieścia jardów. Gdy tłum krzyknął z radości, poczuła ukłucie bólu.

Powinna być teraz z ojcem. Słuchać meczu razem z nim. Czy to nie byłoby dopiero zwycięstwo?

Ale sama myśl o tym odbierała jej oddech, zaciskała kleszcze na szyi i klatce piersiowej.

Przepraszam, tato. Odwiedzę cię. Niedługo. Może jutro.

Brewstersi zdobywali kolejne jardy dzięki różnym zagrywkom, lecz wypuścili piłkę przy przekazaniu, a jeden z obrońców Knighta skorzystał z okazji.

– Dalej, Knightsi!

Udało im się przeprowadzić akcję biegową i przesunąć piłkę o kilka jardów.

Gdy Ryan stanął ponownie na linii, zatrzymał piłkę i znów ją przesunął. Jeśli utrzymaliby dobrą passę, mogliby tak dojść aż do linii punktowej.

Bryant po krótkim podaniu wypuścił piłkę. Issy mogła niemal wyobrazić sobie chłopaka, jak czyni sobie wyrzuty, ustawiając się na obronie po wykopie z powietrza.

Brewstersi zdobyli parę jardów zagrywką rozgrywającego, ale zaraz potem niemal stracili piłkę. Przy następnej zagrywce obrona dopadła rozgrywającego za linią wznowienia gry i Brewstersi musieli wykopać piłkę z powietrza.

Drużyny wymieniały się piłką. Knightsom udawało się zdobyć parę jardów dzięki dobrze wykonanym, ale łatwym do przewidzenia zagrywkom, a później próbowali bezskutecznie zdobyć punkty. Brewstersi zdobywali jardy na czymś prostym, ale tracili je, gdy próbowali zagrywek z podręcznika Presleya.

Pierwsza kwarta zakończyła się remisem bez punktów. Tłum zaczął się niecierpliwić.

Issy zadzwoniła do centrum opieki.

– Hej, Jacqueline. Mogę porozmawiać z moim tatą?

– Hej, Issy. Pewnie. Słucha teraz meczu.

– Ja też. – Wsłuchiwała się w głos spikera, gdy drużyna Caleba zyskała prawo do pierwszej próby.

– Cześć. – Głos ojca po drugiej stronie słuchawki był charczący i cichy. Issy przyciszyła radio.

– Cześć, tato. Co myślisz o grze?

– Musi użyć czegoś lepszego.

– Mówisz o Calebie? – Musi, bo Seb przez cały czas zarządzał efektywne, ale słabo wykonane zagrywki.

Czekała na potwierdzenie od ojca.

– Chaos Rozgrywającego.

– Ta oszukańcza zagrywka z mistrzostw? Ale nie mogę mu mówić, jak powinien grać.

– Zadziała.

– Naprawdę? Jesteś pewien?

– Chaos Rozgrywającego.

– Okej. Powiem mu. Tęsknię za tobą, tato.

Rozłączyła się, sięgnęła po komórkę. Chaos Rozgrywającego. Caleb oczywiście stworzył własne zagrywki, ale tę mógł przyjąć, jako dar od jej ojca. Pamiętała ją na tyle dobrze, by mu ją przekazać.

Usłyszała pocztę głosową.

– Caleb, zadzwoń do mnie. Mój tata ma pomysł.

Gdy do końca drugiej kwarty pozostało osiem minut, zostawiła kolejną wiadomość.

Gdy Brewstersi stracili piłkę, a Knightsi ją zyskali, pobiegli do lini czterdziestu jardów, po czym nie trafili przy kopie na bramkę, zadzwoniła jeszcze raz.

Słuchała z komórką w ręce, jak Knightsi znaleźli się w czerwonej strefie, lecz zostali zatrzymani na linii pięciu jardów. Zadzwoniła ponownie, gdy jeden z Knightsów szykował się do oddania kopa na bramkę. Śliska piłka wypadła mu jednak z ręki i podnieśli ją Brewstersi, którzy przebiegli boisko nie niepokojeni przez nikogo i zdobyli przewagę sześciu punktów.

Issy skoczyła na równe nogi, wrzeszcząc do telefonu.

– No odbierz!

Deszcz bębnił o szybę. Wyjrzała na zewnątrz, na szare niebo, głaszcząc Duncana po łbie.

Jeśli chciała, by Caleb wygrał, musiała pójść do szkoły.

Podstawy. Po prostu naucz ich podstaw. Caleb słyszał w głowie echo swojej strategii i miał ochotę przywalić pięścią w ścianę. Dzięki opanowaniu podstaw za każdym razem przesuwali piłkę.

Ale nie na tyle, by zdobyć punkty.

A teraz Brewstersi, pomimo tylu błędów przy obchodzeniu się z piłką, mieli punkty na tablicy.

Dan poszedł za nim do sali gimnastycznej, dokąd skierowano ich podczas przerwy po połowie meczu, i opierał się teraz o drzwi, z rękami założonymi na piersiach. Na jego płaszczu przeciwdeszczowym perliły się krople.

Caleb przeniósł wzrok z Dana na drużynę, na ich poplamione koszulki i przemoczone spodnie. Nie mogli zdobyć się na to, by spojrzeć mu w oczy, i wtedy zrozumiał...

Oni już się poddali.

Bryant ze spuszczoną głową siedział okrakiem na ławce, przeżywając na nowo wszystkie podania, które zakończyły się wyślizgnięciem piłki z jego rąk. McCormick, który klapnął na podłodze z rękami na kolanach zabarwionych od trawy, był brudny i mokry, a jego twarz wykrzywiał grymas złości.

Ale nie Ryan. Ryan stał odwrócony tyłem do drużyny, z rękami opartymi o ścianę, jakby próbował od siebie odepchnąć frustrację albo wściekłość.

Musieli znaleźć coś, co odwróci sytuację. Coś...

– Masakrują nas. Dokładnie tak, jak mówiłem. – Ryan obrócił się do nich. Jego głos był cichy, lecz wyczuwało się niebezpieczną bliskość do granicy furii. – Wyglądamy jak idioci.

– Nieprawda. Dobrze radzimy sobie z piłką. Ani razu jej nie upuściłeś...

– Bryant nie potrafi złapać niczego, co mu rzucę. – Zwrócił się teraz do kolegi z drużyny. – Co, masz cegły zamiast rąk? Łap tę piłkę!

Bryant uniósł głowę, załamany.

Caleb trzymał nerwy na wodzy.

– Ryan, piłka jest śliska. Poza tym to nasza pierwsza gra z przeciwnikiem. W idealnych warunkach mielibyśmy jeszcze tydzień, a nawet dwa do meczu.

– I tak by to nic nie zmieniło. Używamy tych samych pięciu zagrywek na okrągło, a oni znają wszystkie. Jesteśmy bandą....

– Wystarczy. – Caleb widział, jak napięcie w drużynie rośnie, jak słowa Ryana ich poruszyły.

Wściekła, ale zgrana drużyna mogła zdobyć wiele punktów. Wściekła i skłócona drużyna mogła wywołać bójkę w szatni.

Potrzebowali inspiracji.

– Za wcześnie się poddajecie. Możemy jeszcze wygrać mecz. Zmniemy taktykę, zacznijemy...

– To nic nie da! Oni znają nasze wszystkie zagrywki, a my nie znamy ich.

– Których jednak nie potrafią dobrze wykonać – wtrącił McCormick, spoglądając na Caleba.

– Zgadza się. Ciągłe tracą przez to piłkę. Grając porządnie, będziemy mogli...

– Nie. Ja stąd spadam. – Ryan ścisnął w rękę swój kask. – Przechodzę do drużyny Brewstera.

– Jeśli teraz odejdziesz, już nigdy więcej dla mnie nie zagraasz. – Głos Caleba pozostawał spokojny.

– I będziesz tego żałował do końca swojego życia.

– Nie będziesz moim trenerem.

– Jesteś gotów dla tego przekonania położyć na szali swoją przyszłość?

Ryan zatrzymał się. Nabral powietrza w płuca. Patrzył na niego wilkiem.

Caleb spojrział na swoją drużynę. Musieli widzieć, że to trener wygrywa tę rundę.

– Ryan, nie potrafię tego zrozumieć. Nauczyłem cię dobrze grać w futbol, dałem ci tysiąc drugich szans. Nie jesteśmy jeszcze pokonani. Sześć punktów to nic. A jednak ty chcesz to wszystko zostawić. Dlaczego? Co ja ci takiego zrobiłem?

Ryan wbił wzrok w ziemię.

– Jesteś słaby.

Caleb zmarszczył czoło.

– Albo po prostu się boisz, ale nigdy nie wychodzisz z nami na murawę. Każesz trenerowi Danowi pokazywać nam zagrywki, sposoby na to, jak uderzać, jak obchodzić się z piłką. Jest z ciebie trener z notatnikiem, a nie prawdziwy trener. Widziałem Brewstera na boisku. Biega z nimi, gra z nimi. Jestem jednym z nich. Gra w futbol. Ty... ty tylko mówisz o futbolu, ale nigdy nie widziałem, żebyś grał. Może tak naprawdę nie umiesz nic więcej niż te pięć zagrywek. No i przede wszystkim nie masz pojęcia o tym, jakie to uczucie dostać w kość tam, na boisku.

Dan stał po drugiej stronie szatni i przyglądał się Calebowi. *Musimy być gotowi zaakceptować Jego miłość i łaskę. I dopiero wtedy możemy odwrócić się i robić to samo dla innych. Codzienna łaska dla ciebie i innych.*

Codzienna łaska. Odwaga, by się podnieść. Odwaga, by wciąż walczyć.

Może nadszedł czas, by wyciągnąć do nich dłonie ze świadomością tego, kim jest i co przyszedł tutaj zrobić. Umywać nogi swojej drużynie.

– Tak się składa, Ryan, że wiem.

Wziął głęboki oddech, po czym usiadł na ławce i podwinął nogawkę.

– To proteza podudzia z ruchomym stawem skokowym. Tuż nad moją kostką zwięza się w solidny pręt ze stali nierdzewnej. Pończocha pokrywa lej protezowy, który styka się z końcem mojej nogi. – Zrolował pończochę, by drużyna mogła zobaczyć, o czym mówił.

Potem odchylił się i spojrzał na nich. Kilku z nich zamrugało oczami i odwróciło wzrok. Inni gapili się tak, jakby byli świadkami katastrofy kolejowej. McCormick zrobił minę, jakby zaraz miał się rozpłakać.

Ryan z kamiennym wyrazem twarzy, jakby ktoś uderzył go w splot słoneczny, zamiast krzyczeć, wstrzymywał oddech.

– Straciłem ją w Iraku. Transportowałem rannych żołnierzy do szpitala polowego, gdy bomba uderzyła w nasz samochód. Wszyscy żołnierze w środku i kierowca zginęli na miejscu. Tylko ja przeżyłem. Spędziłem noc na chłodzie, leżąc w rowie. Założyłem sobie opaskę uciskową na nogę i zemdlałem, na długo nim przybyła pomoc. Obudziłem się w szpitalu w bazie, skąd przetransportowano mnie do Niemiec. Dopiero na miejscu dowiedziałem się, że straciłem nogę, chociaż podejrzewałem to już podczas długich godzin oczekiwania.

Opuścił nogawkę.

– W liceum byłem biegaczem i pomogłem mojej drużynie wygrać mistrzostwa stanowe. Ale nie miałem pojęcia, co to naprawdę znaczy podnieść się z ziemi, aż do momentu, gdy musiałem opuścić tamto łóżko na jednej nodze i znów nauczyć się chodzić. – Wstał. Podniósł notatnik. – A więc tak, wiem, jak to jest dostać w kość na boisku. I poza nim też.

Ryan odwrócił wzrok, lecz szczęka mu drżała.

– Nie pokazałem wam tego wcześniej, bo nie chciałem waszej litości. Właściwie to trzymałem to przed wami w sekrecie, bo bałem się, że wyjdę na słabego. Ale... nie miałem racji. Ryan, nie miałem racji. Powinienem być wam to pokazać. Nikt nie kibicuje wam mocniej ode mnie. Nikt nie wierzy w was mocniej niż ja. I nikt lepiej niż ja nie zdaje sobie sprawy, jak wiele potrzeba, by wygrać.

Ryan spojrzał mu w oczy.

– Ale może nadszedł czas na naszą własną specjalną zagrywkę. Taką, której jeszcze nie widzieli. Podanie do rozgrywającego. Ryan...

– Tak, trenerze?

– Potrafisz złapać piłkę?

Seb stał w zawilgoconej szatni i nienawidził tego, że widzi siebie – dawnego siebie, Sebanatora – w swoich graczach. Weszli do szkoły pewni swego, walili pięściami w szafki, prowadzeni przez tak samo aroganckiego Bama, który posłał Sebowi mordercze spojrzenie, gdy mijali go z DJ'em. Nawet sam fakt, że komisja szkolna oddała im szatnię do dyspozycji w przerwie meczu, a nie salę gimnastyczną, wydawał się arogancki.

Pomieszczenie było duszne od gorących oddechów graczy, powietrze przesiąknięło zapachem potu; chłopaki przybijali sobie piątki. Seb zajął miejsce w centrum i szukał odpowiednich słów. Chciał dać im coś solidnego. Dziedzictwo prawdy. Takie dziedzictwo, które pozostawił trener Presley. Założył więc ręce na piersi i przemówił tonem, jakiego używał jego dawny trener.

– Uspokójcie się wszyscy. Sześć punktów przewagi w połowie meczu jeszcze o niczym nie przesądza. Jeśli staniecie się zbyt pewni siebie, przegramy.

– Możemy ich pokonać, trenerze! – krzyknął Michaels.

– Może tak, może nie. Ale możemy być z siebie dumni, jeśli na boisku dajemy z siebie wszystko.

DJ skinął głową. Bam ściągnął usta w grymasie dezaprobaty.

Ale prawda wzięła górę. Seb musiał jedynie dodać do niej odpowiednie emocje.

– Nie powinniście być dumni z tego, co tam zobaczyłem. Strata piłki, przyłożenie, które udało wam się fuksem? Przeciwnicy praktycznie sami wsadzili piłkę do pola punktowego za was. Dostaliście te punkty za darmo. Nie zasłużyliście na nie. Wyjdźcie na boisko, pamiętajcie o podstawach i grajcie dobrze. Bądźcie graczami, z których Huskies będą dumni.

Bam przekazał jeszcze instrukcje obronie, po czym drużyna rozeszła się i wróciła na boisko.

Seb patrzył, jak wychodzący zawodnicy uderzają w wielką literę H wymalowaną na drzwiach. Bam też w nią walnął, DJ także, obrzucając przy tym Seba spojrzeniem.

Wzrok DJ'a obudził wspomnienia, przywołał echo tłumu, ziemisty zapach murawy, stukot butów o cementowy korytarz. Huskies, ruszający w bój na boisko, by zmieść kolejną drużynę.

Seb przycisnął dłoń do litery H. Do widzenia, numerze dziesięć. Do widzenia, ryku tłumów i dniu triumfu.

Do widzenia, Sebanatorze.

Podczas pierwszej kwarty zdecydował, że nie będzie walczył o stanowisko trenera Huskies. Niezależnie od wygranej czy przegranej meczu. Całe te zawody, to, jak on i cała komisja rozwiązali problem, nie wydawały mu się sprawiedliwe.

– Trenerze? – Przewodniczący komisji szkolnej popchnął drzwi nogą, w jednej ręce trzymając kubek z kawą, a w drugiej pączka w papierowej torebce.

– Hej, Mitch.

Mitch rzucił okiem na korytarz i odetchnął głęboko.

– Muszę z tobą pogadać.

– Co jest?

– Wiedziałaś, że trener Caleb Knight ma sztuczną nogę?

Seb skinął głową.

– Wiem od paru dni. A co?

Mitch zapatrzył się w swoją kawę.

– Widziałem, jak pokazuje drużynie swój kikut. Usiadł tak po prostu w sali gimnastycznej i podwinął nogawkę. Myślałem, że dostanę ataku serca.

Pączek w jego garści z pewnością prędzej by się do tego przyczynił. Seb kątem oka zauważył zielony kupon między palcami mężczyzny. Kup pączka, drugiego dostaniesz o połowę taniej w Najlepszych Pączkach na Świecie. *Dobra robota, Lucy. Jeszcze nie wypadłaś z gry.*

– Chodzi o to, że to postawiło komisję w złym świetle – powiedział Mitch. – Knight zachował to dla siebie, nie powiedział nam. Mieliśmy prawo wiedzieć.

Tego Seb właśnie się obawiał. Ale gdyby to on znalazł w takiej sytuacji, postawiony przed tym samym wyborem, być może postąpiłby tak jak Caleb.

Nie ma nic gorszego, niż być ocenianym przez pryzmat swoich słabości.

– Widziałem go na boisku razem z chłopakami. Może i nie wykona akrobacji, ale potrafi nauczyć swoich zawodników zagrywek i zdecydowanie wie, co robi.

– No nie wiem. Jego drużyna coś słabo przesuwa piłkę.

Seb nie wiedział, co odpowiedzieć. Pewnie, jego drużyna bez problemu mogła przejrzeć pięć pod-

stawowych zagrywek, których używali Knightsi, ale gdyby Caleb zdecydował się użyć jakiejś własnej zagrywki, Seb byłby w terapatkach.

– A więc muszę cię prosić o przysługę, Seb.

– O co chodzi?

– Wygraj ten mecz. Jeśli wygrasz, pracę trenera masz jak w banku.

– Nie chcę jej.

– Słucham?

– Nie chcę jej. – Seb spojrział na literę H i popukał w nią po raz ostatni, po czym przycisnął dłoń do gładkiej, zimnej farby.

Nabrał powietrza w płuca, po czym ruszył w kierunku drzwi.

– Zawsze będę kochał Huskies. Ale nie jestem trenerem, Mitch. Nie kocham tej roboty. Kocham grę, bez wątplenia, ale nie mam cierpliwości, by pracować z tymi dzieciakami.

– Proszę, nie mów nic więcej. Potrzebujemy trenera, Seb, a ty jesteś tutaj legendą. Chłopcy cię uwielbiają i...

– W tym tkwi problem. Nie mam pojęcia, co robię, naprawdę. Znam zagrywki Presleya, ale trening to też teoria, nie wystarczy pokazywać sztuczki. Prawda jest taka, że wróciłem tutaj, by znów poczuć trochę dawnej chwały. – Gdy powiedział to na głos, supeł, który ścisnął jego klatkę piersiową, rozwiązał się. – Nie jestem właściwym trenerem dla Deep Haven Huskies.

Wyszli na zewnątrz. Słońce wyłoniło się zza chmur i zmieniło mokre boisko w morze ognia, błyszczące w świetle zmierzchu.

Mitch zatrzymał go.

– Wielka szkoda, bo nie jestem pewien, czy mamy tyle pieniędzy, by płacić trenerowi oraz pomocnikowi matematyki.

Seb patrzył na niego, rozszyfrowując te słowa.

– A więc mam rozumieć, że jeśli nie wygram tego meczu, zostanę bez pracy?

Mitch jedynie wzruszył ramionami.

– Niezłe zagranie, Mitch. Prawda jest taka, że możesz sobie wziąć tę pracę i... – Seb połknął resztę słów. – Wiesz, że nie mam nawet uprawnień do nauczania? A więc tak naprawdę jestem jeszcze większym kłamcą niż Knight.

– Hej...

– Nie, żadnych takich. Knight to dobry trener. I może uzdrowić tę drużynę. Wiem to.

– A więc tak po prostu odejdziesz? Poddasz się? – Mitch pokręcił głową.

Seb odnalazł wzrokiem Lucy stojącą przy w budce z jedzeniem. Miała na głowie niebieską czapkę Huskies i uśmiechała się do ludzi w kolejce, wręczając im zielone kupony.

– Nie, myślę, że spróbuję sił w biznesie pączkowym.

Poszedł do Lucy.

– Czołem, pączkowa dziewczyno. – Uśmiechnął się do niej, a ona uniosła wzrok. Jej oczy błyszczały. Tak, może wcale nie potrzebował futbolu, by czuć się jak bohater. Porwał w ręce większość kuponów.

– Co ty...?

– Po prostu dalej sprzedawaj pączki!

Podbiegł do swojej drużyny, która obserwowała zespół Knighta odbywający naradę na linii bocznej.

– Bierzcie, chłopaki. – Wręczył kupony DJ'owi. – Nowa rozgrzewka w przerwie meczu. Chcę, żeby-

ście się rozdzielili, pobiegli na trybuny i upewnili się, że każda osoba będzie miała taki kupon. Nie wracajcie, dopóki nie rozdacie wszystkich. – Skinął na DJ'a, który garściami rozdawał kupony zawodnikom. – I koniecznie odwiedźcie też ławkę naszych przeciwników!

– Czy to jakaś zagrywka, trenerze? Zastraszamy ich? – zapytał Michaels, chwytając garść kuponów.

– Ano – potwierdził Seb, klepiąc go po ochraniaczach na ramionach. – Tę grę zamierzam wygrać.

Issy siedziała w swoim dwuletnim chevrolecie, przesuując dłonią po niebieskim poliestrowym siedzeniu i wdychając zapach nowości.

Przysięgła, że nigdy nie wsiądzie do tego samochodu.

Zamknęła oczy, zaciskając kurczowo dłonie na kierownicy. *Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia.*

Issy udało się osiągnąć tyle, że otworzyła drzwi do garażu i wsiadła do auta z kluczykami. Dyndały teraz w stacyjce.

Uruchom samochód. Uruchom go.

Mogła to zrobić. Prawda, czuła uścisk w piersiach, oddychała ciężko, o każdy oddech toczyła walkę. Ale mogła to zrobić, prawda? Musiała tylko wyciągnąć rękę, przekreślić kluczyk.

Wyjechać tyłem z podjazdu.

Przejechać milę w dół wzgórza na mecz.

Zaparkować.

A stamtąd...

A co, jeśli... a co, jeśli dostanie ataku paniki na oczach tłumu? A co, jeśli całkiem załamie się na linii bocznej, rozplacze się i zwinie w kłębek na ziemi?

Całe miasteczko przeżywałoby przez nią żal od nowa, otworzyłyby wszystkie paskudne rany.

I dlatego właśnie siedziała w domu. Żeby ich wszystkich chronić.

Issy sięgnęła do kluczyka i przejechała po nim palcem.

W miłości nie ma lęku, lecz doskonała miłość usuwa lęk.

W miłości nie ma lęku, lecz doskonała miłość usuwa lęk.

I pamiętajcie, że wasza doskonała miłość może znajdować się po sąsiedzku. Jej własny głos wrócił do niej razem ze wspomnieniem Caleba myjącego samochód, a potem opryskującego Duncana wodą. Caleb zaglądający do niej przez dziurę w płocie, Caleb przybywający ze spaghetti, Caleb tulący ją pod fortepianem.

Jej doskonały romans. Tuż w sąsiedztwie. Przeganiający jej lęki. A więc dlaczego wciąż czuła strach? Dlaczego...?

Wyobraziła sobie Caleba, jak leży w rowie w Iraku, słyszała jego głos w swojej głowie, łagodny, wzbudzający zaufanie. Tak naprawdę, Boża miłość jest idealna. Bóg nią nas napełnia, abyśmy mogli kochać tak, jak On kocha. A co najważniejsze, dzięki Jego doskonałej miłości mogę Mu zaufać, cokolwiek się stanie.

Tak, *w miłości nie ma lęku, lecz doskonała miłość usuwa lęk.* Ale jej doskonała miłość wcale nie była z Calebem... lecz z Bogiem. Bogiem, który kochał ją miłością doskonałą, nawet gdy jej życie legło w gruzach. Bogiem, który o niej nie zapomniał.

To Bóg przyprowadził jedyne go człowieka, który mógł pomóc jej wyzwolić się z ciemności, do

domu obok. Bóg zaplanował dla niej idealną przyszłość.

Bogu mogła zaufać.

Zakryła usta dłonią.

– Och, Boże, tak Cię przepraszam za mój strach, za to, że trzymał mnie w domu niczym zakładnika, że pozwoliłam, by rządził moim życiem. Chcę się od niego uwolnić. Pomóż mi przestać się bać tego, co znajduje się na zewnątrz, i pomóż mi Tobie zaufać.

Albowiem nie dał nam Bóg ducha bojaźni, ale.. i miłości.

A Issy kochała Caleba.

Włączyła silnik. Czas na zagrywkę, która zmieni wszystko.

Chmury rozstały się. Niebo pokryte pasmami czerwieni powoli ciemniało. Issy opuściła szybę, by wypuścić trochę świeżego powietrza, i wdychała zapachy letniego wieczoru.

Przejechała obok domu Caleba, zawróciła i powoli podjechała do skrzyżowania. Nacisnęła na hamulce, zanim jeszcze dotarła do światła stopu.

Ani jednego samochodu na tym odcinku autostrady, który dzielił miasteczko. Asfalt lśnił na zakręcie i dalej w dół wzgórza, w kierunku szkoły.

Włączyła kierunkowskaz.

Słyszała w głowie echo krzyków, czuła krew matki spływającą po jej rękach.

– Kocham cię, mamo – powiedziała, skręcając i kierując się w dół ulicy.

Zgadza się, tajska restauracja zajęła miejsce knajpki z tacos. Na witrynie stały figurki Buddy. Klub fitnessu przeszedł remont, powiększając swój obszar zajmowany przez bieżnie i orbitreki. A tuż obok znajdował się salon fryzjerski Bree. A więc to tutaj go otworzyła.

Issy przejechała obok Java Cup, gdzie droga rozwidła się i prowadziła do portu. Jezioro, jakby zmęczone, było spokojne. Fale lizały leniwie kamienistą plażę. Słońce zatapiało się w nie coraz niżej, zalewając taflę światłem zmierzchu.

Zdawało się, że całe miasteczko porzuciło swoje obowiązki, by wybrać się na mecz.

Issy minęła sklep rybny, biuro nieruchomości, księgarnio-kawiarnię „U Progu Nieba”. Tak bardzo brakowało jej kawy robionej przez Monę, zapachu nowych książek. Może któregoś dnia.

Już wkrótce.

Skręciła w prawo przy wejściu na teren zespołu szkół, gdzie mieściły się podstawówka, gimnazjum i liceum. Parking był zapełniony samochodami, ale może udałoby się jej wcisnąć swój pojazd niedaleko bramy.

Ryk tłumu trafił prosto w jej serce, rozpalając adrenalinę w żyłach. Issy przełknęła ślinę, by się trochę uspokoić. Udało jej się dotrzeć tak daleko. I nie była pewna, czy ucisk, który czuła, to znak paniki czy... radości.

Zaparkowała pomiędzy karetką a SUV-em, blisko bramy. Wysiadła.

Znajome zapachy, okrzyki, poczucie braterstwa, które wypełniało mieszkańców miasteczka podczas meczu, od razu ją pochłonęły. Upajała się tym, z nadzieją, że doda jej to sił.

Fan Huskies przy bramie nie zapytał jej nawet o bilet, gdy weszła do środka, zaciskając zęby.

Kibice ustawiali się w kolejce przy budkach z jedzeniem. Mecz pachniał pizzą, popcornem... i pączkami serwowanymi przez Lucy.

Issy odwróciła się, nim Lucy mogła ją zauważyć. Nie miała teraz zbyt wiele czasu.

Zamiast tego odnalazła wzrokiem Caleba. Stał na krańcu linii bocznej, pochylony na ostatniej narażdzie z drużyną przed początkowym wykopem drugiej połowy meczu.

Chaos Rozgrywającego. Musiała tylko podpowiedzieć mu zagrywkę, a potem rozplątać się w tłumie. Jak wiele razy podbiegała do ojca podczas treningów, skracając sobie drogę przez pole punktowe?

Wzięła głęboki oddech, spuściła głowę i zaczęła biec.

– Hej! Złaż z boiska!

Gdy się obróciła, zobaczyła, że wskazuje na nią jakiś mężczyzna.

– Tak, ty. Co ty wyprawiasz? Złaż z boiska.

Co ty wyprawiasz?

Nabrała powietrza w płuca i zamarła. Co ona wyprawiała? Spojrzała na trybuny, na te masy ludzi. Wszyscy pewnie się na nią gapią, obserwują, czekają! Issy, pustelnica, poza domem. Issy, córka trenera, ta, która nigdy nie opuściła Deep Haven. Issy, wstyd dla całego miasta.

Ścisnęło ją w piersi. Nie mogła oddychać.

Nie. Nie tutaj. Proszę...

Wyciągnęła ręce, odnalazła palcami mokry grunt, który wyszedł jej naprzeciw.

A w jej głowie rozległo się wycie.

Caleb powinien był powiedzieć drużynie o swoich przejściach już dwa tygodnie temu. Dwa tygodnie przepychanek, dwa tygodnie nieporozumień, dwa tygodnie ukrywania, ile kosztowało go radzenie sobie z bólem i podnoszenie się po każdym upadku.

Czuł uderzenia adrenaliny, widząc, jak jego drużyna wychodzi na boisko. Ryan posłał mu spojrzenie, w którym kryła się stal.

Caleb zainspirował ich. Nieważne, jaki będzie wynik drugiej połowy meczu. Trener zostawi im coś po sobie, coś wartościowego.

Teraz musiał tylko wyznać prawdę komisji szkolnej. Gdy tylko zobaczył szorstki szacunek na twarzy Ryana, zrozumiał: powinien był posłuchać Dana. Oszukiwanie komisji nie miało nic wspólnego z pragnieniem bycia traktowanym sprawiedliwie, lecz wynikało z jego własnej dumy. Był jak Piotr, który odmawiał Jezusowi przyjęcia Jego sposobu życia. Upierając się przy otrzymaniu tej pracy na jego własnych warunkach, nie pokładając wiary w... cóż, w doskonałą miłość Boga do niego. Dlaczego wciąż na nowo musiał uczyć się tych lekcji?

Sędzia położył piłkę na podstawce, po czym wycofał się i unióśł ramię.

Ryan przeskakiwał z nogi na nogę obok niego, paląc się, by wrócić do gry.

Paląc się, by nabrać Brewstersów zagrywką o nazwie Szorstki Jeździec, tą samą, którą Caleb pokazał im z Danem. Tym Caleb też zyskał trochę szacunku.

Może dość, by wygrać mecz.

Rozległ się dźwięk gwizdka, lecz gdy sędzia opuścił rękę, dając znak do wykopu, Caleb usłyszał tłum, ich krzyki, buczenie.

– Zabierzcie ją z boiska!

– Kogo...?

– O nie, to Pani P. – powiedział Ryan. – Co jej się stało?

Issy. Leżała na trawie. Jej bladość była widoczna nawet z tej odległości. Issy zakryła dłonią usta, jakby usiłowała zapanować nad oddechem.

Nie... nie... Caleb spojrział na drużynę, ale Brewstersi byli odwróceny tyłem do Issy i zaczęli już biec w stronę piłki, by ją wykopać.

– Co ona robi? – zapytał Ryan.

Zdawało się, że Issy próbuje się wycofać za pole punktowe. Tam się zatrzymała, podkuliła nogi, objęła się ramionami i zaczęła kołysać.

– Wykonaj tę zagrywkę, Ryan. – Caleb ruszył wzdłuż linii bocznej ze wzrokiem utkwionym w Issy. Co ona tu robi?

Wydawało się, że szuka go, a może tylko miał nadzieję, że go szuka. Ale chyba się poddała. Gdy minął swoich zawodników, zaczął biec. Musiał uważać, szczególnie na mokrej trawie, a widzowie musieliby być ślepi, by nie zauważyć, że utyka.

– Issy!

Rozległ się dźwięk gwizdka, lecz Caleb nie obejrzał się, by patrzeć na grę; nie spuszczał wzroku z Issy. Usłyszał radosne okrzyki i miał nadzieję, że Ryanowi udało się przekazać piłkę.

Przebiegając przez kraniec pola punktowego, odwrócił się.

I nagle świat wykonał fikołka. Caleb poślizgnął się i zahaczył uszkodzoną nogą o słupek, odrywając protezę od kikuta. Bezskutecznie starał się zachować równowagę, lecz murawa była za śliska.

Uderzył mocno o ziemię i przewrócił się na plecy. Upadek pozbawił go oddechu.

Leżał tak, patrząc na ciemniejące niebo i słysząc, jak tłum za nim szaleje.

Szaleje, ponieważ nawet jeśli Issy wyciągnęła do niego rękę, po tym, gdy zorientował się, że otrząsnęła się z ataku paniki, podbiegła do niego i uklękła obok, gdy zauważył, że jego proteza leży pięć stóp od niego na widoku całego miasteczka... Jared Ryan wbiegł z piłką na pole punktowe.

Remis.

dwadzieścia

Issy opadła na kolana obok Caleba, szorując dżinsami po mokrej trawie. Dlaczego uwierzyła, że przyjazd tutaj jest dobrym pomysłem? Że wyjście z domu na świat w jakikolwiek sposób pomoże Calebowi wygrać mecz i zdobyć pracę?

On wcale nie potrzebował jej pomocy. A teraz właśnie z jej powodu na oczach całego miasteczka, na oczach swojej drużyny, upadł, a jego noga...

Gdy się nad nim pochyliła, nie mogła nawet uformować tej myśli.

– Nic ci się nie stało?

Kiwnął głową, odpychając się od ziemi, ale jego mina wyrażała wszystko, gdy Ryan podniósł jego protezę i mu ją podał.

Och, upokorzyła go na oczach całego miasteczka. Przycisnęła dłoń do piersi.

– Tak mi przykro, Caleb. Tak mi...

– Cii, Issy. Nic mi się nie stało. Dzięki, Ryan. – Położył niedbale nogę obok siebie i obrócił się do dziewczyny. – Wszystko w porządku? Co ty tutaj robisz?

– Ja... Och, dlaczego musiałeś tutaj przybiec?

Spojrzał na nią tak, jakby nagle zadała mu pytanie w innym języku.

– Myślę, że wiesz dlaczego. – Dotknął jej twarzy. – Twoje demony nie mogą mnie trzymać z daleka. Mówiłem ci, nie zostawię cię. Bez względu na koszt.

Bez względu na koszt. Spojrzała na jego nogę.

– Pocałuj ją, trenerze! – Ryan wtrącił się do rozmowy, a Issy doszła do siebie na tyle, by zmarszczyć czoło.

Caleb potrząsnął głową.

– Tylko jeśli wygramy.

Wygrana. Tak. Ściszyła głos do szeptu.

– Mój tata przysłała ci zagrywkę.

– Co?

– Tak, on... cóż, on ci kibicuje, Caleb.

– Myślę, że kibicuje Huskies. – Caleb spojrzał na Ryana, po czym wyciągnął do niego dłoń. – Pomozesz swojemu trenerowi dojść do ławki?

Ryan wręczył piłkę Issy, a potem złapał dłoń trenera i podniósł go z boiska. Owinął sobie rękę Caleba wokół ramion, inny gracz zrobił to samo z drugiej strony, i wspólnie go podnieśli.

McCormick wziął protezę, a Issy ruszyła za nimi do ławki.

Krzyki tłumu przycichły do pomruku, lecz teraz publiczność znów zaczęła wznosić radosne okrzyki, chociaż Issy zgadywała, że ludzie nie mieli pojęcia, co się dzieje.

Chłopacy posadzili Caleba na ławce. Podszedł do nich Dan.

– Wszystko w porządku?

– Muszę założyć protezę. A więc...

Drużyna obróciła się plecami do Caleba i stworzyła linię, odgradzając go od wszystkich. Widąc ich twarze, tak spokojne, może nawet dumne, Issy miała ochotę się rozplakać. Nie potrafiła opisać tego, co widziała w ich oczach, ale czuła to samo. To był ich trener.

Zawodnicy dali Calebowi moment, by doprowadził się do porządku.

Podbiegł do nich sędzia.

– Gotowy, trenerze?

Caleb wstał. Złapał Ryana i przyciągnął go do siebie.

– Odbierz im piłkę. Mamy mecz do wygrania.

– Się robi, trenerze.

Światła padały teraz na boisko, kałuże po deszczu na murawie wyglądały jak rozlane złoto. W powietrzu czuć było świeżość, a noc była rześka i jasna. Gdy drużyna Caleba wybiegła na boisko, mieszkańcy podnieśli aplauz. Był remis.

Issy schowała ręce do kieszeni. W brzuchu rozlewało jej się ciepło, gęste i bogate...

Wolność.

Czuła ją; pozwalała jej się przeniknąć. Wolność. Caleb przyszedł po nią, wyciągnął ją na wolność.

Gdy drużyna zajęła miejsca, Issy stanęła obok Caleba.

Spojrzał na nią.

– A więc co teraz, Panienko Niemądre Serce?

Posłała mu szeroki uśmiech.

– Co powiesz na mały Chaos Rozgrywającego?

W momencie, gdy Ryan okrążył atakujących i odebrał podanie od McCormicka, w momencie, gdy Caleb Knight poślizgnął się w polu punktowym i stracił protezę, w momencie, gdy Issy podnosiła się z ziemi, by mu pomóc, Lucy miała ochotę zamknąć sklep z pączkami.

W końcu kiepsko jest oglądać mecz, gdy przelicza się resztę, prawda?

Gdyby tylko nie to ogromne zapotrzebowanie na pączki. W ciągu dziesięciu minut ustawiła się do nich kolejka ciągnąca się aż do końca boiska, a wszyscy wręczali Lucy kupony.

Kupony, które ukradł Seb.

– Skąd go masz? – Lucy zapytała Mindy z biblioteki.

– Jeden z Brewsterów dał mi go w czasie przerwy.

Gracze Seba. Nie wiedziała, co powiedzieć. Zwłaszcza gdy do małej budki wkroczyła Bree w towarzystwie Moniki Rice i Abby Fieldstone.

– Co wy tu robicie?

– Seb powiedział, że trzeba ci pomóc. – Bree sięgnęła po fartuch. – Że przydałyby się ręce do pracy, a jeśli nie pomożemy, to sklep z pączkami może zbankrutować.

Seb tak powiedział?

Monica założyła silikonowe rękawiczki.

– To miasto nie byłoby już takie samo bez Najlepszych Pączków na Świecie. Jestem do twojej dys-

pozycji.

– Serio?

– Gdzie indziej miałybyśmy się spotykać, wymieniać najnowszymi plotkami? Uzupełniać niedobór cukru w organizmie? Najlepsze Pączki to ważny punkt miasta i bardzo by nam go brakowało. – Abby obróciła się do pierwszej osoby w kolejce. – Co podać?

Klient pokazał na dwa ostatnie pączki z lukrem. Abby zaczęła je pakować, podczas gdy Bree przyjęła od niego pieniądze.

– Potrzebujemy kolejnej tacy pączków z lukrem, a w lodówce znajdziesz jeszcze jedną tacę czekoladowych. – Lucy zwróciła się do Moniki. Powiodła wzrokiem po tłumie. – Kto pierwszy, ten lepszy, a jeśli zabraknie nam pączków, będą mogli użyć swoich kuponów podczas Święta Pracy.

– Nie musisz tutaj siedzieć, Lucy – powiedziała Bree, odbierając zapłatę od kolejnej osoby. – Myślę, że Seb chciałby, abyś oglądała mecz.

– Naprawdę?

– Poradzimy sobie. Zainspirowanie Seba Brewstera to teraz prawdziwe wyzwanie. – Bree położyła resztę na dłoni klienta. – Ale z drugiej strony on zawsze czerpał swoją inspirację tylko od pączkowej dziewczyny.

Te słowa wstrząsnęły Lucy, wypełniły ją. Zdjęła fartuch, zwinęła go w kulkę i uciekła z budki. Przepchnęła się przez tłum na linię boczną, akurat by zobaczyć, jak Knightsi stawiają Caleba na nogi – ekhm, na nogę – i znoszą go z boiska na ławkę.

– Czy właśnie odpadła mu noga?

Miała ochotę przywalić facetowi stojącemu za nią, ale nie mogła przecież zaserwować prawego sierpowego każdemu, kto mamrotał to pytanie. Jeden z zawodników niósł protezę Caleba.

– Wielka szkoda, bo byłby z niego dobry trener. – Ze wszystkich ludzi, którzy mogli to powiedzieć, trafiło akurat na Jerry’ego. Zdrajca. – Dobrze, że wciąż mamy Seba.

– Wcale nie, on nie chce tej roboty.

Zorientowała się, że powiedział to Mitch.

– O czym ty mówisz? – zapytała go.

Mitch spojrzał na jej zmarszczone czoło.

– Odrzucił propozycję.

– Dlaczego miałby robić coś takiego? – Nie zamierzała zadać tego pytania z taką mocą i pasją, ale przecież Seb urodził się po to, by grać w futbol. Żył futbolem, oddychał nim i marzył o nim.

Mitch posłał jej enigmatyczne spojrzenie.

– Ty mi powiedz. Stwierdził, że zamierza robić w pączkach.

Lucy spojrzała na Seba, który stał na linii bocznej. Wyglądał jak ojciec jednego z dzieciaków, który przyszedł obejrzeć mecz, bez wątpienia. Ale na pewno nie jak człowiek uzbrojony w plan lub strategię.

To nie była poza trenera Presleya.

– Przepraszam – wymamrotała, przeciskając się przez tłum.

Przyspieszyła, gdy wyminęła ostatnich widzów, i puściła się pędem przez boisko w stronę Seba. Kilku zawodników stłoczonych koło Bama na jej widok zmarszczyło brwi.

Oczy jej się zwęziły, gdy przechodziła obok niego, nawet nie odpowiadając, gdy zawołał ją po imieniu.

Ale słysząc jego wołanie, Seb się odwrócił. Zaskoczenie – a nawet radość – na jego twarzy nie pozostawało.

stało obojętne jej sercu. Och, wiedział, jak sprawić, by dziewczynie zmiękły kolana.

– Lucy, co ty tu robisz?

– Co ty gadasz, że nie weźmiesz tej pracy?

– Nie nadaję się na trenera. Ja... – Złapał ją za ramię, jakby powiedział coś niewłaściwego, i pocałował.

W tym samym momencie jego rozgrywający wypuścił piłkę.

Tłum na ławce naprzeciwno oszalał, ale to i tak było nic w porównaniu do tego, co Lucy czuła, gdy usta Seba dotknęły jej warg i gdy mężczyzna ją przytulił. Przytuliła się do niego.

Wypuścił ją z objęć i uśmiechnął się.

– Zawsze chciałem to zrobić. Marzyłem o tym, by pobiec na linię boczną po zdobyciu przyłożenia i pocałować cię na oczach całego miasta.

Gapiała się na niego.

– Dostałeś w głowę czymś ciężkim?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Coś w tym rodzaju. – Obrzucił spojrzeniem Bama, który wypychał obrońców na boisko. – Nie chcę być trenerem. To nie jest to, czego chcę naprawdę. Chciałem tu wrócić i przejąć stery nad drużyną, bo myślałem, że dzięki temu moje życie znów będzie miało jakąś wartość. Ale... – Przycisnął dłoń do jej policzka. Jego obie dłonie mogłyby zakryć całą jej twarz. – Tak naprawdę pragnę tylko... być z tobą. Robić pączki.

– Chcesz robić pączki?

– No dobra, może niekoniecznie robić pączki. Ale pomóc ci je robić. Być – przewrócił oczami – pączkowym chłopakiem. Jeśli mi pozwolisz.

– Jesteś chory?

– *Ponieważ* – mówił dalej – *podlegam niekiedy w stosunku do ciebie dziwnemu uczuciu, zwłaszcza gdy znajdujesz się blisko mnie, jak teraz; mam wrażenie, że gdzieś w okolicy lewych żeber...*

– Seb!

– *...mam umocowany sznur silnym węzłem spojony z takimże sznurem przytwierdzonym w takimże miejscu u ciebie*[\[18\]](#)...

Och, Seb. Zakryła mu usta dłonią.

– Twoja drużyna się na nas gapi.

– To drużyna Caleba. Moja siedzi na trybunach. – Odsunął jej dłoń i splótł swoje palce z jej. – Mam wspaniały pomysł, Lucy. Widzisz, myślę, że możemy uratować twój sklep, jeśli pozwolisz mnie i mojej drużynie sobie pomóc.

– Kim jesteś? Co się stało z Sebanatorem?

– Przeszedł na emeryturę.

A gdy spojrzała mu w oczy, dostrzegła tylko szczerzość.

– Seb, nie chcę, żebyś to dla mnie robił. Nie chcę... Nie chcę być odpowiedzialna za twoją rezygnację z marzeń...

– To nie jest moje marzenie.

– Nie jesteś kimś, kto się poddaje.

Wzdrygnął się, ale ona nie odwróciła spojrzenia.

– Nie. Nie, nie jestem – przyznał. – Ale to już nie jest moje marzenie. – Przejechał kciukiem po jej policzku. – Ty nim jesteś. I zawsze nim byłaś. Nie wróciłem do Deep Haven, aby zostać trenerem.

Wróciłem do ciebie.

– Do mnie?

– Tak. Sprowadziłaś mnie do domu.

Wtuliła policzek w jego dłoń. Sprowadziła złotego chłopca do domu.

– A więc wyświadcz mi teraz przysługę.

– Cokolwiek sobie zażyczysz.

– Chcę, żebyś wygrał dla mnie jeszcze jeden mecz.

Spojrzał na nią, a potem na boisko. Uniósł dłoń do sędziego.

– Przerwa!

Caleb miał ochotę zejść – lub w jego przypadku odkuśtykać – z boiska i pójść do domu. Albo do granicy stanu. Oczywiście przyklejony uśmiech nie schodził mu z twarzy, gdy spoglądał na Issy, ale...

Całe miasteczko widziało jego upadek. A teraz mieszkańcy patrzyli, jak drużyna Brewstera rozgniatła ich na miazgę.

Mógł sobie tylko wyobrażać, co właśnie mówili do siebie członkowie komisji szkolnej.

– To zmyłka! Nie rozpraszać się! – Powstrzymał się przed ciśnięciem notatnika o ziemię. Drużyna Seba zdobyła mnóstwo jardów. Knightsi mieli ich na linii dwudziestu ośmiu jardów, ale przy mniej niż dwóch minutach, które pozostały na zegarze, Seb mógł wykonać kop na bramkę i wygrać mecz.

A wtedy Caleb mógłby zacząć pakować manatki.

Albo zetrzeć siekacze na proch, myśląc o swoim lądowaniu na murawie, widząc przybliżający się w zwolnionym tempie grunt, czując zimne powietrze na kikucie.

Powinien był założyć protezę sportową. Ale jego duma oczywiście zagłuszyła zdrowy rozsądek. Jak w ogóle mógł pomyśleć, że posiadanie sekretów jest dobre.

Ale musiał mieć dla siebie nieco uznania za to, że stał na linii bocznej przez całe dwie kwarty, chociaż jedyne, czego pragnął, to rozpląnąć się w ciemnościach, które zstąpiły na boisko.

Gdyby nie Issy, może by to zrobił. Issy stała obok niego jak cheerleaderka, wrzeszcząc, zagrzewając do boju. Wierzyła w niego i w jego drużynę.

Był jeszcze Ryan, który wykonywał każdą zagrywkę najlepiej jak potrafił. Och, gdyby Caleb miał jeszcze z dwa tygodnie z tymi chłopcami, to szarże wychodziłyby im perfekcyjnie; nie wypuszczaliby piłki z rąk. Miesiąc i mogliby czytać sobie w myślach. W przyszłym sezonie może nawet wygraliby w swojej lidze. No dobrze, to może ambitne założenie, ale...

– Reverse! Reverse! – krzyczał nazwę zagrywki.

Dzięki, Merritt. Obrona wprasowała zawodnika z piłką w linię wznowienia gry.

A Seb wprowadzał na boisko drużynę, która mogła wykonać kop na bramkę.

– Wow, ten Riley ma naprawdę niezłe kopnięcie. Będzie świetny w formacjach specjalnych. – Issy spojrzała na Caleba, gdy piłka pofrunęła pomiędzy słupami, dodając Knightsom trzy punkty.

A patrzyła na niego tak... Naprawdę, wyobrażał sobie ten moment, ona przy jego boku na linii bocznej. Chociaż, szczerze mówiąc, wolałby, aby siedziała na trybunach, bo jej obecność sprawiała, że się denerwował, a wiatr, który przynosił jej zapach, bardzo go dekoncentrował. No i musiał trzymać wolną rękę w kieszeni, by powstrzymać się od odgarniania włosów z jej twarzy. Może nawet od zaplece-

nia sobie jednego z kosmyków wokół palca.

Caleb zgodził się z nią i popatrzył przez boisko na Brewstersów. Seb w kręgu zawodników, pozostali trenerzy obok niego. Lucy stała za nimi na ławce.

Sześć do dziewięciu dla Brewsterów. Na zegarze pozostała minuta czterdzieści dziewięć.

Knightsi wprowadzili wykopem piłkę na linię czterdziestu ośmiu jardów.

– Co mamy robić, trenerze? – spytał Ryan, strzelając zapięciem od kasku.

Caleb podał im standardową zagrywkę przez środek linii. McCormickowi może uda się zdobyć dwa jardy.

– Dlaczego to robisz? – spytała Issy. – Masz mniej niż dwie minuty. Wykonaj *flea-flicker* albo *reverse*. Musimy ich nabrać. Sytuacja zaczyna być desperacka.

Desperacka, tak. Ale Caleb już nie miał w rękawie sztuczek mogących odwrócić bieg meczu.

– Może *draw*?

– Nie znają jeszcze tej zagrywki.

– A co znają?

– Same podstawy.

– Może jakaś akcja biegowa?

– A może sam zacznę decydować o swoim meczu?

Zrobiła przeproszącą minę, gdy Knightsi zyskali dwa jardy.

Zdecydował się na akcję biegową, ponieważ Issy miała rację. McCormick zyskał jeszcze pięć jardów.

Mniej niż minuta do końca, a Knightsi utknęli na linii czterdziestu pięciu jardów, wciąż za daleko, by wykonać kop na bramkę.

Nie miał nic w zanadrzu. Potrzebowali jakiejś oszukańczej zagrywki, która całkiem wytrąciłaby drużynę Seba z równowagi, ale podczas minutowej przerwy nie mógł im pokazać niczego, co potrafili by wykonać z sukcesem.

– Przegramy ten mecz, Issy – wyszeptał. – Przepraszam.

Spojrzała na niego, a wyraz jej twarzy całkiem przegonił ryk tłumu z jego myśli.

– Użyj zagrywki mojego taty.

Nie. Gdy tylko wspomniała o tej szalonej zagrywce, wiedział. Nie mógł jej użyć, jeśli chciał, by ktoś traktował go poważnie. Chaos Rozgrywającego? Tylko jeden trener mógł wymyślić coś takiego i nie stać się pośmiewiskiej całej ligi futbolowej. To była zagrywka Presleya, nie jego.

– Nie, Issy. Nie mogę tego użyć.

– Dlaczego nie?

– Po pierwsze, to zagrywka twojego taty...

– Podsunął ci ją, żebyś jej użył.

– A po drugie, to szaleństwo. Jest w ogóle legalna?

– Och, jest legalna. Obiecuję, że jest, bo gdy mój tata dzięki niej wygrał, sędziowie ligi przyjrzeni jej się bardzo dokładnie. Wygrasz.

Spojrzał na Ryana, który czekał na sygnał od niego.

– Nie chcesz wygrać?

Caleb zaczerpnął powietrza.

– Nie w ten sposób.

– Dlaczego nie?

Potrząsnął głową.

– Bo ludzie pomyślą, że..

– Że potrzebujesz pomocy. Że to firmowa zagrywka mojego taty i że czujesz się słaby, bo prosisz mojego tatę o pomoc, a całe miasteczko będzie to widzieć.

Odwrócił od niej wzrok.

– Słuchaj, mój tata przekazał ci tę zagrywkę, ponieważ w ciebie wierzy i chce, żebyś wygrał, Caleb. Przyjmij jego dar. Pozwól mu tobie pomóc.

Jeśli cię nie umyję, nie będziesz miał udziału ze Mną.

Caleb znów spojrział na Ryana, który wyglądał na zdesperowanego, popatrując na zegar. Zarządził przerwę.

Seb musiał przyznać, że na żadnym na meczu nie bawił się aż tak dobrze. Kiedy jeszcze grał, zdawał się być kłębkiem nerwów; był sparaliżowany. Nawet gdy jego drużyna wygrywała, węzeł rozplątywał się powoli i dopiero gdzieś koło niedzieli Seb mógł znów oddychać.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj oglądał futbol jak zwykły kibic, czując w kościach podekscytowanie meczem. Tak, podobała mu się linia boczna, zwłaszcza gdy jego chłopcy walczyli o zwycięstwo. Zasłużyli na te trzy punkty.

Właściwie to mógł być jego ulubiony mecz w życiu. Zwłaszcza że miał przy boku Lucy, która stała na ławce za nim i dopingowała drużynę. Moment jak ze spełnionego snu.

Knight poprosił o przerwę, a Seb przywołał swoją drużynę na naradę.

Porwali butelki z wodą od Lucy, a Seb kucnął przed nimi.

– Przeniesiemy Johnsona na pozycję obronną. Tamci potrzebują tylko trzech jardów do pierwszej próby, ale kończy im się czas, więc na pewno będą próbowali długiego podania. Pięciu obrońców z tyłu powinno ich powstrzymać.

Lucy wcisnęła się do koła.

– Darmowe pączki dla całej drużyny, jeśli ich zatrzymacie, chłopcy.

I właśnie dlatego nie mógł być trenerem. Przy takiej zachęcie jego gracze zrobiliby wszystko.

– Zatrzymajcie ich, chłopcy – powtórzył i odesłał ich na boisko.

– Od kiedy taki z ciebie maniak futbolu? – zapytał Lucy.

– Zawsze byłam maniakiem futbolu. – Uśmiechnęła się szeroko. – Dalej, Brewstersi!

Tak, mogłoby mu się podobać bycie trenerem z Lucy dopingującą go na trybunach. Ale jeszcze lepiej byłoby siedzieć obok niej, trzymając jej drobną dłoń w swojej. Nie potrzebował więcej chwały.

Knightsi ustawili trzech skrzydłowych po jednej stronie. Obrona Seba odpowiednio się przesunęła. Ryan stanął na linii i pochylił się, przygotowując się do zagrania rozpoczynającego.

Lecz nagle Ryan wyprostował się i krzyknął do Caleba:

– Trenerze! McCormick nie zna tej zagrywki. Trenerze!

Scena rozgrywała się przed oczami Seba, a było w niej coś znajomego, coś, co nie dawało mu spokoju, ale nie potrafił dość szybko znaleźć słów.

Ryan zaczął biec truchtem w kierunku linii bocznej, jakby chciał porozmawiać z trenerem.

Oślupiała obrona wyprostowała się, rozluźniła.

Nie... nie... Stójcie!

Seb otwierał usta, gdy biegacz krzyknął, a zawodnik z centrum podał mu piłkę, rozpoczynając grę. Ryan popędził jak strzała w kierunku pola punktowego.

Seb wreszcie odzyskał zdolność mowy i prawie wbiegł na boisko, gdy – razem z Bamem i DJ'em, którzy też rozpoznali tę zagrywkę – zaczął krzyczeć:

– To oszukańcza zagrywka! Podanie! Podanie!

I McCormick faktycznie podał piłkę – daleko, prosto w niebronione ramiona Jareda Ryana. Ten przycisnął ją do ciała i wbiegł bez przeszkód w pole punktowe.

Chaos Rozgrywającego. Mistrzowska zagrywka trenera Presleya.

I tak jak dziesięć lat temu, tłum oszalał. Dopadła go prawdziwa gorączka, gdy do kibiców dotarło – tak jak do Bama, DJ'a i nawet Seba – że trener Presley podarował swoją zwycięską zagrywkę Calebowi Knightowi.

Prawowitemu nowemu trenerowi Huskies.

Zegar pokazał koniec czasu i drużyna Caleba rzuciła się do swojego trenera. Po raz drugi tego dnia przenieśli go na rękach po boisku.

Seb chwycił dłoń Lucy, gdy siedzieli razem na ławce, patrząc, jak jego drużyna podbiega do Caleba, jak trybuny pustoszeją, jak światła mrugają nad wysłużoną murawą.

– Wspaniały mecz, Seb – powiedziała Lucy ze słodkim uśmiechem. Jego postać odbijała się w jej źrenicach.

Tak, był wspaniały.

[18] Cytat z *Dziwnych losów Jane Eyre*, w tłumaczeniu Teresy Świdorskiej.

dwadzieścia jeden

Wszystko oczywiście miało sens. Caleb w żadnym razie nie mógł winić Mitcha za to, że ten pojawił się na jego progu, z rękami w kieszeniach, mówiąc:

– Przykro mi, Caleb. To nie wypali. Ani pozycja trenera, ani nauczyciela.

Nie dodał nic więcej, ale Caleb sam domyślił się reszty.

Komisja szkolna rozpisała sobie ograniczenia niepełnosprawnego trenera oraz obliczyła koszt dodatkowych ludzi, których by potrzebował, aby wykonywać swoją pracę. A później po prostu wyrzucili jego podanie o pracę do kosza.

Mógł z nimi walczyć w sądzie, pewnie nawet i wygrałby, powołując się na dyskryminację. Ale tu nie chodziło o jego nogę. Nie powinien był kłamać. Nie, nie ukrywał swojej sytuacji, ale też jej nie ujawnił.

Nikt jednak nie mógł mu odebrać poczucia triumfu, gdy widział, jak Ryan wbiega z piłką w pole punktowe, zdobywając sześć punktów. No i nigdy nie zapomni widoku oszalałego Seba po drugiej stronie boiska, gdy rozpoznał zagrywkę Presleya.

Może i Seb dostanie posadę trenera, ale Caleb zabierze ze sobą podziw, który dostrzegł w oczach swoich zawodników.

Następnym razem – jeśli będzie jeszcze jakiś następny raz – wyłoży wszystkie karty na stół od razu, a i tak udowodni, na co go stać. Podrapał Rogera za uchem i pozwolił psu polizać się po twarzy.

– Będziesz się mną opiekował, okej, chłopie? Nim to wszystko przemyślę.

Przełknął gulę w gardle na wspomnienie dłoni Issy schowanej w jego dłoni. Uśmiechała się do niego, gdy wybrał ostatnią zagrywkę.

W tamtej chwili, gdy stał na mokrej trawie, słuchał ryku tłumu, widział, jak jego drużyna rzuca się z radości na Ryana, czuł, że... przynależy do nich. Drużyna podbiegła do niego, uniosła go w powietrze. Gdy klepał ich po kaskach i upajał się ich szczęściem, wiedział, że mógł stać się częścią tego miasteczka. Częścią tej społeczności.

Częścią tego życia.

I częścią życia Issy.

Kiedy wychodził ze szkoły, ona zdążyła już sobie pójść. Gdy wrócił do domu, zobaczył w jej oknie światło. Zdążył na ostatnie pięć minut programu i o mały włos nie zadzwonił z pytaniem: *Hej, Panienko Niemądre Serce, mogę do ciebie wpaść? Pooglądalibyśmy razem gwiazdy.*

Zamiast tego obejrzał nagranie z meczu, opracowując ćwiczenia i wskazówki dla zawodników na kolejny trening. Łudząc się niemądrze, że komisja szkolna jednak wybierze jego.

Po raz ostatni podrapał psa po obwisłym policzku. Wynajął dom do końca długiego weekendu ze Świętem Pracy, a później może przeniesie się do brata i skorzysta z jego oferty wolnej kanapy. Znaj-

dzie jakąś pracę, by przeżyć do wiosny, kiedy znów będzie mógł zacząć szukać zajęcia jako trener futbolu.

Gula w jego gardle prawie go udusiła.

Gdyby miał tu pracę, mógłby zostać, być sobie po prostu nauczycielem psychologii. Może.

Roger podniósł cielsko i zaczął piszczeć przy drzwiach, pragnąc wyrwać się na wolność. Caleb wstał z kanapy. Kolano po wczorajszym wypadku spuchło mu tak bardzo, że zdecydował się na kule.

Podskoczył do drzwi i otworzył je, by wypuścić Rogera.

– Powiedz jej ode mnie cześć.

– Powiedzieć cześć komu?

Seb stał na progu we własnej osobie, niezwyknięty, w czarnym T-shircie, krótkich bojówkach w kolorze khaki i butach do biegania. Zszedł z drogi Rogerowi, który pognał w siną dal.

– Hej, mój kolega miał kiedyś takiego wielkiego psa. Przychodził spać na mój ganek, gdy był szczeniakiem.

– To nie mój pies. Przyplątał się.

– Zabawne. Wygląda zupełnie jak Weatherby. Ale on zginął, gdy byłem w ostatniej klasie liceum. Całe miasteczko pograżyło się w żałobie. Wszyscy znali Weatherby'ego. Pojawiał się na progu i mógł zalizać cię na śmierć. Mówiliśmy, że pełni funkcję komitetu powitalnego Deep Haven.

– Nie wiem, do kogo należy Roger. Przychodzi czasem i karmię go. A potem idzie do domu Issy. – W rzeczy samej, pies zniknął gdzieś za płotem Issy, pewnie znów tworząc sobie prywatne wejście.

– Wczorajszy mecz był świetny. – Caleb ugryzł się w język, by nie powiedzieć więcej, nie dać dojść do głosu temu, co go gryzło: *Przyszedłeś się chełpić?*

Ale rozumiał to, naprawdę. Kto nie chciałby trenera, który należał do drużyny podczas jej dni chwasty, trenera, który potrafił zainspirować... a nawet pomóc temu miasteczku zaleczyć rany po Presleyu?

Seb był idealnym wyborem. Caleb prawie już wyciągał dłoń, by złożyć mu gratulacje, gdy Seb przyblokował drzwi z siatki nogą i splótł ręce na piersiach.

– Ledwo daliśmy radę. Odwaliłeś kawał dobrej roboty, by doprowadzić swoich chłopaków do formy.

– Pracowali bardzo ciężko, ale masz w swojej drużynie prawdziwe talenty. Ręce tego Samsona?

Wow.

Seb pokiwał głową.

– Będzie się u ciebie świetnie sprawował. – Wypowiedział te słowa tak naturalnie, tak szczerze, że Caleb oniemiał.

– Co? Nie dostałeś tej pracy. Nie dali jej tobie? – zapytał po chwili z niedowierzaniem.

– Nie chciałem jej. Ja... cóż, nie jestem trenerem. Uwielbiam ten sport i chętnie pomógłbym przy ćwiczeniach, może nawet pracowałbym jako koordynator ofensywy. – Wzruszył ramionami. – Ale nie jestem właściwym trenerem dla Huskies.

A więc skoro nie dali tej pracy Sebowi...

Po prostu go nie chcieli.

Caleb wypuścił powietrze z płuc, czując, jak ten oddech rani go od środka. Nie chcieli go.

Chciałaby zrzucić winę na swoje blizny, niepełnosprawność, ale najwyraźniej...

Nie chcieli właśnie jego.

W szczęście Seba zadrżał miesiąc.

– Nie dali ci jej? – Caleb potrząsnął głową. Seb spoważniał. – Jesteś świetnym trenerem, Knight. Naprawdę mi przykro. Nie wiem, czemu...

– Ale ja wiem. – Caleb wzruszył ramionami. – Nie powinienem był unikać prawdy. Powinienem był im powiedzieć. – Spojrzał na uciętą nogę, na materiał spodni wiszący bezwładnie pod kikutem.

– Niby dlaczego? Nie widzę nic złego w tym, że chciałeś się sprawdzić. Powinienem był starać się mocniej, aby pokazać, na co mnie stać, a nie jechać tylko na dawnej chwale numeru dziesięć. Dałeś z siebie wszystko i prawda jest taka, że wszystkim nam przydałoby się mieć w sobie trochę z Caleba Knighta.

Mogłaby mu się podobać gra dla Sebanatora.

– A więc co teraz? – spytał Seb.

– Mam brata w mieście. Użyczy mi miejsca na sofie.

Seb zmrużył oczy.

– Nie wydaje mi się.

Odpowiedź zajęła Calebowi chwilę.

– Nie mam pracy, Seb.

– Ja też nie. Ale mam dziewczynę. – Wyszczrzył się do niego. – I o ile się nie mylę, ty też. Chyba że to nie Issy stała z tobą wczoraj na bocznej linii?

Zauważył, że Seb taktownie nie wspomniał o katastrofie w polu punktowym.

– Wiesz, miała zasadę, by nie umawiać się z graczami w futbol. – Seb mrugnął do niego. – Nie poddawaj się tak łatwo.

Nie zostawię cię, Issy.

Och, chciałby zostać, ale nie w miasteczku, które go nie chciało, w miasteczku, które go nie potrzebowało.

Seb zajrzał do środka domu.

– Gdzie twoja noga?

– A co?

– Przyda ci się. Potrzebuję pomocy przy pewnym przedsięwzięciu.

Ton głosu Seba zmienił się i przez moment Caleb wyobraził sobie, że znów pochyła się do narady i otrzymuje zagrywkę.

– Co to za przedsięwzięcie?

– Moja drużyna i ja robimy okienko w sklepie z pączkami. Taki mały prezent dla Lucy.

– Twoja drużyna?

– Kilka osób z miasteczka. Zastanawialiśmy się, czy nie chciałbyś pomóc.

– Nie sądzę, bym był bardzo pomocny, skoro mam, cóż, tę okrojoną nogę.

Seb przewrócił oczami.

– Też mi wymówka.

Caleb cofnął się, zapraszając gestem Seba do środka.

– Możemy liczyć na jakieś pączki?

– Kto wie.

Caleb spojrział na wspaniałe niebo, na biały samochód na podjeździe, na dom Issy, cichy i pograżony w ciemnościach.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– W porządku, trenerze. Witamy w drużynie.

Issy czuła zwycięstwo w powietrzu sobotniego poranka, w jasnym świetle nagrzewającym ganek, w zapachu świeżo skoszonej trawy na trawniku domu naprzeciwko. Wszystko zdawało się żyć futbolem.

A dzisiaj pójdzie odwiedzić ojca. Wczorajszy mecz ożywił w jej wnętrzu coś, co od dawna uważała za martwe. Obraz siebie jako kobiety zdeterminowanej, silnej, takiej, jaką kiedyś była.

Kobiety, jaką jeszcze będzie.

Zastanawiała się, czy nie poprosić Caleba, by jej towarzyszył, ale może tę podróż powinna odbyć sama.

Poza tym, jeśli była w stanie pojechać do szkoły dla Caleba, to będzie też mogła udać się do centrum opieki, by zobaczyć się z ojcem, prawda?

Być może wszyscy odnieśli jakieś zwycięstwo po wczorajszym meczu.

Włączając w to Lucy.

– Nie chciałam zabrać ze sobą podręcznika – powiedziała Lucy, przychodząc do niej z przeprosinami, kiedy Issy skończyła audycję. Już dawno powinna być w łóżku. – Ani opowiadać ci kłamstw.

– Mogłaś mi powiedzieć, że przespałaś się z Sebem. Zrozumiałabym.

– Wstydziałam się tego. Zwłaszcza po historii z Bree. Nie mogłam nikomu o tym powiedzieć.

Lucy siedziała na huśtawce na tarasie, a Issy słuchała, gdy przyjaciółka opowiadała jej, jak zaczęła sypiać z Sebem tamtego lata, pierwszy raz na plaży po Pikniku Rybackim. Nic dziwnego, że Lucy nie znosiła tego święta. Nic dziwnego, że sprawiała wrażenie pogrążonej w żałobie, gdy rozstała się z Sebem.

– Próbowałam udawać, że to nie miało żadnego znaczenia – przyznała, trzymając nogi przyciągnięte do klatki piersiowej. – Ale nie mogłam. Czułam się brudna. I głupia. Jakbym oddała się komuś, komu na mnie nie zależało.

Issy siedziała obok niej, obejmując ją ramieniem.

– Wszystkich nas mogłaby uwięzić przeszłość, gdyby nie doskonała miłość Boga.

Siedziały tak razem, licząc gwiazdy, aż Lucy stwierdziła, że musi iść do pracy.

Issy poszła do łóżka i przez całą noc przewracała się z boku na bok.

Lucy. Seb.

Caleb.

Lubiła Seba. Naprawdę. A skoro Lucy potrafiła mu wybaczyć, to może ona też. Ale jak komisja szkolna mogła dać tę pracę Sebowi?

Zwłaszcza że Seb wcale jej nie chciał. Co oznaczało, że komisja po prostu nie mogła przeboleć faktu, że przez Caleba wyszła na głupią. Zaufali mu, a on ich oszukał.

Ale wygrał mecz.

Wygrał mecz i podbił serca swoich graczy.

Serce dziewczyny z sąsiedztwa.

Skoro więc naprawdę wierzyła w doskonałą miłość Boga, musiała Mu zaufać co do pracy Caleba. Co do jego przeszłości. Tak jak ufała Bogu, gdy chodziło o jej własną przyszłość.

Wzięła głęboki oddech, stojąc w garażu, z kluczykami w ręce. Znalazła dzisiaj nowy werset. Księga Izajasza 41,13: *Albowiem Ja, Pan, twój Bóg, ująłem cię za prawicę, mówiąc ci: „Nie lękaj się, przychodzę ci z pomocą”*.

Wsiadła do samochodu, pomodliła się, przekręciła kluczyk w stacyjce i pojechała do centrum opieki bez ani jednego ataku paniki po drodze.

Issy nie wyobrażała sobie, że budynek będzie wyglądał tak radośnie, otoczony doniczkami bodzisz-

ków po obu stronach drzwi. Nad nimi wisiała flaga, powiewając zapraszająco.

Odetchnęła głęboko. Pełną piersią, nie czując klucia. Weszła do środka i zatrzymała się przy recepcji.

Jacqueline spojrzała na nią. Uśmiechnęła się.

– Sala 212 – powiedziała i wróciła do pracy, jakby Issy była tu ledwie wczoraj.

Issy poszła korytarzem i bez trudu znalazła właściwy pokój. Dochodziły z niego śmiechy, głosy, mało tego: radosne okrzyki i gwizdy, odgłosy meczu futbolowego.

Nabrała powietrza w płuca.

– Widzimy się jutro, trenerze. – Pastor Dan wyszedł z pokoju i prawie się z nią zderzył. Odskokzył od niej. – Issy. Hej.

Zza niego wyszedł Bam. Spojrzał na nią, uśmiechnął się do niej lekko i poszedł dalej korytarzem.

– Co tu się dzieje? – zapytała.

Z pokoju wysypało się kilka innych osób. Jedną z nich była Diann ze szkolnej biblioteki. Poklepała ją po ramieniu, jakby Issy wciąż była uczennicą.

– Improwizowana narada komisji szkolnej.

– Naprawdę? Dlaczego?

Dan uśmiechnął się.

– Twój tata poprosił o przerwę i ściągnął nas tutaj, by nauczyć nas tego i owego.

Mitch wyszedł z pokoju.

– Hej, Issy. Wczoraj był dobry mecz. Pewnie nie damy rady cię namówić, abyś zajęła się cheerleaderkami? Przynajmniej tak długo, jak będziesz na boisku. – Puścił do niej oko.

– Co się dzieje?

– Twój tata poprosił nas, byśmy przemyśleli kandydaturę trenera Knighta. Powiedział nam, że to ten jedyny.

Ten jedyny. Tak.

– Mam nadzieję, że zobaczę cię w niedzielę w kościele. – Dan ścisnął ją za ramię i odszedł.

Jedno publiczne spotkanie naraz wystarczy, dziękuję bardzo.

I jedno prywatne też. Odetchnęła głęboko i zapukała.

– Tato?

Och... och... Widok ojca był jak uderzenie pięścią w twarz. Tata leżał na łóżku; człowiek, którym kiedyś był, przeminął, zostawiając po sobie jedynie kości pamięci. Wielkie dłonie, w których mógł ukryć piłkę, spoczywały bezwładnie wzdłuż ciała. Niegdyś szeroka klatka piersiowa, z której wykrzykiwał nazwy zagrywek i kłócił się z sędziami, gdy popełnili błąd, była zapadnięta. Stracił większość włosów, a z szyi wystawała rurka, dzięki której mógł oddychać.

Issy wiedziała, w jakim był stanie, oczywiście, ale nie sądziła, że czas i rany zabiorą mu tak wiele.

Och, powinna była tu przyjść lata temu. Ta niemoc nią zawładnęła, pozbawiła ją tchu, wywołała w jej wnętrzu czarny wir.

Nie bój się. Jestem tu, aby ci pomóc.

Ojciec powiódł po niej wzrokiem.

– Isadora. – Jej imię opuściło jego usta jakby z ulgą, lub po prostu tęsknotą. Tym jednym słowem przyciągnął ją z powrotem.

Albowiem Ja, Pan, twój Bóg, ująłem cię za prawicę.

– Tato. – Podbiegła do niego i wtuliła twarz w jego pierś. Pomimo szpitalnych zapachów rozpoznała

go, naturalny zapach jego skóry, siłę, spokój. – Och, tato.

– Issy. – Znów wyszeptał jej imię, a ona uniosła na niego wzrok. Ujęła jego twarz w dłonie i odnalazła jego spojrzenie.

Był właśnie tu. I w tych szaroniebieskich oczach rozpoznała samą siebie – silną, piękną, wytrwałą. A więc tutaj się zapodziała.

– Udało ci się – powiedział zachrypniętym głosem.

Z kącika oka wypłynęła mu łza, a Issy starła ją kciukiem.

– Udało mi się. – Zatopiła się w jego uśmiechu, który odciągał ją od przepaści strachu. Albo żalu. –

Przepraszam, że zajęło mi to tak długo.

– Wiedziałem, że ci się się uda... któregoś dnia.

Pogłaskała go po twarzy. Jej znajomy kształt wypełniał wszystkie bolące miejsca.

– Tato, tak bardzo mi ciebie brakowało.

– Wiem. Mi ciebie też.

Spojrzała na telewizor.

– Akurat na dwie minuty przed końcem meczu. Poczekaj, aż zobaczysz zagrywkę, która przyniosła nam zwycięstwo.

Mrugnął do niej.

Ułożyła głowę na jego ramieniu, wsunęła palce do jego nieruchomej dłoni. Słuchała bicia jego serca. Silnego. Stałego.

Tata.

Słyszała za sobą okrzyki radości – pewnie jej samej – gdy Ryan podbiegł do linii bocznej, wrzeszcząc: „Trenerze! McCormick nie zna tej zagrywki! Trenerze!”

– Uwielbiam tę zagrywkę – powiedział cicho ojciec. W jego słowach czaiła się cała masa wspomnień. – Trzeba mieć mnóstwo odwagi, by jej użyć.

Spojrzała mu w oczy.

– Dziękuję, że mu ją dałeś. Wiem, że tutaj był, że się spotkaliście. Jest taki odważny. I jest dobrym człowiekiem.

– Bóg... go tu przysłał.

Skinęła głową na potwierdzenie.

– Myślę, że było mu przeznaczone się tu zjawić, tu, w tym miasteczku. Może zacząć tam, gdzie ty przerwałeś...

– Nie.

Jego słowa pozbawiły ją tchu, pomimo łagodności, z jaką zostały wypowiedziane. Ale czy nie dał przecież Calebowi...?

– Niech zacznie od nowa. Nowy trener. Nowa drużyna. Drużyna Knighta.

Och. Położyła dłoń na jego mokrym policzku.

– No nie wiem, tato. To miasteczko potrzebuje też ciebie.

Wciągnął powietrze i oparł twarz na jej dłoni.

– Jeszcze nie umarłem, Issy.

Oparła czoło o jego czoło, a potem je pocałowała.

– Ja też nie.

Już nie. Chciała żyć, iść ku światłu, żyć z Bogiem i z Calebem.

W miłości doskonałej.

Właściwie mogła teraz nadać inną nazwę swojej audycji. „Nigdy Więcej Niemądrego Serca”. Choć wciąż wydawało jej się niemądre, że Caleb ją kochał, z jej wszystkimi ranami, lękami, nieprzewidywalnością. Ale może właśnie taka była miłość – niemądra. W końcu Bóg kochał najbardziej niemądre ze wszystkich. Przyszedł na ten mroczny świat, by uratować ludzi, którzy mogą Go nigdy nie pokochać z wzajemnością.

Może właśnie niemądre serce było sercem doskonałym.

– Obejrzyjmy mecz. – Jej ojciec spojrział na telewizor. Widziała, blask w jego oczach, gdy drużyna znosiła Caleba z boiska.

Zwycięstwo.

epilog

– To najlepsze miasteczko na świecie. Hamburgery z łosia. Chyba jestem w niebie.

Issy zaśmiała się. Caleb w jednej dłoni dzierżył hamburgera, a drugą trzymał jej dłoń, splatając ich palce ze sobą. Jak mogłaby nie kochać mężczyzny, który nie puszczał jej ręki nawet, gdy jadł hamburgera... a raczej łosioburgera, oficjalnej kanapki na coroczny weekend Łosiowego Szaleństwa w Deep Haven.

– Dzięki, DJ – udało się wyartykułować Calebowi między kolejnymi gryzami.

– Niezły trening w piątek. – DJ miał na sobie papierową czapkę i fartuch z napisem „Elks”.

– Dzięki za pomoc. – Caleb cofnął się o krok, gdy kropla keczupu upadła na chodnik, dołączając do kolażu plam z napojów gazowanych, kukurydzy i lodów. – Zaprezentujemy się dobrze przeciwko Elroyowi w ten piątek. Widzimy się na treningu.

Dokończył kanapkę i sięgnął po serwetkę, wciąż nie puszczać dłoni Issy.

– To niemądre, Caleb – powiedziała Issy, starając się wyrwać. To, że zaczął pojawiać się na jej terapii z Rachele i nauczył się paru technik, by pomagać jej z atakami paniki, nie znaczyło jeszcze, że musiał trzymać ją za rękę cały czas.

– Hej, chcesz, żebym się potknął i wyłożył jak długi na środku ulicy? Zmiłuj się nade mną. – Uśmiechnął się do niej szeroko, gdy pokręciła głową. Jak gdyby potrzebował jej pomocy. Wciągał na nogę swoją sportową protezę, jeszcze zanim Mitch i inni członkowie komisji szkolnej ponowili ofertę pracy i mianowali go głównym trenerem drużyny Huskies. Ze swoją cudowną protezą Caleb nie potrzebował, by trzymała go za rękę.

Ale nie będzie się spierać. Chodzić po miasteczku ręką w rękę z najprzystojniejszym mężczyzną w Deep Haven? Żaden problem.

I musiała przyznać, że potrzebowała go mieć przy sobie, zwłaszcza że pół godziny zajęło jej przygotowanie się do stawienia czoła tłumom z okazji Łosiowego Szaleństwa. Ale jednak przysłała. Każdego dnia wychodziła w świat coraz dalej. A dzisiejszego wieczoru odbędzie się pierwszy w historii odcinek „Mojego Niemądrego Serca” nagrany na świeżym powietrzu, na tarasie Najlepszych Pączków na Świecie.

Issy bała się troszkę, co też Seb doda następnym razem. Może sklep z pamiątkami? Już widziała koszulki oraz kubki na sprzedaż.

Pozwoliła, by Caleb prowadził ją Main Street pomiędzy tłumami turystów kupujących watę cukrową i artystów prezentujących swoje wyroby w niebieskich namiotach. Dzięki nowemu pączkowemu okienku w sklepie Lucy sprzedawała tony pączków. A zbudowała je oczywiście drużyna Deep Haven Huskies. Seb zajął pozycję rozgrywającego, by pokonać Bama w jego własnej grze. A w centrum całego zgiełku stał Caleb, przeglądając projekty, kierując ruchem i coraz lepiej poznając mieszkańców.

Dzieci bawiły się, rzucając kamienie do jeziora, kaczki kołyszącym krokiem chodziły na brzegu, a psy gonił mewy, coraz śmielsze w swoich próbach podkradania kanapek piknikowiczom.

– Tęsknię za Duncanem. Sprawdziłam schronisko dla zwierząt, ale go nie widzieli – powiedziała Issy.

– Pojawi się, wcześniej czy później. Może znalazł jakiegoś innego pustelnika, by mu uprzykrzać życie. – Caleb mrugnął do niej, nim zatrzymali się przy stoisku z ceramiką.

Liza przywitała się z nią, udowadniając po raz kolejny, że mimo tak długiej nieobecności wszyscy o niej pamiętali.

– Miło cię widzieć, Issy.

Issy uśmiechnęła się do niej, podnosząc dzbanek na mleko, brązowy z pasmami zieleni.

Liza zwróciła się do Caleba.

– Zostajesz w miasteczku?

Skinął głową.

– To dobrze. – Wskazała brodą na dzbanek, który trzymała Issy. – Pamiętasz tę popękanaą glinę, z którą pracowałam?

Caleb dotknął dzbanuszkę, a Issy pozwoliła mu go wziąć do rąk.

– Nie widać nawet blizn.

– Jest twój. Prezent powitalny w Deep Haven. – Zapakowała go i włożyła do środka wizytówkę. – Wpadnij czasem.

– Znasz ją? – Issy wzięła torebkę.

– Spotkałem ją na Pikniku Rybnym...

– Hej, trenerze, uważaj!

Wzdrygnęła się, gdy obok jej głowy przeleciała piłka. Caleb wyciągnął dłoń, przycisnął piłkę do piersi.

Jared Ryan podbiegł do nich, a po piętach deptał mu chłopak, którego Issy nie kojarzyła.

– Sorry, trenerze. Celowałem do Samsona.

Caleb oddał mu piłkę, a w tej samej chwili zawibrował telefon Issy. Wsadziła sobie torbę pod pachę i wyciągnęła komórkę.

– SMS od Elliota. Pisze, że wczorajszego wieczoru słuchalność była najwyższa w całej historii programu.

Dzisiejszy program może być tylko rozgrzewką przed tym, który nagra w Napa, na weselu Lauren, jeśli DumaIPasja słuchała słów, które wypowiedziała Issy poprzedniego wieczoru w „Moim Niemądrym Sercu”.

– To pewnie pierwszy raz, gdy Panienska Niemądre Serce przyznała, że się pomyliła.

– Ha. Na antenie. Tak naprawdę myliłam się wiele razy.

Caleb wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Nie każdego dnia zdarza się, by Panienska Niemądre Serce przyznała się do pomyłki, więc słuchajcie uważnie. Wyrzucicie swoje listy. Tak jest. Są na świecie doskonałe dziesiątki. Ale istnieją także doskonałe ósemki i doskonałe trójki. Widzicie, nauczyłam się, że doskonałego związku nie da się zaplanować, trzeba nad nim wyłącznie pracować. I ufać Bogu, że wprowadzi odpowiednią osobę w wasze życie.

Może nawet po sąsiedzku. Issy lubiła, gdy Caleb pochylał się do mikrofonu i dodawał swój głos i opinie do programu.

Chociaż nie pozwolił nikomu, by nazywać go Panem Niemądre Serce.

– Wystarczy trener – powiedział podczas ich pierwszej wspólnej audycji parę tygodni temu.

Trener zdawał się być bardzo popularny wśród żeńskiej części słuchaczy. Issy nie winiła ich. Zakochała się w jego głosie tak samo mocno, jak w nim samym.

Schowała telefon.

– Ciąg dalszy przygód PaniENKI Niemądre Serce i ChłOPAKAZSĄsiedztwa.

– Wciąż nie jestem pewien, czy nadaję się do tego, by dzielić czas antenowy z PaniENką Niemądre Serce. Nie mam pojęcia, co robić.

– A ja niby mam?

– Och, myślę, że dokładnie wiesz, co robić. – Sposób, w jaki na nią popatrzył, ta słodkość w jego oczach... Dlaczego kiedykolwiek uważała, że nie jest idealną dziesiątką? Albo jedenastką czy osiemdziesiątką siódmką? Tak wysoko ponad normę, że przestała liczyć. Głupia lista.

Przeszli obok pizzerii, a potem dalej do Najlepszych Pączków na Świecie, gdzie Lucy pomachała im z nowego okienka.

– Właśnie zamykam.

Siadając na ławce obok stołu piknikowego, Issy wreszcie puściła dłoń Caleba. On usiadł naprzeciw niej na stole i położył ręce na jej ramionach.

Jakby kiedykolwiek mogła od niego uciec. Nie w tym życiu.

– Mogę się założyć, że w Napa nie ma takich widoków. – Fale na jeziorze obmywały delikatnie brzeg, a głęboki błękit nieba mieszał się z odległym horyzontem.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że się do niej uśmiecha. Nachylił się, musnął jej wargi swoimi. Mały ogień, by ogrzać jej wnętrze. Komu potrzebne było Napa? Mogłaby zostać tutaj na zawsze, w ramionach Caleba.

– Przestańcie się obcałowywać i spójrzcie na moje najnowsze dzieło. – Lucy podała jej torbę, siadając okrakiem na ławce.

– To nie jest pączek.

– To babeczka. Są teraz w modzie. – Lucy uśmiechnęła się łobuzersko.

– Najlepsze... Babeczki na Świecie? – Caleb wyciągnął czekoladową babeczkę i wgrzył się w nią. – Nie to, że narzekam. Pycha.

– Poszerzam asortyment. Czemu nie?

– Lucy, tak bardzo się cieszę, że wchodzisz w babeczkowy biznes. Jesteś geniuszem. – Issy wyjęła ciastko z torby. Ta babeczka miała biały lukier i różową posypkę. – Mój tata byłby tym zachwycony. Powiem mu o tym podczas odwiedzin.

– Jak się czuje?

– Dobrze. Zaopatrzyłam go w nowy strój Huskies. Umówiliśmy się na sobotę na wspólne oglądanie meczu. I wygląda lepiej, pozbył się już infekcji. Może nawet uda nam się zabrać go do domu na Święto Dziękczynienia.

Lucy spojrzała jej w oczy. Uśmiechnęła się.

– A tak przy okazji, myślę, że tylko w ten weekend potroiłam sprzedaż pączków względem zeszłego roku. Uda mi się zapłacić zaległości. Bam nie będzie mógł zająć posesji.

– Gdzie Seb? – zapytał Caleb, biorąc kolejnego gryza swojej babeczki.

– Poszedł zanieść pączki tacie do remizy. Dzisiaj mija szósty tydzień jego abstynencji.

– Seb wspominał podczas piątkowego treningu, że zamierza zostać burmistrzem. – Caleb zjadł ba-

beczkę i wytarł palce.

– Najpierw będzie kandydował na członka komisji szkolnej. Chce zająć miejsce Mitcha.

Issy spojrzała na Caleba w obawie.

– Mitch myślał, że chroni to miasteczko. – Jego dłoń uspokajająco spoczęła na jej karku, pomasaował ją lekko. – Pogodziliśmy się.

– Hej! – Seb podszedł do nich. Wyglądał jak żywy billboard w czerwonej koszulce z napisem *Ktoś ma ochotę na pączka?*. – Chcecie wrzucić coś na ruszt, nim zaczną się fajerwerki?

Issy spojrzała na Caleba.

– Co powiesz na spaghetti? Wszyscy lubią spaghetti – powiedział łagodnie.

– Tak twierdzi Panienska Niemądre Serce.

– A w końcu ona – odparł, patrząc jej głęboko w oczy – nigdy się nie myli. W końcu twoja doskonała miłość może znajdować się po sąsiedzku.

nota od autorki

Życie jest trudne. Dlaczego zdarzają się rzeczy, których nie da się po ludzku wytłumaczyć – okropne wypadki, choroby, ataki terrorystyczne? Oglądając wiadomości, łapię się na tym, że szukam jakiejś furtki – gwarancji, że nic takiego nie przydarzy się mnie, mojemu mężowi albo dzieciom. Słyszę na przykład o dziewczynie, która spowodowała tragiczny wypadek z udziałem trzech samochodów, bo w czasie jazdy pisała SMS-a. Cóż, ja nigdy ich nie piszę, kiedy prowadzę, więc na pewno nigdy nie przydarzy mi się wypadek z trzema samochodami. Furtka!

Gdybym mogła, zawarłabym jakąś umowę z Bogiem, aby zapewnić moim bliskim bezpieczeństwo. Ale to tak nie działa. Co mamy zatem zrobić ze strachem, który mógłby nas sparaliżować, wywołać w nas panikę, a nawet kazać nam zabarykadować się w domu?

Odpowiedź: doskonała miłość Boża usuwa wszelkie lęki.

Kiedy pisałam tę historię, musiałam poradzić sobie z faktem, że moje dzieci wyfruwały z gniazda – wybierały się do college’u, z dala od bezpieczeństwa, jakie zapewniały im moje ramiona. Pragnęłam z całych sił przyciągnąć je do siebie na nowo, aby je ochronić. Chcąc uwolnić Issy (i siebie!), rozebrałam powyższy werset na części i pozwoliłam, by zaczął działać w moim życiu.

Doskonały w greckiej postaci tego przymiotnika znaczy „całkowity”. To coś, jak *wszechogarniający*. Jak wtedy, gdy niczego nam nie brakuje w każdej sferze życia. Dodajmy słowo *doskonały* do słowa *miłość* i może uda nam się znaleźć jakąś odpowiedź, na przykład na pytanie, jak poradzić sobie ze strachem. Miłość oznacza uczucie, życzliwość, ucztę miłosierdzia (uwielbiam to – ucztę miłosierdzia. Smaczna, pełna delicji, niekończąca się ucztę miłosierdzia!!!). Widzicie, w Bogu nie ma zła. Ani odrobinki. Czasami zachowujemy się tak, jakby Boga nie obchodziły te straszne rzeczy, jakie nam się przytrafiają. Albo nawet jeszcze gorzej: jakby On naśmiewał się z naszego cierpienia.

Nigdy tego nie robi.

Ten problem pojawia się, gdy zaczynamy przypisywać Bogu ludzkie cechy. A Jemu zawsze, w stu procentach, chodzi o wkraczanie w nasze życie z miłością.

Wkraczanie? Tak. To znaczy, że Bóg kocha nawet ciemne zakamarki naszych serc. Kojarzy mi się z falą, która wpada do jaskini i obmywa każdą jej część.

Krótko mówiąc, nie możemy uciec od Jego miłości, Jego dobroci. Nawet w najgorszych momentach naszego życia Jego miłość nam towarzyszy.

Trudno to sobie wyobrazić, prawda? Jeśli ktoś zna moją historię, ten wie o pełnych przemocy latach, które moja rodzina przeżyła, gdy pracowaliśmy jako misjonarze w Rosji. Ale jeśli pozwolę Bogu pojawić się w moich wspomnieniach, widzę Go tam, wlewającego swoją doskonałą miłość w każdy zakamarek. Jego łaska, Jego miłość jest zawsze większa niż rany, które może nam zadać wróg.

Życie bez miłości Bożej jest przerażające. Ale Boża miłość – całkowita, oszałamiająca – usuwa

strach.

Spróbujcie tego: kiedy następnym razem przytłoczy was lęk, módlcie się tak długo, aż zniknie. Zaczynajcie śpiewać prawdę. I zróbcie krok do przodu, wiedząc, że Bóg kocha was (i waszych bliskich!) doskonale.

Ta idealna miłość obmywa nawet głębokie rany. Jak utratę kogoś bliskiego lub, jak w przypadku Caleba, utratę nogi i przyszłości. Słuchałam niedawno kapitana Scotta Smileya, żołnierza, który stracił wzrok po wybuchu samochodu pułapki w Iraku. Jego odwaga i żywa wiara uderzyły mnie, zwłaszcza po tym, jak powiedział widzom, że teraz żyje mu się lepiej. Że Bóg może go teraz użyć na sposoby, jakie mu się wcześniej nie śniły. To jest właśnie wiara w doskonałą miłość Boga. Pragnę właśnie tego rodzaju wiary. Wierzę, że ona zmienia życie, i taką wiarą obdarowałam Caleba. Przypomina mi, że nie jesteśmy odpowiedzialni za to, co nas spotyka, lecz za naszą reakcję na te rzeczy, i że czasem Bóg może użyć naszego poddania się Jego woli dla dobra innych.

Czasami nasze rany nie są fizyczne, lecz emocjonalne. Jak u Lucy. W dzisiejszym świecie wydaje się, że utrata dziewictwa z twoim licealnym ukochanym jest czymś oczywistym. Ale nie powinno tak być. I nie powinniśmy, jako społeczeństwo, ignorować tego, jakie spustoszenie może uczynić oddanie się komuś przed ślubem, jakie kłamstwa można wtedy usłyszeć. Chciałam pokazać, że zarówno Lucy, jak i Seb zostali zranieni swoim wyborem, ale również to, że Bóg w swojej doskonałej miłości dla nich może im dać nowy start.

W każdej książce szukam tego głębokiego momentu, kiedy to Bóg wskazuje mi moją własną przemianę. Ten moment nadszedł, gdy napisałam: *Bóg kochał najbardziej niemądrze ze wszystkich. Przyszedł na ten mroczny świat, by uratować ludzi, którzy mogą nigdy nie pokochać Go z wzajemnością.* Patrzyłam na te zdania tak długo, że prawie je usunęłam. To brzmiało jak bluźnierstwo. Bóg nie jest niemądry. Ale jest Miłością. Wielką, oszałamiającą, niepojętą Miłością, która po ludzku wygląda niemądrze. Miłość, która nawet teraz nie wydaje się rozsądna. No bo w końcu czy Bóg ostatnio przyjrzał się dobrze ludziom? Jakiego bałaganu narobili! (I gdy to mówię, nie patrzę na nikogo konkretnego, tylko na siebie!).

Ale widzicie, to jest właśnie ta niezwykła sprawa. Jego miłość jest doskonała. Nie chaotyczna. Nie niesprawiedliwa. Stała. Oszałamiająca. Uwalniająca.

Zmieniająca życie.

A On oferuje ją nam bez żadnych zapisków drobnym drukiem.

Obyście mieli niemądre serce dla Chrystusa, tak jak On ma je dla was.

Dziękuję, że spędziliście czas w Deep Haven, czytając o historii Issy, Caleba, Lucy i Seba. Jeśli macie ochotę na więcej książek o Deep Haven, zwróćcie uwagę na *Długo i szczęśliwie*, *Tying the Knot* i *The Perfect Match*.

Z Jego miłością,
Susan May Warren

podziękowania

Jak każda dobra amerykańska drużyna futbolowa, książka potrzebuje zespołu świetnych graczy, by zdobywać punkty. Jestem niezmiernie wdzięczna następującym osobom za ich wkład w tę opowieść:

Trener Mitch Dorr – Trener główny CCHS Vikings, który nieustannie imponuje mi swoją wizją sportu jako drogi do wyrabiania charakteru i futbolu jako narzędzia do zmiany chłopców w mężczyzn. Moi synowie stają się „mężczyznami stworzonymi dla innych” dzięki wspaniałej kadrze treningowej. Jestem głęboko wdzięczna za całą Twoją pomoc związaną z tematyką futbolową w tej książce, a już zwłaszcza za stworzenie zagrywki Chaos Rozgrywającego (co za zabawne zagranie! Oby pozwoliło kiedyś wygrać mistrzostwa stanowe!). Wszystkie błędy związane z grą wynikają z moich braków.

Peter Warren – Mój wspaniały biegacz/środkowy wspomagający, który pomógł mi opracować treningi i ćwiczenia. I za to, że odpowiadał na pytanie: „Co ty byś zrobił, gdybyś był trenerem?”.

Noah Warren – Mój świetny gracz na linii obrony oraz inspiracja dla postaci Caleba.

David Warren – Och, jak bardzo brakuje mi Ciebie i Twoich zdolności do tworzenia intryg! Dziękuję za pomoc przy rozwiązaniu fabularnych dziwactw podczas Twojej przerwy wakacyjnej.

Andrew Warren – Legenda futbolu w naszej rodzinie. Dziękuję, że pomogłeś mi zrozumieć futbol i byłeś moim towarzyszem, gdy szliśmy na każdy mecz w deszczu, śniegu czy przy pogodzie.

Sarah Warren – Moja córka z radami dla spragnionych miłości. Dziękuję za pomoc w stworzeniu słuchaczy audycji radiowej i za „dziesięciopunktową” listę.

World’s Best Donuts – Najlepsze miejsce na świecie, by kupić pączki (także *skizzle!*)

Rachel Hauck – Moja pisarska współpracownica. Ja napiszę Twoją książkę, a Ty napisz moją, dobrze? Dziękuję, że pomogłaś mi się uwolnić od Paraliżującego Założenia!

Ellen Tarver – Wie, jak zadawać trudne pytania i sprawić, by wszystkie nitki opowieści splotły się w jedno. Jesteś moją tajną bronią.

Sarah Mason – Wow. I jeszcze raz, wow. Moja wspaniała redaktorka, która sprawia, że moje słowa czyta się całkiem dobrze.

Karen Watson – Moja Nadzwyczajna Redaktorka. Dziękuję, że we mnie wierzysz.

Steve Laube – Rządzisz, O Wspaniały Agencie.

Projekt okładki: Alicja Krygier
Zdjęcia: Rido, stockedup (fotolia.com), susanmaywarren.com

Cytaty z Pisma Świętego za: Biblia Tysiąclecia, wydanie V.

Originally published in the U.S.A. under the title: *Deep Haven #4 My Foolish Heart* autorstwa Susan May Warren

Copyright © 2011 by Susan May Warren

© for the Polish edition by Święty Wojciech Dom Medialny sp. z o.o.,

Poznań 2017 with permission of Tyndale House Publishers, Inc.

All rights reserved.

ISBN 978-83-8065-121-0

Wydawca:

Święty Wojciech Dom Medialny sp. z o.o.

Wydawnictwo

ul. Chartowo 5, 61-245 Poznań

tel. 61 659 37 13

wydawnictwo@swietywojciech.pl

Zamówienia:

Dział Sprzedaży i Logistyki

ul. Chartowo 5, 61-245 Poznań

tel. 61 659 37 57 (-58, -59), faks 61 659 37 51

sprzedaz@swietywojciech.pl • sklep@mojeksiazki.pl

www.swietywojciech.pl • www.mojeksiazki.pl

Konwersja do e-wydania: Wydawnictwo Święty Wojciech